

BARBARA DAWSON SMITH

Menus

Podziękowania

Jak zawsze składam podziękowania Jennifer Enderlin, nadzwyczajnej pani redaktor, za to, że wierzyła w tę książkę i uczyniła ją jeszcze lepszą.

Dziękuję Helen Breitwieser za ogromne poparcie, jakiego udziela mojej pracy.

A także moim nieustraszonym i niezrównanym krytykom, Susan Wiggs, Berty Taylor Gyenes, Christinie Dodd i Joyce Bell, za doskonałe rady, pomysły, wsparcie i, przede wszystkim, przyjaźń.

Londyn, 1822

Da jej nauczkę, której nigdy nie zapomni. Ukryty pod gałęziami wielkiego platanu, przyglądał się jej domowi, który wcale nie przypominał na lupanaru. Usytuowany w cichej uliczce, nie odróżniał się niczym od okolicznych budynków z szarego kamienia. Deszcz bębnił w wysokie okna i spływał strugami po smukłych kolumnach przed wejściem. Trzy granitowe stopnie prowadziły do dyskretnych białych drzwi ozdobionych mosiężną kołatką. Od czasu do czasu na tle koronkowych firanek pojawiały się cienie ludzi, poruszających się we wnętrzu domu.

Zgodnie z informacjami jego szpiega, ładacznice powinny teraz jeść kolację. Okna na piętrze były ciemne, zakryte grubymi zasłonami, tylko w jednym pokoju paliły się świece.

W jej pokoju.

Pożerała go żądza czynu. Nie chciał, by ktokolwiek był świadkiem ich spotkania. Zaczai się w jej buduarze i wykorzysta element zaskoczenia...

Obrócił się na pięcie i ruszył w stronę domu. Krople deszczu spływały z jego kaptura i peleryny. Pustą ulicą przejechał jakiś powóz, stukając kołami w wilgotny bruk i pobrzękując uprzężą. Odwrócił głowę i wszedł szybko między stajnie na tyłach domostw.

W wąskim przejściu zalegały ciemności, powietrze przesycone było zapachem nawozu i końskiego potu. Przy trzecim domu znalazł wreszcie wejście dla służby, ukryte za prostymi drewnianymi drzwiami.

Bez trudu dostał się do środka. Przez chwilę stał nieruchomo w ciemnym korytarzu, próbując odnaleźć właściwy kierunek. Owionął go delikatny orientalny aromat, świadectwo dekadencjonalnej przyjemności, jakim folgowano w tym domu. Z dala dobiegały odgłosy gotowania, brzęk talerzy, śmiech jakiejś kobiety i narzekanie drugiej. Po lewej stronie otwierał się korytarz, prowadzący najwyraźniej do kuchni, bo dochodził stamtąd zapach gotowanej kapusty i smażonej ryby. Drzwi po prawej stronie wychodziły na klatkę schodową. Wybrał tę drogę i powoli wspinał się po nieoświetlonych stopniach.

Ściany korytarza na pierwszym piętrze ozdobione były nieskromnymi obrazami. Złoty blask świec wabił go do otwartych drzwi na końcu przejścia.

Przyspieszył kroku. Postanowił, że zaskoczy ją, kiedy wróci z kolacji. Położy kres jej planom raz na zawsze.

Kiedy doszedł do drzwi, stanął jak wryty.

Była tutaj.

Jego ofiara siedziała przy toalecie, na stołeczku ozdobionym złotymi frędzlami. Trzaskanie ognia w kominku musiało zagłuszyć kroki, nie zauważyła bowiem jego obecności. A może była zbyt pochłonięta czesaniem włosów.

Wyglądała młodo, na jakieś osiemnaście lat. Jej wiek nie miał jednak większego znaczenia; z pewnością niemoralna profesja czyniła ją wystarczająco dojrzałą. I podobnie jak inne kobiety jej pokroju, panna Isabel Darling doskonale wiedziała, jak radzić sobie z mężczyznami.

Ale tym razem miała wreszcie trafić na godnego przeciwnika.

Podziwiała swe odbicie w owalnym lustrze, przechylała głowę, przymykała oczy, jakby zachwycona własną urodą. Pukle gęstych kasztanowych włosów, przeplatanych rudawymi kosmykami, opadały jej aż do talii. Każdy ruch szczotki unosił je lekko i odsłaniał przed nim kuszące krągłości ciała, okryte tylko jedwabną koszulą.

Nie mógł nie zareagować na ten widok. Krew poczęła szybciej krążyć w jego żyłach, czuł przyjemne ciepło w łędźwiach. Ogarnęło go nagle ogromne pożądanie, miał ochotę zapomnieć o swej misji i skorzystać z usług tej ładaczniczki, oddać się bez reszty rozkoszy.

Do diabła z nią!

Zacisnął dłonie w pięści i wszedł do buduaru. Gruby gęsty dywan tłumiał odgłos jego kroków. W otwartych drzwiach naprzeciwko widział wnętrze pokoju zdominowanego przez wielkie łóżko z baldachimem, złotymi zdobieniami i lustrem umocowanym w górnej jego części. Łóżko, na którym świadczyła usługi klientom.

Stanął tuż za jej plecami. Jego dłonie, odziane w cienkie rękawiczki z ciepłej skóry, dotknęły jej ramion, palce zagłębiły się lekko w ciele, delikatnym, ciepłym i miękkim jak u dziecka.

Zastygła w bezruchu, z ręką wzniesioną ku głowie. Spojrzała na jego odbicie w lustrze. On także patrzył w jej szeroko otwarte, brązowe oczy, obwiedzione zasłoną gęstych rzęs.

Zachłysnęła się ze strachu, zadrżała na całym ciele. Mimowolnie pochylił się nad nią, zauroczony widokiem jej piersi. Choć pewnie trafiłyby za to do piekła, chciał jej posmakować...

Z dzikim krzykiem obróciła się na krześle i uderzyła go w pierś ciężką szczotką do włosów. Krzywiąc twarz w grymasie wściekłości, zamierzyła się do kolejnego ciosu.

Pochwycił jej rękę w nadgarstku.

- Nie robiłbym tego, panno Darling.
- Kim pan jest? Kto pana tutaj wpuścił?
- Sam się wpuściłem.

Próbowała wyrwać rękę z jego uścisku.

- Proszę stąd wyjść. Zanim zacznę krzyczeć.
- Proszę bardzo, niech pani krzyczy. I tak nikt nic nie usłyszy.

Wyczuwał przerażanie dziewczyny. Widział je w jej unoszących się chrapach i drżących ustach. Napawał się władzą, jaką miał teraz nad nią. Wystarczyło jedno mocne szarpnięcie, a złałby jej delikatną kość. Mógłby ukarać ją za to, co zrobiła. Za to, co zamierzała zrobić.

Wyjął szczotkę z jej dłoni i położył ją na toalecie. Potem opuścił ręce na ramiona dziewczyny i wymruczał jej do ucha:

- Nie traktuje się gości w ten sposób. To przeszkadza w in teresach.

Isabel Darling odsunęła się od niego zdumiona i gwałtownie zamrugła.

- Nie wiem, kim pan jest, ale ja pana tutaj nie zapraszałam. Ten dom jest zamknięty.

- Nie dla księcia Lynwood.

- Książę...? - Zmierzyła go wzrokiem, przyglądała się otwarciu jego ubrani, białemu fularowi, pelerynie, irchowym spodniom i wysokim butom z polerowanej skóry. Potrząsnęła lekko głową.

- Jest pan za młody na księcia Lynwood. Zbyt... zbyt...

- Cywilizowany - dokończył z nutką szyderstwa w głosie.

Nie mogła nawet przypuszczać, jak bardzo ten mężczyzna różni się od swego ojca. Wciąż przyglądała mu się uważnie.

- Pan jest synem Lynwooda- powiedziała wreszcie powoli. - Nazywa się pan Justin Culver. Hrabia Kern.

Uniósł brwi w szyderczym grymasie podziwu.

- Widzę, że przeprowadziła pani staranny wywiad.

Isabel odwróciła się ponownie do lustra i zręcznie zwinęła włosy w luźny kok, a potem upięła go szylkretowymi spinkami. Ta prosta czynność ujęła go swą kobiecością. Żądza i poczucie obowiązku walczyły w jego duszy o pierwszeństwo.

- Proszę odejść - powiedziała. - Ta sprawa dotyczy pańskiego ojca.

- Nie, dotyczy mnie. Mój ojciec jest niedysponowany i ja zajmuję się wszystkimi jego sprawami.

- To bardzo delikatna kwestia - odparła Isabel, kładąc dłonie na toaletce. - Poczekam z nią do czasu, gdy będę mogła rozmawiać z księciem osobiście.

- Nie. Załatwimy to teraz.

- Niestety muszę nalegać na...

- Niech pani sobie nalega, na co zechce, panno Darling. To i tak w niczym pani nie pomoże - przerwał jej Kern stanowczym tonem. - Czytałem te sfabrykowane wspomnienia, przynajmniej tę część, którą przesłała pani mojemu ojcu.

Kern wpatrywał się w nią z gniewem, ona jednak odpowiedziała mu równie zimnym i nieustępliwym spojrzeniem.

- Zawsze otwiera pan listy opatrzone napisem „Sprawa osobista. Poufne”? Nie jest to powód do dumy. - Odwróciła się i ponownie zajęła włosami. - A teraz proszę stąd wyjść.

Kern zacisnął pięści, starając się zapanować nad falą gniewu, która wzbierała w jego piersiach. Ta kobieta nigdy nie zobaczy jego ojca. Ani nikt spoza jego rodziny.

Pochylił się nad nią i spojrzął w odbicie jej oczu w lustrze.

- Będzie pani załatwiać to ze mną i tylko ze mną - rzekł przez zaciśnięte zęby. - Założę się, że nie brała pani tego pod uwagę, kiedy układa ten swój nikczemny spis.

Przez chwilę Isabel Darling wpatrywała się z zaskoczeniem w odbicie intruza, otoczona aurą skrzywdzonej niewinności. Potem jednak na jej ustach pojawił się pobłażliwy uśmiech.

Podniosła się powoli ze stołka, drobna kobieta, sięgająca mu ledwie do ramienia. Kiedy przechadzała się po pokoju, kołysała zmysłowo biodrami, nieświadoma nawet wrażenia, jakie robi to na lordzie Kern. Jedwabna koszula nie odsłaniała tak wiele, jak by oczekiwał. Mimo to Isabel Darling była ucieleśnieniem męskich fantazji.

Jego fantazji.

- Proszę więc mówić, z czym pan tutaj przyszedł - mruknęła.

- Jest pani w posiadaniu obscenicznego tekstu, który opisuje między innymi mojego ojca. Jeśli ośmieli się go pani opublikować, oskarżę panią o zniesławienie.

- Proszę w takim razie udowodnić, że te wspomnienia są fałszywe. Byłby to zapewne bardzo ciekawy proces.

Stał nieruchomo, rozwścieczony jej zuchwałstwem i świadomością, że w gruncie rzeczy ta kobieta ma rację. Isabel Darling mogła zbrukać jego dobre imię, wystawić ojca na pośmiewisko, narazić rodzinę na plotki i ostracyzm. W dodatku jej propozycja nadeszła w najmniej odpowiednim czasie.

- Książę wykorzystał moją matkę- mówiła dalej panna Darling, podnosząc z sofy boa z różowych piór i bawiąc się nim od niechcenia. - Wszyscy dowiedzą się o jego nikczemnym postępku. Chyba że spełni pan moją prośbę.

- Prośbę?! - Lord Kern roześmiał się chrapliwie. - Szantaż, oto właściwe słowo.

- Czyżby? - Postukała się palcem wskazującym w brodę. - Hmm... Ja nazwałabym to po prostu sprawiedliwością.

- Sprawiedliwością? Chce pani wymóc na moim ojcu, by

łożył na panią, by przedstawiał panią jako prawdziwą damę, by wprowadził bękarta ladacznicy do towarzystwa. Patrzyła mu śmiało w oczy, bezwstydną.

- Tak.

Lord Kern przechadzał się nerwowo po pokoju, myśląc z odrazą o upadku, którego świadectwem był ten dom, o bólu złamanego życia, stygmacie degradacji i hańby.

- To absurdalne. Pani nie ma żadnego wychowania. Pani nie przystaje do dobrze wychowanego towarzystwa.

- Nie jest to bardziej absurdalne niż obecność pańskiego ojca na dworze królewskim, gdzie udaje uczciwego i godnego szacunku człowieka.

- W żyłach księcia Lynwood płynie królewska krew.

- A chuć rozpustnika płynie w jego... - Zamilkła skromnie. - Cóż, pan dobrze wie w czym.

Jej oburzenie i pełne wyrzutu słowa wprawiały go w jeszcze większy gniew. Zachowywała się tak, jakby to ona- a raczej jej matka - została skrzywdzona. Machnął ręką.

- Pani matka była dziwką. Robiła to, za co płaci się dziwkom.

Isabel Darling zbladła, ale nadal trzymała dumnie uniesioną głowę. Jej drobne białe palce skubały nerwowo różowe boa.

- A kto płaci panu za to, że jest pan zarozumiałym snobem?

- Bardzo zabawne. Ile złota kosztuje pani milczenie?

- Nie chcę pańskich pieniędzy. Wystarczy mi tylko wprowadzenie do towarzystwa.

- Żeby mogła pani oszukać jakiegoś biedaka i zaciągnąć go do ołtarza? Nie ma mowy.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Lord Kern miał wrażenie, że za jej beczelnym spojrzeniem kryje się jakiś głębszy cel, sekret, którego nie mógł poznać.

- Dlaczego miałabym nie wyjść dobrze za męża? - spytała, wzruszając ramionami. - Chcę życia, którego odmówiono mojej matce. Została uwiedziona przez księcia Lynwooda, a potem porzucona na pastwę losu.

- Melodramatyczna bzdura. - Lord Kern machnął ręką z lekceważeniem. - Szybko zajęła się następnym klientem. Jestem

pewien, że usługiwała całej armii mężczyzn w tym samym czasie, kiedy była związana z moim ojcem.

Isabel Darling odwróciła na moment wzrok, a on na chwilę zatriumfował, zrozumiał bowiem, że się nie pomylił. Byli wtedy inni mężczyźni. Wielu mężczyzn. Z pewnością wiedziała o nich wszystkich, przeczytawszy wspomnienia swojej matki.

A ilu mężczyzn zadowolili Isabel Darling? Ilu klientów dotykało tego wspaniałego ciała? Ilu dzieliło z nią łóżce?

I dlaczego, na miłość Boską, on chciał robić to samo?

Podszedł do niej powoli.

- Proszę nie udawać, że nic pani o tym nie wie, panno Darling. Wy wszystkie jesteście takie same. Zabawiacie każdego, kto gotów jest zapłacić odpowiednią cenę.

- Czyżby? Żadna kwota nie przekonałaby mnie do tego, żeby zadawać się z panem.

- Założmy, że zgodziłbym się leżeć na panią i wprowadzić panią do towarzystwa. Co dałaby mi pani w zamian?

Isabel otworzyła szerzej oczy, kiedy stanął tuż przed nią. Nie zauważyła nawet, że różowe boa wysliznęło się z jej palców i opadło na podłogę. Zdawało się, że powietrze przesycone jest dziwnym napięciem, jakby przed chwilą uderzył piorun. Lord Kern przyszedł tutaj, spodziewając się ujrzeć jakąś podstarzałą ladacznicę o prostackiej urodzie, a nie tę filigranową dziewczynę o ciemnych oczach i delikatnych rysach. Choć był na nią wściekły, musiał przyznać, że nie brak jej odwagi. Nie przstraszyła się go.

Jego ciało płonęło pożądaniem. Mimo to trzymał ręce przy sobie, nawet gdy zatrzepotała lekko rzęsami, jakby gotowa była się poddać. Miała delikatne wilgotne usta; lekko rozchylone wargi odsłaniały perłiste białe zęby.

Nigdy dotąd Kern nie składał podobnych propozycji zwykłej prostytutce, jednak ona pozbawiała go niemal kontroli nad własnym ciałem. Pochylił się nad nią i palcem uniósł lekko jej brodę.

- Czarodziejko - mrucał. - Źle to rozegrałaś. Byłoby znaczenie lepiej, gdybyś szukała mojej protekcji.

W brązowych oczach Isabel pojawiły się złote iskierki. Czuł,

że dziewczyna drży niczym klacz wietrząca nadejście ogiera. Potem odwróciła się raptownie na pięcie i wycofała.

Stanęła za złoconym krzesłem. Jej dumnie uniesiona głowa wyrażała gniew i pogardę, Isabel odezwała się jednak zupełnie spokojnym głosem:

- Jest pan równie odrażający jak pański ojciec. Wprowadzi mnie pan do towarzystwa albo opublikuję te wspomnienia w przeciagu miesiąca.

Kem zazgrzytał zębami. Jakże był głupi, pozwalając omamić się jej czarom. Gdyby świat dowiedział się o niecnym postępkach jego ojca, czekałyby ich naprawdę trudne chwile. Skandal dotknąłby całej rodziny, łącznie z jego narzeczoną, naiwną lady Helen Jeffries. Kto wie, być może zniweczyłoby to nawet ich małżeńskie plany.

Mimo to nie mógł przystać na ten szantaż. Postąpiłby wbrew wszystkim zasadom, którymi kierował się do tej pory.

Powoli zbliżał się do Isabel Darling. Ta stała mężnie w miejscu, niczym męczennik czekający na nadejście lwa. Nie jak amoralna ladcznica. Fizyczne piękno maskowało tylko brzydotę jej charakteru.

Tym razem trzymał na wodzy wściekłość. Otoczył dłońmi jej delikatną szyję. Przez cienkie rękawiczki czuł delikatne bicie jej pulsu.

- Prowadzi pani niebezpieczną grę, panno Darling. Ale będzie pani musiała znaleźć sobie inną ofiarę.

- Nie ośmieli się pan odmówić - odrzekła, zniżając głos.

- Wręcz przeciwnie. - Zmierzył ją pogardliwym spojrzeniem. - Łatwiej byłoby uczynić damę z trędowatego niż z pani.

Z jej ust wyrwał się gniewny syk. Mimo to patrzyła mu śmiało w oczy, jakby nie czuła się wcale dotknięta tą obelgą. Nawet teraz nie mógł przestać myśleć o jej delikatnym ciele. Choć czuł odrazę do samego siebie, miał ochotę przewrócić ją teraz na podłogę i wziąć to, co sprzedawała innym mężczyznom...

- No, no... - dobiegł od drzwi modulowany kobiecy głos. - Jakaż to czarująca scena.

Oskarżycielski ton przywołał Isabel do rzeczywistości. Odwróciła się tak gwałtownie, że pokój zawirował jej przed oczami. A może był to efekt zbyt długiego wpatrywania się w bezlitosne

zielone oczy lorda Kern. Przez krótką chwilę była sparaliżowana jego obecnością, zapachem deszczu zmieszany z niebezpiecznym aromatem mężczyzny.

Tymczasem on, wcielenie arogancji, odwrócił się spokojnie w stronę nieoczekiwanego gościa, jakby przed chwilą nie oplótł palców wokół gardła Isabel. Wciąż czuła ucisk tych dłoni, silnych i groźnych, zdolnych odebrać jej życie. Tłumiąc drzenie, patrzyła, jak Callie swobodnym krokiem wchodzi do buduaru.

Kołysząc przesadnie biodrami, kobieta starała się zwrócić uwagę na swą wspaniałą figurę. Jak dotąd, czas był łaskawy dla Callandry Hughes; jej twarz znaczyły tylko nieliczne zmarszczki, w bujnych blond włosach nie było widać ani śladu siwizny. Uwielbiała mężczyzn - a raczej uwielbiała, kiedy ci poświęcali jej uwagę.

Powoli ściągała koronkową chustę okrywającą głęboko wycięty dekolt sukni, zamieniając tę czynność w prawdziwy spektakl, niczym śpiewaczka operowa.

- Wstydz się, Isabel - zamruczała zmysłowo, nie odrywając spojrzenia błękitnych oczu od lorda Kern. - Nie powinnaś zatrzymywać takiego przystojnego ogiera tylko dla siebie.

Isabel zeszywniała z oburzenia.

- To prywatna rozmowa.

- O, jestem tego pewna. - Callie przysunęła się do lorda Kern i pochyliła lekko, by ten mógł lepiej przyjrzeć się jej piersiom. - Kim pan jest?

Kern zignorował jej pytanie.

- Pani wybaczy, właśnie wychodziłem.

- Tak szybko? - Callie wyduła lekko usta i wzięła go pod rękę. - Być może wolałby pan towarzystwo kobiety, która wie nieco więcej o tym, jak zadowolić prawdziwego mężczyznę...

- Ciociu Callie - przerwała jej Isabel. - Chciałabym omówić z tobą pewną ważną sprawę.

- Później...

- Teraz. Mój gość sam znajdzie drogę do wyjścia.

Callie wykrzywiła pełne, zmysłowe usta w grymasie złości niczym dziecko, któremu odebrano zabawkę, wypuściła jednak ramię Kerna. Arystokrata uklonił się sztywno obu kobietom. Jego spojrzenie przeszło na moment Isabel, ta zaś poczuła znów

ten dziwny ucisk w żołądku. Kern niepokoił ją od samego początku, odkąd ujrzała jego odbicie w lustrze i omal nie zemdląła z przerażenia. Nie oglądając się więcej za siebie, lord wyszedł z pokoju.

Łatwiej byłoby uczynić damą z trędownatego niż z pani.

Isabel zacisnęła dłoń na buteleczce z perfumami, jakby chciała cisnąć nią w jego plecy. Z wściekłością myślała o tym, jak ją potraktował, jakby była robakiem, którego może rozgnieść swą elegancko obutą stopą. Niech sobie myśli, że poluje na posag, szuka przygody. Był tylko bogatym snobem, uważał, że jest przez to lepszy od tych, którym mniej się w życiu poszczęściło.

Być może uważał ich sprawę za zakończoną, ale w takim razie czekała go jeszcze przykra niespodzianka.

- Więc - przemówiła Callie, odciągając uwagę Isabel od pustych drzwi. - Cóż to za ważna sprawa, którą musisz ze mną przedyskutować?

Isabel próbowała powstrzymać rumieniec wstydu, który wypływał na jej policzki.

- Nie ma żadnej ważnej sprawy. Nie chciałam tylko, żebyś z nim wyszła.

- Rozumiem. - Callie zamyśliła się na moment i podeszła bliżej do Isabel. - Więc mała dziewczynka Aurory ma wreszcie swojego przyjaciela. Kim on jest?

- To arogancki bubek i snob, oto, kim jest.

Callie uniosła idealnie wyregulowane brwi.

- Cóż, czy nie są nimi wszyscy mężczyźni? - Zbliżyła się do toaletki i zaczęła poprawiać swe złote loki, obserwując jednocześnie odbicie Isabel w lustrze. - Zastanawiałam się, dlaczego ostatnio jesteś taka skryta. Teraz już wiem. Wreszcie znalazłaś sobie adoratora.

Isabel próbowała się jakoś wytłumaczyć.

- Jego ojciec był przyjacielem mamy, to wszystko.

- To zabawne. Teraz syn uległ urokowi córki. - Callie przyglądała się uważnie Isabel, jakby zobaczyła ją nagle na nowo. - Nie powinnam być chyba zaskoczona. Wyrosłaś na piękną dziewczynę, równie piękną jak Aurora.

Isabel przelknęła z trudem ślinę. Chciała temu zaprzeczyć. Choć sama dostrzegała w sobie ślady niezwykłej urody matki,

Aurory Darling, nadal czuła się jak niezdarne dziecko, przeganiane z miejsca na miejsce przez okrutnych rówieśników, którzy wypominali jej głośno nieślubne pochodzenie.

- Nasza Isabel ma dość własnego uroku - oświadczyła niska, krągła kobieta, która weszła właśnie w tej chwili do buduaru. Ciotka Minerva albo Minnie, jak nazywała ją Isabel, krzątała się pokoju niczym skupiona kula energii, poprawiała poduszki na sofie, ustawiała fiolki z kosmetykami. - A ja chciałabym wiedzieć, co robił w tym domu lord Kern.

- Lord Kern?- powtórzyła Callie, otwierając usta ze zdumienia. Wskazała na drzwi, za którymi zniknął przed chwilą tajemniczy mężczyzna. - Syn Lynwooda? To był on?

- Jasne. - Krzywiąc się z irytacją, Minnie podniosła z podłogi różowe boa. - Widziałam, jak stąd wychodził. Powiedział mi, że wszedł tylnym wejściem. A to twoja wina, Callandro, znów zapomniałaś zamknąć drzwi. Byle łajdak mógł się tu dostać i zrobić nam krzywdę.

Callie poderwała dumnie głowę.

- Nie jestem służącą, nie będę sprawdzała wszystkich drzwi i okien.

- Będziesz robić, co do ciebie należy, panno Mądralińska, albo wylądujesz na ulicy.

- O nie, panno Wszechmocna Minnie. - Callie podeszła do starszej kobiety. - Na łożu śmierci Aurora obiecała, że zawsze będę miała tu dom.

- Jeśli będziesz stosować się do zasad, jakie w nim panują. A to oznacza, że musisz wypełniać swoje obowiązki, a nie wylegiwać się do południa, a potem mizdrzyć do lustra przez cały wieczór.

- Posłuchaj, ty stara wiedźmo. Tylko dlatego, że zawsze byłam ładniejsza od ciebie...

- Przestańcie. - Isabel wkroczyła pomiędzy zwaśnione kobiety. - Natychmiast przestańcie się kłócić!

Minnie mierzyła dziewczynę przez chwilę gniewnym spojrzeniem. Potem jednak pokornie schyliła swą siwiejącą głowę, okrytą białym czepekciem.

- Przepraszam. To ten przeklęty irlandzki temperament. Twoja matka zawsze mi go wypominała.

- Cóż, ja nie muszę nikogo przeproszać - powiedziała Callie, potrząsając dumnie lokami. - To Isabel złamała reguły i przyjęła w tym domu męzczyznę. To z jej powodu wszystkie musiałyśmy zerwać z naszą profesją. Ale być może nasza mała dziewczynka nie jest już tak niewinna.

Minnie otwierała już usta, by odpowiedzieć jej jakąś ciętą uwagą, lecz Isabel uniosła rękę, chcąc zapobiec dalszej kłótni.

- Odesłałam stąd lorda Kern i sprawę uważam za zakończoną.

- On tu wróci - oświadczyła Callie. - Zbyt dobrze znam mężczyzn, widziałam to w jego oczach. Już go zauroczyłaś, ja ci to mówię. - Zakręciła się w miejscu i szybkim krokiem wyszła z pokoju, szeleszcząc sukniemi.

- Bezczelna dziewucha. - Minnie potrząsnęła za nią pięścią. - Pomyślałby kto, że to sama księżna Lynwood, a nie stara zdzira. - Minnie wsunęła boa ze strusich piór do szuflady. - Nie przejmuj się, moja droga. Pogadam sobie z nią później.

- Proszę, daj już temu pokój.

- O nie. - Minnie przerwała na moment sprzątanie i podniosła wzrok na Isabel. - Kocham cię jak własną córkę. Nie pozwolę, żeby ktoś ci dokuczał.

Dziewczyna zdobyła się na słaby uśmiech. Choć nie łączyło ich żadne pokrewieństwo, traktowała Minnie i inne kobiety zamieszkujące ten dom jak ciotki. Minnie często odwiedzała ją na wsi, gdzie na życzenie swej matki dziewczyna wychowywała się pod okiem guwernantki, z dala od lupanaru. A kiedy w zeszłym roku Aurora Darling zmarła, dziewczyna wróciła do Londynu. Nie miała innego wyjścia. Ekstrawagancka do samego końca Aurora Darling wydała wszystkie oszczędności i umarła jako biedaczka.

Minnie polerowała skrajem fartuszka alabastrowy posążek bogini.

- A teraz powiedz mi, po co przyszedł tutaj lord Kern.

Isabel otworzyła usta, a potem zamknęła je skonfundowana. Nie chciała, by ciotki dowiedziały się o jej planach, jeszcze nie, a tymczasem lord Kern wyjawiał jej sekret.

Zrozumiała, jak trudny jest dylemat, przed którym stanęła w tej chwili, a ta świadomość pozbawiła ją nagle sił. Kolana

ugięły się pod nią, opadła bezsilnie na sofę. Obejmowała się ramionami, próbując jakoś ogarnąć ten ból, zapanować nad nim. Dopiero teraz jednak dały o sobie znać złość i frustracja, wywołane okropną rozmową z lordem Kern, a łzy napłynęły szerokim strumieniem do oczu.

- Matko Boska. - Minnie przyłożyła dłoń do policzka. - To prawda, że potrzebujemy pieniędzy, ale chyba nie sprzedałaś się temu mężczyźnie.

- Oczywiście, że nie! - Isabel przypominała sobie tę straszną chwilę, kiedy oskarżył ją o uprawianie nierządu, a ona zastanawiała się - choć trwało to ledwie mgnienie oka - jak by to było, gdyby rozebrała się dla lorda Kern i pozwałała mu dotykać się na wszystkie te sposoby, o których rozmawiały jej ciotki, gdy podsłuchiwała je ukradkiem.

- Obraził cię jakoś? - Oburzona Minnie usiadła obok podopiecznej na sofie i objęła ramieniem, próbując ją jakoś pocieszyć. - Powiedz tylko słowo, a zaraz popędzę za tym zarozumiałym łajdakiem.

- Nie, nie stało się nic takiego.

- Więc dlaczego ten człowiek wkraść się tutaj do ciebie?

- Bo... - Isabel zastanawiała się przez chwilę, czy nie powinna skłamać, lecz nieugięte spojrzenie orzechowych oczu domagało się od niej prawdy, jak wtedy, gdy jeszcze jako małe dziecko zabrała brylantowe kolczyki mamy. Ogarnęło ją najgorsze poczucie bezpieczeństwa, miała ochotę powiedzieć Minnie o wszystkich obawach i podejrzeniach, które wzbierały w niej, odkąd przeczytała wspomnienia matki. - Bo napisałam do jego ojca.

- Do Lynwooda? A czegoż to mogła chcieć od tego starego kozła taka dziewczynka jak ty?

Nie chcąc zbyt pochopnie wyjawiać całej prawdy i bojąc się jednocześnie, że nie będzie w stanie zataić jej przed ciotką, Isabel wstała z sofy i łamiącym się głosem oświadczyła:

- Przepraszam, ale nie chciałam więcej rozmawiać na ten temat.

Potem wybiegła do sypialni - niegdyś sypialni jej matki - i zaczęła otwierać wszystkie szuflady, aż znalazła w jednej z nich haftowane chusteczki. Drżącymi dłońmi ocierała policzki. Niech

piekło pochłonie lorda Kern! Po co przychodził tutaj i wtrącał się w nie swoje sprawy!

Łatwiej byłoby uczynić damą z trędowatego niż z pani.

Isabel odchyliła głowę do tyłu i wpatrywała się przez chwilę w sufit zdobiony złożonymi gzymsikami. Jego słowa tkwiły jak cierń w jej sercu. Nie wyobrażał sobie nawet, jak celnie, jak boleśnie ją ugodził. Nie mógł wiedzieć, od ilu już lat marzyła o tym, by znaleźć sobie miejsce w towarzystwie, które pogardza dzieckiem kurtyzany.

Kiedy ujrzała w lustrze jego odbicie, pomyślała, że odwiedził ją diabeł we własnej osobie; te niepokojące zielone oczy, włosy czarne jak sam grzech, twarz zacięta w grymasie złości, która mogłaby zwarzyć świeże mleko. Wielki i zuchwały, górował nad Isabel, zaskoczył ją i zniszczył misterny plan, który przygotowywała od tygodni.

Przypuszczała, że przyjdzie jej układać się z człowiekiem słabego zdrowia, podstarzałym arystokratą pozbawionym skrupułów, który bez większych oporów przyjmie jej warunki. Wszyscy dobrze urodzeni chcieli za wszelką cenę chronić swoją reputację. Odwiedzali jej matkę pod osłoną ciemności i wychodzili przed świtem jak złodzieje.

Teraz Isabel przeklinała w duchu swą naiwność. Mogła wybrać się do domu Lynwoda osobiście, niezapowiedziana, zażądać rozmowy w cztery oczy. Tak wiele zależało od tego, czy zostanie zaakceptowana przez towarzystwo. To był pierwszy krok na drodze do odkrycia prawdy. Nigdy nie zazna spokoju, jeśli księżę zabierze tę prawdę ze sobą do grobu.

- Chodzi o te wspomnienia, prawda? - odezwała się nagle Minnie. - Znalazłaś dziennik Aurory. I chcesz je wykorzystać w jakimś niemądrym celu.

Zaskoczona Isabel odwróciła się napięcie. Ciotka Minnie stała w drzwiach, z dłońmi opartymi na biodrach.

- Skąd wiesz o pamiętniku mamy? - wybuchnęła dziewczyna. - Ja odkryłam go dopiero przed miesiącem.

Irlandka wzruszyła ramionami.

- Pamiętam, że ciągle coś pisała w tej swojej książeczce. Choć nigdy nie chciała o tym mówić.

Isabel natknęła się na ów dziennik przypadkiem, kiedy przeglądała zawartość kosza na bieliznę.

- Przepraszam, powinnam była powiedzieć ci o tym, kiedy go znalazłam, ale... - Przerwała, zagryzając nerwowo wargi. Tym razem nie chciała dzielić się z nikim swoimi przemyśleniami. Wspomnienia zawarte w dzienniku były zbyt skandaliczne, zbyt konkretne. Ujawniały też słabości i grzechy jej matki.

Minnie stała w bezruchu.

- A jakież to wydumane bzdury opisała Aurora w tym swoim pamiętniku?

- Pisała o mężczyznach... o mężczyznach jej życia. To wszystko. - Isabel nie wiedziała nawet, jakich lat dotyczą opisywane zdarzenia i pikantne opowieści o kolejnych kochankach matki, ta bowiem używała typowego dla niej, roztrzępanego stylu, skupiając się raczej na poetyckich porównaniach i własnych przeżyciach niż na konkretach.

Isabel przeczytała dziennik od deski do deski, zamknięta w swoim pokoju. Po raz pierwszy dowiedziała się, jak naprawdę wyglądało życie matki, i był to dla niej prawdziwy szok. Przedtem wyobrażała sobie tylko romantyczne schadzki z wybranymi dżentelmenami z towarzystwa, teraz poznała szczegóły seksualnych podbojów Aurory. Jednak prawdziwy wstrząs czekał ją dopiero później, kiedy przewróciła ostatnią kartkę i przeczytała tę finałową, przeklętą notatkę...

- Czyżbyś próbowała szantażować księcia? - Pełen nagany głos Minnie wyrwał dziewczynę z rozmyślań. - Zagroziłaś mu, że opublikujesz wspomnienia, jeśli ci nie zapłaci?

Minnie odgadła tylko część prawdy - tę złą część. Isabel próbowała uniknąć bezpośredniej odpowiedzi.

- Mama nie zostawiła nic wartościowego. Wiesz, jak bezmyślnie wydawała pieniądze. Byłoby cudownie, gdybyśmy mogły wyprowadzić się z Londynu, ty i ciotka Callie, i ciotki Di i Persy. Szczególnie ciocia Persy potrzebuje świeżego wiejskiego powietrza. A cała reszta... musimy uwolnić się wreszcie od tego wszystkiego. - Isabel zatoczyła ręką łuk, wskazując różowy pokój, frywolne złozenia i ozdoby. Czowała się tutaj tak, jakby

zamieszkała na szczycie tortu weselnego, smutnej pozostałości po niespełnionych marzeniach jej matki.

- To jeszcze nie wszystko - powiedziała powoli Minnie, uważnie się przyglądając podopiecznej. - Na pewno zastanawiasz się, kto był twoim ojcem. Czy w pamiętniku jest coś na ten temat?

Ogromny żal ścisnął serce Isabel. Podeszła do okna, rozsunęła zasłony i patrzyła na okrytą mrokiem ulicę.

- Mama nazywała go Apollo. Nie podała jego prawdziwego nazwiska, mówiła tylko, że to dżentelmen. - Starając się zapomnieć o palącej tęsknocie, która pożerała jej duszę, spytała cicho: - Jesteś pewna, że mama nigdy o nim nie wspominała?

- Nie. - Minnie westchnęła ciężko. - Aurora potrafiła dotrzymać tajemnicy, tego nie można jej odmówić. Żyła tutaj sama do twych narodzin. Wtedy on już ją porzucił, ją i ciebie. - Zamilkła na moment. - Ale Lynwoodnie jest twoim ojcem, jeśli tak właśnie myślisz. Aurora poznała go dopiero po twoich urodzinach.

Isabel wiedziała już o tym z lektury pamiętnika. Nie odwracała głowy, bo Minnie zawsze potrafiła czytać z jej twarzy.

- Cóż, to też jest jakaś pociecha.

- Nie powinnaś tego robić, moja droga, to niemądre - poradziła jej Irlandka. Dziewczyna słyszała, jak opiekunka chodzi po pokoju, układa pióra na biurku, poprawia poduszki. - Twój ojciec wcale się tobą nie interesuje. Nigdy nie pofatygował się z wizytą, nie zdradził ci nawet swojego nazwiska.

- Przysyłał mamie pieniądze na moje wychowanie.

- Jasne, ale kiedy tylko Aurora umarła, nie przysyłał już nawet tej jałmużny. Ale nie jest jeszcze z nami tak źle, nie musisz go szukać.

- Nigdy nie powiedziałam, że go szukam - odparowała Isabel.

Zacisnęła dłoń na grubej aksamitnej zasłonie. Dawno temu, kiedy była jeszcze dość mała, by wierzyć w bajki, wyobrażała sobie, że jej ojciec jest władcą jakiegoś tajemniczego królestwa. Kiedy wiejskie dzieci z niej szydziły, pragnęła im udowodnić, że jest prawdziwą księżniczką. Czekwała na jedną z tych nielicznych wizyt w Londynie, aż mama zamknie ją w swych objęciach, a wtedy wyrzuciła z siebie wszystkie dręczące ją pytania.

Nigdy nie zapomni wyrazu twarzy matki, tego ogromnego smutku, który pojawił się nagle w jej oczach. Szlochając głośno,

Aurora uciekła do swego pokoju. Widząc, jak matka, zazwyczaj tak radosna i pogodna, popada nagle w głęboką melancholię, Isabel doznała prawdziwego szoku, a jednocześnie zaczęła pogardzać człowiekiem, który skazał je obie na taki los. Nie interesowała się już więcej ojcem ani wtedy, ani później.

Teraz miała jednak inny powód, by go odszukać, niezwiązany z pieniędzmi. Wierzyła, że jeśli wszystko pójdzie po jej myśli, wkrótce pozna jego tożsamość.

- Nadal wyglądasz na przygnębioną, moje dziecko. - Minnie przyglądała się jej z boku, uważna i zatroskana. - Czy Aurora napisała może coś o swej śmiertelnej chorobie?

Isabel nagle zaschło w ustach.

- Tylko kilka zdań.

- I co takiego pisała? - Irlandka nie dawała się łatwo zbyć. - Powiedz mi, kochanie. Możesz zaufać swojej cioci. Zawsze chciałam przede wszystkim twojego dobra.

Ten łagodny, kojący głos pozbawił Isabel wszelkich uprzedzeń. Nie powiedziała Minnie całej prawdy, bała się bowiem, że ta spróbuje ją powstrzymać. Nie przyznała, że jest tylko jeden prawdziwy powód, dla którego chciałaby znaleźć się w towarzystwie, bez względu na ryzyko, jakie musi podjąć. Poprzysięgła to sobie, przeczytawszy tę ostatnią, przerażającą notatkę w pamiętniku.

Może jednak powinna powiedzieć. Ciotka Minnie wkrótce i tak sama by się o tym dowiedziała.

Isabel odwróciła się wreszcie do niej. Irlandka stała obok niej, przekrzywiając lekko głowę, z rękami splecionymi na brzuchu, zatroskana i przejęta. Dziewczyna nabrała głęboko powietrza i drżącym głosem zaczęła mówić o swych podejrzeniach:

- Mama napisała... że ktoś nie chciał jej pozwolić, by dokończyła pamiętnik.

Minnie zmrużyła oczy.

~ Ktoś chciał ją powstrzymać? Kto?

- Jeden z jej arystokratycznych kochanków. - Isabel odechnęła jeszcze raz głęboko i dała wreszcie wyraz straszliwym myślom, które dręczyły ją od wielu dni i nocy. - Widzisz, on ją otrul. Została zamordowana.

Kwiecień 1821

Wczorajszej nocy przyszedł do mnie Zeus.

Jego nieoczekiwana wizyta zaniepokoiła mnie i ucieszyła jednocześnie, gdyż zachowywał się tak, jakby nigdy nie doszło do tej straszliwej kłótni, która poróżniła nas przed laty. Podobnie jak ja, Jego Wysokość Księżę L. nie oparł się mszczącej sile czasu. Znów jednak chciał być bykiem dla mojej Europy, a ja z radością przyłączyłam się do tej rozkosznej gonitwy. Dopiero gdy ujarzmił mnie w cudowny sposób, wyjawiał prawdziwy cel swej wizyty: kazał mi zaprzestać sporządzania memuarów.

Nie mam pojęcia, jak L. dowiedział się o moim sekrecie, nie rozmawiałam z nim bowiem od wielu lat. Być może wiedziałabym, kto był jego szpiegiem, gdybym nie była tak poruszona. Niczym Hera ogarniała świętym gniewem, odprawiłam Zeusa z niczym.

Obawiam się, że teraz, kiedy on poznał moją tajemnicę, dowiedzą się o niej i pozostali. Na pewno żaden z mych nieznośnych kochanków sprzed lat nie chciałby ujrzeć tych wspomnień w druku. To ludzie wysoko urodzeni, zajmujący poważne stanowiska, równie potężni jak nieśmiertelni bogowie z góry Olimp, których imiona nadałam im w tym pamiętniku - a ich żądze, możliwości i upodobania mogłyby przy tym zadowolić każdą kobietę.

Im dłużej myślę o tym, czego jeszcze mogę doświadczyć, z tym większą niecierpliwością czekam na spotkanie z każdym spośród nich.

„Prawdziwe wyznania kurtyzany”

2

To była ona.

Lord Kern przysunął się bliżej do okna karety, wpatrzony w jeden punkt. Załedwie przed chwilą wyszedł z Pałacu Westminsterskiego, gdzie przyglądał się obradom Izby Lordów. W odróżnieniu od innych młodych arystokratów, którzy spędzali całe dnie na hazardzie i pustych rozrywkach, lord Kern uważał, że powinien przygotować się dobrze do momentu, kiedy zajmie należne mu miejsce w parlamencie. Dzisiaj jednak nie mógł usiedzieć na miejscu. Jego umysł uciekał wciąż od polityki. Z irytującym uporem wszystkie jego myśli powracały wciąż do niej.

Kiedy powóz wjechał w dzielnicę biedy, Kern z przyzwyczajenia sięgnął do zasłon, by odgradzić się od tego smutnego świata. Gdy pojazd zwolnił na skrzyżowaniu dwóch wąskich uliczek, zobaczył ją.

Szła powoli po chodniku, mijając zapuszczone ceglane budynki. Czerwony blask zachodzącego słońca padał na jej gęste ciemne włosy.

Choć widział ją tylko od tyłu, rozpoznał tę szczupłą figurę i charakterystyczny, rozkołysany krok. Była to ta sama postać, która nawiedzała go w snach i na jawie przez ostatnie trzy dni i noce.

Zbliżyła się do wielkiego brodatego mężczyzny, który czekał na nią w bocznej alejce. Ten podał jej butelkę. Kiedy pochwyciła ją chciwie i przystawiła do ust, brodaty prostak przyciągnął kobietę do siebie i położył dłoń na jej pośladkach.

Kern pochwycił klamkę. Gotów był wyskoczyć z karety, pospieszyć jej z pomocą. Wtedy jednak powóz minął parę, a on mógł zobaczyć jej twarz. Miała brzydką ziemistą cerę ladacznicy. Gin ściekał strużką z kącika wąskich ust. W cieniu jej włosy nie wydawały się już tak bujne i zadbane.

Rozluźnił napięte mięśnie i opadł na skórzane poduszki. Jak mógł pomylić zwykłą ulicznicę z piękną i inteligentną Isabel Darling.

W zamyśleniu patrzył na budynki i ludzi za oknem karety: złodziei, fałszerzy i żebraków, prostytutki, które szukały klientów niemal pod samymi murami Westminster Abbey. Panna Darling nie miała powodów, by uprawiać swój proceder tutaj, w tej dzielnicy diabła. Była właścicielką eleganckiego domu schadzek w przyzwoitej okolicy. I spodziewała się zapewne sporych profitów z publikacji memuarów swej matki.

Skrzywił się odruchowo i poprawił na siedzeniu. Wyobrażał sobie, jaką sensację może wywołać podobna książka. Cały Londyn będzie chciał ją kupić i poczytać o arystokratycznych kochankach Aurory. Skandal zatrzęsie londyńską śmietanką towarzyską. Okryje hańbą cały ród Lynwoodów. Kern, który w czasie choroby ojca pełnił obowiązki głowy rodziny, przygotowywał się już psychicznie na ten kryzys.

Poza tym musiał zrobić coś jeszcze. Teraz. Zanim znów odłoży to na później.

Wzdrażał się przed tym zadaniem. Poczucie obowiązku nakazywało mu jednak ostrzec George'a Jeffriesa, markiza Hathaway. Przez całe życie uważał go za wzór dżentelmena, zarówno ze względu na jego nienaganne maniery, jak i uczciwość. Był on ogólnie szanowanym mężem stanu; z jego zdaniem liczył się sam premier. Przez wiele lat był bliższy Kernowi niż własny ojciec.

Więzy łączące obie rodziny sięgały co najmniej kilku pokoleń wstecz. Dziadek Kerna opiekował się Hathawayem i jego małym braciszkiem, kiedy ci zostali sierotami. Później Hathaway spłacił dług wdzięczności, zapewniając Kernowi solidne wychowanie tak bardzo potrzebne młodemu chłopcu, którego prawdziwy ojciec zniknął na całe tygodnie - a nawet miesiące — szukając

miłosnych przygód i zjawiając się w domu tylko po to, by spłodzić ze swą biedną żoną kolejne dziecko.

Kern zapamiętał matkę jako poważną matronę, która prawie nigdy nie opuszczała swych komnat. Często płakała z byle powodu, a on już jako małe dziecko wiedział, że nie powinien sprawiać jej kłopotu. Kochał ją szczerze i żył dla tych rzadkich chwil, kiedy poświęcała mu choć odrobinę uwagi. Teraz rozumiał już rozpacz, która wypełniała całe jej życie. Los obdarzył ją bezwartościowym mężem rozpustnikiem, a on był jedynym spośród sześciorgajęj dzieci, które przeżyło okres niemowlęstwa.

Umarła, kiedy miał dziesięć lat. Pamiętał jak przez mgłę jej ciało złożone w trumnie, szczupłe dłonie skrzyżowane na białej sukni. Gdy zaczęto przykręcać wieko, nagle wpadł w panikę, wyobraził sobie, jak na zawsze spowijają ją ciemności, jak robaki toczą jej ciało. Rzucił się na pastora, kopał i krzyczał, aż lord Hathaway musiał wyprowadzić go na zewnątrz i przytrzymać, póki Kern całkiem nie opadł z sił.

Ojca nie było na pogrzebie. Przebywał wtedy, na kontynencie i choć ruszył w drogę powrotną natychmiast po otrzymaniu wieści o poważnej chorobie żony, przyjechał dopiero tydzień po jej pogrzebie.

Kiedy chłopiec wyjeżdżał na pierwszy semestr nauki do Eton, ojciec leżał nieprzytomny po całonocnych hulankach. Hathaway wstąpił wtedy do nich, wsunął podopiecznemu do kieszeni sakiewkę pełną złota i pomachał na pożegnanie, kiedy kareta ruszała w drogę.

Kern zawsze wiedział, że poślubi jedyną córką Hathaway, kiedy ta osiągnie już odpowiedni wiek. Tak jak i on, lady Helen Jeffries straciła matkę jako małe dziecko. Teraz miała osiemnaście lat, a on dwadzieścia osiem. Mieli się pobrać za dwa miesiące, pod koniec sezonu. Z zadowoleniem myślał o tym związku, gdyż lady Helen była łagodna i miła, a ich małżeństwo połączyłoby na stałe dwie wielkie rodziny.

Pod warunkiem, że Hathaway nadal będzie go uważał za odpowiedniego kandydata na zięcia, to znaczy wtedy, gdy Kernowi uda się zażegnać burzę przygotowywaną przez Isabel Darling.

Zacisnął mocniej dłoń na ozdobnym uchwycie, kiedy powóz

zakreślił w Grosvenor Square. Niech piekło pochłonie tę przeklętą szantażystkę! Jeśli zobaczy ją jeszcze kiedyś, może ulec pokusie i udusić tę dziewczkę, by raz na zawsze położyć kres jej knowaniom.

Powóz zatrzymał się przed solidnym miejskim domem z szarego kamienia. Lokaj z zapaloną pochodnią w dłoni otworzył drzwi. Kern wyszedł na zewnątrz i zatrzymał się na moment, wdychając chłodne wieczorne powietrze, przesycone wszechobecnym zapachem dymu. Zbierał siły na spotkanie z Hathawayem.

Dyskrecja była jedną z najbardziej cenionych cech markiza. Teraz Kern musiał go poinformować, że w związku z planowanym małżeństwem jego córka może stać się obiektem drwin. Honor nakazywał mu, by zaproponował wycofanie swej oferty.

Ciężkim krokiem wspiął się na schody. Odźwierny wprowadził go do eleganckiego hallu. Kern znał to miejsce równie dobrze jak własny dom, od marmurowych schodów do portretów przodków na pokrytych drewnem ścianach.

- Czy lord Hathaway jest w domu? - spytał służącego.

Lokaj odebrał od niego płaszcz i kapelusz.

- Tak, wasza wielmożność, ale jego lordowska mość podejmuje właśnie gości spoza miasta.

Do diabła! Kern chciałby już mieć ten przykry obowiązek za sobą. Teraz znów będzie musiał poczekać.

- Więc prowadź mnie do środka. - Słyszcząc już z dala gwar głosów, ruszył za służącym do wysoko sklepionego salonu.

- Lord Kern - zapowiedział jego wejście lokaj.

Spojrzenie Kerna powędrowało najpierw do gospodarza, który stał obok kominka. Choć Hathaway był drobnym mężczyzną, miał imponującą postawę i roztaczał wokół siebie aurę prawości i dumy, niczym bohater wojenny. Jego krzaczaste brwi ściągnięte były w grymasie niezadowolenia, siwe włosy nienaturalnie rozczochrane.

Na sofie obitej tkaniną w zielone paski siedział jego młodszy brat, wielbny lord Raymond Jeffries, pastor kościoła św. Grzegorza. Ten z kolei był zgarbiony, obiema dłońmi opierał się na gałce eleganckiej laski, której drugi koniec ginął w gęstym dywanie. Na twarzy pastora malował się nietypowy dlań wyraz oburzenia i smutku.

Kern wyczuł w powietrzu jakąś dziwną niechęć. Miał wrażenie, że jego wizyta jest dla lorda Hathawaya przykrą niespodzianką. Dziwił się temu tym bardziej, że w tym domu zawsze witano go z radością, serdecznie niczym członka rodziny.

Na sofie ustawionej tyłem do drzwi siedziały obok siebie dwie damy. Jasnowłosa lady Helen Jeffries odwróciła się do niego i przywitała promiennym uśmiechem. Jej twarz była przy tym tak szczerą i niewinną, że Kern poczuł nagle przyływ ogromnej determinacji i postanowił, że będzie walczył o jej rękę do upadłego.

Wystarczyło jednak tylko jedno spojrzenie na jej towarzyszkę, by cała czułość zniknęła bez śladu.

Nie widział jej twarzy, ukrytej za szarym czepkiem. Ostatnie promienie słońca rozpałały ciemne loki opadające na ramię. Trzymała się jak księżniczka, wyprostowana, z dumnie uniesioną głową. Ledwie trzy dni temu dotykał tej delikatnej gładkiej skóry...

Nie. To musiało być jakieś przywidzenie.

Kern podszedł bliżej, okrążył sofę. Siedziała nieruchomo, z dłońmi złożonymi na kolanach. Koronkowa chusta skromnie zakrywała głęboki dekolot szarej sukni.

Jak urzeczony patrzył w brązowe, zmysłowe oczy panny Isabel Darling.

Nie, to niemożliwe. Jak ten bękarci pomiot mógł znaleźć miejsce w jednym z najbardziej szanowanych domów Anglii? Jakimi kłamstwami omamiła Hathawaya? Co powiedziała lady Helen?

Ogień syczał i pryskał jak rozbawiony diabeł. Z triumfalnym uśmiechem na ustach Isabel Darling podniosła się z sofy i podeszła do niego, dygając dwornie.

- Lord Kern - wymruczała. - Co za zaszczyt. Moja kuzynka wiele mi o panu opowiadała.

- Kuzynka... - powtórzył głucho.

- Tak. Jestem kuzynką lady Helen. Nazywam się Isabel... Darcy. - Zrobiła króciutką pauzę, spoglądając na niego spod rzęs, jakby chciała sprawdzić, czy ośmieli się zarzucić jej kłamstwo.

Kern rzeczywiście gotów był na ten desperacki krok, nim jednak otworzył usta, przy boku Isabel stanęła Helen.

~ Czy to nie cudowna niespodzianka, Justinie? Nigdy nie wiedziałam nawet, że mam kuzynkę. Dopiero co przyjechała do miasta.

- I już sama przedstawia się dżentelmenom - dorzucił jadowicie wielbny lord Raymond, wsparty na lasce. - Ktoś powinien nauczyć tę dzierlatkę dobrych manier.

- Och, czyżbym popełniła *jakieś faux pas* - Isabel podniosła rękę do policzka, czerwieniąc się gwałtownie. - Proszę, wybaczyć mi moje niegodne zachowanie.

- Wstydziłbyś się, wuju Raymondzie, tak traktować naszego gościa. - Helen zaprowadziła swą towarzyszkę do sofy. - Moja droga Isabel. Mogę zwracać się tak do ciebie, prawda?

- Nic nie ucieszyłoby mnie bardziej.

- Nie obrażaj się na wuja. - Helen, poklepała dłoń kuzynki. - Wszyscy jesteśmy tutaj rodziną. Naprawdę nie rozumiem, dlaczego wuj i papa zrobili się tacy niemili. A ty przecież nie zdążyłaś jeszcze nawet ochłonąć po podróży.

- Nie wiem, czy nie narzucam się zbyt tobie, wam wszystkim. - Isabel przechyliła lekko głowę, odsłaniając wdzięczne zagłębienie w szyi. - Jak już mówiłam, śmierć rodziców postawiła mnie w bardzo trudnej sytuacji. Gdybyś mogła polecić mi jakiś dobry pensjonat...

- O nie, nie pozwolę, żebyś mieszkała u obcych ludzi. - Helen zachichotała pod nosem. - Właściwie to i my jesteśmy dla ciebie obcy, ale nie na długo, mam nadzieję. Jestem pewna, że wkrótce zostaniemy przyjaciółkami.

- To bardzo miłe z twojej strony - odparła cicho Isabel. - Dla mnie jest wielką pociechą, że mogę mieszkać u ludzi, dla których nie jestem tylko zbędnym ciężarem.

Kłamstwa przychodziły jej z taką łatwością. Kern czuł, jak wzbiera w nim wściekłość.

- Z pewnością będzie pani potrzebować jakiejś posady, guwernantki lub damy do towarzystwa - powiedział. - Pozwoli pani, że ja się tym zajmę. Natychmiast.

- Dziękuję panu. Lecz tak wysoko postawiona osoba jak pan nie będzie chyba zaprzętać sobie głowy kimś takim jak ja.

- Wręcz przeciwnie, podziwiam ludzi, którzy szukają uczi-

wego zarobku. Czy ma pani może jakieś specjalne umiejętności? - spytał, kładąc nacisk na ostatnie słowo.

Isabel zbladła lekko, usłyszawszy tę insynuację. Ich spojrzenia skrzyżowały się na moment; Kern dostrzegł w oczach dziewczyny urazę i ogromną determinację, a także nieodwołalne postanowienie znalezienia swego miejsca w towarzystwie. Po chwili uśmiechnęła się doń promiennie.

- Żałuję, że spóźnił się pan ze swoją ofertą. Przed chwilą moja kuzynka zaproponowała mi, bym objęła jakąś posadę w jej domu.

- Nie posadę, będziesz się tu czuła jak u siebie. - Oczy Helen błyszczały z podniecenia. - Isabel będzie moją przyjaciółką. Razem będziemy bywać w towarzystwie. Prawda, papo?

Kamienna twarz markiza nie zdradzała żadnych emocji.

- Oczywiście - odrzekł beznamiętnym tonem. - Panna Darcy musi pozostać u nas przez cały sezon. Nalegam na to.

Kern spojrział nań ze zdumieniem. Dlaczego Hathaway zaakceptował kłamliwą bajeczkę tej dziewczyny? Wiedział chyba przecież...

Ogarnięty niepohamowanym gniewem, zacisnął dłonie na oparciu krzesła, żałując, że nie jest to jej gardło.

- A skąd właściwie przybywa pani do nas, panno Darby?

- Darcy - poprawiła go Isabel, zerkając nań ze złością. - Przyjechałam dyliżansem pocztowym aż z Northumbrii, to prawie czterodniowa podróż.

- Dziwne. Gdybym miał sądzić po akcencie, wziąłbym panią za rodowitą mieszkankę Londynu.

- Moja nieodżałowana matka spędziła tutaj całe dzieciństwo. Bez wątpienia przejęłam od niej ten charakterystyczny akcent.

I lekkie obyczaje, miał ochotę dorzucić Kern, demaskując ją przy wszystkich. Lecz lady Helen już zagryzała wargi ze zdenerwowania, a on nie chciał jej skrzywdzić - przynajmniej dopóki się nie dowie, jak doszło do tej kurioznej sytuacji.

Odwrócił się do jej ojca.

- Lordzie Hathaway? Nigdy nie wspominał pan o krewnych z Northumbrii.

Starszy mężczyzna stał nieporuszony, choć w jego ciemnych oczach pojawił się wyraz zakłopotania.

- To dość odległe koneksje, ale mimo to z radością podejmujemy pannę Darcy.

- Rozumiem. Czy przywiozła ze sobą jakiś list polecający?

- To nie było możliwe. Cała jej rodzina już nie żyje - odparł stanowczym tonem Hathaway, dając do zrozumienia, że nie życzy sobie dalszych pytań.

Kern przyglądał mu się przez chwilę z uwagą. Markiz znał prawdziwą tożsamość tej kobiety. Skąd? On z pewnością nie zadawał się z Aurorą Darling. Nie mógł być j ednym z mężczyzn opisanych w memuarach.

A może mógł?

Niemożliwe.

Wtedy Hathaway zerknął ukradkiem na brata, który krzywił twarz w sztucznym uśmiechu, jakby miał ochotę głośno zgrzytać zębami. Młodszy od niego o dziesięć lat, wielbny lord Raymond Jeffries, był w młodości nie lada hulaką. Musiał chodzić o lasce, po tym, jak został ciężko raniony w pojedynku, zatajonym przez starszego brata. Dopiero wtedy zmuszony był się ustatkować, ożenić i objąć posadę, którą uzyskał dzięki pomocy lorda Hathaway.

Lord Raymond. Oczywiście.

Swego czasu musiał mieć romans z Aurorą Darling. A teraz, jak zawsze, brat chronił go przed skandalem.

Podpierając się na lasce, pastor powoli wstał z sofy.

- Chętnie pogawędziłbym jeszcze o tym i owym, ale muszę przygotować kazanie na jutro.

- Mam nadzieję, że będzie naprawdę zajmujące - droczyła się z nim Helen, grożąc mu palcem. - Ja i kuzynka Isabel będziemy słuchały cię uważnie.

- „Ja jestem dobrym pasterzem i znam swoje owce”. Oto temat jutrzejszej homilii. Nikt z nas nie może oszukać Wszechmocnego, on bowiem zawsze wie, jakie sekrety kryją się w naszych sercach. - Lord Raymond rzucił Isabel ponure spojrzenie i ruszył do wyjścia.

- Odprowadzę cię - zaofiarował się Hathaway.

Obaj mężczyźni wyszli z salonu. Laska pastora stuknęła głośno o podłogę, jakby wyrażała w ten sposób gniew swego właściciela. Bracia szli nachyleni do siebie, zatopieni w rozmowie. Kern

miał ogromną ochotę natychmiast podejść do nich i zażądać odpowiedzi.

Jeszcze porozmawia z Hathawayem. Będzie domagał się od niego zakończenia tej szarady. Markiz nie może tym razem chronić brata. Lepiej, żeby doszło do skandalu, niż gdyby panna Darling miała usidlić jakiegoś nieświadomego arystokratę.

Kern poczuł delikatny dotyk na ramieniu. Lady Helen uśmiechała się do niego.

- Zostaniesz na kolacji, Justinie?

Miała niewinne oczy dziecka i porcelanową skórę dziewczynki, która dopiero opuściła pensję, jednak tym razem jej naiwność tylko go rozsierdziła.

- Jestem zaproszony? - spytał ostro.

Helen spojrzała nań ze zdumieniem, wyraźnie dotknięta tym niespodziewanym atakiem.

- Oczywiście. Zawsze jesteś w tym domu miłe widziany.

Nagle się zawstydził. Nie mogła przecież wiedzieć, co jest przyczyną złego humoru. Ona nie kryła żadnych ciemnych sekretów; była kryształowo czysta.

Położył rękę na jej dłoni w czułym geście pojednania.

- Jeśli sprawi ci to przyjemność, oczywiście zostanę na kolacji.

- Jesteś pewien? - spytała z powątpiewaniem. - Jeśli miałeś jakieś inne plany...

- Nie miałem.

Isabel Darling przyglądała się temu z boku, unosząc lekko jedną brew. Sądząc po uśmiešku, który wykrzywił jej kształtne wargi, doskonale się bawiła.

- Przypuszczam, że to ja jestem przyczyną wahania jego lordowskiej mości. - Pochyliła się do Heleny, jakby chciała zdradzić jej jakąś tajemnicę. Kern przeraził się na moment, że istotnie wyjawia całą prawdę i splami niewinność Heleny. Isabel odezwała się jednak teatralnym szeptem: - Bez wątplenia obawia się, że taka skromna myszka z prowincji jak ja skompromituje się przy stole, używając niewłaściwego widelca.

Helen zachichotała.

- Och nie, Justin nie jest taki drobiazgowy. A ty z pewnością nie jesteś myszką.

- Jestem tak ubrana, temu nie można zaprzeczyć. - Gorące ciemne oczy śmiały się z niego otwarcie, a on mimo woli znów poddał się na moment ich urokowi. - Co pan o tym sądzi, lordzie Kern? Łatwiej byłoby uczynić damę z trędowatego niż ze mnie?

Ta bezczelna dziewczyna rzucała mu w twarz jego własne słowa. Ukłonił się sztywno, uznając w ten sposób jej diaboliczny spryt.

- Przesadza pani, panno Darcy. - Położył nacisk na to na zwisko. - Jestem pewien, że doskonale poradzi pani sobie w towarzystwie.

Ich spojrzenia znów się spotkały; jego było twarde i stanowcze, jej - tajemnicze... kuszące. Nie mógł oderwać oczu od tej dziewczyny, choć wiedział, że tuż obok stoi Helen, nieświadoma ukrytych znaczeń, w jakie obfitowała ta rozmowa.

- Wkrótce rozpocznie się sezon - powiedziała córka Hathaway, z podekscytowania klaszcząc w dłonie. - Och, nie mogę się już doczekać. Czeka nas naprawdę wspaniała zabawa.

Udało jej się! Zdobyła dostęp do najwyższych kręgów towarzystwa!

Ślaniając się na nogach, opadła na miękkie krzesło w garderobie lady Helen, ogromnym, bogato zdobionym pokoju. Z wielką ulgą opuściła wreszcie salon przesycony atmosferą niechęci i gniewu, które wniósł ze sobą lord Kern. Kiedy lokaj obwieścił jego przybycie, myślała, że po raz pierwszy w życiu naprawdę zemdleje. Czekala tylko, kiedy ją zdemaskuje, kiedy ogłosi wszem i wobec, że jest oszustką.

Ten jednak trzymał język za zębami. Najwyraźniej zamierzał chronić niewinność narzeczonej, bez względu na to, jak bardzo cierpiała na tym jego duma. Jego oddanie poruszyło Isabel do głębi. Myślała o tym, jak czuje się kobieta, która potrafiła wzbudzić w mężczyźnie tak wielką miłość.

Z drugiej jednak strony mógł to być jedynie przejaw uprzejmości, jaką dżentelmen winien jest swojej damie. Hathawayem kierowała zaś przede wszystkim ojcowska troska.

Markiz był naprawdę wściekły, kiedy pokazała jemu i jego

bratu pewien pikantny tekst, który przepisała z pamiętnika matki. Hathaway poczerwieniał na twarzy tak mocno, że Isabel obawiała się przez chwilę, czy nie dostanie ataku apopleksji. Musiała jednak przyznać, że nie wybuchnął gniewem ani nie próbował niczemu zaprzeczać, jak robił to początkowo lord Raymond. Markiz patrzył tylko na nią przez długi czas, nie zdradzając w żaden sposób targających nim myśli. Potem, kiedy zaczynała już tracić nadzieję, przystał na jej warunki. By chronić reputację brata, zgodził się przyjąć ją do domu i przedstawić w towarzystwie jako daleką krewną.

W odróżnieniu od lorda Kern. On jej odmówił. Na pewno próbowałby zamknąć jej usta, gdyby wiedział, że podejrzewa jego ojca o morderstwo.

To właśnie słuszność celu, który kierował poczynaniami Isabel, dodawała jej sił. Trzy dni temu Minnie powiedziała coś, co potwierdzało jeszcze mocniej podejrzenia, o których pisała matka. Dziewczyna powróciła myślami do tej rozmowy.

Kiedy powiedziała o morderstwie, Irlandka opadła bezsilnie na łóżko i przez dłuższą chwilę wpatrywała się w podłogę, całkiem otepiała. Wreszcie podniosła na podopieczną zszokowane spojrzenie.

- Myślisz, że to właśnie Lynwood otrul Aurorę?

- On albo ktoś inny spośród jej kochanków. - Rozpacz i ból znów chwyciły Isabel za gardło. - Kto inny?

Minnie zamyśliła się, a potem zaczęła powoli mówić:

- Nie wspomniałam o tym nigdy przedtem, bo nie myślałam, że to może mieć jakieś znaczenie, ale... pewnie powinnam była.

- Co? - Isabel przypadła do opiekunki, pochwyciła jej zniszczone pracą dłonie, które niegdyś były białe i delikatne. - Wiesz, kto to jest? Wiesz, kto to mamie zrobił?

- Tej nocy, kiedy Aurora zachorowała, widziałam, jak do jej sypialni wchodzi jakiś mężczyzna. Było ciemno i nie dostrzegłam jego twarzy, wtedy jednak nie zastanawiałam się nad tym, bo twoja mama nie lubiła, kiedy ktoś wtykał nos w jej sprawy... - Minnie potrząsnęła nagle głową, jakby próbowała ocknąć się ze złego snu. - Nie, na pewno się mylisz. Twoja mama była chora, to wszystko.

- Nie myślę się, a twoje słowa tylko to potwierdzają - odparła

Isabel z mocą. -Ten mężczyzna musiał podać jej jakąś truciznę. A ja zamierzam go odszukać.

Irlandka spojrzała na nią z przerażeniem i uściśniła mocniej jej dłoń.

- Nie rób głupstw, kochanie. Nie możesz walczyć z tak potężnymi ludźmi. Daj temu spokój.

- Nie mogę. Odszukam go, tak czy inaczej. Będzie musiał zapłacić za tę zbrodnię.

Od tego momentu Isabel nie chciała już słuchać próśb i wymówek opiekunki. Wiedziała, że nic nie powstrzyma jej przed szukaniem sprawiedliwości. Nawet arcytrudne zadanie infiltracji towarzystwa, konieczność udawania prawdziwej damy czy przebywanie wśród tak aroganckich arystokratów jak lord Kern.

- Droga kuzynko, widzę, że błądzisz myślami gdzieś bardzo daleko stąd. - Lady Helen się roześmiała. - Proszę, wróć do rzeczywistości i powiedz mi, co sądzisz o tym?

Isabel zamrugła gwałtownie i spojrzała na stojącą przed nią dziewczynę. Helen trzymała w wyciągniętych rękach dwie suknie. Jedna z nich wykonana była z cienkiej jak pajęczyna białej materii, spod której przebijała jasnozielona halka, drugą uszyto z jedwabiu barwy kości słoniowej i ozdobiono błękitnymi wstążkami, naszytymi na krótkie bufiaste rękawy. Obie były niezwykle modne i doskonale dopasowane do jasnej cery i smukłej figury lady Helen, która, sądząc po błyszczących, roześmianych oczach, spodziewała się odpowiedzi.

- Są bardzo ładne - oceniła Isabel.

- Dzisiaj rano przywieziono je od krawcowej. Więc która?

- Co która?

Helen zachichotała.

- Która podoba ci się bardziej, w której zasiądziesz do kolacji, oczywiście.

- Och... - wykrztusiła Isabel. Wyciągnęła rękę i nieśmiało dotknęła delikatnego, chłodnego jedwabiu. Dziękując się z nią własną garderobą, Helen okazywała naprawdę wielką hojność. Isabel była przygotowana na opór, na nieustanną walkę z zepsutą, snobistyczną damulką. Ta przyjęła ją jednak z otwartymi ramio-

nami. W pewien sposób to utrudniało tylko zadanie. - Nie mogę po prostu nosić tego, co mam na sobie?

- O nie. Papa uważa, że do kolacji należy siadać w naprawdę eleganckim ubraniu. - Helen odwróciła się od „kuzynki” i zaczęła przeglądać swą bogatą szafę, wypełnioną tuzinami sukien. - Justin też tak myśli. Nie możemy ich zawieść.

Isabel nagle się najeżyła.

- Lord Kern nie może dyktować ci, jak masz się ubierać. Jeszcze nie jest twoim mężem.

- Ale wkrótce będzie. - Helen odwróciła się do niej, przyciskając do tułowia jasnoniebieską sukienkę. - Och, czy on nie wprawia cię w podziw? Jest taki przystojny, taki inteligentny, taki idealny. Nigdy nie wiem, co właściwie powinnam do niego mówić.

Cóż, ja znalazłabym kilka odpowiedniejszych określeń.

- Mów to, co myślisz, po prostu. Powinien się liczyć z twoim zdaniem.

- Łatwo ci mówić. Aleja się boję, że zanudzę go opowieściami o przyjęciach, plotkami i jakimiś nieistotnymi sprawami. On spędza większość czasu w parlamencie.

- Nie może być przecież członkiem Izby Lordów - wybuchnęła Isabel, zaskoczona. - Jego ojciec jeszcze żyje.

- Justin mówi, że przygotowuje się do swojej przyszłej roli. A ja nie mam zielonego pojęcia o polityce. - Helen westchnęła ciężko, jakby nagle straciła dobry humor. - Jak tobie udało się rozmawiać z nim tak śmiało?

Wyglądała na poważnie zmartwioną, więc Isabel ugryzła się w język, nie chcąc oznajmić, że uważa lorda Kern za zarozumiałego nudziarza.

- Ja nie jestem z nim zaręczona - powiedziała. - Pewnie dlatego nie przytłacza mnie tak jego niezwykła uroda i intelekt.

~ Poza tym jesteś pewnie kilka lat starsza ode mnie. - Helen pokiwała głową, po czym dodała szybko: - Och, nie chcę wcale powiedzieć, że jesteś już stara, tylko że masz trochę więcej doświadczenia niż ja. Przez osiemnaście lat mój świat ograniczał się tylko do domu i szkoły, gdzie wychowywano mnie na prawdziwą damę. - Jej twarz znów pojaśniała, pojawił się na

niej radosny uśmiech. - Wyjdę za mąż w dniu moich dziewiętnastych urodzin, dziesiątego czerwca. Wiedziałaś o tym?

Dziewiętnaście lat. Isabel siedziała w bezruchu. Jej urodziny przypadały na dwunastego czerwca. Helen nie miała racji - dziwnym zbiegiem okoliczności obie były w tym samym wieku, dzieliła je różnica zaledwie dwóch dni. Jednak ich światy dzieliła wielka przepaść; ona dorastała jako córka kurtyzany, mając za ciotki inne prostytutki, podczas gdy Helen była otaczana szacunkiem należnym dobrze urodzonej damie.

- Nie - odparła cicho. - Nie wiedziałam.

- Będę miała naprawdę cudowny ślub. To będzie wydarzenie sezonu. - Trzymając przy sobie niebieską suknię, Helen zakręciła się po pokoju. - Wyobraź sobie tylko, idę środkiem kościoła, chór śpiewa, wszędzie pełno kwiatów, wszyscy uśmiechnięci. Będzie pięknie jak w bajce.

Słuchając jej słów, Isabel poczuła ukłucie żalu i tęsknoty. Dawno temu, kiedy miała pięć lat, marzyła o tym, by zostać księżniczką. Często wracała do tych fantazji, zagłębiała się w nierzeczywistym świecie. Wyobrażała sobie, że ma jedwabiste blond włosy, oczy błękitne jak niebo i skórę równie delikatną i białą jak płatki lilii. Że mieszka w przepięknym pałacu i nigdy nie je tłuczonej rzepy. Ma psa, z którym bawi się całymi dniami. Jej ojciec jest przecież królem.

Nim jednak skończyła osiem lat, wiedziała już, że nie może wierzyć w bajki. Miała kasztanowo rude włosy i ciemne oczy, a jej skóra była pokryta piegami, jakby zbyt długo przebywała na słońcu. Mieszkała w zwykłej wiejskiej chacie i bez słowa protestu jadła tłuczoną rzepę. Psy to brudne stworzenia i nie wolno jej było nawet prosić o żadnego kundla. Nie miała przecież ojca, tylko matkę, której nie powinna dręczyć jakimś egoistycznymi zachciankami. Tak twierdziła sztywna panna Dodd, która uczyła ją, jak powinna zachowywać się młoda dama.

Kiedy Isabel skończyła dwanaście lat, wiedziała już też, że nie jest damą. Nie urodziła się we wspaniałej rezydencji, lecz w domu schadzek. Musiała znosić wiejskie plotki i szyderstwa, bo wygnano ją z miasta. Jej matka zajmowała się przecież niecnym procederem; przyjmowała bogatych dżentelmenów.

Czasami jednak Aurora Darling posyłała po córkę. Ach, cóż to były za wizyty! Zasypując Isabel pocałunkami i drobnymi prezentami, matka stroiła ją w koronki i jedwabie. Popołudniami przyglądały się arystokratom i damom spacerującym po Hyde Parku, a wieczorami przechodziły obok rzęsiste oświetlonych rezydencji, gdzie bogacze jadaliby smakowite kolacje i nikt nie znał nawet smaku tłuczonej rzepy.

Isabel wdychała wtedy razem z mamą, powracając znów do marzeń o życiu księżniczki. Gdy stała się już kobietą, zaczęła sobie wyobrażać, że kiedyś pozna bogatego księcia. Ten zakocha się w niej od pierwszego wejrzenia, porwie ją i zawiezie na swym wspaniałym rumaku do zamku, gdzie zamieszkają już na zawsze. Sprowadzi tam jej matkę i razem, jak wielkie damy, będą się cieszyć miłością i podziwem swych poddanych.

Niestety, matka umarła, a Isabel musiała stawić czoło rzeczywistości. Zawsze się z nią borykała. Teraz, po długim oczekiwaniu, siedziała wreszcie w prawdziwym pałacu. Tyle że nie ona była tutaj księżniczką. Ta rola przypadła lady Helen.

Pięknej, słodkiej, naiwnej lady Helen, która kręciła się po pokoju, jakby tańczyła z niewidzialnym księciem.

- Czasami lepiej nie wierzyć w bajki - powiedziała Isabel. - Można się potem gorzko rozczarować.

- Och, moja droga. - Szczerze zatroskana i pełna współczucia Helen zatrzymała się o krok przed nią. — Spotkało cię tyle przykrości, twoi rodzice umarli tak wcześnie, a ty zostałeś sama. Ale ja pokażę ci, jak cudowne może być życie. Na początek poproszę cię, żebyś została jedną z druhen na moim ślubie.

- To chyba nie jest najlepszy...

- Proszę, Isabel, musisz się zgodzić. W poniedziałek pójdziemy na zakupy, to postanowione. A kiedy będziemy wybierać moją suknię ślubną, kupimy też coś dla ciebie. Moje ubrania są zbyt blade, nie pasują do twojej cery. Jeśli chcesz podbić towarzystwo, musisz zaopatrzyć się w suknie, buty, wachlarze i czepki.

Właśnie na taką ofertę liczyła po cichu Isabel. Sama miała tylko odrobinę pieniędzy na drobne wydatki. Szara suknia pozostała jej jeszcze z czasów, gdy pobierała nauki u guwernantki,

a suknie odziedziczone po matce były zdecydowanie za śmiałe dla dziewczyny, która rzekomo spędziła całe życie na wsi.

- A co powie na to twój ojciec?

- Och, na pewno się ucieszy. Papa to najmiłszy i najhojniejszy człowiek na świecie, sama się przekonasz.

Nie. Isabel nie wierzyła w kryształowy charakter Hathawaya ani żadnego innego arystokraty. Jego pobożny braciszek wykorzystał jej matkę, bawił się nią, kiedy ta szukała prawdziwego uczucia.

Nagle znów powróciły dawne żale i tęsknoty Isabel. Przez całe życie brakowało jej ojca. Chciała móc przytulić się do niego w chwilach smutku, pragnęła, by okrywał ją wieczorem kołdrą i opowiadał bajki, by mogła zwierzać mu się ze swych obaw, nadziei i marzeń. Tęskniła do tej ufności, bliskości, miłości, którą słyszała w głosie lady Helen.

Nagle opuściła ją cała radość, poczucie triumfu i zadowolenia z udanego fortelu, pozostała tylko pustka i smutek. Czy Hathaway przystał na jej warunki tylko po to, by chronić nienaganną reputację - swoją i brata? Czy zrobił to ze względu na córkę, nie chcąc narazić swej ukochanej księżniczki na skandal? Isabel poczuła się nagle brudna, jakby swą obecnością splamiła ten szczęśliwy dom.

- Tak się cieszę, że zamieszkasz u nas. - Helen patrzyła na nią roziskrzonymi oczyma, uklękła przed krzesłem i pochwyliła jej dłoń. - Zostaniemy najlepszymi przyjaciółkami. Będziesz kuzynką... nie, siostrą, której zawsze tak bardzo mi brakowało.

Dotyk tych ciepłych, ufnych palców pogłębił tylko poczucie dyskomfortu i wyrzuty sumienia Isabel. Z trudem zdobyła się na uśmiech. Lady Helen nie знаła prawdziwej przyczyny, dla której Isabel trafiła do tego domu. Lecz prawda mogła wyjść na jaw. I to wkrótce, jeśli uda jej się udowodnić, że to wuj Helen, lord Raymond, otruł Aurorę Darling.

Tymczasem zamierzała zająć się jeszcze jednym złoczyńcą. Matka starała się ukryć jego prawdziwe nazwisko, lecz Isabel znalazła kilka wskazówek, które naprowadziły ją na właściwy trop. Domyślała się już, kto jest jej ojcem.

Teraz musiała go tylko odszukać.

3

Tego wieczoru po raz pierwszy miała znaleźć się w towarzystwie.

Wychodząc z karety Hathaway ów, Isabel przyjęła pomoc młodego lokaja. Przez moment trzymała jego dłoń, spoglądając na wielką kamienną rezydencję. Okna rozświetlone blaskiem setek świec nadawały jej bajkowy wygląd. Nagle ogarnęło ją przerażenie, jej serce zaczęło bić w przyspieszonym tempie. Właśnie miała dołączyć do towarzystwa, tańczyć z arystokratami, zostawić za sobą tłumy pospólstwa, które gromadziły się po drugiej stronie ulicy, okrzykami zachwytu przyjmując kolejne powozy, płynące nieprzerwanym strumieniem do bram rezydencji.

Lokaj uściśnął dyskretnie jej palce, przywołując ją do rzeczywistości. Zatrzymała kolejkę gości. Uśmiechnęła się do niego ciepło.

- Dziękuję panu.

Chłopiec zacerwienił się i złożył jej głęboki ukłon.

- Do usług jaśnie pani.

Jaśnie pani. Pełne szacunku słowa napęliły ją radością, a jednocześnie poczuciem winy. Ostatnie dwa tygodnie spędziła na przygotowaniach do sezonu. Lady Helen uczyła ją manier, pomagała zapamiętać surowe reguły zachowania. Pod okiem instruktora ćwiczyła także taniec. Z przyjemnością brała udział w kolejnych przyimiarkach, kiedy to krawcowa przygotowywała

specjalnie dla niej nową garderobę. Najpiękniejszą suknię włożyła właśnie dzisiaj. Wszystko to jednak było najłatwiejszą częścią maskarady. Teraz nadchodził czas prawdziwej próby - czy uda jej się oszukać tych arystokratów?

Isabel dołączyła do parady gości, wstępujących na schody obszernego, zdobionego wielkimi kolumnami tarasu. Gruby spencer, przeplatany złotymi nićmi, chronił ją przed wieczornym zimnem. Słyszała szelest jedwabnej sukni, wesołe rozmowy i śmiech. Mimo obaw i wątpliwości drżała z radosnego podniecenia. Jej ojciec pochodził z tego świata.

Unosząc dumnie głowę, wspięła się na schody. Miała prawo być tutaj. Tak, miała. Wreszcie będzie traktowana jak córka dżentelmena, a nie bękart kurtyzany.

Zimne palce w skórzanej rękawiczce zacisnęły się mocno na jej ramieniu. Wyrwana z podniosłych rozmyślań, spojrzała prosto w wykrzywioną twarz lorda Kern. Radość ustąpiła nagle miejsca strachowi.

Biały fular podkreślał jeszcze mocniej czerń jego włosów, rozpalone pochodnie rzuciły złowieszczy blask na śniadą twarz, migotały niepokojąco w zielonych oczach. Jeszcze przed chwilą, kiedy siedzieli razem w karecie, toczył z nią i z lady Helen wesołą rozmowę. Teraz biła od niego wrogość i gniew.

Chrapliwym głosem wyszeptał jej prosto do ucha:

- Na miłość boską, trochę więcej dyskrecji.

Był mistrzem maskarady, ukrywał swą prawdziwą - brutalną - naturę przed wszystkimi prócz Isabel. Nie chciała, by ktokolwiek żywił do niej nienawiść - choć po latach prześladowań ze strony wiejskich dręczycieli nauczyła się z tym żyć i ukrywać ból. Starając się mówić zupełnie naturalnie, spytała:

- Słucham pana?

- Jeśli chce pani koniecznie flirtować ze służącymi - wysyczał Kern - proszę zachować przynajmniej odrobinę przyzwoitości i nie robić tego na oczach całego towarzystwa.

- Flirtować? - Zrozumiałwszy, że mówi o lokaju, który podał jej dłoń, zapłonęła nagle gniewem i zniżając głos, odpowiedziała: - Nie przypuszczam, by pan kiedykolwiek potraktował zycz-

liwym słowem służącego. W przeciwnym wypadku nie pożyczę panu zwykłej uprzejmości za coś innego.

- Pani uprzejmość jest dobrze znana - mruknął. - Szczególnie stosunku do bogatszych mężczyzn.

- A pańskie maniery coraz wyraźniej nabierają znamion grubiaństwa. - Spojrzała gniewnie na jego dłoń, zaciśniętą mocno na rękawie jej spencera. - Proszę mnie puścić. Może pan odprowadzać jakąś inną damę.

Kern wciąż trzymał ją mocno.

- Helen jest prócz pani jedyną kobietą, z którą tu przyjechałem, a ona idzie ze swoim ojcem. Obawiam się, że jesteśmy skazani na swoje towarzystwo.

- Cudownie - wycedziła Isabel przez zaciśnięte zęby. - Kiedy już jednak wejdziemy do środka, podziękuję panu i poproszę, by trzymał się ode mnie z daleka.

- Nie liczyłbym na to na pani miejscu. - Pochylił się nad nią, a ona poczuła zapach wody kolońskiej, delikatny męski aromat, który nieoczekiwanie przyprawił ją o dziwną słabość. - Może pani być spokojna, panno Darling, ani na chwilę nie spuszcze pani z okna.

Isabel wzdrygnęła się odruchowo. Co miała znaczyć ta ostatnia złowieszcza uwaga? Lord Kern mógł wszystko zniszczyć. Wystarczyło jedno jego słowo, a została by zdemaskowana jako oszustka.

Bliskość tłumu uniemożliwiała dalszą rozmowę. Powoli przesuwali się do wejścia, potem oddali wierzchnie okrycia służbie i stanęli w kolejce gości. Isabel słyszała, jak Helen rozmawia o czymś z ojcem, potem do konwersacji włączył się lord Kern, głośnym śmiechem kwitując jakąś dowcipną uwagę narzeczonej. W jednej chwili uległ gwałtownej przemianie, jego surowa twarz nagle złagodniała, nabrała ciepła i czułości.

Przyglądając się tym dwojgu, Isabel poczuła ogromną pustkę, zrozumiała, jak bardzo jest samotna.

- Panno Darcy?

Lord Hathaway podał jej rękę, żeby zaprowadzić ją do gospodarzy przyjęcia. Isabel patrzyła na jego majestatyczną twarz, szukając w niej śladów wrogości, jaką okazywał jej lord Kern, znalazła jednak tylko chłodną uprzejmość. Poczuła tym większe

wyrzuty sumienia, że wykorzystuje tego człowieka i jego córkę jako pionki w swej grze. Kiedy zamieszkała w ich domu, początkowo markiz nie odzywał się do niej ani słowem. Ostatnio jednak na tej granitowej fasadzie zaczęły pojawiać się pierwice pęknięcia. Wczoraj pochwalił burkliwie jej zachowanie przy stole. Dziś, w drodze na bal, dorzucił kilka oszczędnych komplementów do monologu Helen, która opowiadała z przejęciem o niezwyklej transformacji Isabel. Być może naprawdę ją zaakceptował...

- Pani się waha - zauważył markiz. - Proszę się nie obawiać, Winfreyowie nie gryzą.

Isabel przyjęła jego rękę i uśmiechnęła się doń serdecznie.

- Dziękuję panu, milordzie - dodała impulsywnie. - Tak wiele pan dla mnie robi. Chciałabym, żeby pan wiedział, jak bardzo to doceniam.

Markiz nie odpowiedział jej uśmiechem. Jego oczy na powrót stały się zimne i nieprzeniknione, jakby żałował, że okazał uprzejmość szantażystce.

- Robię to tylko ze względu na Helen - odrzekł sucho,,-Radzę o tym pamiętać.

- Oczywiście. - Przelotne poczucie bliskości zniknęło bez śladu. Isabel łajała się w duchu za tę słabość, wyrzucała sobie naiwność. Choć nosiła suknie prawdziwej damy, miała duszę wyrzutka. I serce okryte mrokiem ponurego przedsięwzięcia.

Hathaway, który ani na moment nie zapomniał o powinnościach dżentelmena, zaprowadził ją do gospodarzy balu i przedstawił jako utraconą przed laty krewną z prowincji. Lord i lady Winfrey przywitali ją serdecznie, aprobując bez wahania obecność Isabel i budząc nieśmiałą nadzieję w jej sercu. Przeszła pomyślnie pierwszy egzamin. Później Hathaway dołączył do grupy dżentelmenów toczących polityczną dyskusję, a lord Kern zaprowadził narzeczoną i jej „kuzynkę” do sali balowej.

Długa komnata udekorowana była jak egipski bazar: ściany obwieszono barwnymi draperiami, w rogach ustawiono donice z palmami, a kryształowe kandelabry skrzyły się jak gwiazdy pod ciemną kopułą nieba. W alkwie muzycy stroili instrumenty. Lokaje odziani w arabskie szaty roznosili wśród gości kieliszki

z napojami. Wszędzie wyczuwało się atmosferę radosnego oczekiwania, która znów przyprawiła Isabel o szybsze bicie serca i napelniła ją na nowo nadzieją.

Była tutaj naprawdę. Należała do tych nielicznych, którzy zostali zaproszeni na bal. Delikatnie postukała bucikiem w wypolerowaną drewnianą podłogę. Tego wieczoru wszystko mogło się zdarzyć. Leżały przed nią miriady nowych doświadczeń, równie piękne i kuszące jak skarby Aladyna.

Teraz nawet obecność lorda Kern nie mąciła jej radości. Wreszcie miała szansę, by wcielić swe plany w życie, a przy okazji zamierzała się dobrze bawić. Nigdy jednak nie pozwolił sobie zapomnieć o prawdziwym celu tej maskarady. Czula na udzie delikatny ciężar spoczywający w kieszeni ukrytej w jej halce, ciężar pamiętnika jej mamy, Zawsze nosiła go przy sobie, razem z małym sztyletem, gwarancją bezpieczeństwa. Miała nadzieję, że już tego wieczoru pozna kilku dżentelmenów, których nazwiska figurowały w dzienniku Aurory.

Poczuła nagle nerwowy ucisk w żołądku. Zacznie od człowieka, który może być jej ojcem...

Lord Kern skłonił się przed nią.

- Chciałbym prosić o drugi taniec.

- Dziękuję, ale to nie będzie konieczne - odparła stanowczo Isabel. - To zrozumiałe, że preferuje pan towarzystwo swej narzeczonej.

- Ale Justin obiecał mi już kadryla na otwarcie i walc - wtrąciła się Helen, machając ręką. - Ty też musisz zarezerwować dla niego dwa tańce. Wtedy inni dżentelmeni pozazdroszczą mu powodzenia i zbiegną się do ciebie całym stadem.

Isabel przyjęła te słowa nieśmiałym uśmiechem, choć w głębi duszy była zadowolona.

- Och, doprawdy, to zbyt przytłaczające dla takiej wiejskiej panienki jak ja. Może lepiej będzie, jeśli na razie usiądę sobie gdzieś w kąci.

- I schowasz się za palmami? - Helen zachichotała. - Nie bądź niemądra, Isabel. Uważam, że jesteś jedną z najładniejszych panien na tym balu. Co o tym sądzisz, Justinie? Prawda, że moja kuzynka jest niezwykle piękną?

Jest zmiłą. Sprytną kusicielką w przebraniu damy.

Kern zacisnął usta. Jak Helen mogła być tak zaślepiona? Isabel Darling drwiła sobie z ideału delikatnej i cnotliwej damy. Choć młodość nadawała jej pozory niewinnej świeżości, wyglądała zdecydowanie zbyt odważnie, zbyt egzotycznie. Obcisła zielona suknia uwydatniała jej krągłości. Ta dziewczyna nie potrzebowała żadnych klejnotów, które przyciągałyby uwagę do jej pełnych, kształtnych piersi. Jadeitowy odcień kreacji kontrastował korzystnie z jej żywą cerą i brązowymi oczami, rudawe włosy mieniły się ogniem. Z pewnością nikt nie mógł wziąć jej za niewinną panienkę.

Nikt prócz Helen. Słodka, naiwna Helen. Zdecydowanie wołał jej delikatną urodę od krzykliwej zmysłowości Isabel.

Odwrócił się do narzeczonej, ujął jej dłoń i ucałował ją z oddaniem.

- Moja droga, wiesz chyba, że jesteś jedyną kobietą, którą darzę prawdziwym uwielbieniem. - Zerkając na Isabel, nie mógł jednak nie dodać: - Jestem wszakże pewien, że panna Darby może podobać się dżentelmenom pewnego typu.

- Panna Darcy - poprawiła go Helen z dziwną jak dla niej stanowczością. - Doprawdy, Justinie, mógłbyś zadać sobie odrobinę trudu i zapamiętać wreszcie nazwisko mojej kuzynki. Z pewnością podzielałbyś także mój podziw dla niej, gdybyś tylko zechciał nas częściej odwiedzać. Chciałabym, żebyście zostali dobrymi przyjaciółmi.

Zrozumiawszy ze złością, że Isabel Darling wkradła się już w łaski jego narzeczonej, Kern zdobył się na oszczędne przeprosiny.

- Zechce mi pani wybaczyć, panno Darcy.

- Nic nie szkodzi. Ja też mam kłopoty z zapamiętywaniem nazwisk. - Zaczęła przesuwając się powoli w stronę palm, gdzie ustawiono krzesła dla tych, którzy nie mogli tańczyć ze względu na podeszły wiek czy chorobę. - Zaraz zaczniesz się pierwszy taniec, lepiej więc będzie, jak poszukam sobie jakiegoś wygodnego miejsca na uboczu.

- Szybko, Justinie - powiedziała Helen, ciągnąc go za rękaw. - Musisz przedstawić Isabel kilku dżentelmenów.

Kem spojrzął w jej roziskrzone błękitne oczy, szczerze zdumiony tą propozycją.

- Przedstawić?

- Oczywiście. Wiesz przecież dobrze, że nie może tańczyć, jeśli nie zostanie dokonana oficjalna prezentacja. Musimy znaleźć jakiegoś odpowiedniego dżentelmena. - Helen rozglądała się gorączkowo po sali, gdzie goście ustawiali się już powoli do pierwszego tańca.

- Naprawdę, nie chcę sprawiać wam kłopotów - broniła się Isabel. - Z przyjemnością poczekam...

- O, jest! - Spojrzenie Helen przygłębło do jakiegoś mężczyzny po drugiej stronie sali. - Pan Charles Mobrey stoi sam przy filarze. Chodziłeś z nim do Eton, prawda, Justinie?

- Niestety... - zaczął Kern.

- Jest jedynym dziedzicem wicehrabiego Eslingtona, ale już teraz jego roczne dochody przekraczają dwadzieścia tysięcy funtów- mówiła Helen do Isabel. - Jest trochę nieśmiały, ale może uda ci się go rozruszać. Chodźcie już, musimy się spieszyć.

Helen swatką? Skąd w niej tyle tupetu? Kern wcale nie był zachwycony tą nową cechą narzeczonej, zazwyczaj cichej i łagodnej. To na pewno wpływ Isabel Darling, rozmyślał posepnie, krocząc jej śladem przez salę. Ta bezczelna dziewczucha psuła jego ukochaną, kładła jej do głowy jakieś bzdurne pomysły i idee. Wiedział doskonale, że Isabel udaje tylko nieśmiałą panienkę z prowincji, która wstydzi się tańczyć z nieznanymi dżentelmenami. Była to pewnie część gry, która miała na celu zdobycie bogatego i naiwnego męża.

Pocieszał się myślą, że Charles Mobrey jest zbyt zadufany w sobie, by poddać się jej diabelskiemu urokowi. Pamiętał go jako nieco zarozumiałego, wiecznie zamyślnego młodzieńca, który pozował na poetę i filozofa. Mobrey rzeczywiście przyjął ich dość chłodno, skwitował urodę Isabel tylko lekkim uniesieniem brwi, dumnie wznosząc głowę nad swym wymyślnym fułarem. Kern przedstawił ich sobie, po czym odsunął się na bok, by z satysfakcją patrzeć na nieudane zaloty Isabel. Był naprawdę niemile zaskoczony, kiedy już po chwili chłodna rezerwa Mobreya stopiła się jak śnieg w wiosennym słońcu i młody dziedzic poprosił ją do tańca.

Orkiestra zagrała pierwsze takty kadryla. Kern poprowadził narzeczoną w stronę drugiego szeregu dam i dżentelmenów zgromadzonych na parkiecie. Helen dygnęła przed nim grzecznie na początku tańca, uśmiechnięta i pokraśniała z zadowolenia.

- Czy to nie cudowne? - wyszeptęła. - Pan Mobrey często bywa na balach, ale nigdy nie przestaje w towarzystwie panien, które nie dorównują mu statusem i majątkiem. Tylko nasza Isabel od razu go złowiła.

- To snob, a nie ryba. Jestem pewien, że wypluje haczyk, kiedy się zorientuje, że przynęta nie ma nic prócz nazwiska.

Zamiast stanąć w obronie Isabel, Helen zmarszczyła czoło w zamysleniu.

- Właśnie to mnie najbardziej martwi. - Westchnęła. - Chyba powinnam porozmawiać z papą na ten temat.

Kern słuchał jej tylko jednym uchem, obserwując z ponurą miną poczynania Isabel Darling, która bez trudu, z prawdziwą lekkością radziła sobie ze skomplikowanym krokiem tańca, jakby przez całe życie nie robiła nic innego. Blask świec odbijał się w jej rudawych włosach, zielona suknia pieściła kobiecą sylwetkę. Mobrey nie wyglądał już na znudzonego, nie zadierał też nosa. Twarz skrzywiona zazwyczaj w wyniosłym grymasie nabrała teraz życia, nosiła ślady uniesienia właściwego głęboko zakochanym. Kiedy tylko zblizali się do siebie, Isabel pochylała głowę i rozmawiała o czymś z partnerem. Uśmiech nie zniknął z jej zmysłowych ust, patrzyła na Mobreya z oddaniem, jakby już posiadał jej serce.

Gniew wypełnił serce Kerna, zapierał mu dech w piersiach. Niech piekło pochłonie tę dziewuchę! Widział teraz wyraźnie, że kosztowne ubrania i dobre maniery nie potrafiły ukryć jej prawdziwej natury. Gdyby jednak jeszcze kilka minut temu ktoś powiedział mu, że jej pierwszą ofiarą będzie Charles Mobrey, nigdy by w to nie uwierzył.

W pewnym momencie Isabel pochylała się i wyszeptęła partnerowi coś do ucha. Ten przyłożył dłoń do serca.

Boże! Czyżby już umawiała się z nim na schadzkę? Nie, nawet Isabel Darling nie mogła być tak bezwstydną. Więc co takiego mogła mu powiedzieć?

vi igdy nie marzyłam nawet o tym, że będę tańczyć z człowiekiem tak wysoko postawionym jak pan - mówiła Isabel, starając się, by w jej głosie wyraźnie pobrzmiwała nuta uwielbienia i podziwu. - Zna pan zapewne wszystkich członków towarzystwa.

- To stado rozgdakanych kur, wszyscy bez wyjątku. - Spojrzenie szarych oczu Charlesa Mobreya błędziło przez chwilę po piersiach partnerki, by potem powrócić do jej twarzy. - Pani natomiast jest rajskim ptakiem. Promieniem słońca, który od świeża to nudne towarzystwo niczym morską falą.

Isabel uznała, że postąpiłaby nieroztropnie, wytykając mu pewną niekonsekwencję w konstruowaniu tych przenośni.

- Och, sir, zawstydz mnie pan, zaraz się zarumienię. Wolalabym raczej rozmawiać o panu niż o mnie.

- Skromność dodaje pani tylko uroku. „Ma ukochana jest jak cudny kwiat/ świeżo rozkwitły w maju/ Ma ukochana jest jak muzyka/ jak słodki zapach raj...”

Zgodnie z układem tańca rozdzielili się na moment, dzięki czemu Isabel miała chwilę wytchnienia od jego- lukrowanych zalotów. Starając się pohamować irytację i zniecierpliwienie, myślała o tym, jak wyciągnąć od partnera potrzebne jej informacje. Kiedy zastanawiała się nad tym problemem, jej spojrzenie błędziło po tłumie tancerzy i nagle trafiło na zimne oczy lorda Kern.

Może pani być spokojna, panno Darling, ani na chwilą nie spuszcza pani z oka.

Poczuła, że czerwieni się pod tym czujnym spojrzeniem. A niech go! Czyżby się spodziewał, że popelni jakieś *fata pasł* Nie zamierzała robić niczego, co wykraczałoby poza ogólnie uznane granice przyzwoitości.

Przynajmniej nie w jego obecności.

Po chwili znów zajęła miejsce u boku Charlesa Mobreya. Gdy tylko ten ujął jej dłoń, uśmiechnęła się do niego ujmująco.

- Mam nadzieję, że nie będę zbyt śmiała, jeśli powiem, iż został pan obdarzony naprawdę czarującą naturą - powiedziała. - Ma pan zapewne mnóstwo oddanych przyjaciół.

Wąta pierś Mobreya wyprężyła się dumnie pod fioletowym surdudem.

- Owszem, wielu dostrzega we mnie niezwykłą osobowość. Lecz pani, panno Darcy... pani jest bardziej spostrzegawcza od nich wszystkich.

Jasnowłosy arystokrata wpatrywał się w nią jak urzeczony, ścisnął mocno jej dłoń. Był już gotowy, całkiem gotowy, by spełnić jej prośbę. Serce zabiło Isabel szybciej, kiedy pomyślała o celu, którzy przyświecał jej poczynaniom. Kryjąc oczy za zasłoną rzęs, odezwała się cicho:

- Doprawdy, jest pan zbyt łaskawy. Może... och nie, nie śmiem pana pytać.

Ścisnął mocniej dłoń partnerki.

- Co takiego? O co chodzi? Proszę mi, powiedzieć!

- Chciałabym prosić pana o przysługę, ale nasza znajomość jest jeszcze zbyt krótka.

- Proś, proś śmiało, moja czerwona różo. Przyniosę popiół z Wezuwiusza, jeśli tylko zechcesz. Klejnot z korony cara. Gwiazdę z nieba...

- Och nie, to nie jest aż takie trudne - Isabel uśmiechnęła się. - Jak pan wie, przyjechałam do miasta dopiero niedawno i czuję się trochę osamotniona. Zastanawiałam się, że skoro zna pan tylu wspaniałych ludzi z towarzystwa, być może mógłby mnie pan komuś przedstawić.

Mobrey uniósł brwi, zdumiony i zasmucony.

- Jeśli moje towarzystwo nie odpowiada pani...

- Och nie, wcale nie miałam tego na myśli! Jest pan cudownym człowiekiem i wspaniałym dżentelmenem. Nie, chciałabym tylko poznać kilku starych przyjaciół mojej zmarłej, nieodżałowanej mamy...

Układ tańca zmusił ich do chwilowej zmiany partnerów. Isabel była podekscytowana, a jednocześnie czuła ogromny żal do losu. Jej matka byłaby zachwycona, mogąc tańczyć na balu takim jak ten, ciesząc się atencją przystojnego dżentelmena i wiedząc, że nie jest mu obojętna.

Jednak żaden z jej kochanków nie darzył jej nigdy szacunkiem. A kiedy zagroziła, że wyjawia ich brudne sekrety, jeden z nich posunął się do morderstwa. Isabel wcale nie byłaby zaskoczona, gdyby okazało się, że zrobił to jej ojciec.

Z każdym uderzeniem serca ten stary ból przybierał na mocy, pozbawiał ją samokontroli. Miała ochotę odwrócić się i wybiec, uciec z sali balowej i schronić się w znajomych ścianach lupanaru.

Tchórz, zganiła się w myślach. Musiała to zrobić, zaaranżować to spotkanie i jak najszybciej mieć je za sobą, pozbyć się go jak wstrętnego lekarstwa. Zbyt długo już żyła w świecie marzeń. Nadszedł czas, by stawić czoło rzeczywistości.

Isabel poczuła, jak ktoś delikatnie ścisną jej palce, a jej spojrzenie natrafiło znów na arystokratyczną twarz Charlesa Mobreya.

- Moja droga - zaczął - jeśli pozwoli mi pani przedstawić sobie którąkolwiek z obecnych tu osób, uczyni mnie pani najszcześniejszym człowiekiem na ziemi.

Sukces leżał w zasięgu ręki. Kadryl dobiegał już końca, a ona nie zamierzała wcale czekać na lorda Kern. Była pewna, że i on chętnie zrezygnuje z obiecanego jej tańca.

Może pani być spokojna, panno Darling, ani na chwilą nie spuszcza pani z oka.

Otrząsnęła się z rozmyślań i przesłała Mobreyowi promienny uśmiech.

- Przejdźmy w takim razie do pokoju, w którym panowie grają w karty, dobrze? Przypuszczam, że dżentelmen, którego chciałabym poznać, przebywa właśnie tam. Musi pan jednak mi obiecać, że nie wspomni o mojej matce, dopóki ja nie zrobię tego sama w odpowiednim czasie i w sposób, który uznam za najbardziej stosowny.

Kiedy wychodzili z sali balowej, Isabel myślała już tylko o czekającym ją spotkaniu. Wiedziała, że jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, wkrótce zobaczy swego ojca.

Rząd tancerzy odgrodził Kerna od reszty sali, zasłaniając przed nim Isabel i Mobreya. Kryjąc niecierpliwość, czekał na Helen, która wymieniała uprzejmości z szacowną księżną Covington.

Po skończonym tańcu młoda dama wracała zazwyczaj do swej przywoitki. Hathaway nie chciał jednak zatrudniać w tym celu

żadnej ze swych krewnych, obawiając się, że ta odkryje brak pokrewieństwa z Isabel i dojdzie w ten sposób do skandalicznej prawdy. Kiedy jego córka wybierała się na zakupy czy w odwiedzin, towarzyszyła jej stara panna Gilbert, która od wielu już lat była guwernantką Helen i zbyt ceniła tę swoją posadę, by zadawać niepotrzebne pytania.

Tego wieczoru panna Gilbert pozostała w domu. Hathaway zaszył się ze swymi przyjaciółmi w bibliotece, gdzie toczono dyskusje na tematy polityczne. Kern także chętnie by do nich dołączył, gdyby okoliczności nie zmusiły go do odgrywania roli przyzwoitki.

Tłum rozproszył się wreszcie, ustępując miejsca innym tancerzom. Nigdzie jednak nie widział Isabel i Mobreya. Dokąd mogli pójść?

Helen i księżna rozmawiały o tym, jak powinno wyglądać idealne nakrycie głowy młodej damy. Przesyłając księżnej najbardziej czarujący ze swoich uśmiechów, Kern przeprosił ją uprzejmie, wziął Helen pod rękę i odciągnął na bok.

- Ależ, Justinie - protestowała jego narzeczona, kiedy przepychali się przez tłum. - Nie skończyłam jeszcze rozmawiać. Mówiłam właśnie księżnej, że kiedy pióro noszone przez damę jest dłuższe od jej twarzy, wygląda to bardzo nieproporcjonalnie i...

- Zaczyna się już drugi taniec. Obiecałaś go młodemu Blakeyowi, pamiętasz? Aha, jest tutaj.- Orkiestra zaczęła grać skoczną melodię. Tłumiąc w sobie zupełnie niezrozumiałe poczucie ulgi, przekazał Helen młodzieńkiemu, czerwonemu jak burak hrabiemu Blakey. - Wybacz, proszę - powiedział, kłaniając się narzeczonej. - Muszę odnaleźć swoją kuzynkę, obiecała mi przecież ten taniec.

Isabel i Mobrey wyszli z sali balowej. Kern uświadomił to sobie, obszedłszy najpierw dokoła całe obszerne pomieszczenie, wymieniwszy pozdrowienia z dobrymi znajomymi i sprytnie uniknąwszy spotkania z tymi, których wolałyby nigdy nie poznać. Wyszedł na korytarz i szybko się rozejrzał. Dwie damy w średnim wieku wspinały się na schody, zmierzając do pokoju dla pań. W salonie po drugiej stronie korytarza służący przygotowywali

stoły do kolacji. Wychylił się za balustradę i dojrzał w hallu na parterze kilku spóźnionych gości. Inni wchodzili i wychodzili z pokoiów na niższym poziomie. Czyżby Isabel zwabiła Mobreya do jakiegoś ciemnego kąta?

Coraz bardziej zdenerwowany, Kern zszedł szybko na parter, zajrzał do biblioteki, potem przeszedł do salonu. Meble przesunięte zostały pod ścianę, by zrobić miejsce dla małych karcianych stolików. Przy kilku z nich gra toczyła się już w najlepsze. Brali w niej udział ci dżentelmeni i te nieliczne damy, którzy nie przepadali za tańcami.

Wreszcie ją zobaczył.

Po drugiej stronie biblioteki, ciemna jak grzech na tle białego marmurowego kominka, stała Isabel Darling. Charles Mobrey robił z siebie osła, podsuwał jej krzesło i kłaniał się bez ustanku, potem odszedł na moment, by przynieść jej drinka. Jakiś inny, nieznanym Kernowi, arystokrata zajmował już miejsce przy stole. Krępy brodaty mężczyzna, z szeroką blizną na policzku, najwyraźniej cierpiący na podagrę opierał nogę na stołku.

Kern powinien był przyjąć z zadowoleniem fakt, że Isabel oddaje się tak niewinnej czynności jak gra w karty, lecz jej czarujący uśmiech i niezwykła uwaga, z jaką przypatrywała się nieznanemu, napępiały go bliżej nieokreślonymi podejrzeniami.

Klucząc między stolikami, dotarł wreszcie do kominka.

- Ach, panna Darcy - powiedział. - Mam nadzieję, że po trzebują państwo czwartego do kompletu?

Isabel spojrzała ostro na intruza, niemile zaskoczona jego obecnością. Albo nie znosiła nawet jego widoku, albo coś knuła. Kern uznał, że kierują nią oba te motywy. Kiedy wreszcie uśmiechnęła się do niego, zrozumiał, że mu odmówi; nie czekając więc dłużej, usiadł na krześle obok niej.

W tym momencie powrócił Charles Mobrey z dwoma kieliszkami szampana: jeden wręczył Isabel.

- Kern, stary druha. Nie wiedziałem, że grywasz w karty.

- Niespodzianka - odrzekł Kern. - Nie wiedziałem, co mam ze sobą zrobić, kiedy moja partnerka nagle zniknęła.

Isabel zarumieniła się wdzięcznie.

- Kto by pomyślał, jakaś dama ośmieliła się panu odmówić. Jestem pewna, że jeśli powróci pan na salę, milordzie, znajdzie pan tam dziesiątki innych, które z przyjemnością zajmą me miejsce.

- Czy to nie wcielona uprzejmość? - spytał retorycznie Mobrey. Patrzył na nią niemal z psim oddaniem. - „Piękno jest prawdą, prawda pięknem”.

Isabel spuściła skromnie oczy.

- Sir, jest pan zbyt łaskawy.

- „Piękno kusi złodzieja bardziej niż złoto” - wtrącił Kern.

- Lepiej więc odejść, nim chciwość zamieni człowieka w złodzieja - odparowała Isabel, uśmiechając się nieznacznie. - Jestem pewna, że znajdziemy bardziej doświadczonego dżentelmena na partnera do gry.

Jej uśmiech podzielała na jego zmysły jak ostroga. Wyobrażała ją sobie w łóżku, odzianą jedynie w przezroczystą pajęczyną koszulę, z włosami rozrzuconymi na poduszkach. Szybko otrząsnął się z tych myśli, pogardzając własną słabością. A przecież w odróżnieniu od innych mężczyzn potrafił zapanować nad swymi najniższymi instynktami.

- Powoli, moja psotna królowo kier - rzekł Mobrey. - Lord Kern nie jest może wytrawnym graczem, ale dzięki niemu będziemy mieli już komplet do wista. Kern, pozwolisz, że przedstawię ci twojego partnera, sir Johna Trimble'a.

Kern pozdrowił skinieniem głowy mężczyznę po drugiej stronie stolika. Pomarszczona twarz gracza przecięta była szeroką blizną, jego wielki nos był mocno zniekształcony, jak u boksera, spod krzaczastych brwi patrzyły małe, paciorkowa-te oczy.

- To dla mnie zaszczyt - oświadczył chrapliwym głosem. - Choć być może nie zdecyduje się pan jednak przyłączyć do naszej gry. Widzi pan, nie mam dość funduszy, by grać o dużą stawkę.

- Świetnie. - Kern skinął głową. - Będziemy więc grać je dynie dla satysfakcji.

Trimble z wprawą potasował talię kart. Isabel wciąż przyglądała mu się ukradkiem, Kern nie mógł zaś zrozumieć, z jakiego

powodu ten człowiek jest powodem jej zainteresowania. Trimble sam przyznał przed chwilą, że nie jest bogaty. Chyba że...

Nie. Nie mógł być jednym z kochanków jej matki. Aurora Darling wybierała tylko mężczyzn bogatych i dobrze urodzonych. Nie trudziłaby się dla kogoś tak przeciętnego jak sir John Trimble.

Kern porzucił rychło te spekulacje. Isabel interesowała się przede wszystkim Mobreyem. Tutaj, przy karcianym stoliku, miała możliwość uwodzić go skuteczniej niż na sali balowej, gdzie - zgodnie ze starym zwyczajem - mogła tylko dwa razy zatańczyć z tym samym partnerem.

Trimble pierwszy rozdał karty, a Kern obejrzał te, które dostał. Pamiętał zasady tej gry jeszcze ze szkolnych czasów, kiedy to łudził się przez pewien okres nadzieją, że jeśli chociaż otrze się o grzech, zdobędzie sobie miłość i uwagę ojca.

Odsunął od siebie te przykre wspomnienia. Teraz nie miało to już żadnego znaczenia, było tylko jedną z surowych lekcji życia, które kształtowały jego charakter.

Mobrey próbował objaśnić pokrótce Isabel reguły wista, ta jednak powstrzymała go, unosząc rękę i uśmiechając się do niego.

- Znam się trochę na tym - powiedziała. - Może nie jestem ekspertem, ale jakoś sobie poradzę.

Rzeczywiście, grała całkiem dobrze, choć Kern miał wrażenie, że przez cały czas jest myślami zupełnie gdzie indziej. Czuł, jak jej suknia ociera się o jego nogi pod stołem, kiedy tupąła nerwowo w podłogę. Popelniła kilka błędów, przez co oboje z Mobreyem przegrali całą partię. Kiedy po upływie godziny okazało się, że wygrali tylko dwa rozdania, odłożyła karty z przepraszającym uśmiechem.

- Dobrze się stało, że nie graliśmy o pieniądze - powiedziała. - Doprowadziłabym do ruiny siebie i mojego niefortunnego partnera.

Mobrey ujął jej dłoń.

- Wcale nie było tak źle, panno Darcy. Z panią przy boku i tak zawsze jestem wygrany.

- Trzeba wiele czasu, żeby nabrać wprawy w tej grze - dodał sir John. - Ja sam bawię się tym już od ponad trzydziestu lat.

Isabel pochyliła się do niego, naciągając suknię, tak że opinała teraz ciasno piersi.

- Więc może byłby pan tak uprzejmy i nauczył mnie kilku karcianych sztuczek?

Wyraźnie zdumiony atencją pięknej młodej damy, starszy pan przyglądał jej się spod ściągniętych brwi. W odróżnieniu od Kerna nie wiedział, że Isabel Darling lubiła uwodzić wszystkich poznanych mężczyzn.

- Cóż, byłby to dla mnie prawdziwy zaszczyt... panno Darcy - odparł Trimble uprzejmie. - Jednak jutro wyjeżdżam z wizytą do mego przyjaciela na wieś i nie spodziewam się wrócić wcześniej niż za tydzień lub dwa. Może więc odłożymy lekcje do tego czasu?

Isabel wydeła usta.

- Oczywiście.

- Lady Helen będzie zaniepokojona pani nieobecnością - ponaglił ją Kern. - Powinniśmy już wrócić na salę balową.

Wstał i podał jej rękę. Isabel zawahała się na moment, zerknęła jeszcze raz na Trimble'a, potem przyjęła pomoc Kerna. Jej dłoń, choć drobna, wydawała mu się jednak zadziwiająco silna, zreżna raczej niż krucha. Zastanawiał się, ilu mężczyzn pieściły te palce, do jakich sztuczek uciekała się, by ich pobudzić, jak długo droczyła się z nimi, nim uniosła suknię...

Uciekając od tych ciemnych fantazji, dopiero po chwili zauważył, że Mobrey kłęczy przed nią na jednym kolanie i wpatruje się w nią z uwielbieniem.

- Czy będę mógł panią odwiedzić, panno Darcy?

Isabel uśmiechnęła się do niego.

- Oczywiście, może pan...

- Innym razem - warknął Kern i niemal siłą wyprowadził ją z biblioteki.

Jej uśmiech natychmiast zamienił się w lodowate spojrzenie.

- Czy naprawdę musi pan zachowywać się jak półgłupek?

- Owszem, kiedy pani zachowuje się jak kurtyzana - odparł ściszym głosem.

- Nie zrobiłam niczego, co nie przystoi damie.

- Uwodzi pani każdego napotkanego mężczyznę.

- Och, doprawdy? Czy w takim razie uwiodłam i pana?

Śmiała się z niego. Śmiała się! Kiedy wchodzili na schody, poczuł delikatny różany zapach jej perfum. Zastanawiał się, czy skóra tej kobiety również smakuje tak wybornie. Pochylił się nad nią i wyszeptał jej prosto do ucha:

- Ja nie żartuję, panno Darling. Osobiście dopilnuję, by nie okryła pani wstydem Hathawaya i jego rodziny.

Isabel śmiało spojrzała mu w oczy.

- Czy to była groźba, milordzie?

- Obietnica. Nie pozwolę, by zrealizowała pani swój plan i przywiodła do ołtarza jakiegoś naiwnego głupca.

Ciemne rzęsy zakryły przed nim jej oczy i myśli.

- Skoro pan tam mówi, milordzie...

Do diabła, dlaczego tak łatwo dawał się jej zwodzić?! Dlaczego przekonany był, że kryje przed nim jakieś tajemnice, których nie mógł się nawet domyślać? Tak naprawdę nie miała przecież nic do ukrycia. Jej zamiary były jednoznaczne, stare jak świat. Polowała na bogatego i naiwnego męża, który zapewniłby jej spokojną przyszłość i pozwolił zająć miejsce w sferach niedostępnych dla ludzi, wywodzących się z jej grzesznego świata. Nie dbała przy tym wcale o to, kto padnie ofiarą jej manipulacji, kogo skrzywdzi.

Wciągnąwszy Isabel do pustej alkowy, ujął ją pod brodę i podniósł głowę, tak by patrzyła mu prosto w oczy. Jej skóra była delikatna i ciepła, stworzona do kuszenia mężczyzn.

- Niech pani dobrze zapamięta moje słowa, panno Darling. Jeśli omami pani jakiegoś naiwnego dżentelmena i spróbuje przywieść go do upadku, ja panią powstrzymam. Wystarczy jedno moje słowo, a zrozumie, kim pani jest naprawdę: ladacznicą, oszustką i szantażystką.

Z sali balowej płynęła skoczna muzyka. Jego słowa zawisły w powietrzu, jakby drwiąc z wesołej melodii. Isabel Darling stała w bezruchu, patrzyła mu śmiało w oczy i zaciskała mocno usta, z których odpłynęła cała krew. Jego zatruta strzała dosięgła celu. Nie czuł jednak triumfu, tylko dziwny niepokój bliski wstydowi. Choć był pewien, że wszystko, co powiedział, jest

prawdą, miał ochotę pogłaskać tę dziewczynę po policzku, pocieszyć, przywrócić pocałunkiem świeżość jej ustom.

Nie wypowiedziawszy ani słowa, wyszła z alkowy i ruszyła w stronę sali, zostawiając za sobą delikatny aromat. Kern czuł, że jej dumne i godne zachowanie w pewien sposób godzi w jego męskość.

Musiał się długo zastanawiać, by przypomnieć sobie, dlaczego właściwie tak bardzo jej nienawidzi.

Prócz wielu bardziej praktycznych umiejętności kurtyzana musi przede wszystkim nauczyć się, jak znosić ludzką pogardę. Zrozumiałam tę prawdę na samym początku mej kariery.

Kiedy przymierzałam kapelusz u modystki przy Bond Street, do sklepu wszedł pan Terrence D. Ponieważ zaledwie kilka dni wcześniej spędziliśmy razem upojne godziny, uśmiechnęłam się i ruszyłam w jego stronę. On odwrócił się ode mnie i powiedział coś do sklepikarza, ten zaś zbliżył się do mnie, zerwał mi kapelusz z głowy i wyrzucił za drzwi.

Wróciłam do domu wściekła i zrozpaczona. Jak ktoś, kto był przecież jednym z moich klientów, mógł stawiać się tak dalece ponad mną! Wciąż pogrążona byłam w smutku, kiedy odwiedził mnie sir John T. Widząc mą zapłakaną twarz, przytulił mnie do siebie i próbował pocieszyć, nie żądając niczego w zamian. Zachował się jak przyjaciel, z uwagą wysłuchał wszystkiego, co miałam do powiedzenia na temat tych, którzy mną pogardzali.

Jednak żaden mężczyzna i żadna kobieta nie mogą leżeć obok siebie obojętnie przez długi czas, kiedy więc doszłam do siebie, zabrałam go w rozkoszną podróż do Elizjum. Jego delikatne pieśczoły sprawiły, że czułam się jak bogini stworzona dla jego uwielbienia.

Ci, którzy nazywają go brzydkim, nie zajrzeli nigdy w głąb jego duszy, nie wiedzą jak doskonale rozumie potrzeby kobiecego serca. Choć ubóstwo zmusiło go do małżeństwa z bogatą kobietą pocieszam się myślą, że najpierw kochał mnie. To człowiek honoru, który z pewnością poczuje się boleśnie dotknięty, kiedy

opublikuję mój dziennik i ujawnię łączące nas niegdyś więzy. Historia mojego życia byłaby jednak niekompletna, gdybym nie wspomniała w tym miejscu, że sir John T. jest jedynym człowiekiem, któremu mogę naprawdę zaufać. On jeden zna moje sekrety. On jeden zna bolesną prawdę o moim dziecku. Prawdę, którą zabiorę ze sobą do grobu.

„Prawdziwe wyznania kurtyzany”

4

Oh, jesteś nareszcie! -zawołała Callie. Trzepocząc połami płaszcza niby wielkimi karmazynowymi skrzydłami, przemknęła przez wielką mroczną sypialnię w domu Hathawayów.

Isabel zamknęła drzwi. Przyjemne zmęczenie, jakie odczuwała po pierwszym balu w swym życiu, ustąpiło miejsca złości, kiedy przyjrzała się uważnie Callie. Jej długie blond włosy były rozpuszczone, skraj jaskrawej żółtej sukni ochlapany błotem, skandalicznie głęboki dekollet sięgał jej niemal do brzucha.

- Wystroiłaś się jak na spotkanie z bogatym klientem - strofowała ją Isabel. -Dlaczego nie nosisz sukni służącej? Tylko mi nie mów, że wychodziłaś na zewnątrz.

Callie oparła dłonie na swych kształtnych biodrach.

- A nawet jeśli, to co? To niesprawiedliwe, ty bawisz się w najlepsze na balu, a ja siedzę tutaj sama jak palec.

- Miałaś udawać przecież moją służącą. Zgodziłaś się na to.

- Tylko dlatego, że chcę ci pomóc w poszukiwaniach mordercy Aurory. - Callie wyciągnęła rękę i dotknęła jedwabnej sukni Isabel. - Ale może to wcale nie jest prawda. Może chcesz po prostu znaleźć sobie bogatego męża.

Isabel ściągnęła skórzane rękawiczki. Zaledwie kilka godzin temu lord Kern oskarżył ją o to samo.

- Mówiłam ci już, mama pisała o tym w swoim dzienniku, bała się, że ktoś ją otruje. Pozwoliłabym ci to przeczytać, ale...

- Aleja nie bardzo umiem - dokończyła Callie, wzruszając

ramionami. - Mimo wszystko z tego, co mówisz, nie wynika wcale, żeby Aurora miała jakiś konkretny dowód.

- Kilku byłych kochanków mamy odwiedziło ją w ostatnich tygodniach przed śmiercią. Każdy z nich mógł dosypać arszeniku do jej jedzenia lub picia. Minnie mówi, że tej samej nocy, kiedy mama zachorowała, wychodził od niej jakiś mężczyzna.

- Tak? - Callie zdumiała się. - Ale to był pewnie jakiś klient.

Isabel potrząsnęła głową ze zniecierpliwieniem.

- Wszystkie objawy choroby pasują do otrucia, potwierdził to nawet lekarz, z którym rozmawiałam.

- Hmm... Ale podobnie wyglądają też objawy nagłego ataku malarii. - Callie westchnęła ze smutkiem. - Cokolwiek to było, okropnie się nacierpiała przed śmiercią. Byłam tam... widziałam ją.

Isabel też to sobie przypominała. Pamiętała poczucie bezradności, kiedy mama umierała na jej oczach. Lekarz nie mógł w żaden sposób umniejszyć jej cierpień, przywrócić tej energii, która niegdyś czyniła z Aurory Darling niezrównaną piękność.

Ogarnięta nagłym smutkiem, z zaciśniętym gardłem, Isabel podeszła do kominka. Czerwone węgle żarzyły się jeszcze w palenisku, choć płomienie już przygasły. Przrzekła sobie w duchu, że mimo trudności, jakie napotykała na swej drodze, nie pozwoli, by wygasła jej determinacja, by ostygła w swych zapalonych. Nigdy!

Tego wieczoru, na balu, rozpoczęła bitwę o sprawiedliwość. Poznała sir Johna Trimble'a. To spotkanie zostawiło ją w niepewności. Przedtem chciała żywić dlań pogardę, nienawidzić go za te wszystkie lata milczenia. Chciała spojrzeć mu w oczy i zobaczyć w nich zimne okrucieństwo mordercy.

On jednak traktował ją z uprzejmością, wręcz z dobrocią. Ona zaś znów czuła tę samą pustkę, tęsknotę, którą pogardzała. Musiała przypomnieć sobie, że nie ma powodów, by jego podejrzewać o zabójstwo bardziej niż któregośkolwiek z pozostałych kochanków matki.

Czy on był jej ojcem? Aurora starannie unikała tego tematu w swych wspomnieniach, zmuszając córkę do szukania prawdy między wierszami. Jak na razie Isabel wiedziała tylko tyle, że

człowiek ów nazywany był przez matkę Apollo. Tymczasem sir John Trimble, jako jedyny spośród mężczyzn jej życia, nie otrzymał od niej żadnego pseudonimu, nie występował pod imieniem greckiego boga. Był jedynym człowiekiem, który naprawdę kochał Aurorę Darling. Jedynym, który znał jej sekrety.

Tylko jakie to były sekrety?

Pytanie to dręczyło Isabel bardziej niż kiedykolwiek. Zastanawiała się, czy rzeczywiście wcześniej już zamierzał opuścić miasto, czy też działał pod wpływem impulsu, nie chcąc się spotykać z nieślubną córką. Kiedy wróci, Isabel spotka się z nim na osobności i wreszcie się przekona raz na zawsze, co John Trimble wie o śmierci Aurory.

Wystarczy jedno moje słowo, a zrozumie, kim pani jest naprawdę: ladacznicą, oszustką i szantażystką.

Zafrasowała się jeszcze mocniej, przypomniawszy sobie groźby lorda Kern. Mógł zniszczyć jej reputację, odebrać jedyną szansę na odnalezienie zabójcy matki. Co gorsza, musiała przyznać, że te brutalne słowa naprawdę ją zabołały. Uświadomiły jej, że nigdy, przenigdy nie zostanie zaakceptowana w tym świecie. Bez względu na to, ile jeszcze bali przetańczy, ilu oszuka arystokratów, jej obecność w towarzystwie była tylko tymczasowa.

Callie objęła ją i uściśnęła mocno.

- Och, nie rób takiej smutnej miny - powiedziała. - Skoro czujesz się lepiej, przepytuj tych arystokratów, to ja nie będę ci w tym przeszkadzać. Ale uważaj. Jeśli poruszysz gniazdo pszczoł, któraś może cię użądlić.

- Muszę znaleźć zabójcę, oddać sprawiedliwość mojej mamie - odparła Isabel. - A ty musisz zachowywać się jak moja służąca. Proszę, ciociu, to potrwa tylko kilka tygodni.

- Nie martw się. Nikt nie przyłapie mnie na tym, jak wymykam się z tego budynku. Poza tym wybrałam się tylko z krótką wizytą do domu... - Callie przycisnęła dłonie do swych uróżwionych policzków. - Właśnie o tym chciałam ci powiedzieć. Persefona czuje się coraz gorzej. Koniecznie chciała się z tobą zobaczyć.

- Ciocia Persy? - Usłysząwszy tę smutną wiadomość, Isabel

zapomniała o wszystkich innych troskach. Złapała Callie za ramiona. — Powiedz mi, co się z nią dzieje?

- Okropnie rozboleł ją żołądek, a ta skąpa Minnie nie chce wzywać doktora. Mówi, że ten konował i tak nic nie poradzi.

- O Boże!

Isabel zdjęła szybko złoty spencer, w którym wróciła z balu u Winfreyów, narzuciła na ramiona skromny płaszcz i ubrała kaptur, by zasłonić włosy. Potem podbiegła do Callie, która znalazła tymczasem małe nożyczki i przy blasku świecy wyrównywała paznokcie.

- Chodź - ponagliła ją Isabel. - Musisz mi pokazać, jak się stąd niepostrzeżenie wymknąć.

- Oho, teraz to ty każesz mi skradać się po tym wielkim domu.

- Chcę tylko, żebyś pokazała mi właściwe drzwi. Potem natychmiast wrócisz do tego pokoju i będziesz tu na mnie czekać.

- Samotna kobieta nie powinna o tej porze wychodzić do miasta - zatroskała się Callie. - Ktoś może cię napaść.

- Mam sztylet - odparła Isabel, poklepując kieszeń, w której wyczuwała podłużny kształt noża. Dopóki morderca nie zapłaci za swój czyn, będzie nosić go przy sobie, wraz z małą cenną książeczką. - Chodźmy już, szkoda czasu.

Callie uniosła brwi, bez słowa jednak wstała z krzesła, wzięła do ręki świecznik i ruszyła do drzwi.

Kiedy wyszły na korytarz, Isabel przyłożyła palec do ust. Callie przewróciła oczami, a potem poprowadziła ją na tyły domu. Mrok otulał portrety i rzeźby zdobiące długi korytarz. Gruby dywan tłumił ich kroki. Kiedy mijały sypialnię Helen, Isabel usłyszała jej przytłumiony głos. Opowiadała zapewne o balu swej pokojówce.

Na szczęście z dołu nie dochodziły już żadne głosy. Po powrocie z balu Isabel i Helen zostawiły Hathaway'a i Kerna w hallu. Isabel do tej pory czuła na sobie wrogie spojrzenie tego drugiego, którym odprowadzał ją aż na samą górę schodów.

Jaką ogromną radość sprawiłoby mu przyłapanie jej na jakimś występku, jak bardzo chciałby ujawnić przed światem jej tożsamość.

Potała nagie ramiona, okryte jedynie cienką materią płaszcza.

Naprawdę nie miała się czego bać. Od momentu pożegnania, kiedy to służący poszedł do stajni, by przyprowadzić wierzchowca Kerna, minął co najmniej kwadrans, więc nadgorliwy hrabia pojechał już na pewno do domu.

W bibliotece na parterze Kern potrząsnął głową, kiedy Hathaway zaproponował mu szklaneczkę brandy. Niezrażony odmową, starszy mężczyzna nalał sobie złocistego płynu, potem usiadł w fotelu przy kominku, pociągnął łyk brandy i odchylił głowę do tyłu.

- Ach, za stary już jestem na te przyjęcia. Dajcie mi szklaneczkę przyzwoitego trunku i dobrą książkę, a z przyjemnością spędzę każdy wieczór w domu.

Kern krążył po pokoju jak zwierzę w klatce.

- Nie rozumiem, jak możesz być spokojny chociaż przez moment, kiedy ta oszustka mieszka pod twoim dachem.

Rozluźniona twarz Hathawaya stężała nagle w grymasie niezadowolenia.

- Usiądź na miejscu - przykazał Kernowi. - I przestań wreszcie mówić o moim gościu. Co się stało, to się nie od stanie.

Kern opadł na skórzany fotel.

- Możesz to jeszcze zmienić. Odesłać ją. Powiedzieć wszystkim, że musiała wrócić na wieś. Nikt nie będzie o nią wypytywał.

- I pozwolić, żeby opublikowała te wspomnienia.

- Tak. - Kern zacisnął dłonie na oparciu fotela. - To nie twoja wina, że lord Raymond zadawał się z ladacznicą.

- Już raz odbyliśmy tę rozmowę. Nie pozwolę, by mój brat został uwikłany w podobny skandal. Straciłby wtedy bezpowrotnie szansę na biskupstwo Londynu.

Przy innej okazji to granitowe spojrzenie zamknęłoby usta Kernowi. Nie teraz jednak, kiedy złość i oburzenie jątrzyły się w nim jak niezaleczona rana.

- Pomyśl więc o Helen. Panna Darling nie jest odpowiednią towarzyszką dla mojej przyszłej żony.

- Panna Darcy zachowywała się dzisiaj wieczorem bez za-

rzutu. Jest inteligentna i dobrze wychowana, jej matka odesłała ją na wieś, gdzie pobierała nauki u guwernantki. Poza tym obiecała mi, że wyjedzie stąd przed końcem sezonu.

- Pokładasz wielką wiarę w słowach szantażystki. Ona zmusi jakiegoś głupca, żeby jej się oświadczył. Nie możesz z czystym sumieniem pozwolić na to, by poślubiła jakiegoś dzentelmena.

- Jeśli dojdzie do takiej sytuacji, sam sobie z tym poradzę.

- Dojdzie do niej, możesz być tego pewien. A to jeszcze jeden powód, by ją stąd odesłać, nim ktoś odkryje jej tożsamość. Nim ludzie się dowiedzą, że ryzykowałeś własny honor.

- Nie kwestionuj mojego honoru, Justinie.

Widząc, jak Hathaway zaciska dłoń na szklance, by zapanować nad nerwami, Kern porzucił tę nieprzemyślaną linię ataku.

- Nie chciałem cię w żaden sposób obrazić. Ale Isabel Darling nie należy do naszego świata. To nieślubne dziecko kurtyzany.

Hathaway opróżnił szklanekę i z trzaskiem odstawił ją na stolik.

- Nikt z nas nie może zmienić okoliczności swych urodzin. Ani mój brat nie może odmienić swej przeszłości. Liczy się tylko teraźniejszość.

- Więc pozwól, by lord Raymond zapłacił za swoje grzechy. Tak jak mój ojciec.

- Nie bądź taki surowy, Justinie. Wszyscy popełniamy błędy. - Hathaway odwrócił głowę i wpatrywał się w ogień. Migotliwy blask kontrastował z jego nieruchomą twarzą, podkreślał wyraźnie profil, niczym wykuty w kamieniu. - Prawdę mówiąc, czasem lepiej poddać się namiętności, niż zaprzeczać jej istnieniu.

Kern, wstrząśnięty, zerwał się na równe nogi.

- I ty to mówisz? Ty, który zawsze prowadziłeś przykładne życie?

- Nie jestem wcale bohaterem, którego można by postawić na marmurowym piedestale. - Kiedy Kern chciał głośno zaprzeczyć, Hathaway przesunął dłonią po twarzy, jakby nagle opadł z sił. - Nie mam dzisiaj ochoty na kłótnie. Idź już sobie. I nie chcę więcej słyszeć ani słowa na ten temat.

Kern wiedział z doświadczenia, że kiedy jego starszy przyjaciel i opiekun podejmie już jakąś decyzję, nikt go od niej nie

odwiedzie. Przelknawszy tę gorzką pigułkę, pożegnał się z nim i wyszedł z domu.

Nadal jednak wcale nie czuł się zobowiązany do tego, by zaakceptować Isabel Darling. Wręcz przeciwnie. Wtargnęła w jego uporządkowane życie, bezczelnie zajęła pozycję zupełnie nieadekwatną do swego urodzenia, a teraz chciała uwieść jakiegoś nieświadomego dżentelmena. Na samą myśl o takim bezecnym planie dostawał białej gorączki. Nie mógł bezczynnie przyglądać się jej poczynaniom, tak jak nie mógłby patrzeć na zbrodnię popełnianą na jego oczach.

Dosiadł wierzchowca i wyprowadził go na ulicę, coraz bardziej umacniając się w przekonaniu, że nie może na to pozwolić. Powstrzyma Isabel Darling, nie pozwoli jej, by zdobyła stałe miejsce w towarzystwie. Kiedy zbliżał się do skrzyżowania, zerknął w boczną uliczkę. Niewesołe rozmyślenia natychmiast ustąpiły miejsca czujności.

Z ciemnego przejścia pomiędzy stajniami wynurzyła się drobna zakapturzona postać.

Kilka minut wcześniej Isabel, wypatrując drogi w chwiejnym blasku świeczki, zstępowała powoli po wąskich i stromych schodach. Ponieważ młode damy nie miały wstępu do pomieszczeń dla służby, nigdy wcześniej nie szła tą drogą.

- Dokąd prowadzi ten korytarz? - spytała szeptem CalHe, która szła przed nią.

- Do przechowalni naczyń. Uważaj na lokaja. Śpi obok srebra.

- Śpi... dlaczego?

- Pilnuje srebrnej zastawy. - Callie uśmiechnęła się do niej w ciemności. - A przy okazji pilnuje też, żeby nikt ze służby nie wychodził na noc.

- Więc jak...

Ale Callie otwierała już drzwi u podnóża schodów. Wysunęła głowę i po chwili przywołała do siebie Isabel. Ta przemknęła na palcach przez korytarz i wyjrzała zza ramienia swej ciotki.

Przechowalnia mieściła się w owalnym pomieszczeniu. W wysokich przeszklonych gablotach stały rzędy naczyń i sreber,

w których odbijał się teraz nikły blask świecy. Pokój wypełniało głośnie chrapanie głównego lokaja, Bottsa, rytmiczne pomrukiwanie i świst wypuszczanego powietrza.

Isabel dojrzała w rogu zarys łóżka i grubej postaci służącego, okrytej kocem. Modłać się w duchu, by nie zechciał w tej właśnie chwili otworzyć oczu, przemknęła obok jego legowiska. Callie szła przed nią swobodnym krokiem, jakby wcale jej to nie obchodziło.

Kiedy pokonały już tę najtrudniej szą przeszkodę, poprowadziła Isabel przez labirynt ciemnych pokoi. Potem przeszły jeszcze przez krótki korytarz, by wreszcie znaleźć się na zewnątrz, w chłodnej ciemności nocy.

Callie wskazała na ścieżkę przecinającą mały zamglony ogródek.

- Wyjdź przez tę bramkę, potem skręć w prawo. I patrz pod nogi, pełno tu końskiego łajna. - Przez moment stała w milczeniu, osłaniając dłonią płomień świecy i przyglądając się Isabel z troską. - Może powinnam pójść z tobą?

- Nie, musisz zostać tutaj na wypadek, gdyby ktoś zapukał do mojego pokoju. Jeśli nie wrócę do rana, powiedz wszystkim, że nie czuję się najlepiej i chcę dłużej pospać.

Isabel przeszła szybko przez ogród. Wiatr poruszał liśćmi brzozy i roznosił w powietrzu zapach ziemi. Siwe pasma mgły owijały się wokół krzewów niczym jakieś upiorne palce. Otworzyła bramkę, dziękując w duchu temu, kto naoliwił zawiasy.

W stajni parsknął koń, poza tym dokoła panowała idealna cisza. Stajenni i woźnica na pewno już spali. Powoli przemykała się mrocznym przejściem, zmierzając w stronę jaśniejszego kwadratu, znaczącego koniec zabudowań. Dzięki zgrabnym bucikom do tańca mogła stąpać niemal bezszelestnie.

Choć było już dobrze po północy, a ona czuła się zmęczona po długim balu, wiedziała, że nie spocznie, dopóki nie zobaczy Persy. Szybkim marszem mogła dotrzeć do domu w pół godziny, pocieszyć ciotkę, pomóc jej w chorobie i wrócić przed wschodem słońca do rezydencji Hathawayów.

Skręciła w boczną uliczkę i przyspieszając kroku, ruszyła

w stronę rynku. Tutaj mgła wydawała się jeszcze gęstsza niż między stajniami. Czarne i wilgotne gałęzie drzew wyglądały jak kościste ręce ogromnego szkieletu. Z dala dobiegł ją stukot kopyt; po chwili jednak ucichł. Niesamowita cisza otulała puste ulice, po których nie jeździły powozy i których nie przemierzał żaden pieszy, prócz niej. Wzdrygnęła się, ogarnięta nagłym poczuciem samotności.

Jeszcze bardziej przyspieszyła kroku, sięgnęła do kieszeni i zamknęła dłoń na rękojeści sztyletu. Nie odrywała spojrzenia od żółtego płomyka jarzącego się w rogu placu. Gazowe latarnie poprowadzają przez ciemność. Myślami była już na końcu drogi, w domu. Czy ciocia Minnie pamiętała, że ciocia Persy zawsze czuje się lepiej po wypiciu naparu z szałwi i mięty? Czy podała jej już laudanum?

Isabel dotarła wreszcie do pierwszej z szeregu latarni. Dziwne, jak mały krąg światła dodaje człowiekowi odwagi. Choć miała ochotę zatrzymać się tam na chwilę, zesza z krawężnika, unosząc skraj sukni, by nie umoczyć jej w kałuży. Nagle drgnęła przestraszona, usłyszawszy stukot końskich kopyt.

Z mroku po drugiej stronie ulicy wychynał jeździec na czarnym koniu. Jechał prosto na nią.

Stłumiony okrzyk przerażenia wyrwał się z ust Isabel. Błyskawicznie wyciągnęła z kieszeni sztylet i doskoczyła do latarni, opierając się o nią plecami. Nieznajomy zatrzymał się tuż za kręgiem światła, wysoki i groźny, okryty mrokiem.

- Panna Darling - syknął. - Więc to pani.

Lord Kern. Poznałaby ten sardoniczny ton na końcu świata. Teraz dostrzegła także ironiczny uśmiech, choć oczy nadal ginęły w cieniu. Strach i zdumienie wywołane tym niespodziewanym spotkaniem zamieniły się w gniew.

- Jak pan śmie traktować mnie w ten sposób! - wybuchnęła Isabel.

- Widziałem, że ktoś wymyka się z domu jak złodziej. - Kern ściągnął mocniej cugle, uspokajając swego wierzchowca. - Proszę schować ten nóż.

Choć najchętniej wbiłaby sztylet w jego serce, Isabel posłusznie wsunęła broń do sekretnej kieszeni.

- Nie jestem złodziejką. Może pan jechać dalej.
- Więc co pani tutaj robi?
- Nie mogłam zasnąć - skłamała. - Wybrałam się na spacer.
- Damy nie chodzą samotnie po ulicach. - Zmierzył ją pogardliwym spojrzeniem. - Oczywiście, trudno pozbyć się starych nawyków.

- Mam już na dziś dość pańskich obelg.

- A ja mam już dość pani szaleństw.

Kiedy zaczął zsiadać z konia, Isabel wykorzystwała okazję i przeszła przez ulicę.

- Niech się pan nie trudzi! - zawołała przez ramię. - Jeśli ktoś zrobi mi krzywdę, dla pana będzie to tylko powód do radości.

Kern zawrócił konia i ją dogonił.

- Jeśli ktoś panią zobaczy, wybuchnie skandal. Chyba nie chce ryzykować pani swego diabelskiego planu dla wieczornego spaceru.

Isabel omal nie przystanąła na moment, przerażona, że Kern dowiedział się o jej prywatnym śledztwie. Ale nie, on wciąż myślał, że szuka bogatego męża.

- Jeśli nie chce pan skandalu, to proszę odjechać i zostawić mnie w spokoju. To pan może ściągnąć na nas czyjaś uwagę, nie ja.

- Chcę wiedzieć, dokąd pani idzie.

- Już panu mówiłam, wybrałam się na spacer.

- Na spacer - powtórzył z ironią, a potem spytał już ostrzejszym tonem: - Umówiła się pani na schadzki z Mobreyem? Mógł przynajmniej wysłać po panią powóz.

Isabel zacisnęła pięści. Dlaczego ten przeklęty Kern zawsze myślał o niej w najgorszych kategoriach?

- Jest pan niezwykle przenikliwy - odrzekła z jadowitym uśmiechem. - Jego powóz czeka na mnie za następnym rogiem. Teraz może pan już spokojnie odjechać. Sama doprowadzę się do upadku i zniknę z pańskiego życia, a pan nie będzie musiał nawet ruszyć palcem.

Wpatrzona w rząd domów okrytych cienką zasłoną mgły, z dumnie uniesioną głową maszerowała prosto przed siebie. Tak, teraz hrabia powinien być wreszcie usatysfakcjonowany. Jeśli

ma trochę oleju w głowie, odjedzie i pozostawi ją własnemu losowi.

Kern zaklął siarczyście pod nosem. Isabel dojrzała kątem oka jakiś ruch i chciała się odwrócić, lecz w tej samej chwili muskularne ramię hrabiego zamknęło się wokół jej talii i wciągnęło ją na siodło.

Znalazła się nagle na koniu, wciśnięta pomiędzy swego dręczyciela i lęk siodła, zawieszona wysoko nad ziemią. Każdy ruch pogarszał tylko jej sytuację, przyciskał ją jeszcze mocniej do jego twardego ciała.

Była wściekła, oburzona do głębi jego bezczelnością. Przechyliła głowę, chcąc natychmiast zażądać od niego uwolnienia. Lecz obraźliwe słowa zamarły jej w gardle. Jego twarz, okryta mrokiem, groźna i nieustępliwa, napęliła ją nagle strachem. Nawet przez grubą warstwę ubrań czuła mocne bicie jego serca. Przy każdym oddechu czuła męski zapach: skóry i piżma, ciemności i niebezpieczeństwa. Ogarnęła ją nagła pokusa, by podnieść ręce i przyciągnąć do siebie jego głowę, dotknąć gładko wygolonych policzków, posmakować męskich ust...

Otrząsnęła się z tych rozmyślań, przerażona. To było właśnie seksualne pożądanie, cielesne pragnienia, o których rozmawiały jej ciotki, kiedy myślały, że ich nie słyszy, sekretny ból, jaki nawiedzał ją czasem w nocy. Przynęcała sobie już dawno, że nie pójdzie śladem matki, że nie odda się byle komu, że zachowa swe ciało i namiętność dla mężczyzny, który zdobędzie jej szacunek i zaufanie.

Dlaczego więc pożądała tego brutalnego arystokraty?

Próbowała odepchnąć od siebie jego ramię.

- Proszę mnie puścić.

Kern jednak objął ją jeszcze mocniej, jakby chciał sprawić jej ból. Koń szarpnął się nerwowo do przodu, a Isabel uderzyła w lęk siodła.

- Niech pani przestanie się wiercić! - warknął Kern.

- Dokąd pan mnie zabiera?

- Z powrotem do domu lorda Hathawaya. Nie pozwolę, by okryła pani wstydem markiza i Helen.

Pomyślała o Persefonie, osłabionej chorobą, wyczekującej jej wizyty.

- Proszę poczekać! Nic pan nie rozumie.

- Jeśli chodzi pani o Mobreya, to nie ma się pani czym martwić, z pewnością nie da łatwo za wygraną. Jestem pewien, że przybiegnie tutaj już jutro rano, będzie obsypywał panią pochlebstwami i dopraszał się łask.

- Jeśli już musi pan to wiedzieć - mówiła przez zaciśnięte zęby - to wcale nie miałam się z nim spotkać. Proszę mnie teraz wypuścić.

Kern zatrzymał konia. Z mgły wyłaniała się fasada domu Hathawaya. Jedyne słaby blask świecy w oknie pokoju Isabel rozpraszał otulające go ciemności. Lecz nawet wielka i ponura bryła domostwa nie wzbudzała w niej takiego strachu jak mężczyzna, który wziął ją w niewolę.

Dopiero w tej chwili zdała sobie sprawę z grozy swego położenia. Gdyby Kern wiedział, że dziennik Aurory znajduje się w zasięgu jego ręki, podniósłby jej spódnicę i go zabrał. Wstrzymała oddech, wyobrażając sobie, jak jego dłoń przesuwają się po jej udzie...

Hrabia ujął Isabel pod brodę i uniół jej głowę. Jego oczy błyszczały groźnie w ciemności. Znów poczuła ten dziwny żar, szokujące pragnienie, by się do niego przytulić, obrócić się w siodle i objąć go nogami.

- Kłamiesz - powiedział beznamiętnym tonem.

Musiła zastanowić się przez moment, by zrozumieć, że on mówi o jej rzekomej schadzce z Mobreyem.

- Nie.

- Mogę udowodnić to w każdej chwili i odszukać powóz Mobreya.

- Proszę, niech pan to zrobi. Nie znajdzie go pan.

- Więc dokąd pani szła? I proszę nie powtarzać już tych bzdur o wieczornym spacerze.

- Do mojej ciotki Persy - wybuchnęła Isabel, chcąc się go wreszcie pozbyć. - Jest ciężko chora, potrzebuje mnie.

- Gdzie mieszka?

- W lupanarze, z moimi pozostałymi ciociami.

- Ach, z pani ciociami.

- Tak. Pan może nimi pogardzać, ale to jedyna rodzina, jaką

mam. - Przypomniał sobie tę smutną prawdę, poczuła nagle, jak łzy napływają jej do oczu. Szybko odwróciła głowę, by Kern tego nie zauważył, a potem znów próbowała wyzwolić się z jego uścisku. - A teraz proszę pozwolić mi odejść. Nie mam czasu do stracenia.

- Na miłość boską, niech pani przestanie się wreszcie wiercić.
- Poderwał konia do truchtu. - Zawiozę tam panią.
- Nie potrzebuję pańskiej pomocy.
- I tak ją pani otrzyma, więc proszę się ze mną więcej nie kłócić.

Prowadząc swego rumaka przez zamglone ulice, Kern potarzał sobie w duchu, że nie powinien wierzyć Isabel Darling. Była oszustką, szantażystką i ladaczną. Jednak bez względu na to, jak podły był jej charakter, nie mógł pozwolić, by samotna kobieta błąkała się nocą po mieście.

Niech diabli wezmą to wybujałe poczucie obowiązku!

I miękkie serce. Przed chwilą wydawało mu się, że widział w jej oczach łzy.

Bliskość tej dziewczyny nie pozwalała mu zebrać myśli. Choć siedziała sztywno jak manekin, jej kobiece kształty przyprawiały go o szaleństwo: idealnie zaokrąglone biodra, delikatne ramiona, pełne piersi... Choć raz chciał pozbyć się skrupułów, ściągnąć ją na ziemię i kochać się z nią, namiętnie, gwałtownie. Chciał brać ją raz za razem, aż przestanie dręczyć jego ciało i umysł.

Lepiej poddać się namiętności, niż zaprzeczać jej istnieniu.

Do diabła z tym. Nie zaprzeczał wcale istnieniu namiętności. Jak mógłby to robić, gdy jego lędźwia trawił żar pożądania? Wiedział jednak, że jeśli podda się tym zwierzęcym żądom, stanie się podobny do ojca.

Oddychał ciężko, jakby zmagał się z jakąś wielką niewidzialną siłą. Jego dłonie pociły się w cienkich skórzanych rękawiczkach. Zbyt wiele czasu upłynęło, odkąd po raz ostatni spróbował zakazanego owocu kobiecego ciała, to wszystko. Potrzebował żony, i to szybko. Potrzebował łagodnej, niewinnej Helen. Wtedy uwolniłby się wreszcie od tych mrocznych fantazji. Fantazji, w których główną rolę odgrywała panna Isabel Darling.

Nim dotarli do domu w cichej uliczce przy Regent Park, Kern

był bardziej zmęczony niż jego koń. Pomógł Isabel zeskoczyć z siodła i nim sam zdążył pójść jej śladem, znikła już w drzwiach domostwa.

Ponieważ nie mógł o tej porze liczyć na pomoc żadnego parobka, Kern sam poprowadził konia przez ciemność, podobnie jak on szukając ochłody i chwili uspokojenia.

- No i co o tym sądzisz? - mruknął, głaszcząc kark wierz chowca. - Uciekła bez słowa podziękowania, choć kosztowało nas to obu немало wysiłku.

Deresz spojrział nań swymi ciemnymi oczyma i parsknął cicho, jakby chciał pocieszyć jakoś swego pana.

- Pewnie się spodziewa, że będziemy czekać tu na nią przez pół nocy, jakbyśmy nie mieli nic lepszego do roboty.

Koń potrząsnął jedwabistą grzywą.

Kern przywiązał cugle do żelaznego płotu.

- Piekielne kobiety - mruknął jeszcze raz. - Masz szczęście, że jesteś wykastrowany.

Tym razem koń uderzył kopytem w bruk i zarżał.

Pan poklepał go po szyi na pożegnanie, wszedł na ganek i zapukał do drzwi. Po chwili ktoś odciągnął zasuwkę i uchylił lekko drzwi.

W progu stała wysoka szczupła kobieta. Rude falowane włosy spływały kaskadą aż do talii, brązowe oczy patrzyły nań z nieskrywaną niechęcią.

- Kim pan jest?

- Przyszedłem do panny Darling.

- Nie słyszał pan? Panna Darling nie żyje.

Na moment stracił dech z przerażenia. Potem zrozumiał, o kim mówi kobieta.

- Chodzi mi o młodszą pannę Darling.

- Jest zajęta.

Rudowłosa chciała zatrzaskać mu drzwi przed nosem, Kern jednak zablokował je stopą.

- Przed chwilą przywiozłem ją tutaj. Proszę mnie natychmiast wpuścić.

Kobieta z niechęcią wykonała jego polecenie i pozwoliła mu wejść do mrocznego korytarza. Słaby blask świecy oświetlał jej

twarz, wykrzywioną w grymasie niechęci i gniewu, jakby Kern był diabłem we własnej osobie.

- Minnie się to nie spodoba. Ten dom jest zamknięty dla mężczyzn.

Kern omal się nie roześmiał. Ta kobieta najwyraźniej brała go za rozpustnika, nocnego hulakę. Gdyby tylko wiedziała, cóż naprawdę targa jego duszą...

- Pani nazywa się Diana, prawda?

- Kto panu o tym powiedział?

Osoba, która nigdy nie umożliwiła mu pierwszej wizyty w tym domu, zostawiając otwarte drzwi dla służby, powiedziała mu także wszystko o mieszkających w nim kobietach.

- To nieważne. Proszę powiedzieć pannie Darling, że lord Kern oczekuje jej na dole.

- Sam pan może jej to powiedzieć. Jest na górze. - Diana wskazała na schody prowadzące na piętro. - Tylko proszę nie hałasować, mamy tutaj chorą kobietę. - Rudowłosa obróciła się na pięcie i wyszła na schody, unosząc ze sobą świeczkę.

Kern przechadzał się po ciemnym korytarzu. Nie zamierzał wchodzić do sypialni obcej kobiety, choć oczywiście nie miał podobnych skrupułów, kiedy był tutaj po raz pierwszy i zakradł się do buduaru Isabel.

Choć godzina była już późna, naładowany energią, wcale nie czuł senności. Od czasu do czasu spoglądał na piętro, nie dostrzegając tam jednak żadnych oznak życia. Z ciemności dochodziły go tylko jakieś przytłumione głosy. Wreszcie postanowił przejść do pustego salonu na parterze.

W pokoju było chłodno, ogień dawno już wygasł w kominku, ktoś uprzętnął nawet popiół. Mimo ciemności Kern zorientował się, że salon urządzone jest równie kiczowato jak pozostała część domu; różowe i złote draperie przesłaniały okna, posążki półnagich bogiń i bogów zdobiły kominek i stoliki, sofy ustawione były obok siebie - z pewnością z myślą o orgiach. Wyobraził sobie, jak leży na jednej z nich, Isabel dosiada go niczym wierzchowca, podciągnięta suknią odsłania jej białe nogi, delikatną skórę, której może dotykać do woli...

Klnąc pod nosem, opadł na najbliższy fotel i rozsiadł się

wygodnie, prostując nogi i rozluźniając fular pod szyją. Zegar na kominku tykał miarowo. Ogromnym wysiłkiem woli Kern uciszył jakoś pożądlivą bestię, która próbowała ośwładać jego umysłem. Obiecał sobie solennie, że nie będzie więcej dręczył się wyobrażeniami cielesnych rozkoszy, których siedliskiem był len dom. Zdyscyplinuje swój umysł, skoncentruje się na innych problemach...

Wreszcie zasnęła - wyszeptwała Isabel.

Z czułością patrzyła na kobietę leżącą w łóżku. Ciotka Persy wyglądała bardzo staro, jej blade policzki były zapadnięte, powieki poznaczone siatką niebieskich żyłek, spod czepka wymykały się kosmyki siwych włosów. Słaby oddech ledwie poruszał okrywającą ją kołdrę.

Drzwi pokoju chorej otworzyły się cicho. Stała w nich ciotka Minnie, gestem przywołując Isabel do siebie. Ta wzięła do jednej ręki świecznik, do drugiej pustą filiżankę po herbacie i bezszelestnie wymknęła się na korytarz.

Pulchna Irlandka kręciła głową ze smutkiem.

- Pierwsza chwila wytchnienia od dwóch dni, biedaczka. I przez cały czas wzywała ciebie.

- Powinnaś była zawiadomić mnie wcześniej - mruknęła Isabel, tłumiąc poczucie winy. - Wiesz, że natychmiast bym się tu zjawiała.

- I zostawiła swoich nowych przyjaciół dla biednej chorej ładaczniczki? Myślałam, że zapomniałaś już o tych wszystkich, którzy pomagali ci kiedyś w życiu.

- Oczywiście, że nie zapomniałam. Nie było mnie tylko przez dwa tygodnie.

Minnie wzięła od niej filiżankę i odstawiła ją na stolik pod obrazem Kupida i Psyche.

- Hm. I przez ten czas ani razu nas nie odwiedziłaś. Coś mi się zdaje, że zasmakowałaś w takim życiu i wydaje ci się, że możesz zostać tam już na zawsze.

- Chcę odnaleźć człowieka, który zabił moją mamę. - Isabel przełknęła z trudem ślinę zastanawiając się, czy łagodnie uspo-

sobienie Trimble'a kryje duszę równie odrażającą jak jego twarz. - Chcę, żeby zapłacił za swoją zbrodnię.

- Znów te bzdury. Ile razy mam ci powtarzać, że nikt nie zabił Aurory?

- To nie są żadne bzdury. Sama powiedziałaś, że tamtej nocy widziałaś mordercę.

- Widziałam tylko jakiegoś mężczyznę, nie mordercę. Gdybym wiedziała, że tak sobie to wbijesz do głowy, nigdy bym o tym nie wspomniała. - Minnie skubała z irytacją frędzle swego czarnego szala. - Założmy nawet, że jakiś łajdak naprawdę ją zabił. Myślisz, że przyzna się, bo ty go o to poprosisz? Raczej zabije też ciebie.

Isabel wzdrygnęła się odruchowo.

- Muszę poznać prawdę - oświadczyła stanowczo.

- Matko Boska, dziewczyno, nabierz trochę rozumu. Żaden sąd nie będzie przedkładał twojego słowa nad słowo arystokraty. Nie myśl też sobie, że uda ci się kogoś przechytrzyć. Jesteś tym, kim jesteś, córką ulicznicy, i nie zmieni tego żadna, choćby najpiękniejsza suknia.

Te słowa ugodziły Isabel prosto w serce. Przez moment nie mogła wydobyć z siebie żadnego dźwięku. Prędzej oczekiwałyby takich obelg od lorda Kern niż ze strony Minnie, która tak często zastępowała jej matkę, gdy ta nie mogła odwiedzać jej osobiście. Powoli, starając się nie okazywać bólu i urazy, odparła:

- Wiem, kim jestem, ciociu.

- Tak myślisz? - Minnie objęła ją mocno, przytuliła do siebie w matczynym geście. - Och, kochanie, wybacz, że jestem taka bezpośrednia, ale martwię się o ciebie. Chcę cię ochronić przed okrucieństwem świata, to wszystko.

Isabel delikatnie wysunęła się z objęć ciotki, nie pozwalając sobie nawet na chwilę słabości.

- Teraz jestem już dorosłą kobietą. Potrafię zadbać o siebie.

- Potrafisz? Myślę, że najlepiej zrobiłabyś, wracając do domu, tu gdzie jest twoje miejsce. - Minnie westchnęła ciężko. - Myślałam dużo o tych memuarach. Jeśli chcesz za ich pomocą wyciągnąć od kogoś trochę pieniędzy, nie będę ci przeszkadzać. Przydałoby nam się trochę gotówki, mogłybyśmy wtedy kupić

ten dom na wsi. Być może dla Persy to jedyna szansa na wyzdrowienie.

Ta świadomość ciążyła Isabel kamieniem.

- Załatwię jakoś te pieniądze. Ale najpierw muszę znaleźć zabójcę mamy.

- Jesteś tak samo uparta jak Aurora. - Mrużąc oczy ze złości, Irlandka zmierzyła ją gniewnym spojrzeniem. - Pewnie będziesz chciała wrócić do Hathawaya. Sprowadzę tutaj tę leniwą dziewczę, Dianę, niech ona posiedzi trochę przy Persy.

- Nie. Ja... zostanę trochę dłużej.

- Rób, jak chcesz. Założę się, że nie zobaczymy cię znów, nim miną następne dwa tygodnie. - Dumnie unosząc głowę, Minnie przeszła przez ciemny korytarz i zniknęła w swoim pokoju.

Isabel chciała wołać za nią, przeprosić, że znów musi odejść z domu. Ale dlaczego właściwie miałyby przeproszać? Przyświecał jej szlachetny cel. Chciała tylko sprawiedliwości, nie mogła pozwolić, by nawet arystokrata nie poniósł kary za zbrodnię. Ponieważ Trimble wyjechał na razie z miasta, zamierzała zająć się teraz bliżej wielebny lordem Raymondem Jeffries, księciem Lynwood i innymi podejrzanyimi.

Powróciwszy do sypialni, postawiła świecznik na nocnym stoliku, a potem próbowała wygładzić balową suknię, teraz beznadziejnie pomiętą. Gdzieś po drodze do domu zgubiła też kilka spinek do włosów, a luźne kosmyki opadały na jej plecy. *Jesteś tym, kim jesteś, córką ulicznicy...*

Kern także nigdy nie pozwolił jej zapomnieć o przeszłości. Drwił z niej, gdy spotkał ją samą na ulicy, oskarżał o potajemne schadzki z Mobreyem. A kiedy siedziała przed nim na koniu, ogarnęły ją grzeszne myśli, chciała poznać dotyk jego dłoni i smak ust.

Pożądanie płonęło w niej jak ogień, choć nie przyznawała się do tego; nie chciała, by jej ciało było równie słabe jak ciało jej matki. Przynajmniej mogła być wdzięczna Kernowi, że zostawił ją tutaj i powrócił do swego świata.

Wyczerpana i znużona, opadła na krzesło obok stolika. Ciotka Persy oddychała głębiej, miarowo, choć jej twarz nadal wydawała się nienaturalnie blada, oczy były podkrążone i obwiedzione

czernią. Jej szczupłe ręce leżały na kołdrze, rękawy koszuli podwinęte były do łokci. Wiele lat temu, kiedy Isabel była jeszcze dzieckiem, ciotka Persy zawsze miała dla niej jakieś smakołyki ukryte w rękawie.

Isabel poczuła nagle, jak łzy napływają jej do oczu. Mrugając gwałtownie, sięgnęła do ręki chorej kobiety, by zbadać jej puls. Wciąż był słaby jak bicie ptasiego serca. Nagle przeszył ją zimny dreszcz. Pomyślała, że zaledwie rok temu jej matka także leżała nieruchomo w łóżku, zbyt osłabiona, by z nią rozmawiać...

Otrząsnęła się z tych smutnych myśli. Ciotka Persy nie została otruta. Cierpiała na chorobę, której musiała się obawiać każda kurtyzana, a jej nawroty przykuwały ją co jakiś czas do łóżka. Jak dotąd był to najgorszy atak.

Niespodziewanie szczupłe palce ciotki Persy zacisnęły się na ręce Isabel. Chora westchnęła przez sen, jakby dotyk czyjejs dłoni przyniósł jej ulgę.

Dziewczyna także poczuła się lepiej. Pochyliła się nad łóżkiem, położyła głowę na kołdrze. Kiedy zachorowała matka, Isabel przebywała na wsi i niewiele brakowało, a nie zastałaby jej już przy życiu. Modliła się, by teraz nie opuściła jej również ciotka Persy. Jeszcze przez chwilę potrzyma jej dłoń...

A zegar wybił piątą.

Kern ocknął się. Musiał się zdrzemnąć. Zziębnięty i zeszywniały, podniósł się z fotela i przeciągnął kilkakrotnie. Zbliżał się świt, w wielkich domach Londynu służący rozpalali już zapewne ogień na kominkach.

Do diabła! Co ta Isabel robiła tam tak długo?

Wszedł na schody i stał tam przez chwilę, opierając dłoń na złoconej gałce. Powinien ją tutaj zostawić, pozwolić, by sama wróciła do domu i tam wytłumaczyła, dlaczego przychodzi w środku dnia w pomiętej sukni balowej.

Lecz bardziej jeszcze niż panna Darling ucierpiałaby na tym Helen. Mimo gorzkich słów, jakie powiedział Hathawayowi

minionego wieczoru, nie chciał, by narzeczona odkryła ponurą prawdę o swej „kuzynce”.

Isabel musiała opuścić to miejsce. Teraz. Czy jej się to podobało, czy nie.

Powoli, cicho wspiął się na schody. Przypomniawszy sobie rozkład domu, skręcił w korytarz. Białe migotliwe światło doprowadziło go do uchylonych drzwi.

Na nocnym stoliku dopalała się właśnie świeca. Jakaś starsza kobieta leżała na łóżku. Była chorobliwie biała i wychudzona. Gdyby nie ledwie dostrzegalny ruch kołdry, pomyślałby, że nie żyje. Chudą dłonią obejmowała rękę Isabel.

Ona także spała. Siedziała na krześle obok łóżka, oparta głową o materac. Oddychała miarowo przez lekko rozchylone usta. Ciemne kosmyki spadały na jej plecy nieuporządkowaną, ciemną falą. Patrząc na nią, Kern poczuł nagły przyptyw czułości.

Walcząc z tym niechcianym uczuciem, zbliżył się do niej i dotknął lekko ramienia. Jej skóra była cudownie delikatna i ciepła. Isabel westchnęła przez sen, a ten uwodzicielski dźwięk przypomniał mu o jego najciemniejszych pragnieniach. Potrząsnął nią mocniej.

Isabel zatrzepotała powiekami, wreszcie uniosła je powoli. Przeciągnęła się rozkosznie, jakby szukając wygodniejszej pozycji. Potem podniosła wzrok na Kerna.

Otworzyła szeroko oczy, ciemne klejnoty na tle białej twarzy. Była wyraźnie zaskoczona jego obecnością. Nigdy dotąd nie widział jej tak bezbronnej, bez nieodłącznej maski przekory i wyniosłości. Teraz pochylił się nad nią niżej, przyciągany jakąś niewidzialną siłą. Była ucieleśnieniem słodkiej dziewczęcej niewinności i jednocześnie sennej kobiecej zmysłowości. Ogarnięty pokusą silniejszą niż zwykłe pożądanie, chciał wziąć ją na ręce i obudzić czułym pocałunkiem.

-- Czas wracać - powiedział.

- Szs... - Usiadła prosto i spojrzała na kobietę leżącą na łóżku. - Nie mogę zostawić cioci Persy.

- Musisz. Chyba że chcesz zrezygnować ze swojego planu.

Powoli i ostrożnie wyzwoliła się z uścisku szponiastych palców. Od razu wiedział, że ten argument na pewno na nią

podziła. Isabel Darling dbała tylko o własne interesy. Pochylaj ąc się nad łóżkiem, poprawiała kołdrę na śpiącej kobiecie. Kern zastanawiał się cynicznie, dlaczego odgrywa przed nim to przedstawienie, udaje czułą i troskliwą opiekunkę. Ręką dała mu znak, by wyszedł.

- Ja zostanę tutaj jeszcze trochę - wyszeptała. - Zeszłabym wcześniej i powiedziała panu o tym, ale nie miałam pojęcia, że pan tam czeka.

Kern nie wierzył własnym uszom.

- Wszyscy będą się zastanawiać, gdzie pani jest.

- Później coś wymyślę. - Isabel zagryzła wargę i spojrzała z troską na chorą. - Nie mogę jej jeszcze zostawić. Muszę mieć pewność, że odwiedzi ją lekarz...

- Co jej dolega?

Uniosła dumnie głowę, jakby oczekiwała z jego strony szyderstw.

- To syfilis. Od czasu do czasu miewa nawroty, czasem bardzo ciężkie.

- Rozumiem.

- Doprawdy? - spytała Isabel, uśmiechając się gorzko. - Zaraził ją jakiś dżentelmen, ktoś z pańskiego idealnego świata. A mimo to nie możemy tu sprowadzić żadnego kompetentnego lekarza. Jedyne, który zgadza się przychodzić, chce jej upuszczać krew, a ona i bez tego jest już bardzo osłabiona.

- W takim razie przyślę tu lekarza mojego ojca. Trudno o lepszego specjalistę - wypalił Kern bez zastanowienia i natychmiast chciał odwołać te słowa. Zmienił jednak zdanie, ujrzawszy pełną niedowierzania i ostrożnej nadziei twarz Isabel.

Sięgnęła po jego dłoń i zamknęła je w kurczowym uścisku.

- Lordzie Kern, naprawdę zrobi pan to dla niej?!

Dla ciebie, pomyślał. Dla ciebie.

Wstrząśnięty, wyrwał dłoń z jej uścisku.

- Niech pani sobie za wiele nie wyobraża - oświadczył chłodnym tonem. - Chcę tylko, żeby natychmiast wróciła pani do domu lorda Hathaway. Nim wywoła pani skandal.

5

Gdzie był Kern?

Wyczekując niecierpliwie wiadomości o stanie zdrowia Persy, Isabel uśmiechała się słabo do kolejnego gościa, który z determinacją przedzierał się w jej stronę przez zatłoczony salon. Było późne popołudnie, godzina odwiedzin, i w domu Hathawayów zebrało się całkiem spore, kilkudziesięciosobowe towarzystwo.

Chudy rudowłosy młodzieniec zatrzymał się przed Isabel i złożył jej głęboki ukłon. Wydawał jej się znajomy, ale przez jedną straszliwą chwilę nie mogła przypomnieć sobie jego nazwiska. Towarzyszyła mu jego mama, tęga i wysoka kobieta, odziana w brązowy perkal.

- Witam panią, panno Darcy. To dla mnie ogromna radość móc znowu panią ujrzeć. - Podał jej bukietek białych lilii przewiązanych wstążką. - Proszę przyjąć ten skromny poda runek.

Biorąc kwiaty, Isabel szukała w pamięci jego nazwiska.

- Dziękuję panu bardzo, panie... Woodbane.

Dygnęła przed nim wdzięcznie, a tymczasem mama rudego kawalera podniosła do oczu złote lorgnon i przyglądała jej się badawczo.

- Wczoraj wieczorem nie miałyśmy okazji porozmawiać dłużej, a chętnie dowiedziałabym się czegoś więcej o pani pochodzeniu. Mam w Northumbrii kuzynkę i nie przypominam

sobie, by kiedykolwiek wspominała nazwisko Darcy, a zna tam wszystkie dobre rodziny.

- Mój ojciec nie przebywał zbyt często w towarzystwie - skłamała gładko Isabel. - Wszystkie wolne chwile poświęcał pracy naukowej. Mieliśmy w naszym dworze ogromną bibliotekę.

- Dworze? W której części hrabstwa pani mieszkała?

- W północnej, z dala od większych miast. - Isabel spuściła skromnie wzrok. - Obawiam się, że z tego właśnie powodu jestem nieco nieokrzesana i nie mogę w żaden sposób równać się z tak elegancką i dobrze wychowaną damą jak pani.

- Wręcz przeciwnie, jest pani czarująca -zapewniał ją młody baron. - Naprawdę czarująca. Przydaje pani urody i blasku naszemu gronu, powiedzmy sobie otwarcie, dość nijakiemu.

- A kim była rodzina pani matki? - nie dawała za wygraną wdowa. - Chętnie dowiedziałabym się o niej czegoś więcej.

Gdyby tylko znali prawdę, pomyślała Isabel, wybiegliby z krzykiem z tego salonu. Przez chwilę targła nią pokusa, by przekonać się, jak zareagują, kiedy im powie, że jej matka była kurtyzaną, służyła powszechnie szanowanym przedstawicielom arystokracji i że jeden z tych dżentelmenów był jej ojcem, inny zaś mordercą. Kto wie, być może był to nawet ten sam człowiek...

W tym momencie dołączyła do nich Helen, zwiwna i czarująca.

- Och, jakie piękne lilie. - Pochyliła się nad kwiatami, wciągając ich zapach swym delikatnym noskiem. - Przyznam, że wciąż nie mogę zdecydować, jakie kwiaty wybrać na ślub, róże czy też lilie. Zastanawiam się też nad gardeniami. Doprawdy, to bardzo trudny problem.

- Może po prostu ułożysz bukiet z kilku gatunków - zaproponowała Isabel, ciesząc się w duchu, że Helen odwróciła uwagę jej rozmówczyni od niebezpiecznych tematów. - Sir, to naprawdę bardzo miły gest z pańskiej strony. Bardzo lubię kwiaty.

- Żaden bukiet nie jest w stanie wyrazić nawet odrobiny tego podziwu, jaki żywię dla pani, panno Darcy - odparł z zapałem rudowłosy arystokrata. - Kiedy tańczyliśmy na wczorajszym

balu, uczyniła pani ze mnie najszcześniejszego mężczyznę w Londynie.

Matka młodego barona odchrząknęła znacząco, ten zaś natychmiast zamknął usta, czerwieniąc się raptownie.

Starsza dama uniosła lekko brwi i spojrzała na Isabel z powagą.

- Te lilie zostały zerwane w mojej szklarni. Powinna je pani natychmiast wstawić do zimnej wody, inaczej zwiędną i się zmarnują. - Odwróciła się do syna. - Timothy, chciałabym teraz usiąść.

- Tak, mamo. - Spoglądając tęsknie na Isabel, sir Woodbane odprowadził matkę do grupy plotkujących matron.

Gdy tylko oboje znaleźli się w bezpiecznej odległości, Helen wyszeptła do Isabel:

- Woodbane jest zakochany, bez dwóch zdań.

- A jego matka jest przerażająca, bez dwóch zdań - odparła Isabel, wręczając pachnący bukiet lokajowi, który odniósł go na stół w rogu sali, zastawiony już podobnymi podarunkami. - Obawiam się, że niezbyt mnie polubiła.

- Nie lubi żadnej panny, która ośmiela się choćby spojrzeć na jej ukochanego synekczka.

- Tańczyłam z nim tylko raz. To chyba nie oznacza jeszcze, że czyham na jego majątek. - Isabel nie dodała, że nie życzy sobie, by jakaś stara kwoka wtykała nos w nie swoje sprawy i wypytywała o jej przodków.

- Cóż, trzeba przyznać, że Woodbane ma co najmniej dziesięć tysięcy rocznego dochodu - odparła Helen swobodnie. - Ale jego dziadek był zwykłym kupcem, a ciebie z pewnością stać na coś lepszego. Przejdźmy się po pokoju. - Wziąwszy Isabel pod ramię, poprowadziła ją obok grupy młodych dżentelmenów. Kiedy jeden z nich ruszył z miejsca, jakby chciał się do nich przyłączyć, zbyła go machnięciem ręki i czarującym uśmiechem. - Wicehrabia Lipscomb - mruknęła z lekceważeniem. - Nawet jeśli miałabyś zostać wicehrabiną, to on jest zdecydowanie za niski. Wyglądałabyś idiotycznie, stojąc z nim przed ołtarzem.

Isabel stłumiła chichot.

- Helen, naprawdę - wyszeptana. - Wcale nie zależy mi na tym, żeby złapać męża.

- Akurat. Każda panna chciałaby dobrze wyjść za mąż. Cóż innego nam pozostaje?

Patrząc w te niewinne roziskrzzone oczy, Isabel uśmiechnęła się mimowolnie. Nigdy dotąd nie miała prawdziwej przyjaciółki. W wiosce, w której się wychowywała, rówieśnicy obrzucali ją obelgami i szydzili z jej urodzenia, nauczyła się więc żyć w samotności. Tutaj, wśród ludzi, którzy uważali ją za damę, czuła się przynajmniej bezpiecznie. Właściwie mogłaby się nawet przyzwyczaić do tego wygodnego życia, wypełnionego wizytami u modystki, spacerami w parku i leniwymi rozmowami przy herbacie - gdyby była w stanie zapomnieć o swej chorej ciotce. Nie mogła się już doczekać Kerna i wiadomości, które ten miał przynieść.

- Skoro mowa o małżeństwie, gdzie jest dziś twój narzeczony?

Helen wzruszyła ramionami.

- Och, Justin nie lubi takich spotkań. Uważa, że to strata czasu.

- Przyjedzie więc później na kolację?

- Tak powiedział. -Helen przeszukała wzrokiem tłum gości. - Ale podobnie jak papa, często zostaje dłużej w parlamencie, a potem spóźnia się na kolację.

- A twój stryj? - drążyła temat Isabel. Przez ostatnie dwa tygodnie wielebny lord Raymond Jeffries unikał jej jak ognia i ani razu nie pojawił się u Hathawayów. - Przyjął tym razem zaproszenie?

Helen potrząsnęła jasnymi lokami.

- Nie, znowu odmówił. Nie rozumiem, dlaczego chcesz, by wuj Raymond nas odwiedzał. To nudny człowiek, ciągle robi nam wykłady na tematy religijne. Kiedy go słucham, zawsze ogarnia mnie senność.

- Rzeczywiście, ostatniej niedzieli zauważyłam, jak w kościele zamykały ci się oczy.

- Naprawdę? Mam nadzieję, że nikt inny tego nie widział. - Helen zamilkła przerażona, potem jednak roześmiała się. - Och, żartujesz sobie ze mnie. Proszę, bądź poważna. Musimy wyszukać ci jakiegoś kandydata na męża. - Wyraźnie podekscytowana, ścisnęła rękę „kuzynki”. - Czy to nie cudowne? Mam wrażenie, że wszyscy dżentelmeni, z którymi wczoraj tańczyłaś, złożyli nam dzisiaj wizytę.

Prócz jednego, pomyślała Isabel, kiedy powoli spacerowały wzdłuż salonu. Żaden z tych młodych arystokratów nie znał Aurory Darling, więc jej córka złościła się w duchu, że traci tylko czas.

- Wczoraj wieczorem grałam w karty z sir Johnem Trimble'em. Nie ma go tutaj.

- Sir John...? - Helen uniosła swe kształtne brwi, myśląc intensywnie. - Nie wydaje mi się, bym go znała.

- Rzadko pokazuje się w towarzystwie. Cierpi na podagrę.

- Boże, musi więc być w wieku mojego taty. Chyba nie interesuje cię ktoś tak stary.

- Och, właściwie wolę starszych mężczyzn. - To kłamstwo z trudem przeszło Isabel przez gardło, wiedziała jednak, że w najbliższych tygodniach będzie potrzebowała jakiejś wymówki. - Są usatkwani, nie interesują się wyłącznie hazardem i polowaniami.

- Jak Justin. To chodzący ideał.

Isabel drgnęła, zaskoczona tym porównaniem.

- Lord Kern nie jest stary. Chyba nie ma nawet jeszcze trzydziestki.

- Ma dwadzieścia osiem lat. Zawsze traktowałam go jak starszego brata. Jest dla mnie taki miły i opiekuńczy, zawsze gotów mnie poprawić i pomóc, kiedy zrobię coś nie tak. -Helen westchnęła, zwalnając kroku. - Chciałabym ci coś wyznać, droga kuzynko, ale musisz mi obiecać, że nigdy, ale to przenigdy, nie powtórzysz mu tego.

- Jak sobie życzysz.

Helen nachyliła się do niej i wyszeptowała jej prosto do ucha:

- Czasami marzę o rozbójnikach i łajdakach. Nie o takich dżentelmenach jak ci na sali, ale o mężczyznach z opowiadań i legend. Och, gdyby zechciał mnie porwać jakiś pirat, od ważny do szaleństwa. Albo gdybym wpadła w ręce przy stojnego rozbójnika, który uniósłby mnie na swoim wierzchołku.

Isabel zagryzła wargę. Ostatniej nocy to ona została porwana przez mężczyznę w czerni, uwięziona na jego rumaku. Przez narzeczonego Helen.

Nie znasz lorda Kern, pomyślała, jest tajemniczy i niebezpieczny, równie groźny jak pirat.

Poczuła ukłucie wstydu i bolesnej tęsknoty. Jak mogła pragnąć przyszłego męża Helen? Ta myśl była przerażająca, godna potępienia, nielojalna. Isabel nie mogła jednak zaprzeczyć, że go pożąda. Czuli to, gdy porwał ją na konia i zawiózł do domu, płonęła z pożądania, kiedy odwoził ją o świcie do rezydencji Hathawayów.

Ta namiętność musiała być tylko chwilowym odstępstwem od normy, normalną reakcją kobiety na obecność mężczyzny. Teraz, w blasku dnia, wydawało jej się niepojęte, by mogła pragnąć mężczyzny, który nią pogardza.

- Być może wcale nie byłoby to takie romantyczne, jak ci się wydaje - zauważyła Isabel. - Rozbójnik mógłby zachowywać się okrutnie i wulgarnie. Pewnie prędzej byś go znienawidziła, niż się w nim zakochała.

Z piersi Helen wyrwało się kolejne westchnienie.

- Droga Isabel, zawsze jesteś taka praktyczna. Nie myśl tylko, że nie jestem zadowolona z Justina. Zostaliśmy sobie obiecani, odkąd jeszcze byliśmy dziećmi. On jest taki miły, przystojny, tak drogi mojemu sercu. - Zawróciły przy ścianie salonu, by znów powrócić do zgromadzonych na środku sali arystokratów. - Ach, znów tu jest... widzisz to?

- Co takiego? - spytała Isabel, spoglądając na rozleniwione towarzystwo.

- Tam, w rogu. Pan Charles Mobrey znów się na ciebie gapi.

Po drugiej stronie pokoju siedział osamotniony i wyniosły arystokrata. Mobrey był tego dnia pierwszym gościem Hathawayów. Podarował Isabel bukietek fiołków i mocno przesłodzony wiersz, opiewający jej urodę.

- Ach - mruknęła Isabel. - To ten człowiek, który przyrównał moje usta do dojrzałych wiśni, a oczy do pralinek.

Helen zachichotała pod nosem.

- To tylko dowodzi, jak bardzo jest w tobie zakochany. Jestem pewna, że wkrótce poprosi o twoją rękę.

- Poprosi o co? - rozległ się niski głos za ich plecami.

Isabel obróciła się na pięcie. Ogarnęła ją nagła fala gorąca,

kiedy zobaczyła przed sobą lorda Kern. Rzeczywiście wyglądał jak wcielony ideał dżentelmena, odziany w wypolerowane do połysku buty z cholewami, perfekcyjnie skrojony bur-gundowy surdut i biały fular, który kontrastował z kruczoczarnymi włosami. Nikt nie mógłby nawet przypuszczać, że zaledwie kilka godzin temu porwał ją na swego wierzchowca i trzymał przy sobie tak blisko, jakby byli kochankami.

- Justinie - zakwiliła Helen i podała mu rękę do pocałowania. - Co za cudowna niespodzianka. Dlaczego nie jesteś w par lamencie?

Kern skłonił się sztywno.

- Nie mogłem wytrzymać z dala od ciebie. - Jego usta skrzywiły się w ledwie dostrzegalnym uśmiešku, gdy zwrócił się do Isabel: - Poza tym pomyślałem, że panna Darcy może potrzebować opieki.

Może pani być spokojna, ani na chwilę nie spuszcza pani z oka.

Serce Isabel zabiło mocniej. Czyżby on wiedział, że budzi w niej nieczyste pragnienia i myśli? Jego zielone oczy były zimne i nieporuszone jak tafla leśnego jeziora. Nawet blask słońca wpadający przez okna salonu nie mógł przeniknąć jego myśli. Jednego była jednak pewna. On nie czuł do niej pociągu.

- To bardzo miłe z twojej strony. - Helen uśmiechnęła się ciepło. - Ale mamy tutaj cały pokój dżentelmenów, którzy z miłą chęcią zatroszczyliby się o mą kuzynkę.

- Rozumiem. - Kern przebiegł wzrokiem grupę arystokratów. - A teraz powiedz mi, proszę, kto będzie prosił o czyją rękę?

- Nikt - odparła szybko Isabel. - To tylko plotki niewarte nawet powtórzenia.

- A przy tym przedwczesne. - Helen mrugnęła do kuzynki porozumiewawczo, a potem wzięła narzeczonego pod rękę. - Och, Justinie, tak się cieszę, że jesteś. Chciałam zasięgnąć twojej rady w pewnej bardzo poważnej kwestii.

Kern zerknął podejrzliwie na Isabel, potem wrócił spojrzeniem do narzeczonej.

- Czy stało się coś złego?

- To bardzo trudny dylemat. Może ty pomożesz mi go rozwiązać. Wolisz, by kościół na nasz ślub został udekorowany różami czy liliami? - Helen zmarszczyła czoło, spoglądając na niego z powagą. - Kuzynka Isabel proponuje, bym użyła różnych kwiatów. Wydaje mi się to całkiem rozsądne, ale najpierw chciałam skonsultować to z tobą, bo może masz jakiś inny pomysł.

- Zgadzam się z góry na wszystko, co postanowisz w tej kwestii - odparł, poklepując jej dłoń. - Zdaję się na twój doskonały gust. - Uśmiechnął się do niej z czułością, która przeczyła jego zimnej, wyniosłej naturze. Patrząc na tych dwoje, śniadego księcia i jego delikatną blond księżniczkę, Isabel czuła się jak natręt. Oni należeli do tego bajkowego świata, podczas gdy ona odgrywała tylko maskaradę, przebierała się za damę, którą nigdy nie była. W końcu będzie musiała wrócić do rzeczywistości, czy jej się to będzie podobało, czy też nie.

Jesteś tym, kim jesteś, córką ulicznicy...

Słumiła w sobie odruch żalu. Wiedziała, że nie powinna pożądać pięknych sukien i wystawnych balów, nie powinna wierzyć, że znajdzie sobie miejsce w tym świecie i pozostanie w nim na zawsze jak Helen. Musiała pamiętać, po co tutaj przybyła - by znaleźć złoczyńcę, który zamordował jej matkę. Ajego ojciec zajmował wysoką pozycję na liście podejrzanych.

Postanowiwszy natychmiast przystąpić do czynu, zwróciła się do narzeczonego Helen:

- Jak się czuje jego wysokość księżę Lynwood?

Serdeczna czułość opuściła twarz Kerna; pozostała na niej tylko chłodna arogancja.

- Dobrze. A pani zapewne doskonale się bawi, podejmując tylu adoratorów naraz?

- Moja kuzynka cieszy się większym powodzeniem niż córka księcia - mruknęła Helen z dumą. - Czy to nie cudowne, Justinie? To olśniewający sukces. Dostałyśmy całe pliki zaproszeń na bale, przyjęcia i kolacje.

Kern posłał Isabel podejrzliwe spojrzenie.

- To rzeczywiście zdumiewające.

- Pozwolę sobie o coś zapytać - wtrąciła Isabel. - Dlaczego

nigdy nie zaprasza nas pan do siebie, milordzie? Skoro pański ojciec czuje się już lepiej, to niegrzecznością z naszej strony byłoby pozostawiać go samemu sobie. Poza tym jestem prawie pewna, że moja matka знаła kiedyś jego wysokość. Chętnie odnowiłabym tę znajomość.

- Nie wspominałaś o tym wcześniej - ucieszyła się Helen. - Pomyśleć tylko, jaki ten świat mały...

- Moja droga, myślę, że zatrzymujemy cię już tutaj zbyt długo, powinnaś przecież pełnić honory pani domu - powiedział Kern miłym, lecz stanowczym tonem. - Nie możemy zawłaszczać cię tylko dla siebie. Zajmę się twoją kuzynką, możesz być spokojna.

- Jak uważasz, Justinie. - Helen uścisnęła dłoń Isabel. - Tak bardzo bym chciała, żebyście się zaprzyjaźnili. - Uśmiechnęła się do nich i odeszła w stronę gości.

Ignorując zaciekawione spojrzenia arystokratów, Kern wziął Isabel pod rękę i zaprowadził ją do małej alkowy obok fortepianu. Pomimo ogromnego gniewu nie mógł pozbyć się grzesznych myśli, kiedy dotknął jej jedwabistej skóry. Gdy dotarli na miejsce, wpuścił jej rękę i rzekł ściszonego głosem:

- Przejrzałem pani grę, panno Darling.

- Ja nie prowadzę żadnej gry, milordzie. - Potarła rękę w miejscu, w którym jej dotykał. - To dobre dla leniwych ludzi, którzy lubią głupie rozrywki.

- Chce pani porozmawiać z moim ojcem o tych memuarach. Wciąż ma pani nadzieję, że ulegnie szantażowi. Nie pozwolę na to.

Podniosła głowę i zadała pytanie, które dręczyło ją przez cały dzień:

- Chciałabym porozmawiać z lekarzem księcia Lynwood. Czy wysłał go pan do mojej ciotki?

- Tak.

- I? - Nie mogła ukryć zdenerwowania. - Co powiedział lekarz? Jak ona się czuje?

- Na tyle dobrze, na ile może czuć się w takich okolicznościach. Doktor Sadler przyznał, że jest zdumiony siłą tego ataku. Zakłada, że jej organizm jest po prostu bardzo słaby.

- Kiedyś była zdrowa - zauważyła Isabel z nutką gorzkości. - Czy przepisał jej jakieś lekarstwa?

- Tylko morfinę dla uśmierzenia bólu. Wróci tam jeszcze jutro. Obawiam się, że nie pozostaje nic innego, jak tylko czekać na poprawę.

Bez względu na to, jak bardzo pogardzał Isabel Darling, Kern nie lubił przekazywać nikomu, nawet jej, złych wieści. Isabel oparła się nagle o fortepian, jakby nie mogła ustać o własnych siłach. Na jej twarzy pojawił się grymas cierpienia, zagryzła dolną wargę, walcząc ze łzami. Kern poczuł niebezpieczny przypływ czułości, miał ogromną ochotę przytulić tę dziewczynę do siebie i pocieszyć. Nie dopuszczał do siebie świadomości, że jest zazdrosny o jej uczucia, że nie chce, by zależało jej na kimś bardziej niż na nim. Łatwiej było potępiać przebiegłą ladacznicę, która chciała szantażować jego ojca.

- Proszę się uśmiechnąć, panno Darling - poradził jej jado wicie słodkim tonem. - Ludzie pomyślą, że się kłócimy.

Te słowa podziały na nią jak ostroga. Natychmiast się wyprostowała, uniosła głowę i skrzywiła usta w parodii uśmiechu.

- Proszę mi wybaczyć, jeśli wprawiłam pana w zakłopotanie, okazując troskę o moją ciocię. Byłabym wdzięczna, gdyby podał mi pan teraz adres doktora Sadlera. Chciałabym mu zapłacić.

Kern natychmiast zapomniał o chwili słabości.

- Ta sprawa została już uregulowana.

- Nie chcę pańskiej jałmużny.

- Więc proszę uznać to za podarunek dla mojej przyszłej kuzynki.

Isabel obdarzyła Kerna lodowatym spojrzeniem.

- Nie chce pan, bym skontaktowała się z doktorem Sadlerem, prawda? - spytała powoli. - Myśli pan, że będę wypytywać go o księcia Lynwood.

- Proszę nie mieszać do tego mego ojca.

- Więc niech pan powie mi otwarcie, co dolega jego wysokości? Ta sama choroba, na którą zapadła ciotka Persy? Czy to dlatego zaproponował pan, by zbadał ją jego lekarz?

- Nie. - Kern wziął kilka głębokich oddechów, by zapanować nad nagłym uciskiem w piersiach. Tylko on i kilku zaufanych

służących wiedziało, że jego ojciec miewa ataki szaleństwa.

Pochylił się nad Isabel i przemówił ścisłym głosem: - Proszę mnie wysłuchać, panno Darling, i to bardzo uważnie... Nagle przerwał mu piskliwy głos:

- A o czym wy tak szepciecie w ukryciu?! - zawołała tęga kobieta, wbita w fotel na środku sali. - Można by powiedzieć, milordzie, że pan i panna Darcy zachowujecie się jak dwójka spiskowców.

Lady Woodbane, przeklęta krowa! Za jej plecami stał rudowłosy synalek, wpatrzony w Isabel jak w obraz.

- Och, zepsuła pani całą niespodziankę - odparł swobodnie Kern. - Panna Darcy doradzała mi właśnie w kwestii ślubnego prezentu dla lady Helen.

Nawet z tej odległości widział, jak narzeczona kraśnieje z zadowolenia. Złożyła drobne dłonie na piersiach. Była taka słodka jak dziecko. A on czuł się obrzydliwym kłamcą, niegodnym jej uczucia. Przyrzekł sobie w duchu, że nadrobi to z nawiązką, kupując jej najpiękniejszy prezent ślubny, jaki można dostać za pieniądze.

- Och, przepraszam najmocniej - odrzekła lady Woodbane, wcale niezrażona. - Chciałam tylko spytać, czy panna Darcy nie mogłaby zagrać dla nas czegoś na fortepianie.

Kern odsunął się o krok, by zrobić jej miejsce przy klawiaturze, ale pobladła Isabel stała w miejscu.

- Niestety, nie umiem grać - zwróciła się do baronowej.

- Nie umie pani? - Starsza pani uniosła brwi. - Proszę się z nami nie droczyć. Każda dama potrafi grać i śpiewać.

- Nie, proszę pani. Ja nigdy nie uczyłam się muzyki. Moi rodzice uważali, że nie będzie mi to do niczego potrzebne.

- Cóż, to dość dziwne wychowanie. - Wdowa spojrzała znacząco na syna, jakby chciała powiedzieć „a nie mówiłam”. - Bardzo dziwne, doprawdy.

- Nie tak dziwne jak wychowanie tych, których nie nauczono dobrych manier - wtrącił się Kern. - Helen, zagrasz coś dla nas?

Lady Woodbane opuściła powoli pulchną dłoń, w której trzymała lorgnon, i zaczęła gwałtownie mrugać, jakby nie mogła

zdecydować, czy powinna się obrazić, czy też nie. Isabel Darling stała z dumie uniesioną głową, wpatrzona gdzieś w dal za oknami salonu.

Helen podeszła do fortepianu i zasiadła za klawiaturą. Kern nie rozumiał impulsu, który kazał mu stanąć w obronie Isabel. Znowu pragnął jej dotknąć, pocieszyć, choć wiedział, że prędzej obrzuci go obelgami, niż podziękuje za ten nieoczekiwany akt uprzejmości.

Kiedy rozbrzmiały pierwsze takty utworu odgrywanego przez Helen, a oczy wszystkich zgromadzonych zwróciły się w jej stronę, powrócił do przerwanej rozmowy i wyszeptał do Isabel:

- Jak już mówiłem, zabraniam pani kontaktować się z moim ojcem.

- Zabrania mi pan? - Spojrzała nań z ukosa. - Przemawia pan dość śmiało jak na człowieka, który nie ma nade mną żadnej władzy.

Kern zazgrzytał zębami.

- Mimo to powinna pani poważnie potraktować moje ostrzeżenie. Jeśli znajdzie panią w pobliżu mojego ojca, drogo pani za to zapłaci.

Najjurniejszym ze wszystkich moich kochanków był Zeus.

W odróżnieniu od innych, bardziej ostrożnych dżentelmenów, książę L. nie odwiedzał mnie wyłącznie nocą i nie uciekał przed światem; często chadzał ze mną na spacer, przedstawiał mnie arystokatom z towarzystwa, a ja z przyjemnością brałam udział w tych eskapadach, śmiejąc się w duchu z ludzi, którzy pogardzali kobietami mej profesji.

Pewnego razu wybraliśmy się do opery. Zajęliśmy miejsce w prywatnej łoży księcia. Tam, w mroku rozpraszanym jedynie przez lampy ustawione na scenie, książę sięgnął pod moją spódnicę i przy akompaniamencie arii tenora dał mi chwilę prawdziwej rozkoszy. Potem ja zajęłam się jego męskością tak spędziliśmy razem cudownągodzinę. Nikt nawet nie przypuszczał, czym się zajmujemy, przez cały czas bowiem udawaliśmy głębokie

zainteresowanie operą, podczas gdy nasze dłonie czciły te regiony, które przynależą do Kupida.

Później spotykaliśmy się w tak różnorodnych miejscach, jak brzeg jeziora w parku św. Jakuba i garderoba pewnej snobistycznej modystki przy Bond Street. Kiedyś przekupiliśmy nawet strażnika w Westminster Abbey, nie wspominając już o tym, jak spędziliśmy upojną noc przy grobie Królowej Dziewicy...

„Prawdziwe wyznania kurtyzany”

6

Jesteś pewna, że Justin będzie z tego zadowolony? - spytała Helen, kiedy kareta Hathawayów wyjechała za bramę rezydencji.

Zaciskając mocniej dłonie na skórzanym siedzeniu, Isabel przesłała jej sztuczny uśmiech.

- Zawsze jest zadowolony ze spotkania z tobą - odrzekła. - Czy ty nie chciałabyś, żeby kiedyś odwiedził cię niezapowiedziany?

- O tak, z pewnością. - Helen zmarszczyła czoło. - Jednak on nie lubi niespodzianek. Zawsze stara się wszystko zaplanować z dużym wyprzedzeniem. Datę naszego ślubu wyznaczył prawie rok temu.

- Więc powinien wreszcie nauczyć się czerpać radość ze spontanicznych działań.

- Być może. - Na twarzy Helen pojawił się wyraz determinacji. - Tak, masz rację. Muszę mu pokazać, że można żyć bez planów i cieszyć się chwilą.

- Lord Kern nie lubi impulsywnych kobiet - wtrąciła swym piskliwym głosikiem panna Gilbert. - Dama powinna obnosić się z powagą. Nie jeździć tam, gdzie nie jest zaproszona.

Guwernantka siedziała naprzeciwko nich, nieśmiała myszka owinięta w brązowy płaszcz. Jej ciemne oczy patrzyły z uwagą na dziewczętą, od czasu do czasu przystawiała chusteczkę do bezkwestywnych ust.

- Och, Gillie, nie przejmuj się. - Helen pochyliła się do

przodu i poklepała dłoń starszej pani. - Moja kuzynka ma rację, Justin z pewnością ucieszy się z naszej wizyty. To doskonała okazja, by porozmawiać o liście gości zaproszonych na ślub. Wkrótce będziemy musieli już porozysłać zaproszenia, by mieć pewność, że wszystkie dotrą na czas...

Kiedy Helen i jej guwernantka zaczęły rozmawiać o weselnych planach, Isabel zwróciła swój umysł ku pilniejszym sprawom. Przez ostatnie dwa dni lord Kern nie odstępował ich ani na krok, towarzyszył im podczas kolacji, przyjęć i koncertów. Od czasu do czasu rzucał jej spojrzenia, które przypominały wyraźnie, jak bardzo nienawidzi Isabel, choć w obecności Helen zawsze zachowywał pozory uprzejmości. Nie mogła zapomnieć tego dziwnego, jakże przyjemnego uczucia, kiedy niespodziewanie stanął w jej obronie. Ale oczywiście zrobił to tylko dla narzeczonej, by nie wywołać skandalu przy gościach. Zupełnie inaczej zachowywał się, kiedy byli sami.

Może pani być spokojna, panno Darling, ani na chwilę nie spuszczę pani z oka.

Isabel skubała w zamyśleniu niebieskie wstążki swego czepek. Dziś lord Kern miał ważne spotkanie w parlamencie, choć Helen o tym nie wiedziała. Isabel nie spała przez pół nocy, obmyślając plan, który pozwoliłby jej porozmawiać z księciem Lynwood na osobności. Nie mogła uciec z domu w ciągu dnia; młode damy nie przechadzały się samotnie po Londynie. Nawet gdyby udało jej się wymknąć niepostrzeżenie z rezydencji Hathawayów, przejść przez miasto i wśliznąć tylnym wejściem do domu księcia, na pewno zostałaby przyłapana przez kogoś ze służby. Nie mogła też wymyślić żadnej wymówki, która pozwoliłaby jej wejść tam otwarcie, frontowymi drzwiami, nie mówiąc już o poszukiwaniach apartamentów księcia. Wreszcie postanowiła porzucić wszystkie sprytne plany i zagrać *va banque*. Namówiła Helen, by złożyć Kernowi nieoczekiwaną wizytę.

Kareta zakotłosała się mocniej, przystając na podjeździe przed domem Lynwooda. Wychodząc z powozu, Isabel wstrzymała oddech, zdumiona ogromem kamiennej rezydencji. Wysokie okna, szerokie gzymsy i zdobienia czyniły z niej prawdziwy pałac. Przy potężnych kolumnach przed wejściem czuła się jak skrzat.

- Wkrótce tu zamieszkas - mruknęła do Helen, kiedy wcho-
dziły na frontowe schody. - Pewnie nie możesz się już doczekać
tego dnia.

Helen westchnęła.

- Tak, ale bardzo będzie mi brakowało papy. Stary książę to
dziwny, a nawet przerażający człowiek.

- Jak to?

Helen zerknęła na pannę Gilbert, a potem wyszeptała kon-
fidenccjonalnym tonem:

- Kiedy byłam młodsza, szczypał mnie czasem w policzek i
klepał po pośladkach. Gdy przed nim uciekałam, śmiał się głośno.

- Helen wzdrygnęła się. - Nie mogę sobie wyobrazić życia z takim
człowiekiem pod jednym dachem, choć Justin zapewnia mnie, że
teraz książę nie opuszcza swoich apartamentów.

- Kiedy on właściwie zachorował?

- Ostatniej jesieni. Miał jakiś poważny atak i od tego czasu w
ogóle nie przyjmuje gości.

Isabel zacisnęła dłonie w pięści. Oznaczało to, że ten rozpustnik
był całkiem zdrowy, kiedy umarła jej matka. Czy to on właśnie ją
otruł?

Młody jasnowłosy lokaj otworzył drzwi i wybałuszył oczy,
ujrzawszy niezapowiedzianych gości, potem jednak uklonił im się
nisko.

- Niestety, nie zastały panie jego lordowskiej mości. Wyszedł
do parlamentu.

- Wyszedł! - wykrzyknęła Helen, rozczarowana. - A kiedy
wróci?

- Nie wiem, jego lordowska mość nie zostawił żadnych
instrukcji prócz...

- Prócz?

- Powiedział, że pani i panna Darcy nie powinnyście pod
żadnym pozorem czekać tutaj na niego.

Helen uniosła brwi.

- Nie rozumiem. Przecież nie spodziewał się naszej wizyty.

Isabel rozumiała - aż za dobrze. Kern jąprzechrzył, uprzedził
jej zamysły. *Jeśli znajdą panią w pobliżu mojego ojca, drogo pani
za to zapłaci.*

Nie zamierzała jednak poddać się bez walki.

- Z pewnością źle coś zrozumiałeś - powiedziała. - Lady
Helen jest przyszłą żoną lorda Kern. Nigdy nie zabroniłby jej
wstępu do własnego domu.

Wziąwszy „kuzynkę” pod rękę, wkroczyła do środka, ignorując
zdmioną minę lokaja i grymas dezaprobaty na twarzy panny
Gilbert. Z podziwem patrzyła na bogaty wystrój hallu. Okno pod
sufitem wypełniało wnętrze blaskiem słońca, przefiltrowanym
przez kolorową mozaikę.

- Służący nie będzie dyktował nam, co mamy robić - mruknęła
do swej towarzyszki. - Którędy do salonu?

- Schodami na piętro - odparła Helen, prowadząc małą grupkę
w stronę imponujących marmurowych stopni ze złoconą balus-
tradą. - Jesteś naprawdę niezwykła, kuzynko - dodała szeptem. -Ja
posłuchałabym go bez słowa i uciekła do domu.

- O Boże, o Boże - zawodziła panna Gilbert, miętosząc
chusteczkę. - Jego lordowska mość będzie wściekły. Z pewnością
mnie obwini za wasze niedyscyplinowane zachowanie.

- Bzdura, Gillie - odrzekła Helen, wspinając się na szerokie
stopnie. - Przecież to nie on cię zatrudnia. Poza tym jestem już
dorosłą kobietą. Nadal pozostajesz dla mnie przyjaciółką i to-
warzyszką, ale ja nie muszę już odpowiadać za swoje czyny przed
guwernantką.

- Ani przez żadnym mężczyzną - dodała Isabel, gotowa bronić
niezależności „kuzynki” przed wpływem jej przyszłego męża.
Była przekonana, że Kern zdominuje to słodkie dziewczę, jeśli
ona wcześniej nie zadba o jej dobro. - Kobieta powinna kierować
się własnym rozumem, a nie wykonywać ślepo rozkazy innych.

- Zgadzam się z tobą. I powiem to Justinowi, gdy tylko wróci
do domu.

- Może nie tak od razu - ostrzegła ją Isabel. - Czasami warto
pozwolić mężczyźnie, by wierzył, że to on decyduje o wszystkim.
Nawet jeśli tak nie jest

- Och, rozumiem. Ależ ty jesteś sprytna. - Helen spojrzała na
nią z podziwem. - Skąd wiesz tyle o świecie i mężczyznach?

- Z książek i obserwacji natury ludzkiej - odparła Isabel,

potem zaś, by odwrócić uwagę Helen, zawołała: - Jaki śliczny pokój! Założę się, że kiedy już tu zamieszkas, będzie to twoje ulubione miejsce.

Ściany salonu obite były złotym adamaszkiem, który nadawał mu ciepły i przytulny charakter. Krzesła i sofy ustawiono wokół eleganckich ośmiokątnych stołów; przy białym marmurowym kominku stało śliczne francuskie biurko. Wysokie okna zapewniały zapierający dech w piersiach widok na Hyde Park.

Kiedy Helen zamawiała herbatę i podawała służącemu wierzchnie okrycie, Isabel podeszła do okna. Powietrze wypełniał delikatny zapach pasty do podłóg, na kominku trząsał wesoło ogień. Pozwalając sobie na chwilę słabości, pomyślała, jak cudownie byłoby mieszkać w tym wielkim salonie, czytać książkę przy kominku albo patrzeć na cudowny widok za oknem. Potem jednak przypomniała sobie, że Helen, którą czekały wszystkie te przywileje, musiała najpierw podporządkować się wyniosłemu lordowi Kern.

Wzdrygnęła się odruchowo. Nie, stanowczo nie miała jej czego zazdrościć.

Zdenerwowanie nie pozwalało jej usiąść na miejscu, obok swych towarzyszek. Teraz, kiedy zdobyła już tę fortecę, musiała znaleźć jakiś pretekst, by wymknąć się z salonu. Jeśli dopisze jej szczęście, zrealizuje swój plan w ciągu piętnastu minut.

Przyciskając dłoń do brzucha, zbliżyła się do „kuzynki”.

- Moja droga, obawiam się, że muszę opuścić was na moment i odpocząć w samotności.

Helen zerwała się na równe nogi.

- Co się stało? Jesteś chora? Natychmiast wrócimy do domu.

- Niestety, to nagła potrzeba. - Isabel skromnie spuściła wzrok. - Rozumiesz, to moja comiesięczna przypadłość. - Nie było to do końca kłamstwem, spodziewała się krwawienia lada dzień.

- Och, moja biedna. Zaraz zadzwonię po służbę.

Helen sięgnęła do dzwonka, ale Isabel chwyciła ją za rękę. ~ Nie, proszę. Wstyd mi prosić o pomoc lokaja. Pójdę na górę i odzyskam jakąś pokojówkę.

- Nie możesz przecież iść sama. Gillie, bądź tak uprzejma i dotrzyмай towarzystwa mojej kuzynce.

Isabel gestem nakazała guwernantce, by pozostała na swym miejscu.

- Proszę, zostańcie tutaj i wypijcie spokojnie herbatkę. Na legam. Naprawdę, doskonale poradzę sobie sama.

Nim któraś z pań mogła zaprotestować, Isabel wyszła z salonu. Była ogromnie podekscytowana. Wreszcie miała szansę i zamierzała ją wykorzystać.

Jeśli znajdą panią w pobliżu mojego ojca, drogo pani za to zapłaci.

Uniosła ciemnoniebieską suknię i wbiegła lekko na schody. Kern mógł sobie iść do diabła. Nie będzie marnowała czasu, martwiąc się jego pogroźkami. Tak naprawdę nie mógł jej przecież nic zrobić.

Prostytucja to w naszym kraju prawdziwa plaga - oświadczył pan Bernard Sweeney, który zatrzymał Kerna przed wejściem do Izby Gmin, chcąc przekonać go do projektu nowej ustawy. - Człowiek nie może przejść spokojnie ulicą, bo zaraz zaczepi go jakaś ladacznica, gotowa oddać się za dwa łyki dżinu. Nikt też chyba nie jest w stanie policzyć domów schadzek, jakie działają w Londynie, są ich pewnie tysiące. Musimy je zamknąć, wszystkie, by zachować moralną integralność naszego narodu.

Jeszcze dwa tygodnie temu Kern bez wahania zgodziłby się z konserwatywną polityką Sweeneya. Teraz myślał ze smutkiem o starej Persefonie, która, złożona chorobą, nie mogła oczekiwać żadnej pomocy ze strony społeczeństwa.

- A co stanie się z tymi kobietami? Jak będą zarabiać na chleb?

- To już nie nasze zmartwienie, milordzie. - Uśmiechając się szeroko, Sweeney poklepał rozmówcę po ramieniu jak równego sobie. - Niech te ladacznice taplają się w rynsztoku, tam gdzie ich miejsce.

- Nie mogę poprzeć ustawy, która w znaczący sposób zwiększy liczbę nędzarzy zamieszkujących nasze miasto.

Sweeney otworzył usta ze zdumienia.

- Zdawałoby się, że to właśnie pan powinien najgoręcej wspierać ten wniosek i zabiegać o jego powodzenie w Izbie Lordów. Pański ojciec, książę, jest znanym rozpustnikiem...

- Proszę nie kończyć - przerwał mu chłodno Kern. - To miasto musi najpierw nauczyć się, jak egzekwować prawa już uchwalone. Jeśli pokaże mi pan podobny wniosek, z przyjemnością się do pana przyłączę. Zegnam pana.

Zostawiając wściekłego Sweeneya na korytarzu, ruszył do wyjścia z budynku. Nieprzyjemna rozmowa pogłębiła tylko dręczący go od rana niepokój. Wysłuchawszy kilku nudnych przemówień, miał ochotę porzucić problemy państwa, wyjechać w góry, do swego domu w Derbyshire, pooddychać świeżym powietrzem i wypocząć. Za sześć tygodni miał odbyć się jego ślub, ale Helen z pewnością wybaczyłaby mu kilkudniową ucieczkę od świata. Być może wtedy pozbyłby się wreszcie tego dziwnego napięcia, odnalazłby utracony spokój.

Musiał jednak zostać w Londynie z całkiem innego powodu.

Isabel Darling.

Razem z Helen miały tego dnia wybierać ubrania na ślub, a narzeczona powiedziała mu ze śmiechem, że przyszedł pan młody nie może być przy tym obecny. Kern wcale nie palił się do nudnych wizyt u krawcowych, modystek i rękawiczników, dlatego też przyjął te słowa z ulgą. Isabel nie powinna narobić im kłopotów podczas tak niewinnych czynności.

A może jednak?

Mogła spotkać tego głupca Mobreya. Spoglądałaby nań zalotnie swymi brązowymi oczyma, jej pełne usta uśmiechałyby się zachęcająco. Kołysałaby biodrami i przywodziła tego naiwnego idiotę do upadku...

Kern zacisnął dłoń w pięści. Isabel Darling nigdy nie znajdzie sobie męża wśród arystokratów. Nigdy!

Musiał też pamiętać o niebezpieczeństwie, jakie stanowiły dla niego wspomnienia jej matki. Choć teraz nie mogła ich opublikować, by nie narażać swego przeklętego planu na fiasco, Kern wiedział, że spróbuje szantażować nimi jego ojca, gdy tylko nadarzy się okazja. Tego ranka poinstruował lokaja, by nie ważył się wpuszczać jej do domu. Dlaczego więc był tak niespokojny?

Przed budynkiem czekał nań jego elegancki powóz, ciągnięty przez parę starannie dobranych siwków. Kiedy lokaj zeskoczył na ziemię, by otworzyć przed nimi drzwi ozdobione herbem rodu Lynwoodów, Kern rzucił mu krótkie polecenie:

- Do domu.

Isabel obejrzała się przez ramię. Długi elegancki korytarz był prawie całkiem opustoszały, tylko jakaś pokojówka, ugięta pod ciężarem wielkiej sterty pościeli, zmierzała w przeciwnym kierunku. Na pierwszym piętrze rezydencji zalegała głucha cisza.

Isabel zsunęła z głowy czepek, zawieszając go sobie na ramieniu. Przyłożyła ucho do białych drzwi. Z wnętrza dobiegał jakiś niewyraźny gderliwy głos, który raz przybierał na sile, to znów cichł zupełnie. Książę?

Mogła się o tym przekonać tylko w jeden sposób.

Wzięła głęboki oddech, przekreśliła powoli złotą gałkę i wśliznęła się do środka. Znalazła się w mrocznym salonie, przesyconym ostrym zapachem medykamentów. Głos dochodził z następnego pokoju. Isabel podkrađła się do otwartych drzwi.

W kominku z zielonego marmuru płonął ogień. Ktoś, kto urządził ten pokój, najwyraźniej nie liczył się z kosztami; na ścianach wisiały obrazy w złożonych ramach, krzesła obite były drogocennymi tkaninami. Centralne miejsce zajmowało wielkie łoże z baldachimem z brązowego aksamitu, zdobionego złotymi frędzlami.

Przy łóżku stał służący w liberii, który próbował namówić siwowłosego mężczyznę do przełknięcia porcji jakiegoś syropu. Książę odtrącił rękę lokaja, brązowy płyn ochlapał ścianę, a srebrna łyżka spadła na podłogę.

- Wynoś się stąd, plugawy psie! Chcesz mnie otruć, co?! Przynieś mi lepiej moje pistolety i walcz jak mężczyzna!

Otruć? Isabel nadstawiła uszu. Czy fakt, że książę podejrzewał innych o tak nieczyste zamiary, nie świadczył o jego winie i nieczystym sumieniu?

- Wasza wysokość, doktor Sadler mówi, że to lekarstwo

poprawi stan pańskiego zdrowia. - Służący podniósł łyżeczkę, a potem sięgnął po butelkę ustawioną na nocnym stoliku.

Tym razem książę posłusznie otworzył usta i przyjął porcję syropu tylko po to, by natychmiast wypluć go prosto w twarz lokaja.

Mężczyzna odskoczył do tyłu, wycierając rękawem zachlapane oczy. Ciemne plamy znaczyły jasnyniebieską liberię, zdobioną obficie białymi koronkami.

Książę odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się triumfalnie.

- Myślałeś, że uda ci się przechytryć Lynwooda, co? To cię nauczy szacunku. Nie pozwolę, byście więzili mnie bez końca w tym przeklętym łóżku.

Isabel dojrzała w tym momencie swoją szansę i szybko weszła do pokoju, ściskając w dłoni czepek.

- Będziesz musiał zmienić ubranie - zwróciła się do służącego. - Ja poczekam tu z jego wysokością na twój powrót.

Służący obrócił się na pięcie, zaskoczony i zaniepokojony jej obecnością.

- Nikt obcy nie może przebywać w tym pokoju, proszę pani.

- Nie musisz się niczego obawiać, jestem przyjaciółką rodziny, kuzynką lady Helen Jeffries.

- Kuzynką, hę? - powtórzył książę, odsłaniając w uśmiechu pożółkłe zęby. - Usiądź proszę, moja ślicznotko - powiedział, poklepując łóżko obok siebie.

- Nikt nie uprzedzał mnie o tej wizycie. - Służący przyglądał jej się podejrzliwie. - Przykro mi, proszę pani, ale będę musiał zadzwonić po pomoc.

- Proszę bardzo, zrób to - zaryzykowała. - Niech wszyscy się dowiedzą, że nie potrafisz wypełniać swoich obowiązków. Powiedz wszystkim, że nie umiesz zaopiekować się jego wysokością. - Kiedy mężczyzna spoglądał z wahaniem to na nią, to na aksamitny sznur u dzwonka, Isabel przybrała surową minę i rzuciła ostrym tonem; - No już, biegnij. Jeśli się pospieszysz, wrócisz tu za kilka minut.

- Wynoś się, ty podły szczurze! - dorzucił książę. - Nie możesz jej mieć. Jest tylko moja. - Pochwycił srebrny kubek z nocnego stolika i cisnął nim w służącego.

Lokaj pochwylił naczynie, lecz cała jego zawartość wylała się już na podłogę. Krzywiąc się ze złością, ostrożnie podszedł do drzwi, jeszcze raz zerknął podejrzliwie na Isabel i wyszedł z pokoju, zatraskując za sobą drzwi.

Isabel została sam na sam z księciem Lynwood.

Wyglądał staro i niedołężnie, czerwone żyłki znaczyły jego nos i policzki niczym mapę hulaszczego życia. Ubrany był w obszerną koszulę nocną z marszczonymi rękawami, rozpięty kołnierz ukazywał siwe włosy na jego piersiach. Zmierzwione siwe kosmyki okalały wydatne kości twarzy, niegdyś zapewne bardzo urodziwej. Tylko zielone oczy księcia wydawały się nadal pełne życia i energii.

Oczy Kerna.

Lecz ten człowiek nie miał ani krztyny żelaznej woli i honoru swego syna. Ten obrzydliwy rozpustnik wykorzystał kiedyś jej matkę. Na samą myśl Isabel zrobiło się słabo. Choć kochała swą frywolną, rozmiłowaną w cielesnych rozkoszach matkę, sama nigdy nie zgodziłaby się na podobne życie, nie oddałaby się człowiekowi, który nie chciałby zostać jej mężem, który uważałby się za lepszego od niej tylko ze względu na urodzenie.

- Nie stój tak bezczynnie - powiedział książę. - Zbliź się do mnie, niech ci się przyjrzę.

Isabel podeszła o krok.

- Chciałam zadać panu kilka pytań, wasza książęca mość.

- Pytań, ba. To jabędę pytał. Czyjesteś tą, po którą posłałem?

- Po kogo pan posłał?

- Nieważne, nieważne. Powiedz mi tylko, jak się nazywasz.

- Isabel. - Przyglądając mu się uważnie, dodała: - Isabel Darling.

Książę roześmiał się chrapliwie i uderzył dłonią w koldrę.

- Więc chodź tutaj, Isabel. Chodź do mnie, ty zuchwała dziewczyno. - Lynwood skinął na nią chudym palcem.

Zimny dreszcz przeszył Isabel, kiedy spojrzała w jego oszalałe oczy.

- Pan nic nie rozumie. Nikt mnie tu nie przysyłał. Jestem Isabel Darling, córka Aurory.

- Aurory? - Książę zamrugał, skonfundowany. - Aurory Darling?

Isabel skinęła głową.

- Nazywała pana Zeus. Opisała pana w swoich dziennikach.

Usta księcia wykrzywiły się w pogardliwym uśmiechu.

- Tak, teraz pamiętam. Ta bezczelna dziwka pisała o mnie bez mojej zgody. A kiedy kazałem jej przestać, wyrzuciła mnie za drzwi jak parobka.

Grymas złości, który wykrzywił twarz księcia, zdawał się tylko potwierdzać podejrzenia Isabel. Czyżby to jednak on? Czyżby ten szalony starzec był zabójcą jej matki?

Starannie dobierając słowa, spytała:

- Musiał pan być naprawdę wściekły. Co zrobiłby pan z kobietą, która przeciwstawia się pańskiej woli?

- Mam swoje sposoby na uparte dziewczyny. - Lynwood uśmiechnął się lubieżnie i gestem przywołał ją do siebie. - Chodź tu bliżej, to ci pokażę.

Isabel nie ruszała się jednak z miejsca. Wyraźniej niż kiedykolwiek czuła ciężar notatnika ukrytego pod suknią.

- Więc odwiedził pan moją matkę jakiś miesiąc przed jej śmiercią, wiosną zeszłego roku. Czy widział pan się z nią jeszcze później?

- Przed śmiercią? - Księżę potrząsnął głową. - O czym ty opowiadasz?

- Z pewnością wiedział pan o tym. Rozchorowała się ciężko po pańskiej wizycie - blefowała Isabel. Zniżając głos do szeptu, zapytała: - Może dał jej pan coś do jedzenia albo do picia?

- Co? - Lynwood przyłożył dłoń do ucha. - Przyniosłaś mi coś do picia? Byle tylko nie to przeklęte lekarstwo.

Rzeczywiście był taki tępy czy tylko udawał? Isabel wiedziała, że ma coraz mniej czasu. Wkrótce wróci służący, a na dole czekała na nią Helen. Postanowiła ujawnić to, co powiedziała jej Minnie.

- Tej samej nocy, kiedy zachorowała moja mama, widziano mężczyznę wychodzącego z jej pokoju. Kiedy pan spotkał się z nią po raz ostatni?

- Zachorowała - mruknął. - Dość już mam gadania o chorobach i lekarstwach. Przynies warcaby. Zagramy razem jedną partyjkę.

- Nie przyszedłem tu, by tracić czas na zabawy, wasza wysokość. Chciałem się dowiedzieć, czy przyniósł pan mojej matce jakiś prezent? Może pudełko słodczy? Albo butelkę wina? - Lynwood mógł dodać arsenik do jedzenia lub picia, które przemycił do pokoju matki.

- Przestań wreszcie mleć językiem. Nigdy nie znałem kobiety, która by tyle gadała. - Wskazał na przeciwległy róg pokoju. - Są tam.

Co takiego? Isabel odwróciła się na pięcie, pewna, że ujrzy fiolkę z trucizną albo dziennik ze wspomnieniami księcia, w którym ten przyznaje się do winy. Zobaczyła tylko jednak zestaw do gry w warcaby, ułożony na marmurowym stoliku.

- Przynies to tutaj - rozkazał księżę stanowczym tonem. - Albo cię odeślę.

Co takiego chciał osiągnąć Lynwood, grając z nią w warcaby? Dlaczego po prostu nie powie, że nie ma nic wspólnego ze śmiercią jej matki?

Postanowiwszy spełnić jego zachciankę, przeszła po grubym orientalnym dywanie i przeniosła ciężką planszę na łóżko.

- Nie tam-powiedział księżę. -Tutaj - dodał, klepiąc koldrę obok siebie.

Isabel ostrożnie zbliżyła się do niego. Wydawał się zupełnie nieszkodliwy, przygarbiony i słaby. Był przecież chorym człowiekiem, przykutym do łóżka. Mimo to cieszyła się, że ma przy sobie sztylet, ukryty wraz z dzienniczkiem mamy.

- Może przynajmniej powie mi pan, księżę, jak się pan dowiedział, że moja matka pisze wspomnienia - poprosiła Isabel, kładąc planszę na koldrze. - Czy poinformował pana o tym j akis inny kochanek?

Lynwood nie odpowiadał, więc podniosła wzrok i ujrzała w jego oczach chytry błysk. Z triumfalnym okrzykiem rzucił się na nią.

Jego ramiona pochwyliły ją wpół i przygniotły do łóżka. Plansza, tracona biodrem księcia, spadła na podłogę, rozsypując pionki po całym dywanie. Próbowała z nim walczyć, wiała się jak piskorz, ale był zaskakująco silny.

- Mam cię! To była świetna zabawa, Auroro. Czy dobrze odgrywałem swoją rolę?

Myślał, że jest Aurorą? Musiał być szalony, całkiem szalony.

- Pan się myli! - krzyknęła. - Jestem Isabel. Proszę mnie natychmiast wypuścić.

Lynwood wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Zawsze lubiłaś takie zabawy. Pamiętasz, jak udawałem zbója i goniłem cię między stajniami przy Carleton House? Mieliśmy szczęście, że twoje jęki nie zbudziły wtedy księcia regenta.

- Nie jestem Aurorą.

- Oczywiście, że nie. Jesteś nieśmiałą dziewczyną, a ja cię zaraz zdobędę.

Zanosząc się makabrycznym śmiechem, książkę położył dłonie na jej piersiach. Isabel próbowała go odtrącić, ale jej ręka zaplątała się we wstążeczki czepka. Widząc jej rozpaczliwe wysiłki, Lynwood śmiał się jeszcze głośnie.

Isabel czuła, jak przerażenie podchodzi jej do gardła. Gdyby tylko mogła sięgnąć po sztylet.

- Do diabła! - zaklął pod nosem książkę. - Nosisz ten przeklęty gorset. Odwróć się, muszę to rozwiązać.

Walcząc z narastającym przerażeniem, Isabel udawała, że podporządkowuje się jego woli. To mogła być jej jedyna szansa. Kiedy przekreślała się na bok, sięgnęła do sekretnej kieszeni. Jej drżąca dłoń zamknęła się na rękojeści sztyletu.

7

Ta bezczelna dziewczyna jest w jego domu!

Ściągając po drodze rękawiczki, Kern wbiegał na schody. Wrócił do domu zaledwie przed kilkoma minutami, a lokaj poinformował go przy wejściu, że lady Helen Jeffries i panna Isabel Darcy czekają na niego w salonie. Pechowy służący otrzymał porządną burę, ale Kern nie zamierzał karać go w żaden inny sposób.

On także znał moc ciemnych, hipnotycznych oczu Isabel. Jeśli ktokolwiek zasługiwał na karę, to właśnie ona. Nikt inny.

Helen przywitała go w drzwiach salonu. Uśmiechnęła się do niego radośnie, naiwna i niczego nieświadoma.

- Och, Justinie! Jak miło cię widzieć.

- Witam panią. - Kern uklonił jej się grzecznie, wszedł do salonu i szybko się rozejrzał dokoła. Lecz Isabel nie siedziała przy stoliku z herbatą i ciasteczkami, nie stała przy oknie ani nie przeglądała książek na półkach.

Prócz Helen w pokoju przebywała tylko panna Gilbert, która wygramoliła się z fotela i dygnęła przed nim.

- Milordzie! - zapiszczała, przykładając chustkę do ust. - O mój Boże, o Boże!

Kern odwrócił się do narzeczonej.

- Gdzie jest panna Darcy?

Helen zarumieniła się i odstawiła na stolik filiżankę z herbatą.

- Musiała oddalić się na chwilę.

- Dokąd?

- Miała... naglącą potrzebę.

Kern zrozumiał w jednej chwili, dlaczego Helen tak się czerwieni; przejrzał diaboliczny plan Isabel.

- Od jak dawna już jej nie ma?

- Od jakichś piętnastu minut. Jestem pewna, że wróci tu lada moment.

Do diabła! Do stu diabłów!

Natychmiast ruszył w stronę drzwi, jednak Helen pochwyciła go za rękaw surduta.

- Justinie, usiądź ze mną - powiedziała. - Należę ci herbaty i razem przygotujemy listę gości weselnych.

- Później.

- Teraz - oświadczyła z niespotykaną u niej mocą. - Z pewnością złościsz się, że zignorowałam twoje polecenia i przyjechałam tu z wizytą. Jednak jako niezależna kobieta muszę mieć prawo do podejmowania samodzielnych decyzji.

Kern zrozumiał, że to kolejny efekt zgubnego wpływu Isabel. Użyła swych sztuczek, by odmienić tak słodką i niewinną istotę jak Helen. I wszystko po to, by wkraść się do jego domu i zasiać w nim zamęt.

By szantażować jego chorego ojca.

- Bądź spokojna, wcale się na ciebie nie złościę - powiedział, poklepując łagodnie dłoń Helen, choć jego duszą targła burza namiętności. - A teraz, jeśli pozwolisz, oddalę się na chwilę. Ja także mam naglącą potrzebę.

Isabel kuciała na łóżku i obserwowała uważnie księcia Lynwood. Ten patrzył na nią oczami otwartymi szeroko ze zdumienia, niczym dziecko, któremu odebrano nagle obiecaną wcześniej zabawkę. Leżał nieruchomo, jakby opadł całkiem z sił.

I nie bez powodu.

Isabel przystawiała czubek noża do jego genitaliów.

- Dotknij mnie tylko, a pozbawię cię męskości.

Modląc się w duchu, by mimo wszystko nie spróbował zaatakować jej raz jeszcze, powoli cofała się na skraj łóżka, ani

na moment nie odrywając spojrzenia od swej ofiary. Serce waliło jej jak młot. Słyszała tylko swój własny świszczący oddech i szelest sukien. Kiedy znalazła się na skraju łoża, powoli opuściła nogi na podłogę. Drżąc na całym ciele, wyprostowała się i zaczęła powoli cofać, wciąż trzymając przed sobą nóż. Czula jeszcze na sobie jego dłonie, zachłanne, bezczelne, brutalne. Dłonie, które kiedyś dawały rozkosz jej matce.

Nie mogła jednak pozwolić sobie teraz na takie rozmyślania. Musiała wykorzystać okazję i wypytać go o wszystko. Tak. Powinna skorzystać z jego uległości.

Kilka razy głęboko nabrała powietrza, nadal jednak nie mogła się uspokoić.

- Teraz, kiedy wasza wysokość traktuje mnie z należytym szacunkiem - odezwała się drżącym głosem - dowiem się może wreszcie całej prawdy. Podarował pan mojej matce jedzenie zatrute arsenikiem, prawda? Może pudełko czekoladek?

Lynwood wpatrywał się w nią oglupiałym wzrokiem.

- Czekoladek? Kiedy dałem ci czekoladki?

- Nie mnie. Mojej matce. Aurorze Darling. Została otruta...

Isabel usłyszała trzask otwieranych drzwi. Podmuch zimnego powietrza wtargnął do pokoju. Ktoś szybkim krokiem przeszedł przez salon.

Służący.

Czula, jak uginają się pod nią kolana, nie odrywała jednak spojrzenia od księcia. Potrzebowała tylko chwili.

- Odejdź - rzuciła przez ramię. - Muszę porozmawiać z jego wysokością w cztery oczy.

- Uważaj! - zawołał Lynwood, wymachując rękami. - Ona ma nóż.

Mocarna dłoń zamknęła się na nadgarstku Isabel. Dziewczyna krzyknęła z bólu. Sztylet wysunął się z jej odrętwiałych palców i spadł na podłogę. Kiedy podniosła wzrok, ujrzała nad sobą groźną twarz lorda Kern.

Trzymał ją mocno za rękę. Słowa protestu uwięzły jej w gardle. Zbierając resztki sił, spojrzała mu śmiało w oczy. Przez moment zmagali się w cichej walce o dominację. Wreszcie Kern puścił ją tak nagle, że zatoczyła się do tyłu i uderzyła plecami w ścianę.

Z cichym westchnieniem oparła się o nią, nie będąc w stanie ustać o własnych siłach.

Kern podniósł sztylet i schował do wewnętrznej kieszeni surduta.

Boże. Dobry Boże. Przyłapał ją na gorącym uczynku. I mimo to czuła się dziwnie bezpieczna. Szalony książę nie mógł już wyrządzić jej krzywdy.

- Ta dziewucha groziła, że utnie mi jądra. - Lynwood nakrył dłonią tę cenną część swojego ciała. - Nie rozumiem tego. Kusila mnie, bawiła się ze mną.

- Panna Darling lubi takie zabawy - odrzekł Kern, spoglądając na nią z pogardą.

Isabel uniosła dumnie głowę i odpowiedziała mu równie hardym spojrzeniem.

- Przybył pan w samą porę, milordzie. Inaczej pański papa byłby już kastratem.

Lord Kern nie zwracał jednak uwagi na jej słowa. Podszedł do łóżka i pomógł ojcu okryć się kołdrą.

- Możesz się już uspokoić, ojczu. Ona nigdy więcej nie sprawi ci kłopotu. Nie pozwól na to.

- Nigdy więcej nie pozwolisz mi pofiğłować z dziewczynkami - chlapał Lynwood. Potem niespodziewanie uderzył pięścią w łóżko. - Przekłęte więzienie! To mój dom i będę tu przyjmował, kogo tylko zechcę.

Kern w milczeniu odwrócił się do nocnego stolika, nalał na łyżkę porcję brązowego lekarstwa i przystawił ją do ust księcia.

- Wypij to.

- Nie.

- Wypij - powtórzył Kern.

- To mnie wykastruje szybciej niż najostrzejszy nóż.

- To twoja choroba cię wykastrowała. A teraz wypij to dla własnego dobra.

Książę wziął lekarstwo do ust, ale wcale nie zamierzał go połknąć. Zerknął chytrze na syna, ten zaś szybko zatkał mu nos, zmuszając do przełknięcia syropu. Chcąc nie chcąc, Lynwood wykonał jego polecenie, a potem otarł usta rękawem.

- Niewdzięczny bękart. Ty nigdy nie pozwolisz, żeby jakaś kobieta zakręciła ci w głowie.

- Mylisz się - odrzekł chłodno Kern, odwrócony plecami do Isabel. - Z pewnością nie jestem bękartem.

Isabel nie miała czasu zastanowić się, skąd taka wrogość między ojcem i synem, niemal w tej samej chwili bowiem otworzyły się drzwi i do pokoju wpadł służący odziany w nieskazitelnie czystą liberię. Ujrawszy Kerna, zaczął się kłaniać i kiwać jak marionetka, przepraszał go kilkakrotnie, niemal błagał o przebaczenie. Młody arystokrata udzielił mu krótkiej instrukcji i odsunął się od łóżka.

Isabel wyprostowała się dumnie, choć groźne spojrzenie Kerna przyprawiało ją o zimny dreszcz. Podszedł do niej, pochwyił za ramię i wyprowadził z sypialni, przeciągnął przez mroczny salon i na korytarz. Isabel dreptała u jego boku, płacząc się w halkach i fałdach sukni.

Postanowiła nie dać mu się zastraszyć. Na dole czekała przecież Helen, mógł więc co najwyżej nakrzyczeć na nią, a potem wypuścić. Cóż znaczyły najgorsze nawet obelgi w porównaniu z faktem, że udało jej się porozmawiać z księciem.

Choć prawdę mówiąc, nie dowiedziała się zbyt wiele. Będzie musiała tu jeszcze wrócić...

- Książę jest szalony - powiedziała do Kerna. - Dlatego nie wypuszcza go pan z pokoju. Boi się pan, że skompromitowałby pana w towarzystwie.

Kern posłał jej ponure spojrzenie.

- W tej chwili to nie on jest szaleńcem.

Wygłosivszy to złowieszcze oświadczenie, otworzył jedne z wielu drzwi i wpełznął ją do kolejnej wielkiej sypialni. Ciężkie zasłony na oknach nie dopuszczały tu blasku słońca. Pokrowce okrywały krzesła i łóżko, jakby pokój należał do zmarłej osoby.

Wreszcie wypuścił rękę Isabel, zamknął za sobą drzwi i zaczął przechadzać się od ściany do ściany, tłumiąc kipiący w nim gniew. Obcasy jego wysokich butów stukały ostro o drewnianą podłogę.

Isabel czuła, jak skóra cierpieć na niej ze strachu. W obliczu zimnej męskiej furii straciła całą odwagę.

- Chciałabym wrócić do lady Helen - oświadczyła słabo. - Na pewno będzie się zastanawiać, co mnie tak długo zatrzymuje.

Przesunęła się w stronę drzwi, lecz Kern stanął na jej drodze.

- Więc niech pozostawia się jeszcze przez chwilę. Jestem pewien, że wymyśli pani jakieś gładkie kłamstewko.
- Nie powinniśmy przebywać tu tylko we dwoje. Wywołamy skandal.
- Powinna była pani o tym pomyśleć, kiedy uwodziła pani mojego ojca, starego człowieka. - Kern zmierzył ją pogardliwym spojrzeniem. - Bez wątpienia próbowała pani osłodzić szantaż, oferując mu własne ciało. Powiem pani więc, że to ja sprawuję kontrolę nad finansami mojego ojca. Pani trud poszedł na marne.
- Wcale go nie szantażowałam.
- Nie? Więc może chciała pani zająć miejsce swojej matki w jego łóżu.

Isabel oparła się o poręcz łóżka. Dlaczego tak bardzo bolały ją te niesprawiedliwe oskarżenia?

- Nigdy nie próbowałam uwieść pańskiego ojca. On sobie to tylko wyobrażał. Zna pan jego słabostki lepiej ode mnie.
- Znam też pani sztuczki. Sprzeda pani swoje ciało każdemu, kto nosi spodnie.
- W takim razie pamięć nieco pana zawodzi, milordzie. Przy naszym pierwszym spotkaniu to pan złożył mi nieprzyzwoitą propozycję.
- Zgadza się - odparł Kern chrapliwym głosem. - Żałuję, że nie wziąłem sobie tego, co tak chętnie dajesz innym mężczyznom.

Podszedł do niej powoli. Isabel zadrżała. Roztaczał wokół siebie aurę niepohamowanej mocy, niczym rozniewany bóg, który zstąpił z wyżyn, by ukarać nieposłusznego śmiertelnika. Posepna determinacja malująca się na jego twarzy powinna była ją przerazić, Isabel jednak czuła jakąś dziwną fascynację, która trzymała ją miejscu. Opełnana tą mieszanką strachu i ciekawości, nie mogłaby teraz uciec, nawet gdyby zależało od tego jej życie.

Nagle znalazła się w jego objęciach. Chwyił ją pod brodę, nim jednak mógł zmusić Isabel do czegokolwiek, sama wspięła się na palce i spotkała z nim w pół drogi. Kern wyszeptał jej imię, a ona zamknęła oczy, by mocniej posmakować bliskość jego muskularnego ciała. Ogarnięta żarem pożądania, przytulała

się doń coraz mocniej, jego język błdził po jej ustach z agresywną namiętnością. Dopiero teraz, kiedy poddała się tej boskiej rozkoszy, uświadomiła sobie, jak puste jest jej życie, jak potrzebuje tego mężczyzny.

Kern. Dobry Boże, całowała lorda Kern. Szaleńczo. Bez opamiętania.

- Nie - wyszeptała, odwracając głowę i chłonąc jego męski zapach. - Musimy przestać. To jest złe.

- Do diabła z dobrem i złem! - mruknął i pocałował ją znowu, jeszcze mocniej, jeszcze namiętniej.

Isabel wstrzymała oddech, kiedy dłoń Kerna spoczęła na jej piersi, pieścąc ją delikatnie, napawając się nią. Kilka minut temu, kiedy dotykał jej stary książę, czuła tylko obrzydzenie, teraz płonęła z podniecenia. Nie powinna pozwalać Kernowi na taką swobodę, lecz ona także chciała - potrzebowała - jego dotyku, pieścizot. Pożądanie narastało w niej z każdą chwilą, pragnęła poznać to, o czym szeptały jej ciotki... pragnęła jego ciała.

Kern sięgnął za jej plecy i zaczął rozpinać guziki sukienki, jakby słyszał jej myśli, chciał spełnić pragnienia. Ani na chwilę nie przestawali się namiętnie całować. Jego dłonie drżały tak, jak przed chwilą drżała Isabel, ogarnięta strachem. Przesuwała czubkami palców po jego twarzy, rozkoszowała się dotykiem szorstkiej skóry, jedwabistych włosów. Nie mogła uwierzyć, że wzbudziła tak ogromną namiętność w człowieku, którego uważała dotąd za nieczulego, zimnego i wyniosłego arystokratę, że sama płonie z niepohamowanego pożądania. Czuła się tak, jakby ktoś inny zapanował nad jej ciałem, jakaś zmysłowa istota, czerpiąca przyjemność z lubieżnego zapamiętania.

Zimne powietrze owiało jej plecy. Zadrżała, gdy Kern zaczął rozwiązywać gorset. Po chwili sama pomagała mu ściągać sztywną konstrukcję; ich chciwe dłonie ocierały się o siebie. Wreszcie Isabel została niemal półnaga, okryta tylko cienką koszulką. Kern przyciągnął ją do siebie jedną ręką, drugą ściągnął delikatną materię. Potem odsunął się od niej na długość ramion i przez moment patrzył na nią spod lekko przymkniętych powiek.

- Piękna. Mój Boże, jesteś piękna.

Nabożny podziw, który słyszała w jego głosie, napelniał ją lubieżną rozkoszą. Nogi ugięły się pod nią, kiedy zaczął całować jej piersi, wreszcie opadła bezsilnie do tyłu, ciągnąc go za sobą. Wylądowali na miękkim łożu, a kiedy jego ciało przygniotło ją z wielką siłą, bolesne uderzenie przywołało Isabel do rzeczywistości.

Nawet przez grube warstwy ubrania wyczuwała twarde zgrubienie naciskające na jej udo. Często słyszała, jak ciotki rozmawiały o szczegółach męskiej anatomii i ich nieprzepartej chęci kopulacji. Dopiero teraz zrozumiała, jak bardzo zbliżyli się do niebezpiecznej krawędzi, nieodwracalnej katastrofy.

Położyła dłonie na ramionach Kerna i próbowała odepchnąć go od siebie, równie dobrze jednak mogłaby pchać kamienną ścianę.

- Nie. Nie wolno nam tego robić. Nie możemy.

- Możemy - odparł, całując jej szyję. - Pragnę cię. Potrzebuję cię.

Isabel zawsze marzyła o tym, by usłyszeć kiedyś takie słowa, wyszeptane przez bezimiennego, nieznanego kochanka w jej łożu. Jego usta przesunęły się coraz niżej, pieściły już brzuch, Czula, że jej opór słabnie z każdą chwilą. Potem Kern sięgnął do jej spódnicy, zaczął ją unosić.

Dziennik mamy. Mógł odkryć dziennik. Malutką książeczkę ukrytą w sekretnej kieszeni...

Ta myśl podziałała na nią jak kubek zimnej wody. Przecież on był jej zaprzysięgłym wrogiem, człowiekiem, który mógł zniszczyć jej plany, który mógł zniszczyć ją.

- Posłuchaj - powtórzyła głośnie. - Nie możemy tego zrobić.

- Na miłość Boską, przestań gadać - mruknął, całując jej piersi, obejmując ustami różowe sutki.

Isabel wciągnęła głośno powietrze, opierając się erotycznej rozkoszy i lekkomyślnym pragnieniom rozbudzonym przez jego bliskość. Obejmując dłońmi jego twarde szczękę, podniosła głowę Kerna i zmusiła go, by na nią spojrział. Prymitywna żądza, jaka malowała się na jego twarzy, była przerażająca... i niesamowicie kusząca.

Z trudem wyrzuciła z siebie słowa:

- Na dole czeka Helen.

Przez chwilę patrzył na nią przymrużonymi oczami, nie przestając pieścić jej skóry, przyprawiając ją o dreszcze rozkoszy. Widziała, jak powoli dociera do niego świadomość tego, co im grozi. Otworzył szerzej oczy; natura cywilizowanego człowieka wzięła wreszcie górę nad dziką żądzą. Na moment zacisnął mocniej dłonie, potem, sfrustrowany poderwał się z łóżka.

Przeszedł przez mroczny pokój i oparł dłonie na stole, pochylając się nisko. Nierówny, chrapliwy oddech świadczył o tym, jak wielką walkę musiał stoczyć, by nad sobą zapanować.

Niczym martwe jesienne liście gnane wiatrem, opadły Isabel wątpliwości i spóźniony żal. Czula się odarta... pusta... samotna. Wiedziała, że to bezsensowna reakcja, bo przecież nie miała czego żałować. Powinna się raczej cieszyć, że odrzuciła Kerna, okazała się silniejsza. Powinna radować się jego cierpieniem, odsunąć od siebie żal i tęsknotę.

- Nie leż tak - burknął, nawet się do niej nie odwracając. - Włóż coś na siebie.

Jego słowa podcięły ją jak bicz, natychmiast poderwały z łóżka. Szybko włożyła pomiętą koszulkę, potem zaczęła zmagać się z gorsetem. Kątem oka widziała, jak Kern podchodzi do lustra i poprawia fular. Kiedy się do niej odwrócił, wyglądał znów jak elegancki arystokrata, jego ubrania nie znaczyła ani jedna zmarszczka czy pyłek, podczas gdy ona była rozczochrana i pomięta.

- Mógłby mi pan pomóc - warknęła, sięgając za siebie. - Nie mogę tego zawiązać.

Kern wykrzywił usta w grymasie dezaprobaty, podszedł jednak do łóżka.

- Proszę się odwrócić.

Wykonała jego polecenie tylko dlatego, że zależało jej na czasie. Skrzyżowała ręce na piersiach, podtrzymując gorset. Kiedy Kern przeciągał sznurek przez kolejne otwory, muskał czubkami palców jej skórę. Isabel wciągnęła głośno powietrze, próbując ugasić ten przekłety ogień podsycany jego dotykiem.

- Za mocno? - spytał.

Ogarnięta nagle niewytłumaczalnym wstydem, potrząsnęła głową. Nigdy dotąd nie musiała korzystać w tak intymnej sytuacji z pomocy mężczyzny, nie mówiąc już o takim arystokracie jak Kern. Co on sobie o niej myślał? Choć ścisnęło ją w gardle, unosiła dumnie głowę. Bez wątplenia umocnił się tylko w swych niepochlebnych opiniach na jej temat. Na pewno obwiniał ją za tę chwilę słabości, oczyszczał siebie z wszelkiego grzechu.

Kern nie zdradzał jednak swych myśli. W milczeniu zawiązał jej gorset, a potem czekał, aż poprawi włosy i włoży czepek. Wreszcie podszedł do drzwi i otworzył je przed nią, dżentelmen w każdym calu.

Ten chłodny spokój działał Isabel na nerwy. Zachowywał się tak, jakby nic między nimi nie zaszło. Chciała rozbić ten mur obojętności, przypomnieć mu, że jest tylko człowiekiem jak każdy inny. Chciała udowodnić, że jego nienaganne maniery to tylko pozory, pod którymi kryje się dzika natura.

Podeszła do niego i dotknęła palcami jego twarzy, musnęła usta.

- Niech się pan nie obawia, milordzie. Pański sekret jest bezpieczny. Przynajmniej na razie.

Tylko rozszerzone źrenice jego zielonych oczu świadczyły o tym, że naruszyła wreszcie jego spokój.

- Nie mam żadnych sekretów.

- Teraz już pan ma. - Wykrzywiła usta w triumfalnym uśmiešku. - Kto wie, kiedyś może i ja spiszę swoje wspomnienia.

Ikar przychodził do mnie zawsze pod osłoną ciemności.

Najostroźniejszy ze wszystkich moich kochanków, wielbny lord Raymond J., zawsze przychodził do mnie nocą kiedy nie mogły wypatrzeć go oczy ciekawskich, kiedy mógł prowadzić swą ulubioną grę - wkładać moją bielizną i udawać upadłego anioła.

Jedna z takich nocnych wizyt szczególnie utkwiła mi w pamięci. Spędziłam wtedy miły wieczór w towarzystwie pewnego dżentel-

mena z Kornwalii, a po jego wyjściu udalam się na spoczynek. Po kilku godzinach zbudził mnie dotyk męskich dłoni i nieskromne propozycje, które ktoś wyszeptywał mi prosto do ucha. Ikar miał na sobie moją jedwabną koszulkę i pończochy, a na szyi moje najlepsze boa ze strusich piór. Ta maskarada w niczym mi jednak nie przeszkadzała, gdyż pod spodem nadal pozostawał mężczyzną. Jakiej rozkoszy doznaliśmy tamtej nocy, jakich uciech! Kiedy wreszcie nasze żądze zostały zaspokojone, Ikar wymknął się chyłkiem z mego pokoju, jakby to namiętne spotkanie pozbawiło go anielskich skrzydeł.

Zastanawiasz się pewnie, drogi czytelniku, dlaczego tolerowałam kochanka, który wstydził się znajomości ze mną? Być może jako córka wiejskiego pastora czerpałam jakąś szczególną przyjemność z przywodzenia do grzechu osoby duchownej. A może - o tak! - chciałam w ten sposób ukoić moje złamane serce, wypełnić pustkę, która powstała we mnie po odejściu mojego pierwszego ukochanego, miłości mojego życia.

Mojego najdroższego Apolla.

„Prawdziwe wyznania kurtyzany”

8

Ki

edy następnego ranka Kem wszedł do sypialni ojca, ujrzał niecodzienny widok.

Podłogę zaścierały prześcieradła i kołdry ściągnięte z łóżka. Słońce oblewało złotym blaskiem odzianego w nocną koszulę Lynwooda, który rozsiadł się w fotelu przy oknie. Dwie rozchichotane służące rywalizowały o jego względy. Książę trzymał rękę pod spódnicą jednej z nich i jednocześnie przytulał się do łona drugiej.

Kern myślał, że przyzwyczał się już do rozpustnych wybryków ojca. Jednak po nocy, którą spędził na rozmyślaniach o własnej słabości, stracił całą cierpliwość.

Podszedł do rozbawionej trójki, złapał służące za paski od fartuchów i jednym szarpnięciem postawił je na nogi. Śmiech zamarł na ustach kobiet. Jedna z nich padła przed nim na kolana i zaczęła zawodzić:

- Proszę, zlituj się nad nami, milordzie. Nie chcieliśmy zrobić nic złego.

- Panie, nie wyrzucaj mnie na ulicę! - przyłączyła się druga. - Umrę z głodu.

- Nigdy więcej nie wchodźcie do tego pokoju- polecił Kern. - A teraz wracajcie do pracy.

Pokojówki obeszyły go szerokim łukiem, pochwyciły brudne prześcieradła i wymknęły się z pokoju.

Stary książę skrzyżował ręce na piersiach. Spod zielonej koszuli nocnej wystawały jego chude, owłosione nogi.

- Nie krzyw się tak, chłopcze. Odrobina zabawy nikomu jeszcze nie zaszkodziła. Może gdybyś sam posmakował jakiejś smakowitej kobitki, nie byłbyś taki sztywny. Od ilu to już lat nie próbowałaś tej słodkiej potrawy? Od czternastu, co?

Kern zajrzał na moment w otchłań ponurych wspomnień sprzed lat i poczuł, że kręci mu się w głowie. Z trudem odsunął się od krawędzi tej przepaści. Nie chcąc wdawać się w kłótnie, podszedł do okna i oparł się o parapet. W ciągu ostatnich sześciu miesięcy stan zdrowia ojca na przemian polepszał się, to znów pogarszał. Bywały już takie chwile, kiedy nie pamiętał własnego nazwiska albo nie poznawał syna. Sądząc jednak po wesołym błysku w jego oczach, tego ranka Lynwood był całkiem przytomny. Kern pomyślał, że powinien być wdzięczny losowi i za to.

- Gdzie jest Mullins? - spytał. - Żadna pokojówka nie może wejść tutaj bez jego zgody.

Lynwood odsłonił żółte zęby w chytrym uśmiechu.

- Mój strażnik miał drobny wypadek. Niestety, nie trafiłem do nocnika i trochę go obsikałem.

Kern z trudem powstrzymał się od śmiechu. Nie mógł przecież okazywać aprobaty dla niesmacznych żartów ojca.

- Od tej pory będzie miał zapasowe ubranie tutaj, w tym pokoju. A teraz chciałbym porozmawiać z tobą o twoim wczorajszym gościu, panie Isabel Darling.

- Ładniutka, co? Szkoda, że ty nie przepadasz za ładacznicami.

Kern odwrócił wzrok, zakłopotany. Przez pół nocy dręczyło go wspomnienie jej cudownego ciała, słodkich pocałunków, delikatnych piersi, tej niesamowitej chwili, kiedy położył się na niej, kiedy czuł, jak obejmuje go udami. Nawet teraz nie mógł myśleć o tym spokojnie.

Tak, miał takie same potrzeby jak każdy mężczyzna - lecz do wczorajszego dnia potrafił nad nimi panować. Boże! Jak mógł zapomnieć o Helen!

Zacisnął dłonie na krawędzi parapetu.

- Intryguje mnie coś, co powiedziała mi panna Darling. Twierdzi, że nie próbowała cię szantażować. Czy to prawda?

- Szantażować?-Lynwood spojrział na syna ze zdumieniem. -

Jak ta dziewczucha mogłaby wyciągnąć ode mnie pieniądze? Nigdy z nią nie spałem.

- Ona ma dzienniki swojej matki. Na pewno nie groziła ci, że je opublikuje?

- Nie przypominam sobie, by mówiła o czymś takim. -Książę przeciągnął dłonią po pomarszczonej twarzy. - To dziwne, wczoraj wydawało mi się przez chwilę, że to ona jest Aurorą, dopóki nie wyciągnęła noża. Czasami coś niedobrego dzieje się z moją głową.

Ogarnięty nagłym współczuciem dla chorego ojca, Kern postanowił jednak skoncentrować się tylko na dręczących go wątpliwościach.

- Więc pewnie próbowała cię uwieść. Sam to mówiłeś. -Kern wiedział jednak dobrze, że takie podejrzenia nie mają sensu. Isabel mogła przecież znaleźć sobie młodszych, bogatszych, bardziej atrakcyjnych adoratorów. - Jaka inna przyczyna mogłaby ją skłonić do przyścia tutaj?

- Powiem ci coś. Pytała, czy ukryłem arsenik w czekoladkach. - Lynwood parsknął pogardliwie. - Nigdy w życiu nie podarowałem kobiecie czekoladek. Wystarczy im różdżka w moich spodniach.

- Arsenik. - Choć pokój zalany był słońcem, Kern poczuł zimny dreszcz na plecach. Jakąż to niebezpieczną grę prowadziła ta dziewczyna? - Powiedz mi dokładnie, o czym mówiła panna Darling.

- Ta dzierlatka groziła, że utnie mi jądra, ot co! Tylko dlatego, że wziąłem ją za jej matkę.

Kern przykucnął przed ojcem.

- To nieważne. Chcę dowiedzieć się czegoś więcej o tym arseniku. Kogo niby miałeś nim otruć?

- Pewnie jej matkę. - Książę opuszczył głowę ze smutkiem. -Ale ja nigdy nie skrzywdziłbym Aurory. Przeżyliśmy razem wiele cudownych chwil.

Kern z wrazenia omal nie usiadł na podłodze. Isabel myślała, że jej matka została zamordowana. Niemożliwe. Nie mógł już jednak uwolnić się od tej myśli - myśli, która

stawiała zachowanie dziewczyny w zupełnie innym świetle. Może wcale nie wkradła się do towarzystwa, by znaleźć bogatego męża.

Może chciała schwytać mordercę.

Więc teraz będziesz próbowała go uwieść? - spytała Callie.

W lustrze toaletki ukazało się jej odbicie; drobna twarz ozdobiona była czepkiem zatkniętym byle jak na bujne blond loki. Szelmowski uśmiech odsłaniał pożółkłe zęby.

Isabel znieruchomiała z dłonią wzniesioną ku głowie. Przed chwilą uśmiechała się w rozmarzeniu do lustra, wyobrażała sobie, że szykuje się do snu, podczas gdy mąż czeka na nią w łóżku. Dotychczas starała się, by ten wyimaginowany kochanek pozostawał bezimienny, by był tylko postacią ukrytą w cieniu. Dzisiaj jednak jego twarz nabierała wyraźnie znajomych rysów...

- Kogo? - zapytała ostrożnie.

- Lorda Kern, oczywiście. Od rana tylko patrzysz w lustro i wdychasz jak zakochana pensjonarka.

- Nieprawda - zaprotestowała Isabel. Czyżby? Podniosła szpilkę i wbiła ją w starannie ułożony kok. - Dlaczego miałabym o nim myśleć? Przecież w lipcu żeni się z Helen.

- To nie ma znaczenia - odparła Callie z chytrym uśmiechem. - Lady Helen może być jego narzeczoną, ale on chce ciebie.

- Nie opowiadaj bzdur. On mną pogardza. Gdyby tylko mógł, natychmiast by mnie stąd wyrzucił.

- Gdyby tylko mógł, natychmiast rzuciłby cię na łóżko - parsknęła ciotka Callie. - Wiem to, bo widziałam was wczoraj razem.

Isabel zacisnęła dłoń na srebrnej szczotce. Nikt nie mógł wiedzieć o incydencie, który miał miejsce w domu księcia Lynwood.

- Widziałas nas? Gdzie?

- Lord Kern przywiózł ciebie i lady Helen do domu. Widziałam, jak wychodziliście z karety. - Kołysząc biodrami, Callie podeszła do okna i wyjrzała na zalaną słońcem ulicę, potem uśmiechnęła się chytrze do Isabel. - Przyglądałam wam się stąd.

Trzymał pod rękę lady Helen, ale patrzył na ciebie. Ba, wgapił się, jakby chciał zerwać z ciebie suknię i robić z tobą różne niegodziwe rzeczy...

- Dość tego - przerwała jej Isabel, kiedy niechciany żar znów zaczął ogarniać jej ciało. On już mnie rozbrał. Dotykał mnie i pieścił, i wcale nie było to niegodziwe, lecz cudowne. - Chyba za wiele sobie wyobrażasz na podstawie jednego spojrzenia.

- Och, nie sądzę - zamruczała Callie. - Zauważyłaś, jakie on ma duże dłonie?

- Nie. -Tak. Pamiętam ciepło jego palców na mych piersiach.

- Cóż, ja zauważyłam. Z doświadczenia wiem, że im większe męczyzna ma dłonie, tym większy jest jego członek. - Callie podeszła bliżej i pochyliła się nad Isabel, jakby zwierzała jej jakąś wielką tajemnicę. - Wierz mi, lord Kern jest zbudowany jak ogier.

- Nie obchodzi mnie to. - Pamiętam, jak leżałam pod nim. Pamiętam, jak się poruszał na mnie...

- Och, jakaś ty słodziutka i niewinna. Już czas, żeby jakiś męczyzna nauczył cię sztuki miłości. Zaufaj mej radzie, lord Kern byłby naprawdę wspaniałym kochankiem.

Kochankiem? Straszliwe pragnienie przeniknęło ciało Isabel. Odwróciła się do lustra i siląc się na obojętność, zaczęła związywać włosy bursztynową wstążką. .

- Nie chcę kochanka. Możesz więc zapomnieć o tych idiotycznych przypuszczeniach.

- Ho, ho, jakaż to panienka dzisiaj drażliwa. - Callie podeszła do swej młodszej towarzyszkii i wsunęła na miejsce kosmyk włosów, który wymknął się z jej koka. - Mam nadzieję, że nie stajesz się zarozumiałą damulką. Jak tak dalej pójdzie, wkrótce wcale nie będziesz chciała rozmawiać ze swoimi ciotkami.

Isabel poczuła nagle ukłucie wstydu. Odwróciła się na stołku i mocno uściśnęła Callie, przytulając głowę do jej miękkiego ciała.

- Przepraszam, że byłam taka niegrzeczna. Nigdy, przenigdy nie będę się uważała za kogoś lepszego niż ty i inne ciocie. - Odchyliła się do tyłu i spojrzała na koleżankę po fachu matki. - Nie wiesz, jak czuje się dzisiaj ciocia Persy?

Callie uśmiechnęła się do niej z matczyną czułością.

- Powoli wraca do zdrowia. Diana przesłała mi dzisiaj wiadomość. Opiekują się nią razem z Minnie, więc nie musisz się niczym martwić.

- Gdybym tylko mogła być przy niej...- Była to jedna z niewielu niedogodności obecnej sytuacji Isabel, musiała bowiem udawać, że jako dobrze urodzona dama nie wie nawet o istnieniu takich instytucji jak dom schadzek. Byłaby naprawdę szczęśliwa, gdyby mogła po prostu wstąpić tam podczas popołudniowej przejażdżki z Helen.

Lecz ta byłaby przerażona. Czułaby do niej odrazę, a ich krótka przyjaźń dobiegłaby końca.

Jeszcze gorsze jednak byłoby ujawnienie prawdy o ich intymnym spotkaniu z Kernem. Jak mogła tak kompletnie zapomnieć się w jego ramionach?

Wzdychając ciężko, Isabel spojrzała na swe odbicie w lustrze. Nie uważała wcale, by ustępowała urodą damom z towarzystwa; miała delikatne rysy i gładką mleczną cerę, łagodne łuki brwi podkreślały piękno brązowych oczu. Jednak mimo wszystkich tych atutów, mimo eleganckiej sukni i modnej fryzury, nie była wcale damą. Może gdzieś głęboko kryła się w niej natura matki... kobiety lekkich obyczajów, frywolnej romantyczki, która zabiegała o względy mężczyzn.

Jesteś tym, kim jesteś, córką ulicznicy...

Nie, nie zapomniała, kim jest, nigdy sobie na to nie pozwoli. Jak mogłaby zapomnieć, skoro Kern rozbudził jej pożądanie z taką łatwością?

Odsuwając od siebie te smutne myśli, wyszła szybko z pokoju i ruszyła korytarzem. Gdy dotarła do pokoju Helen, zatrzymała się na moment przed drzwiami, zbierając siły. Coraz trudniej przychodziło jej odgrywać rolę niewinnej kuzynki z prowincji. Ułożywszy usta w miły uśmiech, zapukała do drzwi.

Otworzyła jej panna Gilbert. Stara guwernantka była wyraźnie zdenerwowana, wymachiwała chusteczką jak białą flagą.

- O Boże, to okropne, po prostu okropne!

- Słucham? - Przez jedną straszliwą chwilę Isabel myślała, że ktoś dowiedział się o jej spotkaniu z Kernem, o grzechu,

którego się wspólnie dopuścili. Potem ze zdumieniem dostrzegła, że Helen nie wstała jeszcze z łóżka. Siedziała oparta o stertę poduszek i popijała herbatę z filiżanki. Isabel natychmiast do niej podbiegła.

- Co się stało? Jesteś chora?

Odstawiając filiżankę na nocny stolik, Helen zdobyła się na słaby uśmiech.

- Droga Isabel, okropnie boli mnie gardło i głowa. Powiadomiłabym cię wcześniej, ale myślałam, że wyzdrowieję do tej pory. Przykro mi, ale będziesz musiała radzić sobie dzisiaj beze mnie.

- Nigdzie nie pójde - oświadczyła Isabel, kładąc dłoń na czole chorej. - Masz gorączkę. Może trzeba posłać po lekarza?

- Nie, to tylko zwykłe przeziębienie. Kilka dni odpoczynku i będzie po wszystkim.

- W takim razie posiedzę przy tobie i poczytam ci coś.

Helen uśmiechnęła się.

- Jesteś naprawdę kochana, kuzynko, ale prawdę mówiąc, wolałabym zażyć kilka kropel laudanum i przespać ten dzień. - Poklepała dłoń Isabel. - Ty i Gillie możecie zostawić mnie samą. Mamy dzisiaj ładny dzień, może wybieriecie się we trójkę na przejażdżkę po parku.

Perspektywa dnia wolnego od wszelkich zobowiązań stanowiła dla Isabel wielką pokusę. Mogła wreszcie zająć się własnymi sprawami, posunąć śledztwo do przodu. Właśnie na taką okazję czekała przez cały czas pobytu u Hathawayów. Szybko ułożyła sobie w głowie plan dnia.

- Wspominałaś, że chcesz wstąpić do kościoła i omówić szczegóły ceremonii ślubnej ze swoim stryjem Raymondem. Chętnie zrobię to zamiast ciebie. - A przy okazji wypytam tego starego kozła o moją matkę.

- Och, nie mogę przecież zmuszać cię do tak nudnego zajęcia - protestowała bez przekonania Helen. - Ta sprawa może jeszcze poczekać.

- Planowanie ślubu wcale nie jest nudne. Oczywiście, jeśli tylko ufasz mi na tyle, by powierzyć tak odpowiedzialne zadanie.

- Naturalnie, że ci ufam - odparła Helen z ciepłym uśmiechem. - Powierzyłabym ci własne życie.

A narzeczonego? Isabel odsunęła od siebie to pytanie i poczucie winy. Nie miała żadnych planów względem Kerna. Prawdę mówiąc, ucieszyłaby się ogromnie, gdyby mogła już nigdy go nie ujrzeć. Teraz chciała wymknąć się z domu, nim on zatruje jej życie swą obecnością.

Pożegnała się z Helen i w towarzystwie panny Gilbert zeszła na parter. Ostrożnie zajrzała do salonu, gotowa natychmiast się wycofać, gdyby dostrzegła tam wysoką groźną postać Kerna. Na szczęście zielony pokój był pusty, szybkim krokiem ruszyła więc do wyjścia.

- Nie powinnyśmy poczekać na lorda Kern? - spytała panna Gilbert, drepcząc śladem Isabel.

- Oczywiście, że nie. Nie pojedzie przecież z nami bez lady Helen.

Lokaj otworzył przed nią drzwi. Isabel wysliznęła się na ganek i stanęła jak wryta, ujrawszy przed schodami czarny faeton. Lord Kern zeskoczył z siedzenia powozu i wręczył stajennemu cugle.

Więc jednak nie dopisało jej szczęście.

Kern wspiął się szybko na schody. Wiatr rozwiewał jego czarne włosy, zielone oczy spoglądały na nią groźnie.

- Gdzie jest Helen? - zapytał, zerkając na otwarte drzwi.

- Och, milordzie, mamy dla pana złe wieści! - zapiszczała panna Gilbert. - Biedulka rozchorowała się dziś w nocy.

- Czy to coś poważnego?

- Przeziębienie - odparła Isabel. - Na tyle jednak groźne, że Helen musi zostać w łóżku. Proponuję, by natychmiast wybrał się pan do kwaciarki i przyniósł jej wspaniały bukiet, może to podniesie ją trochę na duchu. A teraz pozwoli pan, że się oddalimy, mamy pewną sprawę do załatwienia.

Kiedy chciała przejść obok niego, Kern zastąpił jej drogę. Zmrużył podejrzliwie zielone oczy, te same oczy, które wczoraj patrzyły na nią z taką namiętnością.

- Cóż to za sprawa?

- Obiecałam lady Helen, że zajmę się kilkoma szczegółami

związanymi z waszym ślubem. Powinniśmy wrócić za godzinę lub dwie. - Znów próbowała go obejść, tym razem jednak powstrzymał ją piskliwy głos panny Gilbert.

- Panna Darcy i ja zamierzamy złożyć wizytę wielebnemu lordowi Raymondowi - wypaplała guwernantka. - Mam nadzieję, że uważa pan to za całkiem stosowne, by dwie damy składały wizytę dzentelmenowi, szczególnie jeśli jest on osobą duchowną.

Kern przeszył Isabel surowym spojrzeniem.

- Całkiem stosowne będzie, jeśli dzentelmen odwiedzi kuzynkę narzeczonej do kościoła. Panno Gilbert, pani zostanie tutaj.

Kiedy guwernantka próbowała protestować, Kern wziął Isabel pod ramię i sprowadził ją ze schodów. Dotyk jego silnych palców przyprawił ją o szybsze bicie serca. Jego męski zapach niósł ze sobą gniew i zagrożenie, wyczuwała, że kłębią się w nim jakieś potężne namiętności. Bez wątpienia winił ją za ich pocałunek.

Uniosła głowę. Doprawdy, to on powinien się wstydzić. Zachowywał się jak napastnik i doprowadził do tej żenującej sytuacji.

I to on zniweczył jej dzisiejszy plan. Nie mogła przecież przesłuchać lorda Raymonda w jego obecności.

- Proszę mnie natychmiast wypuścić - syknęła. - Nie mam zamiaru nigdzie z panem jechać.

- W takim razie będzie pani musiała zrobić mi scenę. Jeśli się pani ośmieli.

Nim mogła mu odpowiedzieć, jego ręce oplotły ją w tali. Poczowała duże silne dłonie, które świadczyły o czymś, o czym wstydziła się nawet myśleć.

Zaczerwieniona i wzburzona zajęła miejsce w powozie, Kern usiadł obok niej. Odsunęła się na sam skraj wąskiej ławki, lecz mimo to jej suknia ocierała się o wypolerowane buty lorda. Zerkając na nią groźnie, Kern pochwycił za lejce i wyprowadził powóz na ulicę.

- Więc - zaczął ostrym tonem. - Proszę mi powiedzieć, jakąż to ważną sprawą sprowadza panią do lorda Raymonda.

- Helen prosiła mnie, bym omówiła z nim szczegóły ceremonii ślubnej.

- Pytam o prawdziwy powód - odparł zniecierpliwiony. - Znam te pani sztuczki. Na pewno chce pani nękać go jak mojego ojca...

- I pana - wtrąciła, nim skończył zdanie. - Proszę nie zapominać, że nękałam także i pana. - Skoro Kern chciał wierzyć, że jest zepsuta, nie będzie nawet próbowała wyprowadzić go z błędu.

Jego spojrzenie zsunęło się na jej usta. Isabel zadrżała, choć wcale nie było jej zimno. Potem Kern odwrócił głowę.

- Ten godny pożałowania incydent nie ma nic wspólnego z moim pytaniem.

Isabel zrozumiała, że mimo wszystko zależy jej na opinii Kerna, że boli ją jego pogarda, a ten ból wzbudza w niej gniew.

- Ależ oczywiście, że ma. Ten godny pożałowania incydent świadczy tylko o tym, jaką jestem kobietą. Uwodzę mężczyzn, wabię ich w swoje sidła. Rzucam na nich urok, a potem wyciągam od nich pieniądze.

Kern uniósł lekko brwi.

- Najwyraźniej wstała pani dzisiaj lewą nogą. Pewnie zepsułam pani plany na popołudnie.

- Owszem, zepsuł pan. Byłam umówiona z lordem Raymondem na małe tete-a-tete. - Zdecydowana wyprowadzić Kerna z równowagi, przesłała mu najbardziej zmysłowy ze swych uśmiechów. - Choć jeśli jest pan zainteresowany, milordzie, możemy zrobić to we trójkę.

Z satysfakcją obserwowała, jak Kern zaciska zęby w grymasie tłumionego gniewu.

- Niech pani mnie nie drażni, Isabel. Wiem, co pani knuje.

- Oczywiście, jak zwykle chodzi o szantaż. Uwodzę dzentelmenów, a potem każę im płacić za milczenie. To dość łatwy zarobek.

- Wczoraj powiedziała mi pani, że nie przyszła do mojego domu, by szantażować mego ojca.

- Tak powiedziałam? - Roześmiała się głośno, by ukryć zakłopotanie. - Och, znowu kłamałam. Wie pan przecież, że nie można wierzyć ani jednemu słowu, które pada z mych ust.

- Ciekawe. - Kiedy zatrzymali się na skrzyżowaniu, by prze-

puścić ciężko załadowany wóz, Kern spojrzął na nią przeciągle. Isabel poczuła się nagle nieswojo, jakby lord przejrzał na wylot jej plany i poznał przyczynę, która kierowała jej poczynaniami. -Dziś rano odbyłem z ojcem bardzo interesującą rozmowę. Powiedział mi coś, co naprawdę wprawiło mnie w ogromne zdumienie.

- Cóż to mogło być? Czy powiedział panu, jak wśliznęłam się do jego łóżka? Jak nie zgodził się na podaną przeze mnie cenę, a ja wyciągnęłam nóż, by zmusić go do uległości?

Kern jeszcze raz obrzucił ją japońskim spojrzeniem, od którego cierpła na niej skóra.

- Powiedział, że oskarżyła go pani o zamordowanie Aurory Darling.

9

Kern obserwował, jak krew odpływa z twarzy Isabel. Szeroko otwarte oczy patrzyły nań ze zdumieniem i przestachem. Przebiegł go zimny dreszcz. Do diabła, ona naprawdę wierzyła, że Aurora Darling padła ofiarą morderstwa.

I że jego ojciec dokonał tej zbrodni.

Zasłaniając oczy długimi rękami, Isabel odwróciła lekko głowę, wpatrzona w tłum przechodniów.

- O morderstwo? Nie mam pojęcia, skąd przyszedł mu do głowy taki pomysł - powiedziała niewinnym głosem. - Jest bardziej szalony, niż myślałam.

- Powtarzał tylko pani słowa.

- Skąd pan może to wiedzieć? Nie było pana przy tym.

Jej zuchwalstwo doprowadzało go do furii. Dręcząc starego schorowanego człowieka, zasłużyła sobie na surową karę. Chwytał ją pod brodę i zmusił, by na niego spojrziała.

- Proszę przestać bawić się ze mną w kotka i myszkę, panno Darling. Jeśli nadal będzie pani oskarżać mojego ojca o czyny, których nie popełnił, postaram się, by opuściła pani towarzystwo i wróciła do domu schadzek, tam gdzie jest pani miejsce.

Isabel wciągnęła głośno powietrze, jej piersi falowały gwałtownie pod jedwabnym spencerem.

- Nie ośmieliłby się pan. Opublikowałabym wtedy wspomnienia mojej matki.

- Czyżby? Proszę przyznać, że chce pani odszukać mordercę, człowieka, który pani zdaniem jest przedstawicielem arystokracji.

Isabel zacisnęła usta, gotowa bronić się do upadłego.

- Nie mam obowiązku zwierzać się panu z moich planów. Lepiej będzie, jeśli po prostu zatrzyma pan powóz i pozwoli mi wysiąść. Wolę iść do kościoła na piechotę, niż przebywać w pańskim towarzystwie.

- O, nie - wycodził Kern przez zaciśnięte zęby. - Zostanie pani ze mną, dopóki nie wyjawি mi pani całej prawdy.

Isabel uniosła dumnie głowę.

- W takim razie czeka pana bardzo nudne popołudnie, mi lordzie.

Miał ochotę potrząsnąć nią z całych sił. Tymczasem szarpnął tylko cugłami, podrywając konia do szybszego biegu. Nie będzie znosił jej fochów. Wiedział, jak zmusić ją do mówienia.

Isabel wyprostowała się, zaniepokojona, kiedy eleganckie budynki ustąpiły miejsca zwykłym domom i sklepom.

- To nie jest droga do kościoła św. Grzegorza.

- Nie.

- Jedzie pan w stronę Strand. Dokąd pan mnie zabiera?

- Przekona się pani za chwilę.

Po kilku minutach minęli teatr Covent Garden. Potem Kern zatrzymał powóz przed niepozornym budynkiem z czerwonej cegły, przed którym panował niezwykły ruch; najpierw do środka wszedł jakiś urzędnik w białej peruce, potem na ulicę wyszła zapłakana kobieta z chustką przy twarzy, policjant w fioletowym surducie prowadził jakiegoś rzezimieszka.

Isabel zamrugła, zdumiona.

- To siedziba policji - mruknęła. - Po co pan mnie tu przywózł?

- Skoro nie chce pani być ze mną uczciwa, opowie pani o wszystkim sędziemu. - Pochylił się ku niej, zdecydowany doprowadzić sprawę do końca. - Proszę pamiętać, panno Darling, że jeśli prawda wyjdzie na jaw, całe towarzystwo dowie się, kim pani jest.

Isabel otworzyła usta, potem zamknęła je w bezsilnej złości.

Westchnęła ciężko i położyła dłoń na ramieniu Kerna, kiedy ten postawił nogę na stopniu powozu.

- Dobrze - odezwała się głosem nabrzmiałym od emocji. - Chce pan prawdy? Odjedźmy stąd, a powiem panu całą prawdę.

Kern szarpnął cugłami, ponownie wyjeżdżając na ulicę.

- Słucham.

- Ktoś z towarzystwa otruł moją matkę. Ktoś ją zabił, by nie mogła opublikować swoich wspomnień. I choćby groził mi pan śmiercią, odnajdę winowajcę i dopilnuję, by został ukarany.

Kern spojrział nią ze zdumieniem, wstrząśnięty determinacją, z jaką wypowiadała te słowa. Miał ogromną ochotę przytulić do siebie Isabel, uspokoić, choć jednocześnie łąał się w myślach za te pragnienia.

- Ma pani jakieś dowody?

- Na kilka dni przed śmiercią - zaczęła Isabel, wpatrując się w swe zaciśnięte dłonie - matka opisała swoje obawy w dzienniku. A objawy jej nagłej choroby pokrywają się z tymi, które występują przy zatruciu.

- Jeśli chce pani powiedzieć, że Aurora Darling oskarżyła mego ojca, to jest to zupełny nonsens - odrzekł Kern głucho. - On ma wiele występków na sumieniu, ale nie jest mordercą.

- Nie nazwała go po imieniu. Ale księżę jest jednym z wielu... byłych kochanków mojej matki, którzy wiedzieli, że spisuje swoje wspomnienia. Jeden po drugim przychodzili do niej i prosili, by przestała to robić. - Isabel mówiła powoli, jakby to wyznanie sprawiało jej ból. - Tej samej nocy, kiedy matka zachorowała, jakiś mężczyzna wchodził do jej sypialni. Widziała go Minnie.

- Dlaczego nie przedstawiła pani swoich podejrzeń sędziemu?

- Myśli pan, że ktoś tam... - wskazała na budynek, który zostawili za sobą - uwierzyłby w moje słowa? Czy ktoś w ogóle chciałby zajmować się śmiercią kurtyzany? - Pokręciła głową. - Ucieszyliby się tylko, że w mieście jest o jedną ładacznicę mniej.

Te gorzkie słowa nieoczekiwanie wzbudziły w Kernie szczere współczucie. Isabel siedziała dumnie wyprostowana, choć jej brwi ściągnięte były w grymasie troski i zamyślenia. Po raz

pierwszy zrozumiał, że naprawdę kochała matkę i bardzo przeżywała jej śmierć. Nie mógł jednak pozwolić sobie na czułe gesty.

- Więc postanowiła pani przeprowadzić śledztwo na własną rękę. Szantażując Hathawaya, wprowadziła się pani do jego domu. A teraz chce pani spotkać się z wielbnym lordem Raymondem i zamęczać go pytaniami.

Isabel zacisnęła mocniej usta.

- Jeśli nawet tak jest, to pan nie ma z tym nic wspólnego.

- Pozwolę sobie nie zgodzić się z panią. Ten człowiek jest stryjem mojej narzeczonej. To uczciwy, bogoboyny dżentelmen, oddany służbie Kościołowi.

- Ciekawe, moja matka opisała go jako rozpustnika, który krył przed światem ciemne sekrety.

Kilkakrotnie Kern przyłapał lorda Raymonda na tym, jak ten przyglądał się damom zgromadzonym w kościele. Nie zamierzał jednak dawać Isabel dodatkowych argumentów. Poza tym lord Raymond z pewnością nie był mordercą. Dawno temu pomagał mu w nauce i służył przyjacielską radą, kiedy Hathaway przebywał poza miastem. Był przyzwoitym, ciepłym człowiekiem, który z troskliwością leczył złamane skrzydło wróbla znalezionego przez Kerna, wówczas jeszcze małego chłopca.

- Ciemne sekrety? - parsknął. \- Jeśli mówi pani o pojedynku, po którym został inwalidą, to muszę panią zmartwić: ta sprawa dawno już poszła w zapomnienie. W dodatku dowodzi jasno, że lord Raymond nie jest zdolny do morderstwa. Wolał wypalić w powietrze, niż zranić przeciwnika.

- Nie, nie mówię o tym incydencie.

- Więc o czym?

Isabel wydeła usta i odwróciła głowę.

- To nie pańska sprawa.

Aura tajemniczości, którą otaczała się ta dziewczyna, doprowadzała go do szaleństwa. Chciał pocałunkami wydobyć z niej prawdę, pieścić dopóty, dopóki nie odstąpi przed nim wszystkich sekretów swego ciała i duszy. Chciał zatrzymać się z nią w najbliższej gospodzie i dokończyć to, co zaczęli poprzedniego dnia.

Dobry Boże, zasługiwał na chłostę. Choć był zaręczony z Helen, nadal pożądał Isabel.

Wracając myślami do rzeczywistości, zacisnął mocniej dłonie na lejcach. Koła powozu stukały miarowo o bruk.

- Razem więc przesłuchamy lorda Raymonda.

- Nie! - sprzeciwiła się gwałtownie Isabel. - Nie chcę, by pan się do tego mieszał.

- I tak jestem już zamieszany w tę sprawę, czy tego pani chce, czy nie - odrzekł Kern. - Proszę mi powiedzieć, kogo jeszcze wymienia pani matka w swych memuarach?

- Wyjawiłam już panu wystarczająco dużo.

- Wyjawiła mi pani za mało. Chciałbym przeczytać w całości te nieszczęsne wspomnienia. Gdzie one są, do diabła?

Isabel drgnęła, jakby ktoś ukłął ją szpilką.

- Ukryte w bezpiecznym miejscu, gdzie nie dosięgnie ich żaden wścibski arystokrata taki jak pan.

- Więc mam pani uwierzyć na słowo. Myśli pani zapewne, że jestem skończonym idiotą.

Isabel zmierzyła go ironicznym spojrzeniem.

- Wręcz przeciwnie, milordzie. Wcale o panu nie myślę.

Niech diabli wezmą jej zuchwalstwo! On myślał o niej przez pół nocy.

Choć traktowała go z zimną wyniosłością, nie mógł zapomnieć, jak gorliwie reagowała na jego pieszczoty. Pamiętał, jak namiętne były jej pocałunki, jak pomagała mu ściągać gorset, by mógł dotykać jej delikatnych piersi.

Przełożył lejce do jednej ręki, drugą zaś położył na dłoniach Isabel. Ciepło jej ciała przeniknęło przez cienkie rękawiczki, ciepło, którego pożądał pomimo wszystkich zakazów i obiekcji.

- Kłamczucha - odezwał się słodkim tonem. - Chcesz, żebym udowodnił ci, jak bardzo mijasz się z prawdą. Przyznaj to. Pragniesz tego nie mniej ode mnie.

Ta nieoczekiwana prowokacja zaparła Isabel dech w piersiach. Choć lord Kern był jak zawsze nienagannie ubrany i gładko wygolony, otaczała go niesamowita, zwierzęca aura. Prowadził powóz ze swobodą, atakując ją jednocześnie słowami niczym bokser pięściami. Ogarnęło ją przerażenie i wstyd, kiedy poczuła,

że jej ciało reaguje na jego wyzwanie. Nawet tutaj, na oczach całego świata, chciała, by położył dłoń na jej udzie, by przesunął ją coraz wyżej... wyżej...

Chciała być kurtyzaną lorda Kern.

Zdecydowanym ruchem odepchnęła jego rękę.

- Proszę uważać na drogę, bo zabije pan nas oboje.

Kern roześmiał się ponuro.

- To nie ja przywiodę panią do zguby. Sama ściągnie ją pani na siebie, oskarżając potężnych arystokratów o morderstwo.

Isabel skrzętnie skorzystała ze zmiany tematu.

- Więc przyznaje pan, że ktoś z nich zabił moją matkę.

- Cóż, nie przeczę, że są między nimi zdeprawowani ludzie, zdolni do takiej zbrodni. Z pewnością jednak nie zalicza się do nich mój ojciec ani wielbny lord Raymond. - Kern skrzywił się boczną uliczkę. - I zamierzam to pani udowodnić.

Przeklęty arystokrata. Jak uda jej się wydobyć od lorda Raymonda jakieś wiarygodne informacje, skoro za jej plecami będzie stał Kern, gotów bronić tego człowieka do upadłego? Mimo wszystko musiała spróbować.

Zatrzymali się przed wysokim portykiem kościoła św. Grzegorza. Kern zeskokczył z powozu, przywiązał konia, a potem podszedł do Isabel. Nie chciała korzystać z jego pomocy, a on doskonale o tym wiedział; zdradził to szyderyczy błysk oczach. Arogancki gbur. Okazało się jednak, że wcale nie tak łatwo jest zejść z wysokiego stopnia. Kern pochwycił Isabel w pół i ściągnął na chodnik. Odsunęła się szybko, nie chcąc wspierać się na jego ramieniu niczym jakaś afektowana damulka.

Wnętrze kościoła przesycone było zapachem pasty do podłogi i zimnego kamienia. Ich kroki odbijały się echem w pustej mrocznej nawie, rozświetlanej tylko blaskiem słońca, wpadającego tu przez wysokie, wąskie okna.

Znaleźli pastora w jego małym ciasnym gabinecie, zajętego pisaniem. Na biurku leżała oprawiona w skórę Biblia, elegancka laska z gałką z kości słoniowej oparta była o krzesło.

Wielbny lord Raymond uniósł głowę znad biurka, a dojrzałszy nieoczekiwanych gości, otworzył szeroko oczy. Dłoń trzy-

mająca pióro zastygła nad kartką. Ciemne włosy i wyraz zdumienia na twarzy nadawały mu dziwnie chłopięcy wygląd.

Odsunął ciężkie, obite skórą krzesło i wstał, opierając się oburącz o biurko. Nieufny grymas ustąpił miejsca ciepłemu uśmiechowi, jakby pastor zmienił nagle maski.

- Justin. I panna... Darcy. Co za spotkanie.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzamy w pracy.

- Oczywiście, że nie. Robiłem tylko notatki do niedzielnego kazania. - Lord Raymond wskazał na dwa krzesła. - Proszę, siadajcie. Powiedzcie, czemu zawdzięczam tę wizytę?

Zajmując miejsce, Isabel czuła na sobie ciężkie spojrzenie pastora. By pozbyć się strachu, wyobraziła go sobie w różowym boa ze strusich piór i jedwabnej bieliźnie.

- Lady Helen poprosiła mnie, bym przyjechała tutaj - odparła słodkim głosem. - Od dawna już nie był pan u niej z wizytą. Martwi się o pana.

Lord Raymond opadł na krzesło.

- Jestem bardzo zajęty - odparł sztywno. - Proszę przekazać mojej bratanicy wyrazy ubolewania. I zapewnić ją, że przyjdzie jeszcze czas, kiedy będę mógł odwiedzać ich dom.

- Rozumiem. - Isabel poczuła się dotknięta jego słowami. Pastor dawał jej do zrozumienia, że nie pokaże się u brata, dopóki ona tam będzie. Fałszywy zarozumialec. - Helen prosiła mnie także, bym omówiła z panem szczegóły jej ceremonii ślubnej. Ale skoro ostatnio jest pan tak zajęty, poczekamy z tym do następnej okazji. Teraz chciałabym zadać panu kilka pytań dotyczących mojej matki.

Pastor natychmiast przestał się uśmiechać. Pochylił się w stronę Isabel.

- Pytań? Zakończyłem znajomość z tą kobietą wiele lat temu. Nie mam nic więcej do powiedzenia.

- Mylisz się - powiedział Kern, który stał oparty o biblioteczkę, z rękami skrzyżowanymi na piersiach. - Panna Darling uważa, że jej matka została zamordowana, otruta. Chciałaby wiedzieć, czy to ty popełniłeś tę zbrodnię.

- Ja? Morderstwo? - Parskając głośno, lord Raymond odchylił się do tyłu na krześle. Słońce wpadające do pokoju przez małe

okienko nad biurkiem oświetliło twarz pastora. - To szaleństwo... kompletna bzdura!

Przekłęty Kern. Isabel chciała poprowadzić tę rozmowę zupełnie inaczej, subtelniej. Miała nadzieję, że zadając niewinne z pozoru pytania, dowie się wszystkiego.

- To prawda - powiedziała, rzucając Kernowi ostrzegawcze spojrzenie. - Wasza lordowska mość, chciałabym dowiedzieć się, co robił pan w nocy dziesiątego maja zeszłego roku.

- Jak mógłbym pamiętać, co robiłem rok temu? Pewnie byłem w domu, z żoną. - Pokręcił głową, jakby dopiero teraz uświadomił sobie, co właściwie znaczącej słowa. - Ja... myślałem, że Aurora zmarła śmiercią naturalną. Boże, zmiłuj się nad jej grzeszną duszą.

Doprawdy, miał tupet, by uważać jej matkę za bardziej grzeszną od siebie. Isabel przypomniała sobie jasny śmiech swej matki, jej wspaniałomyślność. Ale ten człowiek nigdy nie próbował poznać jej od lepszej strony.

- Właśnie tamtej nocy mama zachorowała - wyjaśniła. - Wtedy także pewna kobieta widziała, jak do jej pokoju wchodzi jakiś mężczyzna. Było to późno w nocy, w porze, o której pan zwykł ją odwiedzać. Z powodów, które oboje znamy.

Jego twarz pobladła nagle, stała się niemal tak biała jak kartka papieru na biurku. Zerknął na Kerna, a potem obrzucił Isabel wściekłym spojrzeniem.

- To nie byłem ja. Przypominam, że w zamian za przysługę, jaką wyświadczył pani mój brat, obiecała pani nie wspominać nigdy więcej o moich wizytach w tamtym domu.

- I dotrzymam obietnicy. Jeśli pan odpowie dzisiaj na moje pytania.

Przez moment w pokoju panowała cisza przerywana tylko chrapliwym oddechem pastora.

- Przez ostatnie piętnaście lat nie zbliżyłem się do Aurory ani do żadnej innej kurtyzany. Przysięgam. - Położył poplamioną atramentem dłoń na Biblii. - Bóg mi świadkiem, poświęciłem swe życie wyłącznie Kościołowi.

- A jednak był pan u niej w tym czasie, przynajmniej raz - upierała się Isabel. - Podobnie jak księżę Lywnood i inni ostrzegał ją pan, by nie publikowała swoich wspomnień.

- To nie była żadna schadzka - odrzekł pastor. - Rozmawiałem z nią może przez pięć minut. W kwietniu, nie w maju.

Isabel przyjrzała mu się badawczo. Wyczuwała jego oburzenie i coś jeszcze - coś mrocznego i bolesnego. Desperację? Strach?

- Morderca z pewnością nie cofnąłby się przed kłamstwem. Dlatego muszę mieć dowód, że mówi pan prawdę...

- Wystarczy. - Kern wyprostował się i ruszył w stronę Isabel. - Lord Raymond powiedział już pani wszystko, co wie o tej sprawie. Nie będziemy zadawać mu więcej pytań.

- Odpowiedzi pastora są niejasne. Muszę wiedzieć, co robił w nocy dziesiątego maja.

Kern ujął ją mocno pod ramię.

- Dał pani słowo dżentelmena - rzekł i zwrócił się do starszego nęczyzny: - Do widzenia.

Duchowny podniósł się powoli z krzesła, wsparty na eleganckiej lasce.

- Mam nadzieję, że nie wspomni pani nikomu o tych absurdalnych podejrzeniach. Jeśli taka plotka rozniesie się po mieście, nawet brat nie będzie w stanie pomóc mi w uzyskaniu biskupstwa Londynu.

- Panna Darcy będzie trzymać język za zębami. Dopilnuję tego. - Z tymi słowami lord Kern opuścił gabinet pastora, pchając przed sobą Isabel.

Kiedy wyszli przed kościół, z wściekłością odtrąciła jego rękę.

- Czy nie pozwala pan sobie na zbyt wiele? - spytała zirytowana. - Nie powinien był pan przeszkadzać mi w rozmowie z lordem Raymondem.

- A pani nie powinna była traktować go jak zbrodniarza. Znam tego człowieka od lat i mogę zapewnić, że jest zupełnie niewinny.

- Rozumiem. Pan wymaga ode mnie, bym udowodniła, że moja matka została otruta. Aleja nie mogę domagać się żadnego dowodu od lorda Raymonda.

- Nie, nie może pani. Chodźmy już, zanim cały Londyn zobaczy, jak się kłócimy.

Isabel dopiero teraz zauważyła służących i kupców spieszących

do swych sklepów, powozy przejeżdżające ulicą. Kto wie, czy ktoś nie przyglądał im się także z okien okolicznych domów? Tłumiąc gniew, przeszła wraz z Kernem do powozu. Dopiero gdy ruszyli z miejsca, lord odwrócił się do niej i powiedział:

- Proszę wyjawić mi nazwiska innych ludzi, którzy mogą być zamieszani w tę sprawę.

Żeby znów wsadzał nos w nie swoje sprawy!

- Mówiłam panu już, że to poufne informacje.

Kern zacisnął zęby i odwrócił wzrok ku ulicy.

- Przypuszczam, że mógłbym je znaleźć w dzienniku, którego nie chce mi pani pokazać.

Isabel milczała wyniośle. Była pewna, że Kern wcale nie chce jej pomóc, lecz ostrzec pozostałych. Ludzie z jego sfery tworzyli zamknięty krąg, chronili nawzajem swą reputację.

Młody lord zerkał na nią od czasu do czasu, jakby się domyślał, że ukrywa wspomnienia matki przy sobie. Isabel była jednak bardzo ostrożna, dbała o to, by nawet Callie nie poznała jej sekretu.

- Jednym z dżentelmenów na pani liście jest sir John Trimble - oświadczył nagle Kern.

Isabel zeszywniała. Pomyślała, że na pewno przypomniał sobie, jak grali razem w karty podczas jej pierwszego balu. Nie mogła jednak pozwolić, by poznał przeszłość Trimble'a, by dowiedział się, że własny ojciec nie chciał jej znać.

Czuła, że mimowolnie rumieni się pod jego stanowczym spojrzeniem.

- Nie może pan tego wiedzieć.

- Nie. Ale wkrótce się dowiem.

Kern ponownie odwrócił się od Isabel. Po chwili zdała sobie sprawę, że zmiierzają na południe, ku zatłoczonej Regent Street.

- Dokąd pan jedzie? - spytała.

- Przypomniałem sobie, że Trimble należy do jednego z klubów. Bez trudu powinniśmy go odnaleźć.

- Ależ on wyjechał z miasta - odrzekła Isabel, przerażona. - Słyszał pan przecież, że wybierała się na wieś.

- Więc sprawdzimy, czy już wrócił.

Przekłęty arystokrata. Zastanawiała się, czy nie powinna

raczej wrócić do Hathawayów, obawiała się jednak, że później Kern sam przesłucha Trimble'a. Woląta, by odbywało się to przynajmniej w jej obecności. Być może udałoby jej się wtedy wyciągnąć od niego jakieś istotne informacje.

Po chwili Kern zatrzymał powóz przed budynkiem przypominającym stateczną wiejską rezydencję, choć znajdował się przecież w środku miasta. Lord przywołał do siebie odźwiernego, a ten z pośpiechem zbiegł po schodach.

Usłyszawszy pytanie Kerna, podniósł kapelusz i poskrobał się po łysinie.

- Niski mężczyzna z paskudną blizną na policzku? Chyba widziałem kiedyś takiego dżentelmena w klubie Boodle'a. Mam się dowiedzieć czegoś więcej, milordzie?

Kern skinął głową i rzucił służącemu monetę, którą ten skwapliwie pochwycił. Przebiegł przez ulicę do innego eleganckiego klubu i po chwili powrócił z adresem. Sir John mieszkał w dość biednej dzielnicy przy Haymarket.

Uśmiechając się triumfalnie, Kern ruszył pod wskazany adres. Choć Isabel siedziała sztywno, jak dobrze wychowana guwernantka, patrząc tylko przed siebie, wyczuwał jej zdenerwowanie. Bez wątpienia wiedziała już wcześniej, gdzie mieszka Trimble, nie chciała jednak pomóc mu w realizacji jego planów.

A on chciał pokrzyżować jej plany.

Wkrótce wjechali w wąskie, zatłoczone uliczki i znaleźli dom Trimble'a w szeregu małych niepozornych budynków. Kern zastanawiał się, jak człowiek, który mieszkał w tak skromnych warunkach, mógł sobie pozwolić na usługi Aurory Darling. Właśnie o to chciał zapytać go przede wszystkim.

Okazało się jednak, że Trimble nie powrócił jeszcze do miasta, o czym poinformowała ich jego gosposia. Kern zostawił więc tylko wiadomość, że wróci tu w następny piątek.

- Widzi pan? Mówiłam, że go nie będzie - oświadczyła Isabel triumfalnym tonem, kiedy wracali do powozu. - I niech pan nie waży się wracać tu beze mnie. Tym razem ja będę zadawać mu pytania. Lord Raymond powiedziałby mi znacznie więcej, gdyby pan nie wtrącił się ze swoimi oskarżeniami.

Kern rzucił dziewczynie chmurne spojrzenie i zatrzymał się przy powozie.

- Proszę o nim zapomnieć. On jest niewinny.

- Doprawdy? Miał dość powodów, by to zrobić. A jeśli chce pan rozmawiać z Trimble'em w równie nierozważny sposób, proszę zostawić to mnie.

- Do diabła... - zaczął Kern i ugryzł się w język. Nigdy nie przeklinał w obecności kobiet, lecz Isabel Darling doprowadzała go do ostateczności. - Wolę mieć panią na oku. Nieokrzesianie może wpędzić panią w poważne kłopoty.

- Moje nieokrzesianie? Księżę Lynwood jest pańskim ojcem, a nie moim.

Kern zgrzytnął tylko zębami, nie dając się sprowokować.

- Pani nieokrzesianie - powtórzył. - Jeśli ktoś z towarzystwa dowie się, że samotnie odwiedza pani dżentelmenów... - Będzie pani skończona, chciał powiedzieć, poprawił się jednak szybko: - Przyniesie pani wstyd lady Helen i jej ojcu.

Isabel wyprostowała się z godnością.

- Wiem doskonale, jak powinna zachowywać się dama. Miałam guwernantkę, która nauczyła mnie dobrych manier, pokazała mi... Och!

Kern spojrzął z niepokojem na jej przerażoną twarz. Isabel patrzyła na grupę uliczników zgromadzonych na rogu ulicy. Brudni chłopcy pochylali się nad czymś, krzyczeli głośno, a ich wrzaski niosły w sobie ogromny ładunek okrucieństwa i brutalności.

Ku zdumieniu Kerna, Isabel pochwyciła bat i zdecydowanym krokiem ruszyła w stronę dzieciaków.

- Dobry Boże - mruknął hrabia i chcąc nie chcąc, poszedł za nią. Jakież szalony pomysł strzelił jej znów do głowy?

Isabel nie musiała nawet używać bata, gdyż na jej widok chłopcy rozproszyli się i uciekli w boczne uliczki. Gdy Kern stanął obok niej, Isabel podnosiła z ziemi przerażone, szarobrazowe stworzenie, by przytulić je do piersi.

- Och, niech pan tylko spojrzy. To szczeniaczek. Czyż nie jest cudowna?

- To on - poprawił ją Kern, upewniając się, czy szczeniak

nie jest ranny. Krótki ogon i oklapłe uszy zwierzęcia pokryte były zaschniętym błotem. - Jest bardzo brudny. Lepiej będzie, jeśli go pani tutaj zostawi.

- O nie. - Isabel spojrzała nań z oburzeniem. - Te łobuziaki mogą wrócić i znów go dręczyć.

Musiał przyznać jej rację.

- Co w takim razie zamierza pani z nim zrobić?

- Zabiorę go do domu. Zaopiekuję się nim.

- Przypominam pani, że to dom lorda Hathaway. Nie może pani znosić tam brudnych kundli.

Isabel pobladła, nie wypuściła jednak szczeniaka. Trzymała go na rękach i głaskała po głowie, podczas gdy zwierzę powoli się uspokajało.

- Mam jeszcze inny dom i właśnie tam zabiorę go później - odparła. - Nie zamierzam porzucić tego zwierzęcia na pastwę losu.

Odwróciła się na pięcie i odeszła w stronę powozu. Kern ruszył jej śladem. Był wściekły, bo przez nią znów poczuł się jak najgorszy podlec. Dlaczego przeszkadzał jej w spełnianiu dobrych uczynków? Czy nie mógł pogodzić się z tym, że tę dziewczynę stać na zwykłe ludzkie odruchy?

Pomógł jej wsiąść do powozu. Isabel wciąż tuliła do siebie szczeniaka, choć ten pobrudził już jej jedwabną suknię. Kiedy przemawiała do zwierzęcia, jej twarz złagodniała, pojawił się na niej czuły uśmiech. Wiatr bawił się jej włosami, słońce zaróżowiło policzki. Kern przyłapał się na myśli, że chciałby, by Isabel poświęcała mu choć odrobinę tej uwagi, jaką cieszył się uratowany przez nią piesek.

Szarpnął cugle. Doprawdy, musiał być naprawdę szalony, by zazdrościć czegokolwiek tej zapomnianej przez Boga istocie. Powinien raczej zastanowić się, kogo jeszcze mogła podejrzewać o morderstwo, komu poświęcała szczególną uwagę przez ostatnie tygodnie?

Najpierw poznała Charlesa Mobreya, nie zabiegała jednak o jego przyjaźń, chciała tylko, by zaprowadził ją do sir Johna Trimble'a. Od tej pory przedstawiono jej jeszcze wielu młodych arystokratów, Kern nie przypuszczał jednak, by którykolwiek

z nich zabiegał o względy starzejącej się kurtyzany, skoro bez trudu mógł sobie znaleźć młodszą.

Dlaczego właściwie tak bardzo zależało mu na rozwiązaniu tej zagadki? Dopóki Isabel nie będzie sprawiała problemów jego rodzinie, nie powinien w ogóle się tym interesować. Niech sama sobie radzi. Prędzej czy później odnajdzie mordercę, a wtedy on poradzi sobie z nią.

Ta myśl go przerażała. Spojrzał ukradkiem na swój ą towarzyszkę. Zachichotała, kiedy szczeniak polizał ją po brodzie. Śmiała się jak beztroska dziewczynka. Kern miał ochotę potrząsnąć nią mocno, uświadomić jej, na jakie niebezpieczeństwo się naraża, zabronić dalszych poszukiwań.

Kiedy się zorientowała, że ją obserwuje, spoważniała, choć w jej oczach pozostał przekorny błysk.

- Milord - powiedziała.
- Słucham?
- Tak się nazywa.

Czyżby odgadła już, kim jest morderca? Zacisnąwszy dłonie na lejcach, Kern pochylił się do niej.

- Kto? Kim jest ten człowiek?
- Nie mówię o żadnym człowieku. To idealne imię dla niego. - Uśmiechając się figlarnie, przytuliła do siebie brudnego psiaka. - Odtąd będzie nazywał się Milord.

14 maja 1821

Choć jestem już tak słaba, że z trudem utrzymuję pióro w dłoni, sięgam jeszcze raz do dziennika, by opisać moje myśli... nie, obawy. Czy naprawdę minęło już kilka dni, odkąd zachorowałam? Choroba przykuła mnie do łóżka, pozbawiła sił, uświadomiła mi, jak kruchym naczyniem jest śmiertelne ciało.

A przecież nim ogarnęła mnie ta słabość, cieszyłam się zdrowiem i energią jakich mogłaby mi pozazdrościć niejedna kobieta znacznie ode mnie młodszą. Żyłam dla przyjemności Teraz jednak zostałam pozbawiona wszelkich przyjemności.

Otruto mnie.

Drogi Czytelniku, możesz śmiać się z moich podejrzeń, ale najpierw wysłuchaj tego, co mam do powiedzenia. W ciągu ostatnich tygodni odwiedzali mnie po kolei prawie wszyscy moi byli kochankowie, by zabronić mi pisanie tych wspomnień. Obawiam się, że między nimi jest zbrodniarz, który pragnie mojej śmierci, złoczyńca, który chce na zawsze zamknąć mi usta.

Aleja nie dam się powstrzymać. Utraciwszy zarówno miłość, jak i majątek, zostałam samotna i zmęczona. Jeśli taka będzie wola boża, pieniądze uzyskane ze sprzedaży tych memuarów pozwolą mi opuścić ten dom i dołączyć do mojej kochanej córki w Oxfordshire. Tam będziemy wreszcie żyły razem, ona i ja. I być może odnajdę tam wreszcie odrobinę spokoju, którego nigdy nie zaznałam przy jej ojcu...

„Prawdziwe wyznania kurtyzany”

10

Isabel, niepewna, stanęła przed drzwiami biblioteki.

Milord wiercił się w jej objęciach i trącał ją zimnym nosem. Po długich zabiegach udało jej się doprowadzić go do normalnego wyglądu, choć musiał jeszcze zjeść kilka porządnych posiłków, by wypełnić swe wychudłe ciało. Dzięki kąpeli, po której Isabel była równie mokra jak jej podopieczny, sierść Milorda błyszcząca. Jeden ze służących przyniósł jej starą obrożę, a dziewczyna z kuchni oczyściła skórzaną smycz. Lokaje i pokojówki załamywali ręce, martwiąc się tym, co też jaśnie pan powie na takie szaleństwo. Isabel zapewniła ich, że uzyska zgodę lorda Hathaway.

Teraz, przebrawszy się w swą najlepszą suknię, szła wypełnić to zadanie.

Ogarnięta wątpliwościami i poczuciem winy, potarła policzkiem o delikatny łeb szczeniaka. Przez ostatnie tygodnie markiz był dla niej całkiem miły, zważywszy na to, że zdobyła sobie miejsce w jego domu za pomocą szantażu. Traktował ją uprzejmie, choć z dystansem. Mógł przecież zatruwać jej życie drobnymi przykrościami, a tymczasem nie tylko kupił jej nową garderobę, ale także zaakceptował - choć niechętnie - jako towarzyszkę i przyjaciółkę córki. Równie niechętnie Isabel dochodziła teraz do przekonania, że markiz jest prawdziwym dżentelmenem, uczciwym i sprawiedliwym, a nawet godnym podziwu. Nie

przypuszczała wcześniej, że taki człowiek w ogóle istnieje - przynajmniej nie w kręgach arystokratycznych.

Ale byli i inni, na przykład lord Kern, który był uosobieniem aroganckiego snoba. Choć chciał, by ludzie uważali go za prawego i szacownego obywatela, brakowało mu czułości i ogłady. Czego dowodem był jego dziki pocałunek.

Jej ciało ogarnął nagle żar. Przeklinała to uczucie, niezaspokojone pożądanie. A jednak pragnęła mocno tego, o czym mówiły jej ciotki - chciała, by przygniótł ją swym twardym ciałem i dotykał jej nagiej skóry. Marzyła, by Kern nauczył ją tajników miłości.

Tylko idiotka pożałoby człowieka, który stanowi największe zagrożenie dla jej planów.

Jedynie ladacznica całowałaaby się z narzeczonym swej drogiej przyjaciółki.

I tylko nikczemna kobieta prosiłaby Hathaway o jeszcze jedną przysługę.

Isabel spojrzała na zamknięte drzwi biblioteki. Rano nie zastanawiała się nad tym, co robi. Teraz, kiedy miała czas na refleksję, rozumiała, że gdy pospieszyła Milordowi na pomoc, kierował nianie tylko zwykły ludzki odruch dobroci. Choć nigdy nie przyznałaby się do tego przed Kernem, widziała w szczeniaku samą siebie - wyrzutka dręczonego przez silniejszych.

Przytuliła mocniej chudego psiaka. Był taki mały, taki bezbronny, zupełnie jak ona przed laty. Chciała zostawić go w sypialni na czas rozmowy z Hathawayem, ale Milord skomlał i piszczał za nią tak rozpaczliwie, że w końcu ugięła się i zabrała go ze sobą.

Nikt go jej nie odbierze. Nikt.

Podniosła rękę, by zapukać do drzwi. W tej samej chwili jednak otworzyły się one same, a z biblioteki wypadł markiz.

Isabel odskoczyła na bok, uderzając plecami w futrynę. Hathaway zatrzymał się raptownie. Wyciągnął rękę, jakby chciał jej pomóc, natychmiast jednak ją cofnął.

- Ty - powiedział złowieszczym tonem.

Stała nieruchomo, nie odzywając się ani słowem. Choć Hathaway był niskim człowiekiem, otaczała go aura takiej władzy i prawości, że zdawał się górować nad Isabel. Jego siwe brwi

ściągnięte były w gniewnym grymasie. Nie widziała w jego oczach takiej pogardy od chwili, gdy przedstawiła mu fragmenty dziennika matki dotyczące lorda Raymonda.

Serce podeszło jej do gardła. Na pewno słyszał już o kundlu, którego sprowadziła do domu, choć nie poświęcił Milordowi ani jednego spojżenia. Nigdy jednak nie poddawała się bez walki.

- Dzień dobry, lordzie Hathaway. Chciałabym z panem po mówić.

- Nie, to ja chciałabym z tobą pomówić, młoda kobieto.

Odsunął się na bok, gestem nakazując jej, by weszła do biblioteki. Z dumnie uniesioną głową Isabel wkroczyła do środka. Nigdy dotąd nie była w tym sanktuarium Hathawaya. Długi pokój zdobiły grube dywany, na których stały wygodne krzesła. W powietrzu unosił się zapach tytoniu i skóry.

W innych okolicznościach Isabel chętnie przeglądnęłaby bogaty zbiór książek markiza, przyjrzałaby się uważnie rodzinnym portretom zawieszonym nad półkami. Teraz jednak nie mogła tego zrobić.

Musiała zadbać o przyszłość Milorda.

Gotowa użyć w tym celu wszelkich dostępnych jej argumentów, odwróciła się twarzą do markiza, kiedy ten zamykał drzwi.

- Wiem, że mój status pańskiego gościa, nie pozwala mi na żadne dodatkowe przywileje - zaczęła. - Przykro mi więc, że wyprowadziłam pana z równowagi...

- Wyprowadziła z równowagi? - powtórzył, tłumiąc wściekłość. - Pani dzisiejsze wybryki to szczyt zuchwalstwa. Wysła pani daleko poza granice tego, co skłonny jestem tolerować.

Słyszając podniesiony głos Hathawaya, Milord zawarczał cicho. Isabel próbowała uspokoić szczeniaka, głaszcząc go po głowie. Gwałtowny atak Hathawaya zranił ją i rozgniewał. Czyżby tak bardzo przeszkadzał mu mały pies?

- Proszę mi wybaczyć, że nie przyszedłam do pana od razu. Nie sądziłam, że...

- Nie sądziła pani! - przerwał jej Hathaway, przechadzając się nerwowo przed marmurowym kominkiem. - Jeśli jest coś, czego nie znoszę bardziej od złego zachowania, to są to wymówki. Mogłaby pani przynajmniej przyznać się otwarcie do własnych czynów.

- Chcę panu wszystko wyjaśnić, a nie usprawiedliwiać się - odparła sztywno. - Jak już mówiłam, nie przyszedłam do pana od razu, bo pomyślałam, że najpierw powinnam wykąpać Mi lorda.

Hathaway zamarł w bezruchu. Jego twarz pobladła jak ściana, potem znów pokryła się czerwienią.

- Na Boga - rzekł powoli, zaciskając i prostując palce. - Jeśli ma pani czelność przebywać w kąpieli z dżentelmenami, to w tej chwili wyrzucę panią z tego domu.

Zdumiona jego gniewem, a jednocześnie rozbawiona całym nieporozumieniem, pokręciła głową:

- Nie. Milord to mój pies. Uratowałam go dzisiaj przed bandą łobuzów.

- Pani pies?

- Tak. Rozmawiamy przecież o nim, o tym, czy zgodzi się pan, bym go tutaj zatrzymała. - Dojrawszy kompletne osłupienie na twarzy Hathawaya, spytała niepewnie: - Czyż nie tak?

Markiz spojrział na Milorda; psiak szczeknął piskliwie, machając krótkim ogonkiem.

- Najwyraźniej rozmawiamy o dwóch zupełnie różnych sprawach - mruknął Hathaway. Podeszedł do biurka, podniósł kilka kartek papieru i potrząsnął nimi przed nosem Isabel. - Ja mówię o liście, który otrzymałem przed chwilą. Mój brat opisuje w nim te podłe oskarżenia, które skierowała pani pod jego adresem.

Isabel poczuła nagle ogromną ulgę. Lord Raymond. Hathaway mówił o lordzie Raymondzie.

Oczywiście nie był to bynajmniej powód do radości.

Postawiła szczeniaka na dywanie i przytrzymała smycz w dłoni, podczas gdy Milord potruchtał obwąchać półkę z książkami.

Markiz patrzył na nią groźnie, zaciskając dłoń w pięści.

- Nie ma pani nic do powiedzenia na ten temat, panno Darling?

- Owszem, odwiedziłam dzisiaj rano lorda Raymonda - odparła swobodnie. - Zadałam mu tylko kilka pytań dotyczących śmierci mojej matki.

- Pytań, ba! Zarzuciła go pani kłamstwami. Twierdziła pani, że Aurora Darling została zamordowana. - Uderzył pięścią

w biurko, potrząsając piórami i srebrnym kałamarzem. - To bzdura. Kolosalny nonsens.

Isabel była zdumiona jego gwałtowną reakcją. Zastanawiała się, czy w podobny sposób będą zachowywać się również inni ludzie poinformowani o nienaturalnej przyczynie śmierci Aurory.

- Nie, to nie jest bzdura. Widziałam, jak umierała moja matka. Ja to wiem.

- Nic pani nie wie. - Hathaway zmierzył ją chłodnym spojrzeniem. - Gdyby doszło do takiej zbrodni, sędzia natychmiast by się dowiedział. Pisałyby o tym wszystkie gazety. Londyn kipiałby od plotek.

- Prawda została zapisana w memuarach mojej matki. Przy sięgała, że została otruta przez jednego ze swych... byłych kochanków. -Z jakiegoś niezrozumiałego powodu Isabel chciała koniecznie przekonać markiza do swych racji. - Mama ukryła dziennik tak dobrze, że odnalazłam go dopiero kilka miesięcy po jej śmierci. Kto uwierzyłby wtedy w moją opowieść?

- Właśnie, kto? - parsknął pogardliwie markiz. Rzucił list na biurko i znów zaczął przechadzać się po pokoju. - Pomyśleć tylko, że Justin nie powstrzymał pani dziś rano, pozwolił pani wypowiedzieć te wszystkie podłe insynuacje. Będę musiał porozmawiać z nim o tym.

- Jeśli zdecydowałam się odszukać zabójcę mojej matki, to jest to wyłącznie moja sprawa, ani lord Kern, ani pan nie macie z tym nic wspólnego. Poza tym, jak może pan udowodnić, że lord Raymond naprawdę tego nie zrobił?

Hathaway stał nieruchomo, choć Isabel wiedziała, że targa nim burza uczuć.

- Nie chcę słyszeć ani słowa więcej na ten temat. - Wycelował w nią palec. - A teraz proszę mnie dobrze posłuchać. Dopóki mieszka pani w moim domu, będzie pani zachowywać się jak dama, a nie jak zwykła dziewczka, którą pani jest. Niech nie waży się pani więcej oskarżać lepszych od siebie o zbrodnię. Czy to jasne?

Zszokowana Isabel patrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma. Potem skinęła słabo głową, czując, jak ogarnia jączarna rozpacz. Przez jakiś czas wydawało jej się, że markiz ją za-

akceptował, że traktuje ją jak równą sobie. Jak mogła zapomnieć, że to wszystko jest tylko iluzja? W rzeczywistości uważał ją podobnie jak Kern - za zwykłą oszustkę. Dla nich nie różniła się niczym od dziewczki kuchennej czy stajennego.

Do diabła z wszystkimi arystokratami!

Jednak mimo tak ponurych okoliczności nie mogła nadziwić się gwałtownej i niezrozumiałej reakcji Hathawaya. Dlaczego był taki błady i roztrzęsiony, jakby otrzymał właśnie druzgocący cios? Dlaczego w jego oczach kryło się jakieś mroczne uczucie?

Nagle dotarła do niej zdumiewająca i straszliwa prawda. Nie odrywając spojrzenia od jego twarzy, cofnęła się o krok.

Lord Hathaway był przerażony. Przerażony, że jego pobożny, świętoszko waty brat mógł naprawdę popełnić tę zbrodnię.

!Ylorderstwo, też coś! - parsknęła Minnie. - To tylko dziewczęce wymysły, ot co. Nie wiem, co więcej mogę panu powiedzieć, milordzie.

Bezlitosny blask słońca ujawnił całą lichotę wulgarnego salonu. Tapicerka sof i foteli dawno już straciła pierwotną barwę, złocenia na oparciach i draperie zbrązowiły ze starości. Na pękniętym wiklinowym krześle leżał porzucony przez którąś z kobiet szal. Jaśniejsze kwadraty na prążkowanej tapecie znaczyły miejsca, gdzie niegdyś wisały obrazy.

Kern przypuszczał, że zostały one sprzedane. Zdążył się już zorientować, że zarówno sam dom, jak i jego lokatorki potrzebowały solidnego wsparcia finansowego. Nie zauważył tego podczas poprzednich wizyt, kiedy ciemność okrywała litościwie liczne braki.

Czy Minnie naprawdę mówiła mu wszystko, co wiedziała?

Przyglądał się uważnie tęgiej kobiecie, siedzącej w fotelu z wysokim oparciem. Gdyby nie stara i zniszczona sukienka, Minnie mogłaby uchodzić za wdowę po arystokracji, choćby jego ciotkę. Na sąsiedniej sofie spoczywała Diana; bawiąc się kosmykiem rudych włosów, ze znudzoną miną patrzyła za okno.

Kern pomyślał, że im szybciej rozwiąże zagadkę śmierci Aurory, tym szybciej Isabel zniknie z jego życia.

- Dziewczęce wymysły - powtórzył Kern. - Więc uważa pani, że Aurora Darling nie została otruta?

- Tylko jeden Bóg wszechmogący zna wszystkie odpowiedzi - Minnie westchnęła, wprawiając w gwałtowne falowanie swe obfite piersi. - Ale wcale się nie dziwię, że to biedne dziecko jest takie roztrzęsione. Bardzo kochała matkę. Choć Aurora wcale na to nie zasługiwała.

- Proszę mi to wyjaśnić.

- Nigdy nie poświęcała jej zbyt wiele czasu. Isabel była jeszcze niemowlęciem, kiedy matka odesłała ją do Oxfordshire. Nawet kiedy podrosła, przyjeżdżała tutaj tylko na kilka dni. Oczywiście, ja starałam się ją odwiedzać, kiedy tylko mogłam. Ktoś musiał troszczyć się o to dziecko. - Na twarzy Irlandki pojawił się wyraz szczerzej troski. Zaciśnęła mocniej dłonie złożone na kolanach. - Och, proszę odesłać ją do nas, milordzie. Niech pan nie pozwoli jej robić więcej głupstw, wtykać nosa w prywatne życie ludzi. Nic dobrego jej z tego nie przyjdzie.

Kern także się tego obawiał. Wiedział, że powinien skoncentrować się tylko na kwestiach związanych ze śledztwem, pragnął jednak poznać jak najlepiej przeszłość Isabel.

- A pani? - zwrócił się do Diany. - Czy pani zgadza się z tą oceną Aurory Darling?

Rudowłosa kobieta polerowała właśnie paznokcie na rękawie brązowej sukni, która kryła jej szczupłe ciało. Siatka zmarszczek znaczyła białą delikatną skórę.

~ Aurora nie chciała, żeby dziecko wychowywało się w obecności mężczyzn, którzy tu przychodzili. I wcale jej za to nie winię. - Spojrzała na niego, wydymając pełne usta we wrogim grymasie. - Zbyt wielu eleganckich rozpustników lubi młode dziewczęta. Mężczyźni pańskiego pokroju wolą uprawiać dziewicze pola niż takie, które poznały już wielu opiekunów.

Gdyby Diana uderzyła go w twarz, Kern nie byłby bardziej wstrząśnięty. Do tej pory nie zastanawiał się nad przeszłością Isabel, nie myślał o niej jako o młodej dziewczynie dorastającej w towarzystwie ladacznic, które były dla niej jedyną rodziną. Jednak która z tych dwóch wersji była prawdziwa? Czy Aurora Darling zaniedbywała córkę? Czy też wysłała Isabel na wieś dla

jej dobra? Skłonny był wierzyć raczej w tę drugą, choć nie chciał przyznać przed samym sobą, że postawa zwykłej kurtyzany budzi w nim podziw.

Nie dając poznać po sobie, jak bardzo poruszyły go słowa obu kobiet, zaczął przechadzać się powoli po pokoju, zerkając na Minnie.

- Twierdzi pani, że panna Isabel fantazjuje. Jednak tej nocy, kiedy zachorowała jej matka, widziała pani mężczyznę wchodzącego do jej pokoju.

- Tak, ale to nie było nic nadzwyczajnego.

- Mogłaby pani go opisać?

Irlandka usiadła wygodnie.

- Nie, milordzie, było już po północy. Widziałam tylko jego sylwetkę i domyśliłam się, że to klient. Wtedy wcale nie wydawało mi się to podejrzane. Aurora miewała takie wizyty.

Kern odwrócił się do Diany.

- A czy pani widziała tego mężczyznę?

- Myśli pan, że nie wspomniabym o tym do tej pory? - Potrząsnęła rudą grzywą, przeplataną tu i ówdzie pasmami siwizny. - Byłam wtedy w łóżku, jeśli już musi pan wiedzieć.

- Sama?

- Tak. Staram się w miarę możliwości unikać towarzystwa mężczyzn. Życie nauczyło mnie, że nie należy spodziewać się po nich niczego dobrego. - Diana wykrzywiła usta w ironicznym uśmiechu, a Kern zrozumiał, od kogo Isabel nauczyła się pogardy dla mężczyzn.

Przez chwilę przyglądał się uważnie obu kobietom.

- Czy któraś z pań wie, gdzie ukryte są wspomnienia Aurory Darling?

Diana wzruszyła ramionami.

- Powinien pan zapytać o to Isabel.

Minnie pokręciła głową.

- Isabel zabrała je ze sobą. Naprawdę, to szalony pomysł, by przesładować tych wszystkich dżentelmenów z towarzystwa tylko dlatego, że Aurora coś sobie ubzdurała.

- Czy ktoś próbował kiedykolwiek wykraść ten dziennik?

- Wykraść?

- Tak. Byłoby to dość dziwne, gdyby ktoś zabił Aurorę Darling z jego powodu, a potem nie próbował go odszukać.

Minnie włożyła palec pod skraj czepka i poskrobała się po głowie.

- Nigdy o tym nie pomyślałam. Ale dziennik był ukryty przez wiele miesięcy. Może po prostu ten ktoś nie mógł go znaleźć.

- Może. - Kern jednak nadal się nad tym zastanawiał. Czy morderca nie przerzuciłby całego domu do góry nogami, byle tylko go odnaleźć? I co zrobiliby, wiedząc, że to Isabel jest teraz w jego posiadaniu?

Wzdrygnął się odruchowo. Człowiek, który zamordował już raz, nie zawaha się zabić znowu...

Diana skrzyżowała nogi, nerwowo poruszając stopą odzianą w znoszony pantofel.

- Czy to już wszystko, milordzie? Pod nieobecność Isabel i Callie mamy tu mnóstwo pracy.

- Tak, nie mamy czasu na pogaduszki - dodała Minnie, mrużąc oczy. - Za chwilę wygotuje się nam kapuśniak i co wtedy będziemy jeść, biedne stare kobiety? Nie możemy pozwolić sobie na marnotrawstwo.

Ach, więc o to chodziło.

Kern sięgnął do wewnętrznej kieszeni, wyciągnął dwie złote monety i położył je obok wyszczerbionego posążka półnagiej nimfy. Diana ożywiła się nagle i usiadła prosto. Irlandka, wpatrzone w pieniądze, zacierała powoli dłonie, jakby już myślała, na co je wydać.

- A teraz - zaczął Kern - powiedzcie mi, panie, wszystko, co wiecie o kochankach Aurory Darling.

Isabel przybyła na bal nieprzyzwoicie wcześnie. Zaledwie kilka osób stało w hallu, gawędząc i czekając, aż lord i lady Wilkins oficjalnie rozpoczną przyjmowanie gości. Służący odebrał wierzchnie okrycia od Isabel i panny Gilbert.

- Och, nie powinniśmy były przyjeżdżać tutaj same - szepnęła stara guwernantka. Owinięta w brązową bombazyne, jak zwykle

trzymała chustkę przy ustach. - Powinniśmy były poczekać na lorda Kern.

Właśnie z tego powodu Isabel postanowiła wcześniej wyjechać z domu.

- Nonsens. - Wzruszyła ramionami. - Nie ma nic zdrożnego w tym, że młoda dama przybywa na bal w towarzystwie innej damy.

- Ale dżentelmen otoczyłby nas właściwą opieką.

- A my musiałybyśmy się mu narzucać. Jestem pewna, że pod nieobecność Helen chętnie zrezygnował z tego obowiązku.

Przynajmniej na to Uczyła Isabel. Nie chciała spędzić wieczoru na nieustannych sporach z nieznośnym lordem. Dowiedziała się, że tego dnia przybył do miasta kolejny dżentelmen, który kiedyś znał jej matkę. Miała nadzieję, że i on przyjął zaproszenie na ten bal, jedno z ważniejszych wydarzeń sezonu.

Ostatnią rzeczą, jakiej by sobie życzyła, było towarzystwo Kerna. Wiedziała, że poznawszy jej zamiary, będzie próbował za wszelką cenę ochronić winnego, który należał przecież do jego sfery. Musiała więc działać szybciej od niego.

Kiedy jednak wspinały się z panną Gilbert na wielkie schody, Isabel zapomniała o wszelkich obawach. Była podekscytowana, z niecierpliwością wyczekiwała rozpoczęcia balu, znów wracała do dziecięcych fantazji o życiu w świecie książąt i pięknych dam.

Od dnia, w którym dołączyła do wyższych sfer, ten młodzieńczy sen oplatał ją niczym pajęczyna, przyćmiewał rozsądek. Choć wiedziała, że jest to niemożliwe, część jej duszy wciąż pragnęła tego, czego nie mogła mieć.

Przechodzący obok dżentelmen uklonił jej się głęboko, ona zaś odpowiedziała łaskawym skinieniem głowy. Życie damy zaspokajało głód jej duszy. Choć była to tylko chwilowa odmiana losu, lubiła być traktowana z szacunkiem i czcią. Tutaj, z dala od ponurej rzeczywistości, czuła się bezpieczna. Kiedy szarada dobiegnie końca, będzie musiała wrócić tam, gdzie jej miejsce, znów stanie się rozsądną panną Darling, dziewczicą zamieszkałą w domu uciech.

Jesteś tym, kim jesteś, córką ulicznicy.

Choć była to prawda, Isabel próbowała nie dopuszczać do

siebie słów Minnie. Zamykając oczy, starała się zapamiętać dobrze ten moment; szelest jedwabiu i koronek, chłodny dotyk gładkiej marmurowej balustrady, szmer kulturalnych rozmów, odbity echem w wielki hallu. Któregoś dnia z przyjemnością wspomni te czasy, kiedy była damą.

- Witam, panno Darcy!

Isabel otworzyła raptownie oczy i ujrzała Charlesa Mobreya, zmierzającego szybkim krokiem w jej stronę. Ogromny węzeł fularu prawie w całości zasłaniał jego szyję, jasne loki podskakiwały na czole mężczyzny, gdy zatrzymał się przed nią i złożył głęboki ukłon.

- Dobry wieczór, panno Darcy. - Nie spojrzawszy nawet na pannę Gilbert, pochwycił dłoń Isabel. - Czekałem na panią trawiony niepokojem, lecz teraz wreszcie spełniły się moje nadzieje. Czy byłaby pani tak uprzejma i zechciała podarować mi pierwszy taniec?

Isabel starannie ukryła grymas zniecierpliwienia. Charles Mobrey zdecydowanie nie odpowiadał jej wyobrażeniom o romantycznym księciu, jednak musiała się czymś zająć w oczekiwaniu na swą ofiarę.

- Jak pan sobie życzy. Oczywiście!, jeśli panna Gilbert nie ma nic przeciwko temu.

Mobrey zwrócił się do starszej kobiety, która stała skromnie u boku Isabel.

- Błagam o pani pozwolenie. Odmowa złamałaby mi serce.

Panna Gilbert podniosła chusteczkę do ust.

- Oczywiście, że może pan zatańczyć z moją podopieczną, młody człowieku. Nie sądzę, by cokolwiek stało temu na przeszkodzie.

- Niech Bóg panią błogosławi za te słowa.

Mobrey i guwernantka byli tak szalenie poważni, że Isabel miała ochotę roześmiać się głośno.

- Na razie, Gillie, poszukajmy jakiegoś miejsca na uboczu, gdzie mogłybyśmy spokojnie usiąść.

Wielka sala balowa zaczęła się już wypełniać tłumem gości. Złoty blask świec opromieniał eleganckich dżentelmenów w czarnych surdutach, ich żony w kolorowych, wystawnych sukniach

i niezamężne córki odziane w najczystsza biel. Muzycy stroili już instrumenty, powietrze przesycone było atmosferą radosnego wyczekiwania. Wszystko to wyglądało jak scena z bajek, które Isabel czytała w dzieciństwie.

Wiedziała jednak, że tego wieczoru nie spotka swojego księcia. Miała inne plany. Ważniejsze. Musiała zabić smoka.

Zaprowadziła pannę Gilbert do szeregu wyściełanych krzeseł w pobliżu okna, gdzie zgromadziła się już całkiem spora grupa przyzwoitek i matron, zatopionych w rozmowie.

- Proszę pamiętać, że po każdym tańcu musi pani wrócić do mnie - poinformowała ją panna Gilbert, wyraźnie zatroskana. - Niezamężna dama zawsze musi najpierw zasięgać opinii swej opiekunki.

Biedna Gillie. Isabel będzie musiała ją oszukać, nie miała innego wyjścia. Kierowana odruchem współczucia, pochyliła się i pocałowała pannę Gilbert w policzek.

- Nie przyniosę ci wstydu, obiecuję.

Wiedziała, że będzie musiała zrobić wszystko, co w jej mocy, by dotrzymać tej obietnicy. Inaczej okryłaby wstydem nie tylko siebie, ale także Helen i markiza. Wciąż bolały ją okrutne słowa Hathaway, pragnęła udowodnić mu, że nie zasłużyła na nie.

Mobrey wziął ją pod rękę i wyprowadził na parkiet, gdzie gromadziły się już inne pary. Kiedy czekali na rozpoczęcie tańca, zasypywał ją lawiną słodkich komplementów, ona zaś rozglądała się ukradkiem po sali, szukając pewnego wysokiego, zarozumiałego dżentelmena. Trzymaj się ode mnie z dala, Kern, pomyślała. Nie próbuj mi dzisiaj przeszkadzać.

- A gdzie podział się pani opiekun?

Isabel spojrzała na swego partnera, nieco zaskoczona tym pytaniem.

- Nie mam pojęcia. Jego narzeczona jest chora, więc pewnie nie chciał przychodzić tutaj sam.

- Narzeczona? - Mobrey otworzył usta ze zdumienia. - Och, ma pani na myśli Kerna. Mówiłem o lordzie Hathaway.

- Och... - Isabel czuła się jak idiotka. - Zdaje się, że markiz jest w swoim klubie.

- Szkoda. Chciałem poprosić, by przyjął mnie przy najbliższej

nadarzającej się okazji. - Mobrey ścisnął jej dłoń i podniósł do ust. - Wie pani chyba dlaczego, prawda?

Isabel drgnęła, zaniepokojona, pokręciła jednak głowę.

- Może chciałby pan zainteresować się polityką? Jestem pewna, że lord Hathaway z przyjemnością wtajemniczyłby pana w zawilosci prac parlamentu.

- Moja najdroższa Isabel, nie rozumie pani chyba, gdzie leży źródło mej namiętności. Tym bardziej cenię panią za tę skromność. - Przyciągnął ją bliżej siebie i wyszeptał do ucha: - Moja droga, nie mogę już dłużej milczeć. Proszę pozwolić mi wyrazić najszczerzą miłość i podziw, jakie żywię dla pani, kobiety, którą wybrałem dla siebie spośród wszystkich innych.

- Szszsz... - Czując, jak czerwień pokrywa jej policzki, rozejrzała się szybko dokoła, by sprawdzić, czy ktoś nie słyszał tych słów. Potem wciągnęła go do najbliższej alkowy, gdzie szum małej fontanny zagłuszał ich rozmowę. - Proszę - syknęła. - Niech pan nie mówi głośno takich rzeczy.

- Zapomnijmy więc o tym tańcu, ukochana. Wymknijmy się do ogrodu, gdzie będziemy mogli spokojnie wyznać sobie nasze prawdziwe uczucia.

Miała ochotę uderzyć go w tę pustą głowę, bała się jednak, że pokaleczy dłoń na sztywnym od krochmalu fularze. O Boże! Nie przeczuwała nawet, że Mobrey aż tak się w niej zadurzył. Mógł pokrzyżować jej plany na ten wieczór.

- Zostaniemy tutaj i będziemy tańczyć - oświadczyła stanowczo, kiedy chciał ją już wyciągnąć z sali balowej. - I nie będzie pan o nic pytał lorda Hathaway. On nie ma nade mną żadnej władzy.

- Ale jest pani opiekunem. Najbliższym krewnym w linii męskiej.

- To odległe pokrewieństwo. Dlatego też jestem panią własnego losu. - Chcąc pozbyć się go na dobre, postanowiła być po prostu prawdomówna, tylko do pewnego stopnia, oczywiście. - Proszę zrozumieć, że nie mogę poślubić pana ani żadnego innego mężczyzny. Mówiąc otwarcie, nie mam środków, by angażować uwagę jakiegokolwiek mężczyzny.

Mobrey cofnął się o krok, wstrząśnięty do głębi.

- Lord Hathaway nie ofiarował pani żadnego posagu?

- Żadnego. I wcale go za to nie winię. Trudno oczekiwać, by obdarowywał pieniędzmi daleką krewną, która pojawia się niespodziewanie na progu jego domu. - Zagryzła wargę, przypominając sobie, jak zimny i wyniosły był markiz tego ranka. Pozwolił jej jednak zatrzymać Milorda, a ona nie chciała od niego niczego więcej. - I tak jestem mu niezmiernie wdzięczna, że pozwolił mi zostać tutaj przez cały sezon. Potem wrócę na wieś, gdzie mam niewielki domek i trochę zaoszczędzonych pieniędzy na życie.

Była to smutna opowieść, a co gorsza bardzo bliska prawdy. Mobrey był naprawdę przerażony - choć wcale nie chodziło mu o jej dobro.

- Ja mam bardzo dobre dochody... ale żadnego posagu? Na to nie mogę się zgodzić.

- Niestety, taka jest prawda. Obawiam się, że będzie pan musiał poszukać gdzie indziej swojej wybranki.

- Ma pani rację! Muszę wycofać moją ofertę, dopóki nie dowiem się, dlaczego lord Hathaway traktuje panią tak podle. - Ukłonił się jej sztywno i zniknął w tłumie.

Tak wyglądała dozgonna miłość w wykonaniu Mobreya.

Isabel nie miała czasu na cyniczne rozmyślenia. Uniosła głowę i przeszła przez salę wzdłuż szeregu tancerzy. Gdy tylko zauważyła kogoś znajomego, wypytywała go dyskretnie o człowieka, którego chciała spotkać. Człowieka, który mógł być zabójcą jej matki.

Choć skupiona na poszukiwaniach, Isabel miała oczy i uszy szeroko otwarte. Tańczyła z kolejnymi partnerami, uśmiechając się do nich czarująco i - zgodnie z obietnicą - pytając za każdym razem o zgodę swej opiekunki. Kilkakrotnie napotkała posępną wzrok Mobreya, kiedy ten rozmawiał z innymi gośćmi. Przy każdej takiej okazji damy towarzyszące młodemu arystokracie szeptały coś do siebie, kryjąc twarze za wachlarzami. Dżentelmeni pochylali się niżej, by usłyszeć ich słowa. Isabel przyglądała się temu najpierw z oburzeniem, a potem ze smutkiem.

Czyżby wszyscy zakładali do tej pory, że ma pieniądze? Tylko dlatego że Hathaway zapewnił jej opiekę?

Poczucie utraty i żalu ściszało ją w piersiach. Zbyt późno zrozumiała, że nie powinna była okazywać Mobreyowi uprzejmości. Ten człowiek był łajdakiem, w jednej chwili prawil jej komplementy, by za moment obgadywać ją za plecami. Powinna była pamiętać, że nie wolno ufać arystokratom.

Wyprostowała ramiona i uśmiechnęła się jeszcze promiennie. Niech sobie plotkuje. Przynajmniej nie będzie musiała dalej udawać tej gry. Jeśli wieść o jej ubóstwie rozniesie się w towarzystwie, na pewno wkrótce znacznie zmniejszy się liczba adoratorów, którzy przeszkadzają jej tylko w realizacji planów. Żaden dżentelmen, nawet najbogatszy, nie weźmie za żonę kobiety bez posagu.

Kiedy wychodziła ponownie na parkiet, jakiś mężczyzna stanął na jej drodze i skłonił się lekko. Wysoki, szczupły, lekko siwiejący, miał arystokratyczne rysy, zniszczone już nieco przez upływający czas.

- Panna Darcy, jak sądzę? - Kiedy skinęła głową, nieznajomy zmierzył ją spojrzeniem, od którego skóra ścierpła jej na plecach.
- Pozwoli pani, że się przedstawię. Jestem Terrence Dickenson. Człowiek, którego pani szukała.

11

Kern dostrzegł ją po drugiej stronie zatłoczonej sali.

Odziana w szafirową suknię, która odślaniała białe ramiona, Isabel doskonale pasowała do tłumu otaczających ją arystokratów. Idealnie nadawałaby się do roli gospodyni takiej rezydencji jak ta. Ognisty blask w jej włosach był kwintesencją kobiecości, ulotny... tajemniczy... uwodzicielski.

I znów z kimś flirtowała. Do diabła! Wykrzywiając usta w kuszącym uśmiechu, dotykała ręki wysokiego łysiejącego dżentelmena. Ten pochylił się nad nią i coś powiedział, ona odrzuciła głowę do tyłu i zaniósła się radosnym śmiechem.

I znów, mimo woli, Kern poczuł, że pragnie jej tylko dla siebie. Chciał podbiec do niej, przekonać ją, że powinna wybrać młodszego mężczyznę...

Otrzeźwiał nagle, kiedy rozpoznał towarzysza Isabel. To był ten stary łajdak Terrence Dickenson, były znajomek jego ojca. Zgodnie z tym, co mówiła Minnie, przez długi czas utrzymywał on bliskie kontakty z Aurorą.

Bez wątpienia Isabel także o tym wiedziała.

Zaciskając zęby, Kern zaczął przedzierać się przez tłum gości. Musiał obronić tę niemądrą kobietę przed konsekwencjami jej własnej bezmyślności. Zrobił zaledwie kilka kroków, gdy poczuł, że ktoś ciągnie go za rękaw. Kiedy się zatrzymał i obejrzał za siebie, zobaczył zatroskaną twarz panny Gilbert.

Guwernantka dygnęła przed nim, a potem podniosła chusteczkę do bladych ust, jakby chciała się ukryć za kawałkiem tkaniny.

- Milordzie, Bogu dzięki, że wreszcie pan przyszedł. Miałam nadzieję, że pan się pojawi.

Kern poklepał ją po dłoni.

- Porozmawiamy za chwilę. Teraz obowiązek każe mi zatańczyć z panną Darcy.

- Ależ właśnie dlatego muszę z panem porozmawiać. Zdarzyła się rzecz straszliwa. - Panna Gilbert rozejrzała się na boki, a potem wyszeptwała: - Wszyscy już wiedzą.

Tym razem Kern zainteresował się żywo słowami guwernantki.

- Wiedzą o czym?

- Ja sama nie miałam o tym pojęcia. Och, co powie lord Hathaway, kiedy się dowie, że ludzie szepczą o tym po kątach?

Kern zacisnął dłonie w pięści.

- Proszę powiedzieć mi, kto nazywa ją oszustką.

- Oszustką? Pan mnie nie zrozumiał, milordzie. - Marszcząc brwi, drobna kobieta pochylała się do niego i wyszeptwała konfidencko: - Mówią, że nasza Isabel nie ma posagu. Jest biedna jak mysz kościelna.

- Ach. - Kern odzyskał spokój. Tylko tyle. - Cóż, wcześniej czy później to musiało wyjść na jaw.

- Ale nie przy takiej okazji, pod nieobecność markiza. On uciszyłby te plotki. O Boże! Jak ta biedna dziewczyna znajdzie teraz męża?

Nie znajdzie, pomyślał Kern, choć nie chciał wypowiadać swych wątpliwości na głos. Towarzystwo potrafiło być okrutne dla tych, którym brakowało pieniędzy. A jeszcze okrutniejsze dla tych, którzy nie mogli szczycić się dość nobliwym nazwiskiem.

- To moja wina, nie pilnowałam jej dość dobrze - mówiła dalej panna Gilbert. - Ona jest zbyt niedoświadczona, nie potrafi jeszcze poruszać się bezpiecznie w towarzystwie. - Zerkając na tłum, potrząsała głową. - Wszyscy o niej mówią. A ona się uśmiecha, jakby nic się nie wydarzyło.

Rzeczywiście, Isabel uśmiechała się do tego starego kozła. Kern wiedział, że przed kilku laty Dickenson ożenił się z pewną

bardzo bogatą i bardzo zazdrosną wdową, która prawie w ogóle nie wypuszczała go z domu. Teraz jednak nie dostrzegał jej nigdzie w pobliżu.

- Proszę się uspokoić, panno Gilbert. Już ja się tym zajmę. Nie pozwolę, by ktoś skrzywdził pannę Darcy w mojej obecności.

- Niech Bóg panu błogosławi, lordzie Kern. Jest pan naprawdę dobrym, szlachetnym człowiekiem.

Kiedy guwernantka się oddaliła, poczuł lekkie ukłucie wstydu. Panna Gilbert nie miałaby o nim tak dobrego zdania, gdyby wiedziała, w jaki sposób zamierza się tym zająć. Stara guwernantka nie miała jednak pojęcia, kim naprawdę jest Isabel.

Ani jakiego niebezpiecznego zadania się podjęła.

Kern wiedział. Ta dziewczyna nie miała za grosz rozumu. Jeśli nadal będzie wtykać nos w nie swoje sprawy i wypytywać zbyt nachalnie bogatych arystokratów, zginie. Zostanie zamordowana. A wszystko po to, by pomścić pamięć rozwiązłej matki.

Wściekłość i frustracja dławiły go coraz bardziej. Rano, kiedy wyszedł z lupanaru, Isabel stała mu się odrobinę bliższa. Choć nie pochwałał jej zuchwalstwa i metod, rozumiał determinację. Ona także dorastała w atmosferze moralnego zepsucia. Ona także nie była żyta z rodzicami. To dziwne, ale poprzez te okoliczności czuł się z nią jakoś związany, jakby wywodzili się z podobnych środowisk, choć w rzeczywistości ich życie toczyło się w zupełnie różnych światach.

Jakiś znajomy pomachał do niego. Kern odpowiedział uprzejmym skinieniem głowy, nadal jednak szedł w stronę Isabel. Nie mógł stać i patrzeć beczynnym, jak ta lekkomyślnymi pytaniami ściąga na siebie niebezpieczeństwo. Jeśli trzeba będzie, zamknie jej usta i odeśle ją do domu uciech, tam gdzie jej miejsce.

Czy rzeczywiście tam było jej miejsce? Zdawało się, że doskonale pasuje do tego świata, wносиła do niego powiew świeżości i autentyczności.

Teraz znów śmiała się z czegoś ze swym towarzyszem, jej oczy błyszczały wesoło. Potem odwróciła głowę i dojrzała Kerna. Ich spojrzenia spotkały się na moment. Uśmiech zniknął z twarzy Isabel. Nawet muzyka ucichła, kiedy flecista i wiolonczelista przygotowywali instrumenty do kolejnego tańca.

Potrzebuję cię.

Nieostrożna myśl pochwyliła go w swe sidła, torturowała wspomnieniami i obrazami... usta tak miękkie w pocałunku... ramiona obejmujące go w czułym uścisku... nogi rozstępujące się przed nim powoli... Od tamtego dnia Kern wciąż marzył o Isabel, popadał niemal w obsesję. Pragnął ciemnej słodyczy jej ust, dzikiej namiętności ciała.

Przykazał sobie surowo, że od tej pory będzie myślał tylko o Helen, która za sześć tygodni miała zostać jego żoną. Po chwili zrozumiał jednak ze wstydem, że nie może przypomnieć sobie, jak wygląda jego narzeczona, nie wtedy, gdy patrzy na zmysłową urodę Isabel.

Tymczasem ona odwróciła się na pięcie, wzięła Dickensona pod ramię i ruszyła z nim w stronę drzwi po przeciwnej stronie sali. Zrozumiawszy, że Isabel chce przed nim uciec, Kern przyspieszył kroku. Zignorował kilku znajomych, słyszał, jak ci szepczą coś za jego plecami, nie zatrzymywał się jednak ani na chwilę. W pewnym stopniu sam zaskakiwał siebie tym zachowaniem. On, który zawsze stawiał na dobre manieri, teraz przepychał się przez zatłoczoną salę w pościgu za kobietą.

I wcale go nie obchodziło to, co będą mówić o nim ludzie.

Kiedy wreszcie dotarł do wyjścia, dostrzegł Isabel i jej towarzysza w opuszczonym korytarzu. Dickenson zatrzymał się przed lustrem, by przeczesać rzadkie włosy, podczas gdy Isabel niecierpliwie ciągnęła go za rękaw.

- Panno Darcy! - zawołał Kern.

Isabel zeszywniała. Dickenson zmarszczył czoło i obejrzał się przez ramię. Kern był już przy nich.

- Nim pani ucieknie, niech wolno mi będzie chociaż przywitać się z panią - powiedział, ujmując jej małą dłoń i całując ją z gracją.

Pachniała różami i deszczem. Żałował, że naprawdę nie szuka bogatego męża. O wiele łatwiej przychodziłoby mu wtedy myśleć o niej z pogardą i nienawiścią.

Zacisnęła usta i omal nie wyrwała dłoni z jego uścisku.

- Lord Kern. Myślałam, że zostanie pan dziś u Hathawayów, by dotrzymać towarzystwa lady Helen.

- Jak pani wie, moja narzeczona jest chora. Prosiła mnie gorąco, bym dotrzymał pani towarzystwa. - Spojrzał wyzywająco na Dickensona.

- Ach, pamiętam pana, pan jest dziedzicem Lynwooda - powiedział starszy arystokrata. - Kiedy widzieliśmy się po raz ostatni, pan przyglądał się zza balustrady przyjęciu u Lynwooda. - Na jego twarzy pojawił się złośliwy uśmiešek. - Nigdy nie widziałem równie zuchwałego dzieciaka. Ani bardziej zainteresowanego tym, co dzieje się na sali.

Kern mimo woli przypomniał sobie tamten wieczór. Przyjechał do domu na wakacje, wciąż niepoczyszony po śmierci matki. Czuł się wtedy okropnie samotny, nie mógł spać, wyszedł więc na schody tylko po to, by ujrzeć, jak jego ojciec pieści nagie piersi kobiety w obecności innych rozpustników...

- Och, doprawdy? - zdziwiła się Isabel. - Ile miał wtedy lat?

- Nie wiem, pewnie jakieś dziesięć. - Dickenson wzruszył ramionami.

- A księżę pozwalał sobie na takie igraszki, kiedy jego syn był w domu?

- Lynwood robił wszystko, na co miał ochotę. - Dickenson zerknął chytrze na Kerna. - Wielu chłopców chciałoby mieć takiego ojca.

Kerna znów zaczęły nękać mroczne wspomnienia, zepchnął jednak je gdzieś w odległe zakamarki umysłu. Nauczył się już, jak panować nad dzikimi żądzami, jak nie dopuszczać ich do głosu.

- Teraz fascynuje mnie tylko to, co dzieje się tutaj - warknął. - Mam nadzieję, że potrafi pan wyjaśnić, dlaczego opuścił pan bal w towarzystwie panny Darcy.

- Chodzi o pewną sprawę osobistą... - zaczęła Isabel.

- Pozwoli pani, że to pan Dickenson odpowie na moje pytanie - przerwał jej Kern.

Arystokrata wzruszył szczupłymi ramionami.

- Panna Darcy czuła się przytłoczona tak ogromną liczbą ludzi. Chcieliśmy znaleźć jakieś ciche miejsce, w którym mogłaby dojsć do siebie.

- Więc zrobmy to, proszę bardzo. Wszyscy troje.

Dickenson cofnął się o krok, zdumiony jego ostrym tonem.

- Spokojnie, przyjacielu. Ta dama nie potrzebuje aż dwóch opiekunów. Może lepiej będzie, jak od razu odprowadzę ją na salę.
- Nie - odparł Kern twardo. - Najpierw zamienię z panem kilka słów. I z panią także. - Wziął Isabel pod rękę i zaprowadził ją na koniec korytarza. Tam otworzył ostatnie z szeregu białych drzwi i gestem nakazał Dickensonowi, by ten szedł dalej pierwszy.

Starszy mężczyzna zatrzymał się w progu.

- Kern, o co ci właściwie chodzi? - wybuchnął. - Nie jesteś przecież strażnikiem panny Darcy.

- Słuszna uwaga - przyłączyła się Isabel. - Myślę, że lord Kern powinien zainteresować się bardziej swoimi sprawami, a nie mieszać się do naszych.

- Więc radzę pani przestać myśleć - odparł Kern tonem nie znoszącym sprzeciwu. - Proszę iść dalej.

Zstępując powoli schodami dla służby, Isabel zrozumiała, że opór nic nie da i że jeśli chce przesłuchać Dickensona, będzie musiała zrobić to w obecności Kerna.

Na parterze przeszli do małego pokoju, oświetlonego tylko blaskiem księżyca, który wpadał tutaj przez parę wysokich okien. Sądząc po umeblowaniu, był to pokój poranny - świadczył o tym niewielki stolik, przeznaczony do spożywania śniadań, i fotele ustawione wokół kominka, gdzie toczono zapewne miłe poranne rozmowy.

Ta rozmowa z pewnością nie zapowiadała się na miłą.

Isabel usiadła na skraju sofy. Kern tymczasem zatrzasnął za sobą drzwi i podszedłszy do biurka, wciśniętego w róg pokoju, zajął miejsce w cieniu. Najwyraźniej wiedział, co łączyło Dickensona z jej matką. Ale skąd, skoro nie czytał dziennika? Zapewne się tylko domyślał.

Dickenson stanął pośrodku pokoju. Sięgnął do kieszeni, wyjął stamtąd małe metalowe pudełko i wciągnął szczyptę tabaki.

- Nie rozumiem pańskiego zachowania, Kern. Chyba nie jest pan zainteresowany tą damą? Słyszałem, że zaręczył się pan z córką Hathaway, Ellen.

- Helen - poprawił Kern opryskliwie. - Nazywa się lady Helen.
- To nie ma większego znaczenia - wtrąciła Isabel, zdecydowana przeprowadzić tę rozmowę zgodnie z wcześniejszym planem. - Panie Dickenson, jesteśmy tu z panem z zupełnie innego powodu.

My. Machinalnie włączyła w to Kerna, rozumiała bowiem nagle, że zadowolona jest z jego obecności. Wiedząc, że stoi w pobliżu, czuła się bezpieczna, chroniona, nie taka samotna.

Oby tylko nie zepsuł wszystkiego jak podczas rozmowy z lordem Raymondem. Próbowwała przechwycić jego spojrzenie, dać mu znać, że ona zajmie się przesłuchaniem, lecz uwaga Kerna skupiona była na starszym mężczyźnie.

- Powodu? - Dickenson skrzywił się. - Jakiego powodu? Nigdy nie zrobiłem pani krzywdy. Nigdy się nawet nie spotkaliśmy... prawda? - Przyjrzał jej się uważnie. - Nie, pamiętałbym damę o takim wdzięku i urodzie.

- Znał pan moją matkę - mruknęła. Zebrawszy się na odwagę, dodała: - Z pewnością pan ją pamięta. Aurora Darling.

Dickenson omal nie podskoczył w miejscu. Tabakiera wyśliznęła się z jego dłoni i spadła na podłogę, rozsypując na dywan swą zawartość. Nie zwracając uwagi na ten bałagan, wpatrywał się w Isabel szeroko otwartymi oczyma.

- Aurora? Niemożliwe. Pani sobie ze mnie żartuje.

- To nie żaden żart. - Kern oparł łokieć na marmurowym kominku. - Wiemy, co łączyło pana w przeszłości z Aurorą Darling. Lubiła nazywać pana Narcyzem.

Więc o tym także wiedział? Isabel ukradkowo dotknęła tajemnej kieszonki, w której trzymała dziennik. Nadal tam był, mały prostokąt ukryty pod halką.

Dickenson wciąż nie odrywał od niej spojrzenia. Isabel zacisnęła dłoń w pięść. Wiedziała, że ten zepsuty arystokrata uwierzył jej wreszcie i choć to właśnie było jej celem, chciała uniknąć tego upokorzenia. Nienawidziła tej chwili, gdy wytworne manieri i garderoba wielkiej damy nie mogły już ukryć jej pochodzenia, miała ochotę wybiec z pokoju, uciec jak najdalej.

- To te przekłete memuary. - Dickenson odwrócił się do Kerna. - Dostały się w pańskie ręce - wyrzekł chrapliwie. - Na Jowisza, powinien pan zachować się jak dżentelmen i spalić je.

- Lord Kern nie ma dziennika mojej matki - wtrąciła Tsabel. - Ja go mam. Jest ukryty w bezpiecznym miejscu, gdzie nikt go nie znajdzie.

- Więc tak to wygląda, he? - Dickenson zmierzył pogardliwym spojrzeniem Isabel, a potem Kerna. - Nigdy nie przypuszczałbym, że taki człowiek jak ty zniży się do szantażu. Jesteś gorszy od swojego ojca.

Kern milczał, Isabel wyczuwała w nim jednak ogromny gniew.

- Nie chcemy nikogo szantażować - sprostowała pośpiesznie. - Chcielibyśmy tylko, by odpowiedział pan na kilka pytań.

- Jakich pytań?

Isabel nabrała głęboko powietrza.

- Czy odwiedzał pan moją matkę w ciągu miesiąca poprzedzającego jej śmierć?

- Wszystkie nasze spotkania miały pozostać tajemnicą - odparł Dickenson wyniośle. - Z pewnością zapłaciłem jej wystarczająco za ten przywilej.

Isabel skrzywiła się odruchowo, wyobrażając sobie tego rozpustnika ze swoją matką. Siłać się na spokój, powtórzyła:

- Czy odwiedzał ją pan?

Kiedy Dickenson uniósł dumnie głowę, dając w ten sposób do zrozumienia, że nie zamierza z nią rozmawiać, Kern wtrącił się, mówiąc gniewnym głosem:

- Odpowiadaj, kiedy dama pyta. Widziałeś się z Aurorą Darling czy nie? Prosiła ją, by przestała spisywać wspomnienia, prawda?

Dickenson roztrzącił czubkiem buta maleńki kopczyk tabaki na dywanie.

- A jeśli nawet tak było, to co z tego? Moja żona wyjechała do Sussex, do swojej siostry, więc i tak o niczym nie możecie jej donieść. Nie pozwolę, by ktoś niepokoił ją jakimiś starymi plotkami.

- Może pan być o to spokojny - odparła Isabel. - Czy przypomina pan sobie, kiedy po raz ostatni odwiedził pan moją matkę? Chodzi mi o dokładną datę.

- O datę? A skąd, do diabła, miałbym pamiętać dokładną datę? To było gdzieś na wiosnę. - Odwracając się do lustra na ścianie, nerwowo poprawił siwe włosy. - W kwietniu. A może w maju, nie pamiętam. Takich spotkań nie zapisuje się w ter minarzu.

Isabel zagryzła wargi, tłumiąc frustrację.

- Czy przy tej ostatniej wizycie przyniósł jej pan jakiś upominek? Kwiaty? Klejnoty? A może... słodycze?

Dickenson wzruszył ramionami.

- Zdaje się, że przyniosłem jej czekoladki. Najbardziej lubiła te ze sklepu Bella.

Serce Isabel zabiło szybciej. Dickenson mógł dodać arsenik do czekoladek. Trucizna była dostępna w każdej aptece. Być może z obawy przed zazdrosną żoną zdecydował się na tak desperacki krok.

- Dlaczego zadajesz mi te wszystkie pytania? - zirytował się Dickenson. - Prawdę mówiąc, bardzo jestem ciekaw, jak to się stało, że zamieszkałaś u Hathawaya i to pod fałszywym nazwiskiem. Musiałaś oszukać jakoś markiza. Taki człowiek nigdy nie przyjąłby pod swój dach bękarta ładacznicy. - Usta arystokraty wykrzywiły się w chytrym uśmiechu. - Więc ostrzegam cię, jeśli natychmiast nie zniszczysz tych memuarów, pójde do niego i powiem mu wszystko, co o tobie wiem...

- Nie powie pan ani słowa - przerwał mu Kern, wychodząc z cienia. - Cel tego przesłuchania jest bardzo prosty. Chcemy się dowiedzieć, kto otruł Aurorę Darling.

Dickenson cofnął się o kilka kroków, jakby ktoś wymierzył mu nagle potężny cios.

- O...otruta? Chce pan powiedzieć, że ona została zamordowana?

- Tak.

Znów nastąpiła chwila ciszy. Wreszcie Dickenson wydobył z siebie piskliwy głos.

- I myślicie, że ja to zrobiłem?

- To zależy. Czy potrafi pan udowodnić, że nie był pan w mieszkaniu Aurory Darling w nocy dziesiątego maja? Właśnie wtedy została otruta.

Dickenson nerwowo poruszał zuchwą.

- Mówiłem wam już, że nie zapisuję w kalendarzu spotkań z kurtyzanami. Jaki mężczyzna byłby na tyle głupi, by robić coś podobnego?

- Więc będziemy musieli zdobyć te informacje z jakiegoś innego źródła - oświadczył Kern złowieszczym tonem. - A tymczasem radziłbym panu nie wyjeżdżać z miasta. Być może sędzia będzie chciał pana przesłuchać.

- Sędzia! Nie, to już naprawdę jakiś absurd. Nie rozumiem, dlaczego pomaga pan tej małej żmijce, powinien pan raczej chronić ludzi ze swej sfery. - Dickenson zaczął grozić palcem Kernowi, potem jednak, wiedziony jakąś inną myślą, odwrócił się do Isabel. - A ty... twoje miejsce jest w rynsztoku. Nie wśród przyzwoitych ludzi. Taka z ciebie dama jak z mojej praczki.

Isabel siedziała sztywno wyprostowana, z dłońmi złożonymi na kolanach. Wiedziała, że jej aparycji i manierom nie można niczego zarzucić, że wygląda jak prawdziwa dama. Jednak znów czuła się jak małe dziecko, które marzy o niemożliwym, które musi znosić szyderstwa i prześladowania.

Mamrocząc pod nosem jakieś pełne oburzenia słowa, Dickenson schylił się, podniósł z podłogi tabakierę i wsunął ją do wewnętrznej kieszeni. Kiedy się wyprostował, znów obrzucił Isabel pogardliwym spojrzeniem.

- Teraz wcale nie dziwię się temu, co mówił o tobie Mobrey. Ciekawe, do czego dojdzie, kiedy wszyscy poznają moją opowieść...

Kern jednym skokiem dopadł do Dickensona, chwycił go za szyję i rzucił na ścianę. Mały stolik przewrócił się na podłogę, biaława waza rozbiła się w drobny mak. Kern jakby niczego nie zauważał.

- Powiedz tylko jedno słowo przeciwko panie Darcy, a będziesz miał ze mną do czynienia.

- Nie... powiem... - wykrztusił Dickenson. - Puść... mnie.

- Najpierw przeproś damę.

- Prze...praszam.

- Tak lepiej. - Kern wypuścił swoją ofiarę i odsunął się od

ściany. - Pamiętaj o tym, co ci powiedziałem - dodał. - Jeśli wspomnisz komukolwiek o tym spotkaniu, ja wywołam na wierzch całe plugastwo z twojej przeszłości. Twoja żona dowie się o wszystkim ze szczegółami.

- Tak, milordzie. - Dickenson poprawił fular, przeszedł wzdłuż ściany do wyjścia i szybko wysliznął się na zewnątrz, zatraskując za sobą drzwi.

Z dala dobiegały dźwięki menueta. By ukryć drżenie rąk, Isabel skrzyżowała je na piersiach. *Mała żmijka... twoje miejsce jest w rynsztoku... taka z ciebie dama jak z mojej praczki.* Opinia znanego łajdaka i rozpustnika nie powinna być dla niej żadnego znaczenia, czuła się jednak tak, jakby ktoś wymierzył jej siarczysty policzek. Pocieszała się tylko myślą, że Dickenson otrzymał porządną nauczkę z rąk Kerna.

Oczywiście nie przypuszczała nawet, by ten zrobił to z sympatii dla niej. Bronił tylko własnych interesów - nie chciał dopuścić do skandalu, który splamiłby także Helen i lorda Hathaway.

Mimo to czuła się zobowiązana.

- Dziękuję panu za pomoc, milordzie. To był bardzo uprzejmy gest z pana strony.

- Uprzejmy? - powtórzył ponuro.

- Tak. - Otaczała go ledwie wyczuwalna aura niebezpieczeństwa. Isabel zastanawiała się, czy naprawdę zna tego człowieka. Uzmysłowiwszy sobie, że są w tej chwili całkiem odcięci od świata, wstała z miejsca i powiedziała: - Jestem panu bardzo wdzięczna za pomoc w przesłuchaniu Dickensona. Postąpiłam chyba dość niemądrze, sprowadzając go tutaj, nie przypuszczałam jednak, że będzie mi groził.

Zamierzając wrócić jak najszybciej do sali balowej, Isabel ruszyła w stronę drzwi. Nim jednak dotknęła mosiężnej gałki, Kern już był przy niej. Nagle znalazła się w takiej samej sytuacji jak Dickenson, przyparta do ściany. Tyle że dłonie Kerna nie trzymały jej za szyję, lecz wbijały się w ramiona.

W jego oczach migotały iskry gniewu i czegoś jeszcze. Isabel zdrząła, ogarnięta nagle dziwną słabością, przytłoczona jego siłą i zdecydowaniem. Wiedziała, że powinna zaprotestować, obrazić się na takie traktowanie, nie mogła jednak wydobyć ani

słowa z zaciśniętego gardła. Tak naprawdę to miała ochotę zrobić zupełnie co innego. Chciała go całować.

- Niech pani jeszcze nie ucieka - odezwał się Kern. - Chciał bym wiedzieć, co zrobiłaby pani, gdyby Dickenson przyznał się do morderstwa.

Isabel starała się skupić myśli.

- Powiedziałabym o tym sędziemu, oczywiście. Dopilnowałabym tego, by poniósł odpowiednią karę.

- Ach tak, tyle tylko, że pewnie nigdy nie doszłaby pani do sędziego. - Przesunął dłonie wyżej; jego palce dotykały teraz szyi Isabel. - Zabójca zamknąłby pani usta. Na zawsze.

Isabel zadrżała, częściowo ze strachu, częściowo z podniecenia. Czowała, jak ogarnia ją niepokonany żar. Bojąc się, że straci panowanie nad sobą i zhańbi się przed Kernem, przyłożyła dłonie do zimnej ściany.

- Zakłada pan, że to Dickenson jest mordercą.

- Być może jest. A może nie. Chodzi mi tylko o to, że nie pozwolę pani ryzykować i spotykać się z tymi ludźmi w pojedynkę. - Jego dłonie znów opadły na jej ramiona. Wielkie dłonie. Chciała, by przesunęły się coraz niżej i niżej...

- Cóż, nie pan będzie o tym decydował - odparła. - Dickenson nie ośmieliłby się zrobić mi krzywdy. Nie na przyjęciu, wśród tylu ludzi.

Kern roześmiał się cicho, ponuro. Jakby wyczuwał jej najskrytsze pragnienia, przesunął dłonie ku dołowi, aż objęły jej piersi. Żar jego ciała przenikał nawet przez grubą tkaninę gorsetu. Isabel omal nie osunęła się na podłogę, ogarnięta nagłą falą pożądania. Chciała go dotykać, czuć pod palcami jego mocny puls.

- Jakaż pani jest naiwna, panno Darling. Rzekłbym, zadziwiająco naiwna, jak na kogoś, kto poznał ciemną stronę życia.

Jego szyderczy ton wyrwał Isabel z erotycznego rozmarzenia. Odepchnęła go raptownie od siebie, wyszła na środek pokoju i odwróciła się na pięcie, by spojrzeć mu w oczy.

- Chyba czegoś tu nie rozumiem. Pan pcha mnie na ścianę, dotyka moich piersi, a potem ma pan jeszcze czelność wypominać mi moją przeszłość?

- Dobrze pani wie, co miałem na myśli. Chciałem tylko powiedzieć, że...

- Wiem, co chciał pan powiedzieć. Nie przepuści pan żadnej okazji, by przypomnieć mi, skąd pochodzę, prawda? Jakby fakt, że jest pan synem znanego w całym Londynie lubieżnika, czynił pana lepszym ode mnie.

Przez chwilę przyglądał jej się w milczeniu. O czym myślał? Że jest warta mniej niż jego nowe buty?

- Skoro już otymmowa - rzekł wreszcie spokojnym tonem. - Myślałem ostatnio dużo o pani ojcu.

Isabel osłupiała. Nagle zaschło jej w ustach.

- Myślał pan? O... moim ojcu?

- To był dżentelmen, człowiek z towarzystwa. A pani matka nazywała go Apollo.

Świat zawirował nagle przed jej oczami. Co jeszcze wiedział Kern? Czy domyślał się, że uważa Trimble'a i Apolla za tę samą osobę? Z pewnością nie. Nie czytał dziennika, nie mógł więc znaleźć pewnych wskazówek...

Zacisnęła dłonie na oparciu najbliższego krzesła.

- Kto panu o tym powiedział? - wyszeptła. Nagle zrozumiała, jakby olśniona prostą myślą. - Ciocia Minnie i ciocia Diana. Rozmawiał pan z nimi.

Kern wzruszył ramionami.

- Skoro pani nie pozwoliła mi przeczytać dziennika, musiałem znaleźć jakiś inny sposób. Chciałem się dowiedzieć czegoś o mężczyznach z życia pani matki. Przekonać się, kto mógł ją otłuć.

Gniew i ból wypełniły piersi Isabel. Wbiła paznokcie głęboko w obicie krzesła, byle tylko nie rzucić się na Kerna i nie podrapać tej jego arystokratycznej twarzy.

- Nie pozwoliłam panu grzebać w moim życiu - powiedziała powoli i dobitnie. - Nie prosiłam też, by mieszał się pan do mego śledztwa.

- Przed chwilą dziękowała mi pani za pomoc w przesłuchaniu Dickensona.

- Więc wycofuję to. Od tej pory proszę nie wtrącać się więcej do moich spraw.

Kern zbliżył się do niej powoli i stanął tak, że światło księżyca padało prosto na jego twarz. Przez chwilę patrzył jej śmiało w oczy.

- Nie, nie posłucham pani - oświadczył wreszcie spokojnie. - Chcę się dowiedzieć, jak zginęła pani matka. Im prędzej prawda wyjdzie na jaw, tym prędzej będzie pani mogła wrócić do swego świata.

- Jakież pan wspaniałomyślny. Wyświadcza pan ogromną przysługę towarzystwu, usuwając z niego niepożądany element.

Kern odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się głośno.

- „Niepożądana” to z pewnością nie jest słowo, którym chciałbym panią opisać, Isabel.

Mimo gniewu poczuła przyjemny dreszcz. Wmawiała sobie, że to tylko cielesna pokusa, a nie pragnienie, by porozmawiać z nim szczerze, zajrzeć do jego serca, wyznać przed nim wszystkie dręczące ją obawy. Nigdy nie stanie się taka jak jej matka, bezmyślna marzycielka, która traktowała arystokratów z nabożną niemal czcią.

- „Arogancki” to słowo, którym ja opisałabym pana. Jest pan tylko zadufanym w sobie snobem. To zdumiewające, że nigdy nie nauczono pana dobrych manier.

Znów ruszyła w stronę drzwi. Kern stanął na drodze Isabeli, pochwyił jej rękę w nadgarstkach. Biło od niego jakieś dziwne napięcie.

- Pani uczyła się dobrych manier - powiedział. - Została pani wychowana przez guwernantkę w Oxfordshire. Nic dziwnego, że tak łatwo znalazła pani sobie miejsce w towarzystwie. Apollo płacił za pani wykształcenie.

Jego palce zaciskały się równie mocno jak wspomnienia, które więziły jej serce. Wiedziała, że matka otrzymuje co kwartał pieniądze od anonimowego donatora; Aurora rozповідаła wszystkim o hojności Apolla, który łożył na wychowanie nieślubnej córki. Lecz po jej śmierci pieniądze przestały napływać.

Prawda była taka, że Apollo wcale nie dbał o Isabel. Sir John Trimble wyrzekł się córki. Przysparzała mu tylko kłopotów, była nieszczęśliwą pomyłką, o której chciał teraz zapomnieć. A Isabel nie chciała, by Kern kiedykolwiek poznał tę smutną prawdę, by dowiedział się, jak niewiele znaczyła dla własnego ojca.

Próbowała wyrwać się z jego uścisku, udało jej się jednak tylko wyrzucić z siebie bolesne słowa:

- Dlaczego wciąż pan o nim mówi? - spytała. - Uważa pan, że powinnam być mu wdzięczna? Że powinnam szanować człowieka, który się do mnie nie przyznał? Człowieka, który nigdy mnie nie odwiedzał, nigdy nie zdradził mi swego nazwiska, który przysyłał tylko pieniądze, by uciszyć głos sumienia? I zostawił mnie na pastwę losu, skazał na szyderstwa i poniewierkę? - Potrząsnęła mocno głową. - On nie jest moim ojcem. Ja nie mam ojca. Proszę już o nim nie mówić.

- Isabel, przepraszam. Nie wiedziałem, że to dla pani aż tak bolesne. Ale mimo to musimy o nim porozmawiać.

Nie mogła znieść tego łagodnego tonu. Nie chciała litości ani współczucia od arystokraty.

- Dlaczego? Żeby jeszcze bardziej mnie udęczyć? Żeby poczuła jeszcze mocniej, jak wielka przepaść nas dzieli? O nie, nie zamierzam znosić w pokorze pańskich obelg i szyderstw. - Próbowała jeszcze raz uwolnić rękę z uścisku Kerna, a kiedy to nie poskutkowało, kopnęła go. Delikatny pantofelek nie zapewniał jej żadnej ochrony, obita więc tylko palec o jego twarde gołe. - Au!

- Na miłość boską, niechże się pani uspokoi - powiedział, odsuwając ją od siebie na długość ramion. - Wcale nie chcę pani dręczyć. Jeśli poświęci mi pani chwilę uwagi, zrozumie pani, o co naprawdę mi chodzi.

- Poświęciłam panu już dość uwagi, pan zaś wciąż tylko mnie atakował i obrażał. Nie interesuje mnie nic, co ma pan do powiedzenia o moim ojcu. Nic.

- Niestety, jest coś takiego. Coś, czego być może nie wzięła pani pod uwagę. - Oczy Kerna błyszczały niepokojąco w świetle księżyca. - Musimy się dowiedzieć, kim jest Apollo.

- Nie!

- Tak. Widzi pani, on miał powód, by zamordować pani matkę.

Ta prawda sparaliżowała Isabel na moment. Choć podobna myśl wracała do niej niejednokrotnie, nigdy nie wyraziła jej tak dosadnie. Matka mogła zginąć z ręki jedyne go człowieka, którego

naprawdę kochała. Człowieka, którego krew płynęła w żyłach Isabel.

Nie mogła pogodzić się z myślą, że może być dzieckiem takiego potwora. Czuła się poniżona, zbrukana, choć przecież przez całe życie walczyła o zachowanie własnej godności. Dlatego właśnie nie chciała, by Kern dowiedział się, że sir John Trimble jest jej ojcem. Jeśli to on był mordercą, nikt prócz niej nie powinien wiedzieć, co ich łączy.

Pokręciła głową, próbując odwieść Kerna od tych podejrzeń.

- Mama nigdy nie zdradziła nazwiska Apolla. Nie miał więc powodów, by się jej obawiać.

Kern pocierał kciukami jej rękę, jakby próbował ją uspokoić.

- Jest pani pewna, że w dziennikach nie ma żadnej wzmianki, która pozwoliłaby się domyślać prawdziwego nazwiska Apolla? Może opis miejsca, w którym mieszkał, albo jego stanowisko?

- Nic podobnego. Sam pan więc widzi, że to niemożliwe. Może pan o nim zapomnieć.

- Nie. Nikt nie wie przecież, co pani matka powiedziała mu przy ostatnim spotkaniu. Być może obawiał się, że zmieni zdanie i opowie całemu światu o ich nieślubnym dziecku. Taki skandal zniszczyłby człowieka z towarzystwa.

Isabel odsunęła się od niego i skrzyżowała ręce na piersiach. Piekący żal trawił jej serce. Chciała, by wreszcie przestali rozmawiać o jej ojcu.

- To wszystko tylko pańskie domysły. Jestem pewna, że zabił ją ktoś inny. Musimy tylko dowiedzieć się kto.

- Isabel. - Kern przygarnął ją do siebie, przytulił jej głowę do swego ramienia. - Przepraszam. Nie zamierzałem sprawić ci bólu.

Wcale nie chciała, by ją pocieszał; wolałaby raczej nienawidzić go za to, że grzebie w jej przeszłości, miesza się do nie swoich spraw. Czuła jednak ogromną ulgę, mogąc przytulić się do Kerna, czerpać z niego siłę, pozbyć się ciężaru łez.

Objęła go w pasie i złożyła głowę na jego piersi. Tulił ją do siebie, ani na moment nie wypuszczając z czułych objęć. Rozkoszowała się jego zapachem, cieszyła bliskością ciała, jego siłą. Tak bardzo już zmęczają ją walka ze straszliwą prawdą, zmagania

toczone w samotności, bez nadziei na jakąkolwiek pomoc z zewnątrz. Teraz czuła się zupełnie inaczej niż wtedy, w opuszczonym pokoju w domu księcia Lynwood, kiedy pożądanie odebrało jej rozum. Wyczuwała w sobie głębszą, subtelniejszą potrzebę, wpływającą z głębi duszy.

Zastanawiała się, czy on także to czuje. Otrzymała odpowiedź, kiedy delikatnie uniósł jej głowę, szepnął „Isabel” i złożył pocałunek na jej ustach. Całował ją delikatnie i czule, ona zaś poddała mu się bez oporu. Nigdy dotąd nie przypuszczała, że może tak bardzo pragnąć arystokraty. Znowu traciła zmysły; kiedy poczuła w ustach jego język, odpowiedziała bezwstydnym pożądaniem. Wodziła dłońmi po męskim ciele, uczyła się go na pamięć, chłonęła bicie jego serca.

Kern drżał pod jej dotykiem. Przygarnął ją jeszcze mocniej, przesuwając dłonie coraz niżej, aż do pośladków, napierał na nią biodrami, ona zaś znowu wyczuła to twarde zgrubienie, dowód męskości. To doznanie obudziło w niej palące pragnienie, chciała, by wypełnił ją sobą, tylko on. Marzyła o rym, by poznać jego moc, jego namiętność. Chciała, by dłonie Kerna dotykały jej nagiego ciała. Nikt inny nie mógł jej zadowolić; nigdy dotąd nie pragnęła żadnego mężczyzny. Z pewnością on właśnie był jej przeznaczeniem, księciem z bajki, na którego czekała przez całe życie.

- Isabel - wyszeptał, jakby nie miał dość sił, by się od niej odsunąć. - Dobry Boże... Przysięgam, że nie popełnię tego błędu... nigdy więcej.

Ledwie słyszała jego głos, jakby mówił do niej z wielkiej odległości. Otworzyła oczy i ujrzała jego ciemną sylwetkę, pochyloną głowę. Błędu? Czuła, że żar zaczyna w niej wygasać, nie chciała tego, przywarła mocniej do ramion Kerna.

- Proszę, pocałuj mnie. Tak bardzo cię potrzebuję.

Przyciągnęła jego głowę do siebie, chciała znaleźć zapomnienie w jego wilgotnych, ciepłych ustach.

On jednak był nieubłagany. Dłonie, które jeszcze przed chwilą pieściły z czułością jej ciało, teraz ją odepchnęły. Jakby była zwykłą dziewczką, którą mężczyzna porzuca, zaspokoiwszy żądze.

- Nie ~ powiedział przez zaciśnięte zęby. - Nie możemy tego robić. Wiesz o tym równie dobrze jak ja.

Wiedziała. Lecz zakazane pragnienie pulsowało w niej mocno, niepohamowane i kuszące.

- Nie dbam o to-jęknęła. - Chcę tylko zapomnieć...

- Nie. - Kern westchnął z frustracją. - Nie możemy zapomnieć. Rozmawialiśmy o pani ojcu. Musimy się dowiedzieć, kim on jest.

Jego chłodny ton natychmiast przywołał ją do rzeczywistości. Kern zamierzał znaleźć Apolla. Chciał zgłębić wszystkie tajemnice jej przeszłości, znaleźć mordercę, by odesłać ją wreszcie do jej świata. A ona wierzyła naiwnie, że zależy mu na niej.

Zbierając resztki godności, odsunęła się od niego.

- Mówiłam już panu, ja nie mam ojca. A jeśli spróbuje pan udowodnić, że jest inaczej, nigdy, przenigdy panu nie wybaczę.

Choć tak bardzo pragnęła tego uniknąć, w ostatniej chwili jej głos nagle się załamał. Nie chcąc, by Kern zobaczył łzy w jej oczach, odwróciła się szybko do drzwi. Próbował ją jeszcze zatrzymać, ona jednak wybiegła na zewnątrz, by wrócić do sali balowej, do maskarady, która teraz stała się dla niej jedynym schronieniem.

Podobnie jak bohater mitu, Narcyz kochał tylko siebie.

Zrozumiałam to już przy pierwszej wizycie pana Terrence'a D., a mimo to lubiłam go na swój sposób. Uwielbiał pokazywać się w towarzystwie i pysznić swym powodem, dlatego też często zabierał mnie na koncerty czy do galerii. Nigdy nie chciałam pozostawać w ukryciu jak inne kurtyzany, pragnęłam poznać wszelkie uroki życia, lubiłam rozrywki i dobrą zabawę. Dlatego właśnie uważałam znajomość z Narcyzem za całkiem przydatną.

Poza tym był to bardzo jurny mężczyzna, zawsze gotowy do igraszek, zawsze spragniony cielesnych rozkoszy. Wiele godzin spędzaliśmy w łóżku. To on właśnie umocował lustro na oparciu, by obserwować samego siebie podczas tych zabaw. Prawdę mówiąc, gdybym mu na to pozwoliła, zawiesiłby lustra także na

ścianach i suficie, by zawsze cieszyć się widokiem swego ukochanego ciała.

Drogi Czytelniku, zastanawiasz się zapewne, dlaczego tolerowałam takiego bufona. Stało się tak dlatego, że Narcyz przyszedł szukać u mnie pomocy w walce z nalogiem samotnej rozpusty. Chętnie oddawałby mu się nadal, lekarz jednak ostrzegł go, że prowadzi to w końcu do szaleństwa. Narcyz na pewno nie chciałby ujawnić nikomu tej prawdy. Jestem jednak pewna, że i wśród was są tacy, którzy oddają się czasem tego rodzaju przyjemności, wykażcie więc trochę zrozumienia dla biednego Narcyza...

„Prawdziwe wyznania kurtyzany”

Widzę, że pozwolono ci jednak zostać - powiedział Kern.

Przechadzając się wzdłuż rozpalonych słońcem okien, dostrzegł szczeniaka, który stanął niepewnie w drzwiach salonu. Psiak wyglądał teraz znacznie lepiej niż w chwili, gdy Isabel uratowała go przed bandą wyrostków. Był to jakiś przedziwny mieszaniec spaniela i teriera, miał krótką złotą sierść znaczoną białymi plamkami, obwisłe uszy i gruby ogon.

- Proszę, wejdź - namawiał go Kern. - Nie masz się czego bać, nie zrobię ci krzywdy.

Pies zrobił kilka niepewnych kroków, potem znów się zatrzymał i przekrzywił łeb. Kern doskonale rozumiał jego zachowanie; w swym krótkim życiu ten biedny zwierzak doznał już niejednej krzywdy z rąk okrutnych ludzi.

Kern wiedział dobrze, że do równie okrutnych występków dochodzi w najlepszych nawet londyńskich domach. Arystokraci nie dręczyli co prawda zwierząt na ulicach, zdolni byli jednak do morderstwa.

- No chodź, malutki, nic ci nie zrobię.

Piesek przysunął się jeszcze bliżej. Kern przykucnął i czekał cierpliwie, aż maluch zbierze się na odwagę. Kiedy zwierzę przyczołgało się wreszcie do niego, podrapał je delikatnie za uchem. Już po chwili szczeniak przewrócił się na grzbiet, prosząc w ten sposób, by drapać go także po brzuchu.

- A gdzie to podziewa się dzisiaj twoja pani? Gdzie jest Isabel?

Piesek zapiszczał w odpowiedzi i pomachał radośnie ogonem, jakby rozpoznawał to imię.

- Na pewno zastanawia się, jak uciec dzisiaj spod mojej opieki. - Kern czuł się trochę dziwnie, przemawiając do psa. Musiał jednak dać ujście dręczącemu go myślom. - Musisz pomóc mi jej pilnować. Inaczej wpakuje się w poważne kłopoty.

Wiedział, że Isabel to robi, jeśli tylko da jej po temu okazję. Gotowa była odrzucić jego pomoc, realizując zadanie, które wykraczało poza jej możliwości i siły. Nie zdawała sobie sprawy z zagrożenia. Ta myśl nie dawała mu spać przez większą część nocy. Dziewczyna była uparta, zdeterminowana i zbyt słaba, by obronić się przed mordercą.

Zeszłego wieczoru nie chciała uznać Apolla za potencjalnego mordercę. Kern odniósł jednak wrażenie, że zastanawiała się nad tym, że wiedziała znacznie więcej, niż raczyła mu powiedzieć. Zbyt mocno broniła się przed taką hipotezą. Dlaczego jednak nie chciała, by zajęli się właśnie tym człowiekiem, jej ojcem? Spośród wszystkich byłych kochanków Aurory Apollo miał najwięcej do stracenia. Wiadomość o nieślubnym dziecku zatrzęsałaby całym towarzystwem. Nie miałby już wstępu do lepszych domów, nikt nie zapraszałby go na bale czy przyjęcia. Arystokraci mogli przymknąć oko na ukryte grzeszki, potrafili być jednak bezwzględni dla tych, którzy zostawili świadectwo swych łajdactw.

Ja nie mam ojca. A jeśli spróbuje pan udowodnić, że jest inaczej, nigdy, przenigdy panu nie wybaczą.

Kiedy wypowiadała te słowa, w jej oczach pojawiły się łzy. Była wściekła, choć nie miała ku temu racjonalnych powodów. Nie chciała nawet słyszeć o tym, że jej ojciec mógł zabić Aurorę Darling.

- Wcale się nie dziwię, że nie chce go znaleźć - mruknął Kern. - Ale Bóg mi świadkiem, znajdę tego łajdaka i wycisnę z niego prawdę.

Szczeniak polizał go po dłoni, jakby chciał w ten sposób wyrazić aprobatę dla jego postanowienia.

Do zeszłego wieczoru Kern nie dostrzegał w Isabel ludzkiej wrażliwości. Uważał ją za przebiegłą ladacznicę, która za pomocą szantażu wkradła się do Hathawayów, kłamała, flirtowała, robiła wszystko, by uchodzić w jego oczach za osobę pozbawioną skrupułów i zasad moralnych.

Proszę... pocałuj mnie... tak bardzo cię potrzebuję.

Przelknął z trudem ślinę. Nie powinien żywić dla niej tak ciepłych uczuć. Isabel Darling była zaprzeczeniem jego wyobrażeń o idealnej kobiecie - nie była ani skromna, ani cnotliwa. Kiedy jednak zbliżał się do niej, tracił rozum. Przysięgał sobie, że nigdy więcej jej nie pocałuje, i cóż zostało z jego obietnic. Przy pierwszej nadarzającej się okazji sam sprowokował pocałunek, spijał słodycz z jej ust, zapamiętywał cudowne kształty ciała, pieścił ją jak najczulszy kochanek...

- Ach, lord Kern - odezwał się obiekt jego rozmyślań. - Cóż to za cudowny widok, Milord i pan złączeni w zabawie.

Kern podniósł wzrok i ujrzał Isabel, wchodzącą do salonu ramię w ramię z Helen.

- Och, Justinie, znalazłeś szczeniaka Isabel, to cudownie! Spojrzał na narzeczoną z zakłopotaniem, przyłapany na rozprawie z psem.

- Na to wygląda. Dzień dobry.

Tworzyły wspaniałą parę, blondynka o jasnej cerze i ciemnooka brunetka. Szczeniak zerwał się z podłogi i pobiegł do swojej pani, ta zaś wzięła go na ręce i przytuliła.

- Niegrzeczny chłopczyk -mruczała. -Nie wiedziałam, gdzie pobiegłeś.

Ten widok zauroczył Kerna. Jego spojrzenie błądziło po ustach Isabel, delikatnych, różowych i zdecydowanie zbyt kuszących. Choć okryta wytworną muślinową suknią, wciąż przywodziła mu na myśl cielesne rozkosze.

Niedozwolone rozkosze. Przyjemności, które nie powinny zaprzęcać jego umysłu.

Starając się zapomnieć o Isabel i jej powabnym ciele, podszedł zdecydowanym krokiem do narzeczonej. Do diabła! To z tą kobietą chciał się związać. Słodka i uległa, będzie wspaniałą żoną. Zdecydowany udowodnić to przed sobą samym, zrobił

coś, czego dopuścił się do tej pory tylko raz, przy okazji ich zaręczyn. Pochylił się i ucałował ją w policzek.

Helen była piękną kobietą, więc pocałunek ten sprawił mu przyjemność, nie czuł jednak seksualnego pożądania, nie pragnął rzucić jej na łóżko i dać ujścia swoim najniższym instynktom. Z przerażeniem zrozumiał, że traktuje ją tak jak starszy brat młodszą siostrzyczkę.

Ogarnął go nagle ogromny wstyd. Nie miał prawa pożądać ladacznicy, skoro jego ręka obiecana została aniołowi. Helen była zgrabna, miała ładną buzię i gładką cerę. Była jednak damą i nigdy nie pozwoliłby sobie snuć fantazji na jej temat. Musiał jednak wierzyć, że kiedy już się pobiorą, będą umieli dać sobie tę rozkosz, o której teraz marzył.

- Mam nadzieję, że czujesz się lepiej? - zapytał.

- Odrobinę. To paskudne przeziębienie wciąż nie daje mi spokoju. - Jakby na potwierdzenie tych słów kichnęła, zasłaniając chusteczką poczerwieniały od kataru nos.

Kern spojrzał na Isabel. Ona także nie spuszczała z niego wzroku. Zastanawiał się, czy podobnie jak on wciąż myśli o ich wczorajszym pocałunku. Po chwili zrozumiał jednak, że chce mu coś przekazać - czyżby i ona wiedziała już, że sir John Trimble wrócił do miasta?

Zwrócił się do narzeczonej:

- Wybierzesz się ze mną na przejażdżkę do parku? Helen pokręciła głową.

- Może jutro. Przepraszam, że wciąż psuję wam plany. Serce Kerna zabiło radośnie. Nie. To nie mogła być radość.

Nie mógł cieszyć się, że zostawia w domu narzeczoną. Był tylko zadowolony, że może spokojnie rozwiązać zagadkę śmierci Aurory Darling.

- Mógłby pan z nią zostać, milordzie - zaproponowała słodkim głosem Isabel. - Jestem pewna, że Helen ucieszy się ogromnie z pańskiego towarzystwa, całymi dniami przesiaduje tu przecież w samotności. Ja mogę pojechać z panną Gilbert.

Do diabła! Znów próbowała go przechytrzyć. Chciała sama przesłuchać sir Johna.

- A może pani wolałaby tutaj zostać - odparował. - Zna pani potrzeby lady Helen znacznie lepiej ode mnie.

Helen roześmiała się głośno.

- Proszę, jedźcie oboje. Ja z przyjemnością spędzę ten dzień nad książką, w bibliotece ojca. Justinie, czy byłbyś tak dobry i zaprowadził mnie tam już teraz?

Kiedy Isabel poszła po czepek i pelisę, Kern odprowadził narzeczoną do biblioteki. Chciał pożegnać się z nią szybko i wyjść do powozu, lord Hathaway zatrzymał go jednak na dłużej.

Markiz pisał coś przy swoim biurku. Ujrawszy przyszłego zięcia i córkę, odłożył pióro i wstał, by się z nimi przywitać.

- Papo! -wykrzyknęła Helen.-Myślałam, że już wyszedłeś. Nie będę ci przeszkadzać, jeśli zostanę tutaj poczytać?

Hathaway uśmiechnął się do niej serdecznie.

- Oczywiście, że nie, moja droga. Muszę jednak poprosić cię, byś poczekała kilka minut na zewnątrz. Mam z Justinem pewną sprawę do omówienia.

- W takim razie napiję się herbaty w porannym pokoju. Może przyłączysz się potem do mnie?

Markiz skinął głową w roztargnieniu, poczekał, aż córka opuści bibliotekę, a potem starannie zamknął za nią drzwi. W jasnym blasku dnia zmarszczki wokół jego oczu i ust rysowały się wyraźniej niż zazwyczaj. Podeszedł do szafki, by wyciągnąć stamtąd karafkę z brandy.

- Napijesz się?

Kern pokręcił głową. Ze zdumieniem skonstatował, że Hathaway nalewa sobie sporą porcję złocistego płynu. Markiz znany był ze swych nienagannych obyczajów i nigdy nie pił alkoholu o tak wczesnej porze.

- Gdzie jest panna Isabel? - spytał nagle Hathaway.

Kern zawahał się na moment. Wiedział, że to niedorzeczne, czuł się jednak winny.

- Wybieramy się razem na przejażdżkę do parku.

Markiz pociągnął łyk brandy.

- Chcę, żebyś miał ją na oku. Jak sam dobrze wiesz, ubzdurała sobie, że jej matka została zamordowana.

Kern uniósł brwi.

- Ubzdurała sobie? Myślałem, że to prawda.

- Ba! - Hathaway znów upił spory łyk i zaczął przechadzać

się po pokoju. - Taka zbrodnia nie pozostałaby bez echa. Rozmawiamy o śmierci kurtyzany, która знаła dobrze wielu szanowanych dżentelmenów. Gazety na pewno nie przepuściłyby takiej sensacji, wiedziałyby o tym cały Londyn.

- Owszem, gdyby ktoś potrafił udowodnić, że to naprawdę było morderstwo - odparł Kern, starannie dobierając słowa. - Pozwoliłem sobie wypytać inne kobiety, które mieszkają w tym lupanarze. Jedna z nich widziała jakiegoś mężczyznę wychodzącego z pokoju Aurory Darling tej samej nocy, kiedy za chorowała.

Hathaway obrócił się raptownie i wbił w przyszłego zięcia zdumione spojrzenie. Kilka kropeł brandy rozlało się na jego dłoń, on jednak jakby tego nie zauważał.

- Mężczyznę? Kogo?

- Ta kobieta, Minnie, nie widziała jego twarzy. A ja nie mogę oprzeć się wrażeniu, że ta śmierć rzeczywiście nie była przypadkowa. Aurora Darling napisała w swoim dzienniku, że ktoś ją otruił.

Markiz zachował kamienną twarz. Dopił brandy i odstawił kieliszek na biurko.

- Bez względu na to, jak wygląda prawda, nie pozwolę, by młoda kobieta z mojego domu kręciła się po Londynie i oskarżała niewinnych ludzi. Jeśli zależy ci na reputacji Helen, to dopilnuj, by Isabel Darling zachowywała się jak dama.

IVundel zostaje tutaj - powiedział Kern.

Isabel, która wysiadała właśnie z powozu, spojrzała na lorda spod uniesionych brwi. Odkąd wyjechali z domu, Kern był dziwnie rozdrażniony. Po drodze siedział sztywno wyprostowany, wpatrzony w drogę, prawie w ogóle z nią nie rozmawiał.

- Czy to polecenie dotyczy także mnie? - spytała zjadliwie. - Jak widzę, mnie także uważa pan za kundla.

Ta uszczypliwa uwaga zmusiła go wreszcie do zwrócenia na nią uwagi. Zszedł na chodnik i stanął przed nią. Isabel zauważyła mimo woli, że wygląda niezwykle przystojnie w ciemnozielonym surducie.

- Gdybym wierzył, że mogę panią jakoś odwieść od pomysłu rozmowy z panem Trimble, z pewnością okazałbym pani zaczekać na zewnątrz. Wiem jednak, że i tak przyjechałaby tu pani beze mnie.

- Jakaż przenikliwość, milordzie. - Słyszając swe imię, szczeniaka, którego trzymała wciąż w objęciach, pomachał ogonem i polizła jej brodę. Isabel zapomniała nagle o całej złości i uśmiechnęła się czule do psiaka. - Nie bój się tego paskudnego pana, mój kochany, zostaniesz ze mną. Nie pozwolimy, żeby ktoś znowu zrobił ci krzywdę, prawda? Te okropne urwisy mogą tu przecież wrócić.

Kiedy tuliła szczeniaka do piersi, Kern przyglądał jej się z dziwnym wyrazem twarzy. Isabel wstrzymała na moment oddech, przerażona jego wygłodniałym spojrzeniem. Zdawało się, że Kern najchętniej wciągnąłby ją do jakiejś zacienionej alejki, podniósł jej spódnicę i zrobił to, czego pragnął już od dawna. Co gorsza, ona chętnie by mu na to pozwoliła. Robiło jej się gorąco na samą myśl o tym, że mogłaby mu oddać dziewictwo.

Do diabła, dlaczego musiała się przy nim czuć jak najgorsza ladaczniczka?!

Zerknęła na niego z ukosa.

- Przypuszczam, że nie jest pan w stanie zrozumieć mojego przywiązania do tego stworzenia. Pan miał zapewne mnóstwo zwierząt, kiedy był chłopcem.

- Tylko psy myśliwskie mojego ojca. Był wśród nich jeden, którego lubiłem szczególnie. - Przez chwilę jakby zapomniał o rzeczywistości, zanurzony w świecie wspomnień. Potem spojrzął na Isabel. - A pani? Na pewno na wsi miała pani psa albo kota.

Potrząsnęła głową.

- Moja guwernantka uważała, że zwierzęta to brudne i plugawe stworzenia. Nie pozwalała mi nawet się do nich zbliżyć. - Przypomniawszy sobie te ponure chwile samotności, potarła policzkiem o głowę pieska. - Ale teraz mam ciebie, prawda, Milordzie?

Kern milczał. Isabel powtarzała w myślach, że nie obchodzi

jej wcale, co ten nadęty arystokrata sądzi o szczeniaku. Będzie postępować tak, jak zechce. Jednak kiedy położył dłoń na jej karku i poprowadził ją na schody, stwierdziła z zaskoczeniem, że ten dotyk dodaje jej otuchy w nie mniejszym stopniu niż małe ciepłe ciało, które trzymała w ramionach.

Choć oczywiście wcale nie potrzebowała wsparcia. Była spokojna i opanowana. W pełnym blasku dnia nie mogła zrozumieć, dlaczego poprzedniego wieczoru zachowywała się tak gwałtownie. Wcale przecież nie zależało jej na ojcu. Poprowadzi to spotkanie tak, jakby Trimble był tylko jednym z wielu podejrzanych.

Tym razem gosposia wprowadziła ich do małego, skromnie urządzonego salonu. Isabel usiadła na wysłużonej sofie, trzymając Milorda na kolanach. W oczekiwaniu na gospodarza Kern przechadzał się powoli przed kominkiem.

- Zebrałem trochę informacji o Trimble'u - zaczął ściszym głosem. - Jest wdowcem, nie ma dzieci. Stracił pieniądze na nieudanych interesach, poza tym jednak prowadzi dość spokojne, rzekłbym, monotonne życie.

- Jeśli nie brać pod uwagę jego związku z moją mamą, chciał pan powiedzieć.

Kern wzruszył ramionami.

- Co pani matka pisała o Trimble'u? Co to za człowiek?

Isabel głąskała Milorda, kryjąc przed Kernem twarz i starając się zignorować tępy ból w piersiach.

- Uważała, że sir John to największy dżentelmen wśród jej kochanków. Traktował ją z szacunkiem i czcią. Przynajmniej tak o tym pisała.

- Przypuszczam, że mimo tak pozytywnej opinii Trimble nie chciałby, by dowiedział się o tym cały Londyn - odparł Kern beznamiętnie. - Jeśli on jest człowiekiem, którego szukamy, musi pani pozwolić mi się nim zająć. A pani ma się zachowywać jak dama. Czy to jasne?

Isabel zacisnęła usta.

- Ja zawsze zachowuję się jak dama. A pan będzie mógł zająć się Trimble'em, jeśli to ja uznam go za winnego. Czy to jasne?

Kern spojrzął na nią z góry. Myślała, że odpowie jej kolejną

złośliwością, jednak w jego oczach pojawił się jakiś dziwny błysk, a po chwili wyciągnął do niej rękę.

- Możemy przynajmniej nie złościć się na siebie. Gotów jestem ogłosić zawieszenie broni, jeśli i pani na to przystanie. Zgoda?

Isabel wpatrywała się w niego przez moment, wreszcie odrzekła powoli:

- Zgoda.

Jego silne palce zamknęły się na jej dłoni. Mimo podwójnej warstwy rękawiczek czuła ciepło jego ciała, które przenikało całe jej ramię, rozgrzewało krew, przyspieszało puls. Nie mogła zrozumieć, w jaki sposób ten arogancki mężczyzna wyzwała w niej takie emocje jednym tylko dotknięciem, jednym spojrzeniem zielonych oczu. Powinna czuć niesmak, odrazę. Nie znajdowała w nim żadnych zalet. Był synem zdeprawowanego księcia, który być może zamordował jej matkę.

Czy mogła jednak obciążać Kerna grzechami jego ojca? Czy niebyło to równie niesprawiedliwe jak nazywanie jej ladacnicą tylko dlatego, że była nią kiedyś jej matka?

Odwrociła głowę, słysząc jakieś głosy dobiegające z korytarza. Kern szybko cofnął rękę. Mimo wcześniejszych postanowień Isabel czuła, jak ogarnia ją niepokój. Milord warknął cicho i wpatrywał się czujnie w drzwi salonu.

- Szszsz... - Poklepała szczeniaka po głowie, żałując, że nikt nie może ukoić jej nerwów.

Po chwili do pokoju wszedł sir John Trimble, wspierany przez służącego. Posapując ciężko, usadowił się w fotelu, a pod chorą nogę podstawił stołek. Ból wykrzywił jego twarz o zniekształconym nosie, przeciętą grubą szramą i pokrytą gęstą siecią zmarszczek. Co widziała w nim jej matka? *CU którzy nazywają go brzydkim, nie zajrzeli nigdy w głąb jego duszy, nie wiedzą jak doskonale rozumie potrzeby kobiecego serca.*

- Przekłeta podagra - mruknął, masując obolałą nogę. - Wy baczcie mi, panno Darcy i lordzie Kern. To efekt długiej podróży do Londynu. Za dzień, dwa wrócę do siebie. - Oparł się wygodnie w fotelu. - Nie powinienem jednak witać gości w ten sposób. Może napijecie się czegoś?

- Niech pan nie robi sobie kłopotu - odparła Isabel. - Nie zabierzemy panu dużo czasu.

- Nie robi mi pani żadnego kłopotu - zapewnił ją Trimble, uśmiechając się grzecznie. - Czemuż zawdzięczam tę wizytę? Czyżby zdecydowała się pani jednak poduczyć nieco wista? Kiedy widzieliśmy się na balu u Winfreyów, chciała pani poznać lepiej tajniki tej gry. Z radością spełnię moją obietnicę i pomogę pani w tym.

Patrzył na nią z taką nadzieją, że Isabel zrozumiała nagle, jak musi wyglądać jego życie. Mieszkał sam, w ubóstwie, nie miał rodziny ani dzieci, które dodawałaby radości jego dniom. Tak bardzo lubił przyjmować gości, że choć czuł się fatalnie po długiej podróży, natychmiast do nich zszedł.

Współczucie walczyło w niej z oburzeniem. Jeśli czuł się samotny, to sam był sobie winien. Mógł ożenić się z jej matką, a nie wybrać jakiejś kobiety z majątkiem - zresztą i tak znów był biedny. Ta myśl zaintrygowała Isabel. Jej życie mogło przecież wyglądać zupełnie inaczej. Byłaby dzieckiem z prawego łóża, traktowano by ją jak damę, przyjmowano z szacunkiem w bogatych domach. Po jakimś czasie ludzie zapomnieliby o mrocznej przeszłości jej matki. Być może mogłaby nawet liczyć na małżeństwo z takim arystokratą jak lord Kern...

Odpychając od siebie te dziecinne mrzonki, przeszła do rzeczy:

- Dziękuję panu za tę ofertę, sir, ale przyszedliśmy tutaj z zupeł nie innego powodu. Miałam nadzieję, że zechce pan odpowiedzieć na kilka moich pytań.

Trimble spowaźniał nagle. Z zaciekawieniem spoglądał to na nią, to znów na Kerna, który stał oparty o kominek.

- Proszę bardzo, może pani śmiało pytać - odparł. - Przyznam, że wzbudziła pani moją ciekawość.

Isabel wzięła głęboki oddech.

- Nie jestem osobą, za którą się podaję, sir. Widzi pan, kiedyś, nimjeszcze się urodziłam, znał pan moją matkę. - Isabel zamilkła na moment, zbierając się na odwagę. To wyznanie nigdy nie przychodziło jej łatwo, bez względu na to, który raz je czyniła, ten zaś był najgorszy ze wszystkich. - Jestem...

- Córką Aurory - dokończył za nią Trimble.

Isabel siedziała wpatrzona w niego, nie zwracając nawet uwagi na Milorda, który trącał ją swym zimnym nosem. *Córką Aurory*. Nie przyznawał się do niej, nawet teraz. Trimble także przyglądał się jej z uwagą, a jego twarz pozostawała nieprzenikniona. Pragnęła, by uznał ją za córkę, i jednocześnie nienawidziła siebie samą za tę myśl. Dlaczego opinia tego człowieka miałaby być dla niej ważniejsza niż zdanie innych mężczyzn, którzy wykorzystywali jej matkę?

Być może patrzyła właśnie w oczy mordercy. Jego dusza byłaby wtedy stokroć bardziej odrażająca niż twarz.

Trimble przyglądał się jej z nieskrywanym zainteresowaniem.

- Kiedy spotkał się po raz pierwszy, wydawała mi się pani znajoma. Jest pani podobna do Aurory, wasze nazwiska są też podobne. Ale pani pozostaje pod opieką lorda Hathaway, nie mogłem więc uwierzyć... - Umilkł, choć nie odrywał od niej spojrzenia.

- Udaję daleką krewną lorda - wyjaśniła. - Wiedziałam, że jego brat spotykał się kiedyś z moją matką, i dzięki temu przekonałam go, by pomógł mi znaleźć dostęp do towarzystwa. Nie robiłam tego dla osobistych korzyści - dodała szybko, zerkając na Kerna. - Chciałam tylko poznać ludzi, którzy kiedyś utrzymywali kontakty z moją matką.

Kern milczał. Na razie wydawało się, że pozwoli jej przeprowadzić to przesłuchanie.

- Lepiej będzie, jeśli od razu pani mi powie, dlaczego chce poznać tych ludzi. - Spojrzenie starego człowieka złagodniało; teraz patrzył na nią ze współczuciem. - Choć muszę panią ostrzec, moja droga, że jeśli pragnie pani odszukać swego ojca...

- Nie - odparła szybko. Nie chciała, by zdemaskował się w obecności Kerna. - Nie szukam go.

- Owszem, chce go odnaleźć - wtrącił Kern. Odepchnął się od kominka i podszedł do Trimble'a. - Aurora Darling nazywała go Apollo. Czy pan zna jego prawdziwe imię?

Przeklęty Kern! Trzymając Milorda w drżących ramionach, Isabel zerwała się na równe nogi.

- Nie musi pan odpowiadać na jego pytania, sir. To ja zaaranżowałam to spotkanie.

Spojrzeni sobie głęboko w oczy. Kern zaciskał mocno zęby, wyraźnie zirytowany. Zapewne nigdy dotąd nie spotkał kobiety, która odważyłaby się przeciwstawić mu tak zdecydowanie. Cóż, ktoś musiał być pierwszy. Ona przynajmniej nie miała nic do stracenia.

- Co tu się dzieje? - spytał skonfundowany Trimble. - I tak nigdy nie odpowiedziałbym na takie pytanie. Przysięgam Aurorze, że nigdy nie zdradzę tego imienia, i dotrzymam słowa.

- Rozumiem. - Kern skinął głową. - A gdyby była to sprawa życia i śmierci?

- Życia i śmierci? - Starszy pan pokręcił głową. - Teraz już zupełnie nic nie rozumiem. Zakładam, że pan bierze udział w tym... w tym czymś... ze względu na pana ojca?

- W pewnym sensie. Wkrótce zrozumie pan, o co w tym wszystkim chodzi. - Kern skłonił się lekko przed Isabel. - Na razie wolę jednak ustąpić pola pannie Darling.

Nie mogła w to uwierzyć. Naprawdę jej ustępował, z własnej woli. Znów. Mogła się tylko domyślać, jak bardzo musiało ranić to jego dumę.

Mile zaskoczona, ponownie usiadła na sofie. Patrzyła na twarz Trimble'a - czy te ciemne oczy odziedziczyła po nim? Otrząsnęła się z tych rozmyślań i przeszła do kolejnego pytania:

- Proszę wybaczyć moją ciekawość, sir, ale kiedy po raz ostatni widział się pan z moją matką?

- Ponad rok temu. - Trimble wbił spojrzenie w jakiś punkt nad jej głową, sięgając pamięcią do odległych wspomnień. - Nie później niż na miesiąc przed jej śmiercią.

- Była wtedy chora?

- Nie, powiedziałbym, że wręcz tryskała zdrowiem, choć była nieco przygnębiona.

Kiedy zawahał się na moment, Isabel natychmiast zadała następne pytanie:

- Dlaczego? Proszę sobie przypomnieć, to bardzo, bardzo ważne.

- Zdaje się, że kilku mężczyzn prosiło ją, by przestała spisywać wspomnienia. Dlatego posłała po mnie, chciała mi się zwierzyć ze swoich problemów.

- Posłała po pana? - wtrącił się Kern. - Czyżby nie słyszał pan wcześniej o tych memuarach?

Trimble wzruszył ramionami.

- Słyszałem, ale to nie miało dla mnie większego znaczenia. Co takiego mogłem stracić przez ich publikację?

- Reputację - odparł Kern, dla którego było to oczywiste. - Honor. Nie mógłby pan pokazywać się w towarzystwie z podniesioną głową.

Trimble roześmiał się ponuro.

- Nie sądzę, by ludzie mogli powiedzieć o mnie coś gorszego, niż mówili do tej pory. Zresztą w moim wieku nie ocenia się już człowieka na podstawie świętoszkowatych zasad ustalanych przez szacowne towarzystwo.

Kern uniósł lekko brwi, ale milczał. Najwyraźniej nie zgadzał się ze zdaniem Trimble'a, uznał jednak, że nie jest to najlepsza pora na spory o etyce.

- Kto powiedział panu, że moja matka pisze wspomnienia? - spytała zaintrygowana Isabel.

- Pewien łajdak, niejaki Terrence Dickenson. Zaproponował, by wszyscy dżentelmeni, którzy zostali opisani w pamiętniku Aurory, spróbowali zastraszyć ją zmusić do milczenia. - Trimble zacisnął dłonie w pięści. - Nie muszę chyba mówić, że otrzymał ode mnie należyty odprawę.

Zimny dreszcz przebiegł Isabel. Terrence Dickenson musiał być naprawdę zdesperowany, by uciec się aż do takich środków. Spojrzała na Kerna i dojrzała w jego oczach tę samą ponurą myśl. Nie mogli jednak być pewni. Jeszcze nie. Trimble mógł przecież kłamać, by oddalić od siebie podejrzenia.

- Czy potem widział się pan jeszcze z moją matką? Może przyniósł jej pan jakiś prezent?

Trimble pokręcił głową.

- Nie, spotkałem się z nią tylko wtedy. Potrzebowała pocieszenia, otuchy. Później kazała mi odejść, by mogła w spokoju dokończyć swój dziennik. Nie wiedziałem nawet, że zachorowała, dopiero... potem. - Westchnął cicho, jakby z drżeniem. - Aurora Darling była naprawdę piękną kobietą. Zawsze rozmarzona i pełna nadziei, w rzeczywistości jednak nieugięta i zdeter-

minowana. Jeśli wolno mi tak powiedzieć, była bardzo podobna do pani.

Isabel położyła dłoń na ciepłej głowie Milorda, poruszona do głębi tymi słowami. Z jednej strony sprawiała jej ogromną przyjemność, z drugiej znów wzbudzały strach. Nie chciała być taka jak matka. Nie chciała.

Kiedyś marzyła o tym, by być podobną do swej ślicznej pachnącej mamy, która zabierała ją czasem do Londynu, obсыpywała prezentami, prowadziła na lody i do cyrku. Później jednak Isabel odkryła ponurą prawdę. Zrozumiała, skąd mama bierze pieniądze na piękne lale, wymyślne sukienki i słodycze. I wtedy postanowiła, że prędzej umrze z głodu, niż sprzeda swoje ciało jakiemuś mężczyźnie.

Teraz jednak mimowolnie zerknęła na Kerna, wyobrażając sobie, jak ten ją całuje, pieści jej ciało, kocha się z nią. Skoro nie chciała być taka jak jej matka, to dlaczego pragnęła dzielić łożę z tym mężczyzną, dotykać jego twardej męskości? Dlaczego czuła przyjemny ból w brzuchu i wilgoć między nogami, a tęsknota i pragnienie rozdzierały jej serce?

Widziała, że i on patrzy na nią. Modliła się, by nie przejrzał jej myśli. Kern jednak odwrócił się do sir Johna.

- Mam nadzieję, że tylko pan tak szybko dostrzega to podobieństwo - powiedział rzeczowym tonem. - Czas, by poznał pan prawdę. Mamy powody przypuszczać, że Aurora Darling została zamordowana. Otruta.

Krew odpłynęła z twarzy Trimble'a. W jednej chwili jego policzki stały się równie białe jak przecinająca je szrama. Pochylił się naprzód, jakby przejęty nagłym bólem, i wbił palce w poręczę fotela.

- Nie - wyszeptał. - Nie.

Kern mówił dalej:

- Ta Irlandka, Minnie, widziała jakiegoś mężczyznę wcho-
dzącego do pokoju Aurory Darling w nocy dziesiątego maja. Czy może pan nam powiedzieć, co robił tamtego wieczoru?

Trimble siedział nieruchomo, ze wzrokiem wbitym w podłogę. Potem przetaił oczy i spojrzał na Kerna.

- Nie mogę myśleć. Jest pan tego pewien, milordzie?

- Niestety tak.
- Moja mama napisała o swoich obawach w ostatnim fragmencie dziennika - dodała Isabel. Przez cały czas z uwagą obserwowała Trimble'a. Czy naprawdę przeżył taki szok? Czy też był tylko doskonałym aktorem? - Niestety, nie wspomniała, kogo konkretnie podejrzewa o tę zbrodnię.
- Mój Boże! Mój Boże... Powinienem być pójść do każdego z nich, porozmawiać z nimi, tak jak chciałem to zrobić. Dlaczego pozwoliłem jej, by odwiodła mnie od tego zamiaru. - Trimble uderzył pięścią w poręcz fotela. - Byłem głupcem. Przeklętym głupcem!
- Proszę podać mi nazwiska tych ludzi - rzekł Kern. - Chciałbym ich wszystkich przesłuchać.
- Nie - odparł Trimble stanowczo. Podniósł się powoli z fotela i stanął, wsparty o poręcz. - Z całym szacunkiem, milordzie, ale muszę zająć się tym osobiście. Powinienem być to zrobić dawno temu.
- Z całym szacunkiem - odrzekł Kern - ale chciałbym panu towarzyszyć. W takim stanie nie może pan się uganiać za kryminalistami.
- Poradzę sobie. Wszystko, co mówiła mi Aurora, objęte było tajemnicą. Nie mogę jej zdradzić ani teraz, ani nigdy.
- Obaj mężczyźni patrzyli na siebie przez chwilę, zmagali się w milczeniu. Wreszcie odezwał się Kern:
- W takim razie mam nadzieję, że będzie mnie pan informował o wszystkim, czego się dowie. Chciałbym, by do listy podejrzanych włączył pan także Apolla.
- Trimble zacisnął usta i odwrócił wzrok, potem skinął jednak głową.
- Zgoda.
- Isabel nie mogła przeniknąć jego myśli. Na pewno udawał tylko, że spotka się z Apollem. Na pewno.
- Ze zdumieniem patrzyła, jak obaj mężczyźni podają sobie dłonie. Tuląc do siebie Milorda, zerwała się z sofy i podeszła do nich.
- Chwileczkę. Szukamy mordercy mojej matki, nie możecie mnie z tego wyłączyć. Chcę poznać tych mężczyzn. Chcę być przy tych rozmowach, słyszeć, co mają do powiedzenia.

- Kern położył dłoń na jej ramieniu.
- Przykro mi, ale to niemożliwe.
- Bzdura, to jest możliwe i nieuniknione. - Drżąc z wściekłości, odwróciła się do Trimble'a. Świadomość, że ten człowiek kochał się kiedyś z jej matką i znał tajemnice Aurory, paliła ją do żywego, a fakt, że porzucił swe jedyne dziecko, odbierał jej rozum. - Skąd mamy wiedzieć, że możemy panu zaufać? Jeśli naprawdę zależało panu na mojej matce, a tylko Bóg jeden wie, czy to prawda, to powinien pan zrozumieć, że nie chciałaby, by krył pan przede mną jakiekolwiek sekrety.
- Moja droga, nie możemy pani narażać. Proszę pomyśleć tylko o tym, co spotkało Aurorę. Ona pragnęłaby przede wszystkim pani bezpieczeństwa. - Trimble uśmiechnął się do Isabel, wyciągnął rękę i pogłaskał ją po policzku. - Tak bardzo panią kochała. Mówiła mi o tym, kiedy widzieliśmy się po raz ostatni. Powiedziała, że chce przeprowadzić się na wieś i wreszcie zamieszkać razem z panią.
- Jego delikatny dotyk ugasił płomień jej gniewu. Isabel poczuła się nagle zmęczona i zagubiona, zabrakło jej słów. *Tak bardzo panią kochała.*
- Zawsze wiedziała, że matka lubiła bawić się w mamę, kiedy jej to odpowiadało. Często deklarowała swą miłość, czyniła to z żarem i wylewnością właściwą wszystkim jej poczynaniom. W miarę jednak jak Isabel dorastała, coraz mocniej wątpiła w autentyczność tego uczucia.
- Tak bardzo panią kochała.*
- Targana sprzecznymi emocjami, skonfundowana, bez słowa sprzeciwu pozwoliła Kernowi wyprowadzić się na zewnątrz. Mocno tuliła do siebie Milorda, a psiak jakby wyczuwał jej smutek, gdyż delikatnie ocierał głową o jej policzek. Dopiero gdy wsiedli do powozu, Isabel odzyskała nieco werwy.
- Proszę zatrzymać się tutaj - powiedziała, wskazując na boczną uliczkę. - Poczekamy tu na Trimble'a i pojedziemy za nim.
- Kern spojrział na nią z ukosa.
- Obiecałem mu, że nie będę się wtrącał. Sam skontaktuje się ze mną i powie, czego się dowiedział. Na razie musimy zadowolić się tylko tym.

- Zadowolili się! Skąd pan wie, że możemy mu zaufać?
- Nie wiem. Ale nie mamy wyboru. Choćbyśmy nawet dręczyli go do rana, i tak nie wyjawiliby sekretów pani matki. To oczywiste.

Isabel odwróciła się i spojrzała na ceglany dom Trimble'a. Przecież on i tak nigdzie nie zamierzał wychodzić. Nie musiał szukać Apolla. Gdyby jednak naprawdę gdzieś się wybierał...

- Nie możemy tego tak zostawić. Nie możemy!
- Dlaczego reaguje pani tak gwałtownie? - Kern przyglądał się jej badawczo. - Chodzi o Apolla, prawda?
- Nie wiem, o czym pan mówi.
- Owszem, wie pani doskonale. Twierdzi pani, że nie szuka ojca, a mimo to chce pani śledzić Trimble'a. Co takiego wie pani o Apollu i dlaczego nie chce mi pani o tym powiedzieć?

Isabel przytuliła mocniej Milorda.

- Nic.

- Ciekawe - mruknął Kern, zerkając na nią spod oka. - Proszę bardzo, może pani nadal upierać się przy swoim, ale Trimble ma absolutną rację w jednym względzie: naraża się pani na wielkie niebezpieczeństwo. Nie możemy na to pozwolić.

Jego szorstki ton nie powinien był jej zaskoczyć. Dziesiątki równie ostrych odpowiedzi cisnęły się jej na usta, zrozumiała jednak, że nic nie wskóra. Nauczyła się już, że jeśli chodzi o kwestie honoru, mężczyźni potrafią być nadzwyczaj uparci. Podobnie jak Trimble, Kern nigdy nie zmieniłby zdania.

Co nie znaczyło wcale, że musi mu być posłuszna.

13

Powiesz jej teraz, papo? - spytała Helen. Jej błękitne oczy błyszczały jasno w blasku lampki. Siedziała obok Kerna. - Och, powiedz Isabel, co postanowiłaś.

Lord Hathaway poruszył się niespokojnie, jakby nagle skórzane siedzenie zaczęło go uwierać. Isabel wyczuwała w nim jakieś nieodgadnione napięcie, wiedziała, że chociaż patrzy na córkę, jego uwaga skupiona jest na niej.

- Nie - odparł mrukliwie. - To nie jest czas ani miejsce.

- Ależ to właśnie najlepsze miejsce - nalegała podekscytowana Helen. - A i pora jest doskonała, bo jesteśmy tu wszyscy razem, w jednym powozie. Do opery dojedziemy dopiero za kilka minut, mamy więc dość czasu. Poza tym moja kuzynka ma prawo wiedzieć o wszystkim, co dotyczy jej przyszłości.

Isabel była coraz bardziej zaintrygowana. Jakaż to decyzja mogła wprawiać lorda Hathaway w takie zakłopotanie? Siedział obok niej sztywno wyprostowany i nieruchomy mimo kołysania powozu. Mała lampka oświetlała jego surową twarz.

Kern spojrzał na Isabel, potem na Hathaway'a.

- Przyznam, że rozbudziliście moją ciekawość. Co to za decyzja?

Markiz zastanawiał się przez chwilę, wreszcie skinął głową.

- Otóż dowiedziałem się... to jest, Helen poinformowała mnie o pewnej smutnej plotce, która krążyła w towarzystwie podczas balu u Wilkinsów.

Isabel zmartwiała. Czyżby ktoś widział ją i Kerna złączonych w pocałunku? Czy ktoś przyglądał im się z ukrycia, gdy całowali się i pieścili jak para kochanków? Ogarnął ją nagle ogromny wstyd i przecucie nieuchronnej kary. Spojrzała na Kerna. Sądząc po jego posepnej minie, on także myślał o tamtej chwili słabości. Zawiedli zaufanie jego narzeczonej, okryli się hańbą. Jeśli jednak Helen naprawdę wiedziała o tym wszystkim, dlaczego była tak ożywiona?

- Po prostu nie mogłam uwierzyć, kiedy Gillie powiedziała mi o tych plotkach - oświadczyła Helen, pochylając się do Isabel. - Byłam wstrząśnięta ich podłością. Ktoś, kto zachowuje się w ten sposób, niegodny jest tytułu szlacheckiego. Gdyby nie to, że byłam wtedy chora, natychmiast położyłabym kres tym intrygom.

- Jakież to plotki słyszałaś? - spytała ostrożnie Isabel.

- Zdaje się, że wszyscy już wiedzą, jak wygląda pani status majątkowy, panno Darcy - odpowiedział markiz. - Pogłoski na ten temat bardzo szybko rozeszły się w Londynie, a rozsiewał je niejaki Charles Mobrey.

Mobrey i jego niewyparzony język! Isabel odetchnęła w duchu z ulgą.

- Ach, chodzi o to. Cóż, to nie ma większego znaczenia. Małostkowi ludzie mogą sobie szeptać po kątach, ale nie mogą zrobić mi krzywdy.

- Podziwiam twoją odwagę, kuzynko. - Helen uścisnęła jej dłoń. - Ale to nie jest tylko kwestia podłych plotek. Kobieta musi mieć jakiś posąg, jeśli chce wyjść za mąż. Dziś rano rozmawiałam o tym z papą.

- Oczywiście, zgadzam się w zupełności z moją córką. - Hathaway zerknął z ukosa na Isabel. - I przyznaję, że zaniedbałem tę sprawę. Helen przekonała mnie, bym zapewnił pani w posagu sumę pięciu tysięcy funtów.

- Pięciu tysięcy...? - powtórzyła osłupiała Isabel. Zdawało jej się, że śni. Gdyby nie to, że już siedziała, ugięłyby się pod nią nogi. Pięć tysięcy funtów! Oddawał jej tę bajeczną sumę, jakby był to grosz rzucony żebrakowi.

- Ale... dlaczego?

Hathaway nastroszył krzaczaste brwi i przyjrzał się jej uważnie.

- Wydaje mi się, że powód jest oczywisty. Dopóki mieszka pani pod moim dachem, jestem pani opiekunem. Nie pozwolę, by ktokolwiek z moich domowników stał się obiektem plotek.

To wyjaśnienie zdawało się całkiem rozsądne, Isabel wy-czuwała jednak, że kryje się za nim coś jeszcze, jakieś głębsze znaczenie.

- Jest pan bardzo hojny - mruknęła. - Ale chyba nie mówi pan poważnie. Nigdy nie mogłabym przyjąć od pana takiej sumy.

- Mogłaby pani. I zrobi pani to.

W oczach markiza krył się jakiś cień. Jego twarz pozostawała nieprzenikniona, jakby wyciosana z kamienia. Dlaczego chciał podarować jej te pieniądze? Pieniądze, za które mogłaby kupić wspaniały dom na wsi, przenieść tam swoje ciotki i zapewnić im utrzymanie do końca życia. Była to szalenie kusząca perspektywa. Oczywiście, by otrzymać posąg, musiałyby najpierw wyjść za mąż. A wtedy mąż przejąłby całą sumę. Musiałaby go przekonać, by oddał jej choć część na własne potrzeby...

Małżeństwo oznaczało także przedłużenie tej maskarady, ukrywanie jej ponurej przeszłości. Czy markiz naprawdę wierzył, że bez skrupułów usidli jakiegoś naiwnego dżentelmena? Zapewne tak właśnie było. Ta świadomość sprawiła jej ogromną przykrość, choć od początku wiedziała, że Hathaway nie ma o niej najlepszego zdania.

Nadal jednak nie mogła zrozumieć, dlaczego to robi, dlaczego w pewien sposób zachęca ją do pozostania w towarzystwie, gdzie jako jego domniemana krewna musiałyby wciąż spotykać się z nim i jego rodziną?

Zerknęła ukradkiem na Kerna, ciekawa, jak on przyjął tę wiadomość. Młody lord był zszokowany, spoglądał to na nią, to znów na markiza. Widziała w jego oczach narastający z każdą chwilą gniew.

Pięć tysięcy funtów.

Nagle doznała olśnienia, zrozumiała, co kryje się za tą zdumiewającą ofertą Hathawaya. Tak właśnie musiała wyglądać prawda, straszliwa i diaboliczna. Markiz chciał, by przestała interesować się lordem Raymondem.

Kupował jej milczenie.

V-/OŚ ty, do diabła, wymyślił? - rzucił z wściekłością Kern. - Dlaczego obiecałeś jej posag?

Stał wraz z Hathawayem w wąskim korytarzu na parterze gmachu opery. Czekali na Helen, która zniknęła w damskiej toalecie. Trwała właśnie przerwa w przedstawieniu, z dala dobiegały rozmowy publiczności zgromadzonej w foyer. Isabel oświadczyła, że boli ją głowa, i została w prywatnej łoży Hathawayów. Kern nie był pewien, czy może zostawić ją samą, przede wszystkim jednak chciał porozmawiać z markizem na osobności, postanowił więc zaryzykować.

- Czy mógłbyś mówić nieco ciszej? - poprosił go Hathaway chłodnym tonem. - Cały Londyn będzie wiedział, o czym rozmawiamy.

Opierając dłonie o ścianę, Kern mruknął:

- Więc odpowiedz mi cicho.

- Już to zrobiłem. Chcę, by ludzie przestali plotkować na jej temat, nawet jeśli będę musiał ją w tym celu przekupić.

Kern zadał pytanie, które dręczyło go przez całą pierwszą część spektaklu:

- Czy to Isabel wyciągnęła od ciebie te pieniądze? Zagroziła ci, że opublikuje wspomnienia?

- Dobry Boże, oczywiście, że nie. - Markiz pochylił się, by strzepać popiół ze swego cygara. - Nigdy nie prosiła mnie o pieniądze. Choć, oczywiście, zapłaciłem za jej garderobę. Nie mogłem pozwolić, żeby pokazywała się w towarzystwie w jakichś lachmanach.

Kern próbował ukryć przed samym sobą radość, jaką sprawiła mu ta odpowiedź.

- Ale pięć tysięcy? Nikt nie spodziewałby się, że przekażesz aż taką kwotę jakiejś dalekiej krewnej.

- Ludzie mogą uważać mnie za ekscentryka, jeśli sprawia im to przyjemność. -Hathaway wzruszył ramionami. -Toznacnie lepsze niż grzebanie w przeszłości Isabel. Takie plotki mogłyby skrzywdzić także Helen. Chyba zdajesz sobie z tego sprawę, Justinie.

Kern doskonale to rozumiał, nadal jednak nie mógł ochłonąć z gniewu.

- W ten sposób zachęcasz tę dziewczynę, by wyszła za jakiegoś arystokratę - rzekł ochrypłym głosem. - By oszukała jakiegoś biedaka.

- Może nie przyjąć oferty. A jeśli nie wyjdzie za mąż, nie dostanie pieniędzy.

- Doskonale wiesz, że to zrobi. Podejmujesz ogromne ryzyko. To bękart, dziecko kurtyzany.

Hathaway patrzył spokojnie na swego rozmówcę.

- Została wychowana przez guwernantkę. Potrafi zachować się w towarzystwie.

- A co będzie, jeśli ludzie odkryją, kim jest naprawdę?

- Nie odkryją. To bystra dziewczyna.

- Ach tak. Zaledwie wczoraj powiedziałeś, że kręci się po Londynie i oskarża niewinnych ludzi o morderstwo.

- Już nie będzie tego robić. Ty tego dopilnujesz.

Kern zazgrzytał zębami. Nic nie mogło odwieść markiza od jego nedorzecznej decyzji. Nie wyobrażał sobie, by Isabel wyszła za kogoś z fircyków, którzy kręcili się wokół niej - i by poszła z nim do łóżka.

Nie. Do diabła, mógł sobie to wyobrazić. Mógł sobie wyobrazić, jak rozkłada swe gładkie zgrabne nogi przed jakimś obślinionym głupcem, jak przez kolejne lata zadreca jego, Kerna, swym widokiem, jak obnosi się z dzieckiem poczętym przez kogoś innego, jak staje się coraz piękniejsza. Mógł sobie wyobrazić, jak razem z Helen przyjmuje ją u siebie w domu, jak musi znosić jej zmysłowy uśmiech i złośliwe docinki.

- Do diabła! -warknął. -Wiesz, kim ona jest i skąd pochodzi. Wcześniej czy później popełni jakiś błąd. Zhańbi ciebie i Helen, nas wszystkich.

- Tak czy inaczej ta sprawa jest już zamknięta.

Hathaway odwrócił się od niego, zaciągnął się jeszcze raz i zgasił cygaro w popielniczce. Kern wiedział, że markiz pali dość rzadko, a prawie nigdy publicznie. Miał wrażenie, że coś dręczy starego arystokratę, jakaś mroczna tajemnica, znacznie poważniejsza od sprawy pieniędzy ofiarowanych kobiecie, która podstępem wdarła się do jego domu.

Boże! Co zmusiło Hathaway'a do podjęcia tak desperackiego kroku?

Lord Raymond. Markiz zawsze bronił młodszego brata.

Ale to oznaczałoby, że przekupuje Isabel. Płaci jej, by trzymała język za zębami. Niemożliwe.

Kiedyś lord Raymond cieszył się niezbyt pochlebną opinią hulaki i rozpustnika, zadawał się z kobietami z niższych klas. Pewnego razu popełnił jednak błąd i uwiódł żonę bogatego kupca. Nieszczęsny mąż przyłapał go *in flagranti* i wyzwał na pojedynek, z którego lord Raymond ledwie wyszedł cało. Od tej pory prowadził przykładne życie pastora oddanego swej parafii.

A może jednak było inaczej? Może w jego przeszłości kryła się znacznie poważniejsza zbrodnia? Zbrodnia, którą Hathaway chciał za wszelką cenę zachować w tajemnicy.

Nie. Kern nie mógł myśleć źle o markizie, o człowieku, którego znał od wczesnego dzieciństwa, który był mu ojcem bardziej niż księżę Lynwood. Hathaway był najbardziej uczciwym i godnym szacunku człowiekiem, jakiego Kern kiedykolwiek poznał. Pomagał mu zawsze kroczyć ścieżką cnoty. Z pewnością nie próbowałby osłaniać mordercy.

Chyba że mordercą był jego brat...

Przerwał te rozmyślania, widząc nadchodzącą narzeczoną. Towarzyszył jej jakiś dżentelmen. Helen promieniała radością, wyglądała w białej powiewnej sukni jak anioł.

- Przepraszam, że kazałam wam czekać tak długo. Spójrzcie tylko, kogo spotkałam w foyer. Rozmawialiśmy właśnie o Isabel i ostatnich wieściach.

Charles Mobrey, bo on właśnie był tym dżentelmenem, uklonił im się z szacunkiem.

- Lordzie Hathaway, Kern, jakże się cieszę z tego spotkania. Mówiłem właśnie lady Helen, że powinniśmy bardziej pielęgnować naszą znajomość. Czy jest tutaj może panna Darcy?

Kern miał ochotę zetrzeć z jego twarzy przymilny uśmiešek.

- Nie dla ciebie - odrzekł krótko.

- Och... - Mobrey poruszał ustami jak ryba. - M...miałem nadzieję, że będę mógł się z nią zobaczyć. Ostatnio troszeczkę się posprzeczaaliśmy, chciałem ją przeprosić...

- Wystarczy - przerwał mu Hathaway lodowatym tonem. - Helen, musimy wracać na miejsce. Wkrótce zacznie się drugi akt.

- Ale... ale... - dukał Mobrey.

Helen wzięła pod jedną rękę ojca, pod drugą zaś Kerna. Nie poświęciwszy mu nawet jednego spojrzenia, zostawili ogłupiałego Mobreya na środku korytarza. Kiedy tylko oddalili się na bezpieczną odległość, Helen wyszeptwała:

- Wiedziałam, że mogę na was liczyć. Daliście mi porządną nauczkę. Jak ten zarozumialec mógł w ogóle przypuszczać, że nadal pozwolimy mu zalecać się do Isabel?

- Nie zbliży się do niej więcej - powiedział Kern. - Dopilnuję tego.

- Musimy jej poszukać jakiegoś dobrego męża - dorzuciła jego narzeczoną, kiedy wchodzili na schody. - Kogoś tak cudownego jak ty, Justinie.

Jej naiwny uśmiech wzbudził w nim poczucie winy. Zmieniłaby zdanie, gdyby się dowiedziała, co zaszło między nim i Isabel. Byłoby to dla niej bolesne, bardzo bolesne doświadczenie. I wszystko dlatego, że nie potrafił zapanować nad żądzami, że pragnął innej kobiety. Ta ponura tajemnica ciążyła na jego sumieniu.

- Mam nadzieję, że Isabel czuje się już lepiej - mówiła dalej Helen. - Miałabym okropne wyrzuty sumienia, gdyby się okazało, że zarażam ją tym paskudnym przeziębieniem. Musiałaby się położyć na kilka dni do łóżka, a to naprawdę nie jest przyjemne.

Kern pomyślał, że dla niego byłaby to wspaniała wiadomość. Przez te kilka dni porozumiałby się z Trimble'em i przy odrobinie szczęścia rozwiązał zagadkę. Przekonałby ją, by odrzuciła ofertę Hathaway'a, zapomniała o małżeństwie z arystokratą i powróciła do swego świata. Wtedy, być może, przestałaby wreszcie dręczyć go swoim widokiem i zatruwać jego myśli.

Otworzył drzwi do łoży Hathawayów.

- Jestem pewien, że Isabel czuje się już doskonale... - Słowa te zamarły mu na ustach, kiedy wszedł za Helen do wnętrza łoży. Nikt nie siedział w rzędzie czterech połączonych krzeseł, nikt nie stał przy balustradzie. Isabel zniknęła.

Isabel rozejrzała się szybko i otworzyła drzwi obok sceny.

Kilka minut wcześniej siedziała w przytulnej łoży Hathawayów i obserwowała uważnie widownię. W trakcie pierwszego aktu opery wypatrzyła w tłumie widzów mężczyznę, z którym chciała koniecznie porozmawiać. Wciąż była oszołomiona oświadczeniem Hathaway, udawanie bólu głowy przyszło jej więc bez trudu. Helen chciała z nią zostać, a Kern przyglądał jej się podejrzliwie, na szczęście jednak wszyscy postanowili w końcu wyjść na przerwę i pozostawić ją samą.

Właśnie wtedy zauważyła, że Terrence Dickenson opuszcza swe miejsce.

Zamiast jednak zmierzać do foyer, gdzie inni widzowie szukali chwili wytchnienia, skierował swe kroki ku scenie. Potem ukradkiem wymknął się przez małe drzwi w bocznej ścianie.

Te same drzwi, które otworzyła teraz Isabel.

W odróżnieniu od Kerna nie zamierzała czekać bezczynnie na raporty Trimble'a. Nie ufała temu człowiekowi. Postanowiła wykorzystać nieobecność swego towarzysza i przesłuchać raz jeszcze Dickensona. Wiedziała też, że być może kryje się za tym jeszcze jakiś inny powód. Chciała uciec, choćby na chwilę, przed pokusą nieprawdopodobnej oferty Hathaway.

Po chwili znalazła się na tyłach sceny. Dokoła kręcili się ludzie z obsługi teatru, powietrze przesycone było zapachem kosmetyków i dymu. Za grubą karmazynową kurtyną dwaj pomocnicy ustawiali nową scenografię; ich poczynaniami kierował łysy mężczyzna w znoszonym surducie. Kilku statystów zmieniało stroje za chybotliwym drewnianym parawanem. Śpiewaczka, ćwicząca przed występem, zafalszowała przeraźliwie, co wzbudziło ogromną wesołość wśród wszystkich obecnych.

Isabel przesuwiała się chyłkiem wzdłuż ściany, uważając, by nie potrącić żadnego z przedmiotów, które stały na jej drodze. Kilku ludzi spojrzęło w jej stronę, ona zaś starała się wtedy zachowywać całkiem normalnie, jakby nie była tu intruzem. Nie dojrzaawszy nigdzie w pobliżu Dickensona, weszła do korytarza z boku sceny.

W porównaniu z przepychem widowni i foyer to ceglane przejście wydawało się brudne i zaniedbane. Jedyne źródło

światła stanowiła tutaj mała latarenka zawieszona przy drugim końcu korytarza. Unosząc brzeg sukni ponad zaścieloną śmieciami podłogą, Isabel zaglądała do kolejnych pomieszczeń, maleńkich, niskich pokoików. W jednym z nich siedziała otyła kobieta, malująca usta przed lustrem. W innym krępy półnagi mężczyzna szukał czegoś w kufrze z kostiumami. Kolejna garderoba była pusta, choć paliła się w niej świeca.

Być może wcale go tutaj nie było. Może wszedł do jakiegoś innego korytarza. Być może, z jakichś nieznanych jej przyczyn, opuścił gmach opery tylnym wyjściem.

Drzwi ostatniego pokoju były zamknięte. Isabel stanęła z boku, zastanawiając się, czy zapukać. Jednak w tej samej chwili drzwi otworzyły się same, a jakaś kobieca ręka wypchnęła z nich wysokiego siwego mężczyznę. Śpiewnym głosem zawołała z obcym akcentem:

- Idź już, nie mam czasu, muszę przygotować się do drugiego aktu!

- Ależ ja cię potrzebuję, moja najdroższa, kochana Lucio.

- Idź sobie - powtórzyła kobieta i zamknęła za sobą drzwi.

Terrence Dickenson odwrócił się, przeczesując dłonią siwe włosy. Uśmiech zamarł mu na ustach, kiedy zobaczył Isabel.

- Ty! - warknął. - Co tutaj robisz, do diabła? Szukasz klienta?

- Bynajmniej - odparła Isabel. - Chciałam porozmawiać z panem na osobności.

- Ach, więc jednak miałem rację. Chcesz wyciągnąć ode mnie pieniądze.

- Chcę informacji. - Nie przeczyła, że zamierza go szantażować. Uznała, że lepiej będzie, jeśli uzna ją za zdolną do takiego czynu i potraktuje z należytym respektem. - Mam do pana kilka pytań.

Dickenson uśmiechnął się pogardliwie i ruszył w jej stronę. Isabel zamarła ze strachu, arystokrata jednak minął ją obojętnie i wszedł do pustej garderoby. Potem odwrócił się i przywołał ją do siebie.

- Proszę tu wejść. Nie będziemy rozmawiać przecież na korytarzu, jeszcze ktoś by nas usłyszał.

Isabel zawahała się. Właściwie nie miała powodów do strachu. Wystarczyło tylko podnieść krzyk, a tłum ludzi pospieszyłby jej

na pomoc. Być może nigdy już nie trafi jej się lepsza okazja, by wydobyć od tego człowieka wszystkie potrzebne jej informacje.

Powoli weszła do ciasnego pomieszczenia. Na spodku ustawionym na toalecie płonąła mała świeczka. Drżący blask wydobywał z cienia jakieś śmiecie, niedojedzony kawałek pasztetu, fiolki z kosmetykami, ubranie przerzucone przez oparcie starej sofy. Dojrzała kątem oka jakiś ruch, obróciła się na pięcie i zobaczyła, jak Dickenson zamyka drzwi pokoju.

- Proszę tego nie robić.

Jej głos musiał zabrzmieć bardzo stanowczo, arystokrata zamarł bowiem w bezruchu, z dłonią na klamce.

- Kim ty jesteś, by wydawać mi polecenia?

- Właścicielką dziennika Aurory Darling. - Na wszelki wypadek dodała: - Gdyby cokolwiek mi się stało, memuary i tak zostaną opublikowane. Radzę więc współpracować.

Prychając gniewnie, Dickenson podszedł do lustra i poprawił fular, odwracając głowę to w jedną, to w drugą stronę i podziwiając samego siebie.

- Gdzie jest dzisiaj twój strażnik? A raczej współspiskowiec.

- Ma pan na myśli lorda Kern? Jest z lordem Hathaway i lady Helen. Czekają na mnie w łóżu.

- Więc Kern przysłał cię tutaj, byś odwalila brudną robotę. - Dickenson odwrócił się do niej z chytrym uśmieszkiem na twarzy. - Może ten szubrawiec myśli, że oczarujesz mnie swoimi wdziękami i wyciągniesz ode mnie jakieś cenne informacje. - Pokiwał na nią palcem. - Śmiało, malutka, spróbuj.

Isabel nie ruszała się spod drzwi.

- Znał pan niektórych kochanków mojej matki. Chciałabym wiedzieć kogo.

- Ja? Dlaczego uważasz, że ja znałem kogoś z nich?

- Powiedział mi o tym sir John Trimble. Zdaje się, że próbował pan przekonać innych dżentelmenów, by wspólnymi siłami powstrzymali moją matkę przed publikacją wspomnień.

Dickenson wyraźnie pobladł. Przez chwilę bawił się w milczeniu szpilką z brylantem, wbity w fular.

- Trimble to kłamca. Zazdrościł nam wszystkim, bo mieliśmy

pieniądze na usługi Aurory. Nie podobało mu się to, że wykluczono go z klubu.

- Z jakiego klubu? White'a czy Boodle'a?

Dickenson zachichotał.

- To było nasze małe prywatne stowarzyszenie. Należeli do niego ci wszyscy, którzy kiedykolwiek mieli okazję zaznać rozkoszy z Aurorą. - Uśmiechnął się lubieżnie. - Ach, ona była naprawdę niezrównana. Królowa rozpusty.

Isabel miała ochotę wydrapać mu oczy. Choć matka zasłużyła sobie na tak poniżający tytuł, ona wolałaby nie słyszeć go z ust tego podłego człowieka.

- Chyba nie chce pan powiedzieć, że organizowaliście spotkanie? Oficjalne spotkania jej byłych i obecnych kochanków?

Dickenson wzruszył ramionami.

- Piliśmy razem brandy, wspominaliśmy dawne czasy, ale z pewnością nie płaciliśmy żadnych składek ani nie określaliśmy jakichś konkretnych reguł. Prócz tej jednej, oczywiście.

- Proszę podać mi ich nazwiska.

- Dlaczego miałbym to robić? To było tajne stowarzyszenie, bez udziału kobiet. - Dickenson wyszczerzył zęby w szelmowskim uśmiechu. - Chyba że chcesz kontynuować tradycje swojej matki. Co ty na to? Dałbym ci porządny dom ze służbą, jeździłabyś wspaniałym powozem.

Isabel poczuła nagłą gorycz. Jak jej śliczna, delikatna matka mogła się zadawać się z ludźmi pokroju Dickensona?

- Proszę podać mi ich nazwiska albo ja podam pańskie sądziemu z Bow Street. Na pewno z zainteresowaniem wysłucha opowieści o tym, jak namawiał pan innych dżentelmenów do zamordowania mojej matki.

- Myślisz, że sądzięgo obchodzi jakaś dziewczka? - Dickenson podniósł rękę. - Poza tym wcale nie zamierzaliśmy jej zabić. Uznałem tylko za mój obowiązek poinformować innych dżentelmenów o tym, że Aurora o nas pisze.

Isabel zacisnęła dłonie w pięści i powtórzyła:

- Proszę podać mi ich nazwiska.

Dickenson zmierzył ją pogardliwym spojrzeniem.

- Właściwie mogę to zrobić, i tak do niczego ci się to nie

przyda. Oprócz mnie i Lynwoda był tam jeszcze lord Raymond Jeffries, ale on zajął się religią i opuścił nasz klub. - Odliczał nazwiska na palcach. - Lovejoy zginął pod Waterloo. Bludnell od pięciu lat mieszka w Indiach. Kto jeszcze? Ach tak, Paine zastrzelił się w trzynastym, po tym jak przegrał cały majątek w karty.

Isabel wypuściła głośno powietrze. Matka wymieniła te trzy ostatnie nazwiska w swoim dzienniku wraz z pseudonimami, które im nadała: Mars, Herkules, Perseusz.

Po chwili wahania zadała mu kolejne dręczące ją pytanie:

- Pan był Narcyzem. Czy wie pan, jak moja matka nazywała Trimble'a?

- A skąd miałbym to wiedzieć? Kiedy byliśmy w łóżku, nie rozmawiała ze mną o innych mężczyznach.

- Czy znał pan człowieka, którego nazywała Apollo?

- Apollo? - Dickenson zastanawiał się przez moment. - Nie, nigdy o nim nie słyszałem.

Isabel stwierdziła z rozczarowaniem, że nie powiedział jej nic poza tym, co wiedziała już wcześniej.

- Więc poszedł pan do Lynwoda, Jeffriesa i Trimble'a. I powiedział im pan, że trzeba uciszyć moją matkę.

- To kłamstwo. Mówiłem ci już, że nie było żadnego spisku. To ty wkładasz te słowa w moje usta. - Przyjrzał jej się z zagadkowym wyrazem twarzy, a potem uśmiechnął lubieżnie. - Pomyślałem, że właściwie to ja mógłbym włożyć coś do twoich ust. Coś dużego i smakowitego.

Isabel przyglądała się z przerażeniem, jak Dickenson dotyka dłonią swego krocza, porusza nią w górę i w dół, a jego oczy zachodzą mgłą pożądania.

- Chodź tutaj, dziewczynko. Byłem dobrym chłopczykiem, odpowiedziałem na wszystkie te głupie pytania. Nie uważasz, że zasłużyłem na nagrodę?

Isabel ogarnął ogromny gniew. Ten lubieżnik uważał się za dżentelmena, wykorzystywał jej matkę, by potem knuć przeciw niej spisek.

- Jeśli chce pan nagrody, to musi pan przyjść do mnie - powiedziała.

Dickenson odczekał jej polecenie, rozpinając po drodze guziki spodni.

- Aurora uczyła cię tego? Powiedziała ci, co lubię najbardziej?

- Mam swoje własne metody.

Uśmiechając się tajemniczo, Isabel pozwoliła mu zbliżyć się do siebie na wyciągnięcie ręki. Ukrywając pięść w spódnicy, odsunęła ramię do tyłu, biorąc porządny zamach, i zrobiła to, co zawsze doradzały jej ciotki na wypadek, gdyby atakował ją jakiś mężczyzna. Uderzyła go w krocze.

Wrzask Dickensona poderwałby z grobu umarłych. Trzymając się oburącz dłońmi za obolałe miejsce, zrobił kilka kroków do tyłu i upadł na stertę śmieci w korytarzu. Leżał tam zwinięty w kłębek, pojękując cicho.

Z sąsiednich pomieszczeń wybiegali na korytarz zdumieni aktorzy. Od strony sceny nadbiegali robotnicy. Kobieta, która przed chwilą wyrzuciła Dickensona ze swej garderoby, teraz pochylała się nad nim z troską.

- *Cuore mio!* Co się stało?

Isabel zatrzasnęła drzwi, odgradzając się od tego zamieszania. Oparta o ścianę, oddychała ciężko, drżąc i przerażona. Dickenson naprawdę miał teraz powody, by jej nienawidzić.

Niech Bóg ma ją w swojej opiece, jeśli to on był mordercą.

Kern omiół spojrzeniem foyer, przyglądał się przez chwilę widowni. Wkrótce miał się rozpocząć drugi akt, orkiestra stroiła już instrumenty. Nadal jednak nie mógł odnaleźć Isabel. Nie ośmieliłaby się chyba wyjść z budynku opery.

Ani przez chwilę nie wierzył w tę bajeczkę o bólu głowy. Wiedział, że był to tylko pretekst i że Isabel wymknęła się z łoża, by prowadzić śledztwo na własną rękę. Mogła choć tego dnia zachowywać się normalnie i okazać Hathawayowi wdzięczność za jego hojną ofertę.

Zrozumiawszy, że nie znajdzie jej na widowni, wszedł za kurtynę. Nowa scenografia przedstawiała księżycową noc; wielkie płachty zamalowanego materiału podtrzymywane były przez skomplikowany system lin i bloków. Kern zastanawiał się, dlaczego dokoła jest całkiem pusto. Obsługa powinna być przecież przygotowana do rozpoczęcia drugiego aktu, aktorzy gotowi do wejścia na scenę.

Gwar podnieconych głosów zwrócił jego uwagę na tyły sceny. W wejściu do wąskiego korytarza tłoczyli się aktorzy i pomocnicy, niektórzy z nich stawali na palcach, by dojrzeć coś, co działo się w głębi korytarza. Kilka kobiet śmiało się ukradkiem.

Do stu diabłów! Był przekonany, że pośrodku całego zamieszania odnajdzie Isabel.

Zaczął przepychać się przez tłum gapiów. Uderzył go smród niemytych ciał zmieszany z zapachem perfum.

- Wracajcie do pracy! - rozkazał. - Powimiście już zaczynać drugi akt.

Pomrukując gniewnie, pracownicy obsługi i aktorzy z ociąganiem wykonali jego polecenie i ruszyli w stronę sceny. Kern mógł wreszcie przejść przez korytarz. Po kilku krokach stanął jak wryty, ujrawszy przed sobą znajomą twarz.

Zrozumiał, dlaczego Isabel zniknęła.

Włoska śpiewaczka, która występowała w pierwszym akcie opery, tuliła w objęciach pojękującego Terrence'a Dickensona. Ten trzymał się za krocze, choć nie wyglądał na poważnie rannego. Mimo tak oplakanego stanu nie omieszkał wykorzystać współczucia śpiewaczki i wtulał twarz w jej obfity biust.

Kern ^pochwyił Dickensona za klapy surduta i rzucił go na ścianę. Śpiewaczka wrzasnęła przeraźliwie, a potem zasypała go gradem włoskich przekleństw. Kern nie zwracał na nią uwagi.

- Gdzie ona jest?

- Ona? Kto?

Kern zacisnął dłonie na szyi rozpustnika.

- Nie udawaj idioty. Wiesz, o kim mówię. Dickenson wybałuszył oczy, ciężko chwyając powietrze.

- Jest... tam. - Wskazał głową na zamknięte drzwi.

Kern wypuścił siwego arystokratę, ten zaś osunął się na podłogę jak szmaciana lalka. Śpiewaczka postanowiła nagle zmienić front, podeszła do Kerna i zaczęła ocierać się o niego jak kotka w rui.

- *Gioia mia*. Pan jest taki duży i silny. Lucia chciałaby wiedzieć, jak się pan nazywa.

- Potrzebują pani na scenie - odparł Kern, odpychając ją od siebie. Rozwścieczona kobieta znów obrzuciła go inwektywami. Młody lord zignorował ją, poderwał Dickensona z podłogi i go

popchnął. - Radzę ci wracać do domu. Zanim zmienię zdanie i przefasonuję ci twarz.

Chowając głowę w ramionach, Dickenson oddalił się pośpiesznie śladem śpiewaczki.

Kern zapukał do drzwi. Próbował je otworzyć, coś jednak blokowało je od wewnątrz. Strach ścisnął mu serce. Czyżby została ranna? Czy padła bez przytomności pod drzwiami?

- Isabel. Jesteś tam? Odpowiedz mi.

Przez jedną straszliwą chwilę słyszał tylko muzykę dochodzącą ze sceny. Poza tym dokoła panowała idealna cisza. Cmentarna cisza. Gotów był już wyważyć drzwi i wtargnąć do garderoby przemocą, kiedy ktoś nacisnął klamkę od środka.

Kern natychmiast wpadł do zagraconego pomieszczenia oświetlonego jedynie nikłym płomykiem świecy. Isabel kryła się w cieniu za drzwiami. Pochwyił ją za ramiona.

- Nic ci nie jest? - spytał gwałtownie.

- O... oczywiście, że nic mi nie jest- odparła drżącym głosem. - Czuję się doskonale.

Kern doznał tak ogromnej ulgi, że zapomniał o strachu i gniewie. Czuł tylko ciepłą, delikatną skórę Isabel, jej bliskość. Powoli przesunął dłońmi po jej kształtnej talii, krągłych pośladkach, kobiecych biodrach i piersiach. Jej włosy pachniały różami, delikatnie łaskotały go w policzek. Wyobrażał sobie, jak te kasztanowe loki leżą rozrzucone na poduszce, płomyk świecy odbija się w lśniącej skórze Isabel, a on pochyla się nad jej nagością, całuje ją, dotyka, smakuje...

Przyciągnął ją do siebie, przywarł do jej ust, spragniony słodocy. Isabel bez wahania oddała pocałunek, tchnęła w niego żar, o którym marzył po nocach. Nie wyobrażał sobie, by mogła należeć do jakiegoś innego mężczyzny, by całowała kogokolwiek innego równie namiętnie, choć bez wątplenia musiała już to robić. Jej usta były wilgotne i kuszące, przyciągały go do siebie z nieodpartą siłą. Wiedział, że nie powinien być z nią tutaj. Choć głos rozumu nieustannie mu to powtarzał, nie wypuszczał jej z objęć, nie chciał rozstać się z nią ani na moment.

- Och, Kern- wyszeptwała, całując delikatnie jego szyję. - Tak się cieszę, że przyszedłeś tu po mnie.

Nie mógł już dłużej panować nad sobą. Pożądanie trawiło go jak gorączka, paliło żywym płomieniem. Chciał wreszcie położyć kres tej udreće. Chciał się z nią kochać. Tutaj. Teraz. W tej mrocznej garderobie. Podczas gdy obok setki szacownych arystokratów przysłuchiwały się operze.

Ta myśl kryła w sobie ogromną pokusę; wiedział, że jeśli natychmiast nad sobą nie zapanuje, dojdzie do katastrofy. Zbierając wszystkie siły, odsunął Isabel od siebie i trzymał ją na odległość ramion. Powoli wracał do niego gniew, przytłumiony chwilowo silniejszym uczuciem.

- Co ty robisz, do diabła?! Czy pierwsze spotkanie z Dickensonem niczego cię nie nauczyło?

Isabel uniosła dumnie głowę, Płomyk świecy odbijał się w jej brązowych oczach.

- Nic mi nie groziło. Chyba zauważył pan, że wszędzie dokoła byli ludzie? Poza tym może mi pan pogratulować celnego ciosu.

Kern zrozumiał nagle, dlaczego Dickenson trzymał się za krocze. Wściekłość i przerażenie przyćmiły podziw dla odwagi Isabel. Przesunął dłońmi po jej drobnych ramionach, by się upewnić, że nic jej nie jest.

- Powiedz mi, co ten syn szatana chciał ci zrobić.

Isabel zadrżała, a potem odwróciła wzrok.

- Nie zrobił nic, z czym nie mogłabym sobie sama poradzić. Choć czułabym się bezpieczniej, gdyby oddał mi pan mój sztylet.

- Nie powinna pani prowokować sytuacji, w których potrzebowałaby pani broni - odrzekł Kern przez zaciśnięte zęby. - A teraz proszę mi odpowiedzieć. Czy zmusił panią do czegoś?

- Złożył mi nieprzyzwoitą propozycję. - Isabel stała sztywno wyprostowana, jakby chciała ukryć pod maską dumy ból i upokorzenie. - Jedną z tych propozycji, jakie dżentelmeni zwykli składać kobietom z mojej warstwy społecznej - dodała z nutką gorczy w głosie.

Kerna ogarnęła niepohamowana furia. Żółć podeszła mu do gardła. Pragnął krwi, krwi Dickensona.

Wypuścił dziewczynę i ruszył do drzwi. W jego umyśle kłębiły się obrazy przemocy. Nauczy tego łajdaka szacunku. Wyśle go do piekła...

Nim jednak dosięgnął klamki, stanęła przed nim Isabel, oparta plecami o drzwi.

- Dokąd pan idzie?

- Odnaleźć Dickensona.

- Co pan chce zrobić?

- Dać mu wybór, pistolety albo szpady.

Isabel stłumiła okrzyk przerażenia.

- Nie wolno panu tego robić. Nie może pan wyzwąć go na pojedynek.

- Owszem, mogę. Chętnie udusiłbym go gołymi rękami. - Jego palce zamknęły się na szyi niewidzialnego przeciwnika. Oczyma wyobraźni widział poczerwieniałą twarz Dickensona, słyszał, jak błaga go o litość...

Zimne dłonie Isabel ujęły jego rozpaloną twarz.

- Nie! Nie ma mowy. On mnie nawet nie dotknął.

- Obraził panią, to wystarczy.

- Nie może pan zabić człowieka za to, że obraził mnie. Proszę tylko pomyśleć, jaki to wywołałoby skandal, co powiedziałyby biedna Helen. Ona nie może wiedzieć, co do siebie czujemy. Nigdy, przenigdy nie może się o tym dowiedzieć.

Helen. Serce oszalałe z gniewu zwolniło tempo. Mgła wściekłości otulająca umysł Kerna zaczęła się rozwiewać. Nagle uświadomił sobie, na jakie szaleństwo chciał się porwać.

Omal nie utracił narzeczonej. Omal nie zdradził tej słodkiej istoty, która już od roku planowała ich ślub.

Omal nie zabił człowieka w obronie honoru ulicznicy.

Isabel przyglądała mu się z troską. Nawet z rozburzoną fryzurą i ustami poczerwieniałymi od pocałunku wyglądała jak prawdziwa dama. Nie, nie mógł nazywać jej ulicznicą. Była przecież nie tylko bękartem kurtyzany, ale i córką dżentelmena.

Zamknął oczy i oparł się o ścianę. Kusiła go nawet teraz. Nawet teraz pragnął trzymać ją w ramionach, rozkoszować się jej zapachem. Była odpowiedzią na ciemne potrzeby ukryte gdzieś głęboko w jego wnętrzu, potrzeby, których nie chciał nawet analizować. Z przerażeniem uświadomił sobie, że przed chwilą pragnął jej tak bardzo, iż gotów był porzucić Helen.

Ona nie może wiedzieć, co do siebie czujemy.

Co takiego czuł do Isabel? Pożądał jej, tego był pewien. Jednak emocje, które w nim wyzwalala, sięgały głębiej, znacznie głębiej. Wiedział, że jeśli spróbuje do nich dotrzeć, może zatracić się na zawsze.

Drogi Czytelniku!

Wyobrażasz sobie zapewne, że życie kurtyzany to nieprzerwane pasmo przyjemności. To prawda, że często oddajemy się rozkoszom ciała. Jednak gdy nasi mężczyźni już nas opuszczą i powrócą do swych domów, musimy borykać się ze zwykłymi codziennymi problemami jak wszyscy ludzie.

Wkrótce po tym, jak opuścił mnie Apollo, w moim domu zamieszkała Minerwa. Do tej pory żyłam samotnie, utrzymując się ze środków, które zostawił mi Apollo. Przez dłuższy czas byłam zadowolona z takiego obrotu sprawy, potem jednak zaczęła dokuczać mi samotność.

Poprzez ogłoszenie znalazłam sobie towarzyszkę. Gdy ta odkryła, jaka jest moja prawdziwa profesja, postanowiła wstąpić na tą samą ścieżkę i przybrała imię Minerwa albo Minnie, jak nazywamy ją zdrobniale. Minnie okazała się bardzo pomocna przy narodzinach mojej ukochanej córeczki. Kochała ją równie mocno jak ja, z dumą zabierała ją na spacer do parku, cieszyła się jej pierwszym uśmiechem. I była także równie przygnębiona jak ja, kiedy umieściliśmy ją z dala od domu, w Oxfordshire.

Przez następne lata przyłączały się do nas kolejne damy; Diana, która uciekła od okrutnego męża; Callandra, która sprzedawała swe ciało za bochenek chleba, by wykarmić swe osierocone dzieci; Persefona, która została uwiedziona przez lokaja, a potem wyrzucona z domu przez ojca. Znalazłam ogromne pocieszenie w ich przyjaźni. Jesteśmy boginiami. I jesteśmy jedną rodziną...

„Prawdziwe wyznania kurtyzany”

14

Ugień pożądania ogarniał jej ciało. Bezwstydne pragnienie przenikało ją do głębi, przyćmiewało wszelkie inne myśli. Zsunęła z siebie ubranie, a jego wielkie dłonie dotykały jej nagich piersi, przesuwały się niżej, by pieścić wilgotne miejsce między jej nogami. Wreszcie mogła mu się oddać. Ta radosna świadomość unosiła ją coraz wyżej i wyżej. Czuła, jak całuje jej ucho, policzek...

Ktoś lizał japo twarzy. Isabel otworzyła oczy i spojrzała na zalany porannym słońcem pokój. Leżała w sypialni w domu Hathawayów. Ktoś jednak nadal z entuzjazmem lizał jej twarz. Nie ktoś, a Milord.

Szczeniak tulił się do niej, trącał zimnym nosem i lizał po policzku. Isabel roześmiała się radośnie, podniosła do pozycji siedzącej i przygarnęła psiaka do siebie. Ten zamerdał ogonem, nie przestając zasypywać jej twarzy i szyi wilgotnymi pocałunkami.

- Natychmiast przestań, słyszysz? - Położyła go sobie na kolanach i głaskała, aż zwierzę trochę się uspokoiło. - Niemądry piesek. Zepsuleś mi cudowny sen.

To naprawdę był cudowny sen. Niemal ekstatyczny. Nadal czuła podniecenie, nieugaszony żar pożądania. Od wczorajszego wieczoru w operze, kiedy Kern ją pocałował... nie, odkąd tylko go poznała, cierpiała niekończące się katusze. Nie mogła już dłużej zaprzeczać, że pragnie jego duszy i ciała. Pragnęła tego, czego zawsze chciała uniknąć - arystokratycznego kochanka.

Pragnęła mężczyzny, który mógł zrujnować jej życie.

Oddając się Kernowi, wstąpiłaby na tę samą niemoralną ścieżkę, którą wybrała jej matka. Co gorsza, musiałaby wtedy zakończyć śledztwo, zaprzepaściłaby wszelkie szanse na odnalezienie mordercy matki. Nie mogłaby przecież zostać dłużej w tym domu, spojrzeć w oczy Helen, która była dla niej tak dobra i która traktowała ją jak rodzoną siostrę.

Isabel przytuliła do siebie psiaka, czerpiąc otuchę z ciepła jego ciała. Przyzwyczaiła się już do spokojnej elegancji tego domu. Z przyjemnością patrzyła na wystrój pokoju, jasnoniebieskie jedwabne zasłony, łóżko z baldachimem, solidne mahoniowe meble. Wieczorami, kiedy wszyscy przygotowywali się już do snu, lubiła siedzieć w fotelu przy kominku i czytać. Rankami zaś leżała w łóżku i snuła marzenia o tym, jak cudownie byłoby zostać wielką damą, cieszyć się szacunkiem towarzystwa, na zawsze znaleźć miejsce w tym świecie.

Ta myśl kusila ją niczym drogocenny klejnot. Mogła zrealizować swoje marzenia. Mogła przyjąć posag Hathawaya. Choć według standardów wielu członków śmietanki towarzyskiej nie była to oszałamiająca suma, zapewniłaby jej bezpieczną przyszłość i przyzwoitego męża.

Ostatnio jednak te fantastyczne wizje przybrały niepokojąco konkretny kształt. Kiedy wyobrażała sobie, że dzieli z kimś łóżko, widziała obok siebie Kerna. Zawsze tylko jego.

Nawet gdyby był wolny, i tak nigdy by się z nią nie ożenił. Znał jej przeszłość. Wiedział, że dostała się do tego domu podstępem. Wiedział, że nie jest damą. Dla niego zawsze pozostanie córką prostytutki.

Lecz wtedy, w ciemnej garderobie, całował ją jak kochanek, który pragnie tylko tej jednej wybranki. Gotów był wyzwąć Dickensona na pojedynkę. Dopóki nie przypomniał sobie, kim Isabel jest.

Przytuliła policzek do łba Milorda. Jedna tylko myśl rozświetlała mrok zalegający w jej sercu. Kern jej pragnął. Choć oboje wiedzieli, że potajemny romans nie wchodzi w grę, pragnął jej.

Wiedziała też oczywiście, że nie przyjmie oferty Hathawaya. Nie mogła tego zrobić. Nawet jeśli zaproponował jej to z własnej woli, nie powinna przyjąć takiej sumy od niego ani od żadnego innego arystokraty.

Podrapała Milorda za uchem, postawiła go na podłodze i odrzuciła koldrę. Nie wolno jej było oddawać się takim marzeniom, chcieć tego, czego mieć nie mogła. Choć kusila ją perspektywa życia w lepszym świecie, wołała powrócić do swojego. Tam, gdzie było jej miejsce.

By przypomnieć sobie, dlaczego musi obrać właśnie taką drogę, sięgnęła pod poduszkę i wyciągnęła stamtąd małą książeczkę z mosiężną zapinką, dziennik matki. Musiała znaleźć mordercę i oddać go w ręce sprawiedliwości.

Przeszła do garderoby, umyła się, zrzuciła z siebie nocną koszulę i włożyła halkę. Wcześniej ukryła w sekretnej kieszeni książeczkę i zamocowała ją starannie specjalnymi tasiemkami. Potem podeszła do szafy, by wybrać odpowiednią suknię i gorset.

Wciąż nie mogła przestać myśleć o przyszłości. Choć wiedziała, że to niemożliwe, pragnęła kochającego męża i szacunku należnego damie. Nie potrzebowała pałacu, jedynie wygodnego domu na wsi, gdzie mogłaby żyć spokojnie ze swoją rodziną. Zamknęła oczy i przycisnęła suknię do piersi. Znowu wracała do tego samego marzenia, widziała swoje dzieci bawiące się na trawniku pod opieką ojca... a kiedy biegła, by się do nich przyłączyć, uśmiechniętym mężczyzną, który witał ją pocałunkiem, był Kern.

Czy to gorące uczucie, które dla niego żywiła, było miłością? Zadrżała na tę myśl, uradowana i przerażona jednocześnie. Jak mogła zakochać się w mężczyźnie, który wyrządził jej tyle krzywd?

Drzwi sypialni otworzyły się z trzaskiem. Milord zaczął szczekać jak opętany. Isabel wychyliła się z garderoby i ujrzała Callie. Choć odziana w skromną czarną sukienkę i śnieżnobiały czepek, wcale nie wyglądała na bogobojną pomoc domową. Jej obfite piersi rozpięły cienką tkaninę sukni, spod czepka wymykały się blond loki. Zawsze chodziła rozkołysanym, kuszącym krokiem, który przyprawiał męską część służby Hathawaya o szybsze bicie serca. Isabel miała nadzieję, że Callie dotrzymała danego jej słowa i nie przespała się z żadnym ze służących.

- Więc wstałaś już. - Dawna przyjaciółka matki Isabel podeszła do okna i rozsunęła zasłony. - To dobrze. Dzisiaj nie ma czasu na wylegiwanie się w łóżku.

Dziewczyna podniosła głowę, zaniepokojona jej nagłym tonem.

- Co się stało? Helen chce wyjechać na zakupy? Nie wspominała o tym wczoraj.

- Nie, nic podobnego. Chodzi o kłopoty w domu. Poważne kłopoty.

Sukienka wysunęła się z dłoni Isabel.

- Ciocia Persy? Czy ona...?

- Nie, Persy czuje się całkiem dobrze. Tym razem to Min-nie.

- Callie sięgnęła do kieszeni fartucha, wyjęła stamtąd kartkę papieru złożoną na czworo i podała ją Isabel. - Rzuć na to okiem. Ja nie czytam najlepiej, więc może nie zrozumiałam wszystkiego. Isabel rozłożyła list drżącymi palcami. Od razu rozpoznała staranne pismo cioci Di. Wiadomość była krótka i przejmująca. Ciocia Minnie została w nocy zaatakowana przez włamywacza.

JVern stał przed łóżkiem, wpatrzony w swego ojca.

Książę Lynwood poruszał się niespokojnie przez sen. Leżał na boku, zwinięty w kłębek jak dziecko. W blasku świecy, ustawionej na nocnym stoliku, wyglądał starzej niż zazwyczaj, jego zapadnięte policzki były chorobliwie żółte, twarz pokrywała gęsta sieć zmarszczek. Wydawał się zadziwiająco bezbronny - stary schorowany człowiek, pozbawiony sił i energii.

Choć na niebie świecił jasno księżyc, jego blask nie przenikał do wnętrza pokoju przez okna zakryte ciężkimi zasłonami. W powietrzu unosiła się słodkawa woń laudanum. Poprzedniego wieczoru, kiedy Kern był w operze, jego ojciec przeszedł kolejny nawrót choroby. Lekarze twierdzili, że powinien wrócić do formy, jeśli przez kilka dni nie będzie wychodził z łóżka.

Lynwood zadrzał nagle i jęknął przez sen, dręczony nocnymi marami.

Walcząc ze współczuciem, Kern oparł dłonie na poręczach łóżka. Nie powinien martwić się stanem zdrowia tego degenerata i myśleć wciąż o tym, jak ulżyć jego cierpieniu. Książę zasłużył

sobie na miejsce w piekle. Był dla Kerna ucieleśnieniem wszystkich powodów, dla których chciał zapomnieć o Isabel Darling.

Żar pożądania ogarnął jego łedźwia. Na samą myśl o tej kobiecie tracił panowanie nad sobą. Stała się jego obsesją, nie potrafił zapomnieć o niej nawet na kilka minut. Gdy tylko kierował umysł ku bardziej odległym sprawom, zawsze wcześniej czy później jakaś kręta ścieżka rozumowania prowadziła go z powrotem do niej. Do jej kształtnej figury i roześmianych oczu, do delikatnych ust, które tak bardzo chciał całować.

Wczoraj był gotów zabić dla niej człowieka. Wmawiał sobie, że ten idiotyczny impuls nie miał nic wspólnego z obroną jej honoru. Wzdrygał się raczej przed myślą, że jakkolwiek inny mężczyzna jej dotyka. Nawet jeśli on sam nie mógłby - nie powinien - posiadać jej kuszącego ciała.

Winien był wierność Helen. Ona była jego wybranką, przyszłą żoną, cnotliwą kobietą, która miała dzielić z nim życie. To właśnie ze względu na nią poprzysiął sobie, że nie będzie podobny do innych mężczyzn, nie będzie szukał przyjemności na prawo i lewo. Złożył tę przysięgę po pewnym przerażającym incydencie, który miał miejsce przed czternastu laty.

Zaciskając zęby, bronił się przed mrocznymi wspomnieniami, starał się odsunąć od siebie ciemne obrazy. Przeszłość nie miała już dla Kerna znaczenia, powinien traktować ją tylko jako nauczyciela, który kształtował jego charakter i uczynił zeń człowieka honoru.

Nie będzie zachowywał się jak ojciec. Nie będzie!

Obrócił się na pięcie i wyszedł z sypialni. Skinieniem głowy dał znak służącemu, że może wrócić na posterunek przy łóżku chorego. Odnowione postanowienie dodawało mu sił, kiedy zszedł do powozu i ruszył w stronę domu Hathawayów. Tego ranka odbył kolejną bezproduktywną rozmowę z wielebnym lordem Raymondem. Kern musiał poinformować Isabel, że pastor nadal nie przyznaje się do jakiegokolwiek związku z morderstwem.

Poza tym obiecał Hathawayowi, że będzie miał dziewczynę na oku. Choćby z tej przyczyny musiał przewyciężyć swoją słabość, nie pozwolić, by kierowały nim zwierzęce żądze. Na początek przypomni sobie wszystkie powody, dla których Helen

była dla niego lepszą partnerką niż piękna oszustka z niższych sfer.

I zrobi to już teraz, natychmiast.

Kiedy dotarł do rezydencji przy Grosvenor Square, musiał poczekać chwilę w salonie, aż służący oznajmi jego przybycie w pokojach na piętrze. Kern był niespokojny, przechadzał się nerwowo po salonie, jakby nie mógł znaleźć ujęcia dla rozpierającej go energii. Zamierzał zamienić z Isabel kilka słów dotyczących śledztwa, a potem zająć się narzeczoną.

Kiedy jednak po kilku minutach w drzwiach salonu pojawiła się Helen, towarzyszył jej tylko Milord. Kern był pewien, że Isabel zaraz do nich dołączy - nie wyszłaby przecież nigdzie bez swego ukochanego kundla.

Helen wzięła szczeniaka na ręce. Patrząc na jej niewinną, pogodną twarz, Kern zawstydził się nagle, że tak bardzo ją ostatnio zaniedbywał.

- Justinie! Rozminąłeś się z papą, przed chwilą wyjechał do parlamentu. Niewiele brakowało, a nie zastałbyś także i mnie. Jadę na zakupy. Zechcesz dotrzymać mi towarzystwa?

Kern ucałował jej drobną wypielegnowaną dłoń.

- Niestety, nie mam dzisiaj czasu.

- Chodzi o twojego ojca, prawda? - Helen spojrzała nań ze współczuciem i dotknęła jego ramienia. - Papa powiedział mi, że księżę miał kolejny atak. Tak mi przykro.

- Teraz odpoczywa. Nikt z nas nie może mu pomóc.

- Nasz ślub ma się odbyć za miesiąc z okładem. Myślisz, że powinniśmy go przelożyć?

Ten pomysł wydał się Kernowi szalenie kuszący, natychmiast jednak odsunął od siebie niedorzeczne myśli. Podprowadził Helen do sofy i usiadł obok niej.

- Oczywiście, że nie powinniśmy tego robić. Księżę wróci do zdrowia w przeciągu dwóch tygodni. Doktor Sadler ręczy za to.

- Och, tak się cieszę. - Nachyliła się do niego, jakby chciała mu zdradzić tajemnicę. - Nie chciałabym, by jakieś przykre niespodzianki zakłóciły nasz ślub. Och, to będzie coś cudownego. Pozwól, że przedstawię ci menu, jakie przewidziałam na weselne śniadanie.

Helen zaczęła z zapałem opowiadać o sałatkach z homarów, malinach w cukrze i sorbetach. Kern słuchał jej jednym uchem, wtrącając od czasu do czasu jakieś uwagi, przez cały czas jednak przyglądał się jej uważnie, patrzył na nią tak, jakby ujrzał ją po raz pierwszy. Miała drobną, ładną twarzyczkę otoczoną wiankiem jasnych włosów - klasyczna angielska piękność. Roziskrzzone niebieskie oczy i roześmiane usta dodawały jej dziewczęcego uroku. Postrzegła świat jako rajski ogród, skąpany w słońcu, wiecznie kwitnący. Nigdy nie miała okazji dowiedzieć się, jak wygląda ciemna strona życia, nie podejrzewała nawet, jakie okropieństwa dotyczą jej bliźnich. Treścią jej żywota były drobnostki - przyjęcia, zakupy, spotkania towarzyskie.

Dzieliła ich różnica dziesięciu lat, Kern jednak czuł się znacznie starszy. Czy tak będzie wyglądało jego życie z tą kobietą, nie kończące się pogaduszki o menu, modzie i plotkach, trywialne sprawy, nawet nie dotyczące istotnych kwestii, ślizgające się po powierzchni życia? Taka perspektywa napełniała go smutkiem. Starając się uciec przed podobnymi myślami, przypominał sobie, że Helen jest cnotliwa, lojalna i skromna, że ma wszystkie cechy idealnej żony. Miała też dobre serce - przekonała przecież ojca, by obdarzył Isabel posagiem.

Isabel. Kern poczuł nagle przyływ energii, a jednocześnie ogromną tęsknotę. Gdzie ona się podziewała, do diabła?! Może wciąż stroiła się przed wyjściem na zakupy. Oby.

Jeśli ośmieliła się samotnie wyruszyć do miasta, by przesłuchać kolejnego podejrzanego, będzie musiał ją odnaleźć. Jeżeli znów lekkomyślnie naraziła się na niebezpieczeństwo, położy kres jej wyprawom raz na zawsze, zamykając ją w domu. I będzie sobie wtedy mogła mówić, ile tylko zechce, o tym, że on nie ma nad nią żadnej władzy.

Kiedy Helen przeszła do długiego opisu kłopotów, jakich przysporzył jej wybór idealnego tortu weselnego, Kern stracił już cierpliwość.

- Czy Isabel jedzie z tobą na zakupy?

- Och, nie. Nie ma jej tutaj.

Zamarł w bezruchu.

- Nie ma jej?

- Dziś rano wyszła w pośpiechu, żeby odwiedzić jakąś znajomą matki, która nagle się rozchorowała. Chciałam jej towarzyszyć albo przynajmniej wysłać Gillie, ale ona uparła się, że pojedzie tylko ze swoją służącą. - Helen podrapała szczeniaka za uchem, marszcząc czoło w zamyśleniu. - Powiedziała, że może nie wrócić na noc. Czy to nie dziwne? Nie wiedziałam, że ma w Londynie aż tak bliskich znajomych.

Kern zacisnął zęby. Jego wcale nie dziwiło to nagłe zniknięcie. Prawdę mówiąc, wiedział doskonale, gdzie może znaleźć Isabel Darling.

I rzymając w jednej ręce tacę z herbatą, Isabel otworzyła drugą ręką drzwi do sypialni. Weszła do ciemnego pokoju o zasłoniętych oknach i postawiła tacę na nocnym stoliku.

- Proszę bardzo - powiedziała pogodnym tonem.

- Ach, jest moja dobra, kochana dziewczyna - przywitała ją Minnie. - Znalazła czas, żeby zająć się starą ciocią.

Irlandka siedziała oparta o stertę poduszek. Na ramiona opadały jej kosmyki siwych włosów, obszerny czerwony szlafrok opinał ciało, które z wiekiem stało się grube i miękkie. Wyglądała jak ogromne ciastko wiśniowe.

- Bardzo się cieszę, że mogę ci pomóc. - Isabel nalala herbaty do filiżanki, potem dodała jeszcze mleka i cukru. Chciała podać naczynie Minnie, zawahała się jednak, spojrzawszy na jej zabandażowaną rękę. - Możesz utrzymać filiżankę?

- Chybatak. - Starszakobietaujęłatalerzykwpalcewystające z bandażu, zdrową zaś ręką podniosła filiżankę do ust. Jej ruchy były powolne i ostrożne, jakby wciąż odczuwała ból i szok wywołany strasznymi wydarzeniami nocy.

Isabel przyglądała się jej z troską i smutkiem. Usiadła na krawędzi łóżka.

- Jak tam twoja ręka?

- Paskudnie boli. Ale wydobrzeje, nie martw się. I tak miałam szczęście, że ten łajdak przestraszył się i uciekł. Pomyśl tylko, mógł wbić nóż prosto w moje serce.

Isabel poczuła, jak jej serce ściska się na samą myśl o takim

okropieństwie. Kiedy pomagała Minnie zmienić ubranie, widziała paskudną ranę przecinającą całe przedramię. Wzdrygnęła się, przypomniawszy sobie ten niemiły widok.

- Powinłam była spać tutaj z wami - powtórzyła po raz setny.

- Powinłam była wam pomóc. Zawołałabym policjanta. Może udałoby się nam złapać tego łotra.

- Ależ, moja kochana Isabel, w niczym nie mogłabyś mi pomóc. - Irlandka skrzywiła się lekko, stawiając filiżankę na talerzyku. - Oczywiście, chciałabym, żebyś wróciła do domu, tu gdzie jest twoje miejsce. Ale co się stało, to się nie odstanie. Nie ma co gdybać.

Zapewnienia Minnie wcale nie podniosły Isabel na duchu.

- Czuję się za to odpowiedzialna. To moja wina, że ten okropny człowiek tu przyszedł. I... i że cię zranił. - Łzy podeszły jej do oczu, zwiesiła głowę, trawiona wyrzutami sumienia, prześladowana obrazem zniszczeń, jakich włamywacz dokonał w buduarze jej matki.

- No już, już, moja kochana. - Minnie poklepała dziewczynę po plecach. - Wszystko naprawimy. A ty wrócisz do swojego wielkiego bogatego domu i zapomnisz o nas.

Isabel uniosła głowę, dotknięta tymi słowami.

- Nie zapomniam o was. Nigdy nie mogłabym zapomnieć.

- Ale być może tak bardzo spodoba ci się wygodne życie damy, że nie będziesz chciała do nas wrócić. - Minnie westchnęła ciężko. - Nie możesz winić starej kobiety za to, że boi się ciebie stracić.

Isabel znów poczuła dręczące wyrzuty sumienia. Pomyślała o posagu Hathawaya i jej najskrytszych marzeniach.

- Wiem, gdzie jest moje miejsce, ciociu. Naprawdę.

Czy rzeczywiście w to wierzyła? Czy nie pozwalała, by tęsknota za księciem z bajki odbierała jej rozum? Kern, och, Kern.

- Dzień dobry miłym paniom. - W drzwiach stanęła Callie. Porzuciła biały fartuszek i rozpięła wysoki kołnierz sukni, odsłaniając białe półkule piersi. W jej błękitnych oczach tańczyły iskiereki radości. - Nie róbcie takich ponurych min. Mamy gościa, więc lepiej przypomnijcie sobie, jak wygląda prawdziwy

uśmiech. Szczególnie ty, Isabel. To lord Kern - poinformowała ją scenicznym szeptem, mrugając przy tym znacząco.

Kiedy zniknęła za drzwiami, Minnie zwróciła się do swej podopiecznej.

- Kto to taki? Masz jakiegoś arystokratycznego adoratora?

Isabel wiedziała, że się czerwieni. Zrobiło się jej gorąco.

Zupełnie jakby go wyczarowała, Kern był tutaj.

- Przyjmę go na dole.

- Poczekaj. - Minnie chwyciła dziewczynę za rękę. Patrzyła na nią orzechowymi oczami, jakby zaglądała jej prosto do serca. - Zależy ci na tym człowieku, nie zaprzeczaj, masz to wypisane na twarzy. Twoja stara ciotka Minnie zawsze знаła cię lepiej niż ktokolwiek inny.

- Tak - wyszeptwała Isabel. - Rzeczywiście... zależy mi na nim.

- Ach, dziewczyno, nie ma się czego wstydzić. Każda kobieta potrzebuje czasem mężczyzny, a ty od dawna jesteś już kobietą. Czas, byś się z tym pogodziła.

Czy Minnie namawiała ją, by oddała się Kernowi? Jak cudownie byłoby się z nim kochać, doznać rozkoszy, o których tak często rozmawiała ze sobą ciotki...

W korytarzu znów rozległy się kroki. Do pokoju ponownie weszła Callie, prowadząc za sobą gościa.

Kern stanął w progu. Jego wielka, ciemna sylwetka zlewała się z mrokiem korytarza. Spojrzeniem omiółł karmazynowy pokój, a potem zatrzymał je na łóżku.

Zimny dreszcz przebiegł Isabel. Powinna była się domyślić, że wkrótce tu trafi; zawsze potrafił ją odnaleźć, bez względu na okoliczności. Tym razem jednak chciała, by wyszedł stąd, nim zobaczy konsekwencje jej lekkomyślności, jej głupiego uporu. Przełknęła z trudem ślinę i wstała z łóżka.

- Możemy porozmawiać na dole - zaproponowała. - Wybacz, ciociu Minnie.

- Nie uciekaj tak od razu z naszym gościem - droczyła się z nią Irlandka. - Najpierw chciałyby pogawędzić z jego lor-dowską mością.

- I będzie pani miała okazję. - Kern podszedł do łóżka i przyjrzał się uważnie starszej kobiecie. - Kiedy dowiedziałem

się, że ktoś zachorował, byłem pewien, że chodzi o Persefonę. Ale widzę, że to pani coś się stało.

- To straszna opowieść - wtrąciła Callie, drżąc rozkosznie. Siedziała na stołku przed toaletką i poprawiała suknię, unosząc jej brzeg tak, by odsłonić kostki. - Oczywiście nie było mnie tutaj, ale Diana mówiła, że zbudził ją przeraźliwy krzyk...

- Lord Kern wcale nie jest tym zainteresowany - przerwała jej Isabel. Chcąc jak najszybciej opuścić pokój, poprawiła kołdrę na łóżku, wzięła od Minnie filiżankę i odstawiła ją na tace, szykując się do wyjścia. Potem zmarszczyła czoło i spojrzała na Kerna. - Czy pan nie ma dzisiaj wygłosić przemówienia w parlamencie? Nie powinien pan być na aukcji u Tattersalla? Helen z pewnością ucieszyłaby się, gdyby zechciał pan pojechać z nią na zakupy.

Kern skrzywił się lekko na wzmiankę o narzeczonej.

- W tej chwili chciałbym się przede wszystkim dowiedzieć, co tutaj zaszło - powiedział. - Minnie, czy zechciałaby pani opowiedzieć mi o tym?

- Z największą przyjemnością - odparła dwornie Irlandka. - A ty usiądź, moja droga. Działasz mi na nerwy, kiedy tak się tu kręcisz.

Zaledwie przed chwilą Minnie chwaliła ją za tę troskę. Przygotowana na najgorsze, Isabel usiadła w fotelu obok łóżka. Co innego jej pozostało? Nie mogła przecież wypchnąć Kerna na korytarz, zresztą nie miałyby nawet tyle sił.

Nie, on będzie wypytywał Minnie o wszystko, pozna całą prawdę. Dowie się, na jakie niebezpieczeństwo naraziła kobiety, które ją wychowały.

Irlandka ułożyła wygodnie zranioną rękę,

- W nocy miały tu miejsce przerażające wypadki - zaczęła dramatycznym tonem. - Obudził mnie jakiś hałas, choć nie potrafiłabym dokładnie określić, co to było. Pomyślałam najpierw, że Persy znów zachorowała i potrzebuje mojej pomocy.

- Kiedy to się stało? - spytał Kern.

- Nad ranem, niedługo przed świtem. Więc kiedy tylko usłyszałam ten hałas, wstałam z łóżka i otworzyłam drzwi. Na korytarzu było ciemno jak w sercu szatana, ale ja znam tę drogę na pamięć i nie potrzebowałam światła. I właśnie wtedy... -

Zawiesiła głos, a jej twarz sposepniała na wspomnienie tamtej chwili. - Właśnie wtedy z ciemności wybiegł jakiś mężczyzna i przewrócił mnie na podłogę.

- Mężczyzna - powtórzył Kern. Zerkając na Minnie, zaczął przechadzać się po pokoju. - Widziała pani jego twarz?

Starsza kobieta pokręciła głową.

- Jak już mówiłam, było bardzo ciemno, widziałam tylko jego sylwetkę. Kiedy mnie przewracał, próbowałam go złapać. Gdy zrozumiałam, że ma nóż, było już za późno.

- Czy to był wysoki mężczyzna? A może niski? Gruby? Szczupły?

- Prawdę mówiąc, nie zauważyłam. - Krzywiąc się, Minnie przesunęła zranioną rękę w inne miejsce. - To był tak okropny ból, że nie zwracałam uwagi na nic innego. Wiedziałam tylko, że ten lajdak uciekł.

- Krzyczałaś - przypomniała jej Callie. - Diana mówiła, że twoje wrzaski słyhać było chyba w całym Londynie. Wystraszyłaś przy tym Persy, tak że biedaczka o mało nie dostała ataku serca.

- Czy te panie są tutaj? - dopytywał się Kern. - Chciałbym z nimi porozmawiać.

Callie wstała.

- Przyprawdź je tutaj, milordzie.

Kiedy czekali na powrót Callie i pozostałych kobiet, Isabel siedziała w milczeniu i wpatrywała się ponuro w podłogę. Kern nie znał jeszcze całej historii. Nie wiedział, że intruz nie był zwykłym złodziejem. Właśnie ta część prawdy była najgorsza; przyprowadziła ją o ból serca, wiązała bowiem nieznanego zbrodniarza z nią.

Po chwili Callie wprowadziła do pokoju drobną siwą kobietę w różowym szlafroku. Ciotka Persy rozpromieniła się na widok Kerna, ten zaś natychmiast pospieszył jej z pomocą i usadził na sofie z taką troską, jakby to była jego krewna.

Isabel miała ochotę schować się pod łóżko, uciec z pokoju. A gdyby tak włamywacz zaatakował ciotkę Persy? Ona nie miała dość sił na zniesienie takiego szoku. Mogła umrzeć. Z winy Isabel.

Do pokoju wkroczyła także Diana, otoczona aureolą płomienych włosów. Nawet gęsta sieć zmarszczek nie mogła ukryć jej

delikatnej urody. Rudowłosa kobieta spojrzała z niechęcią na Kerna i usiadła na łóżku obok Minnie. Nie drgnęła nawet, kiedy brzeg sukni przesunął się aż do jej kolan.

Isabel widziała, jak Kern zerka na te długie, zgrabne nogi. Choć wciąż palił ją wstyd, dołączyło do niego nowe uczucie. Chciała doskoczyć do ciotki Diany i ją okryć. Był to impuls tak silny, że musiała zacisnąć dłonie na oparciu fotela, by się powstrzymać. Szczególnie gdy Kern podszedł do Diany.

- Rozumiem - zaczął, patrząc na nią z góry - że spała pani, kiedy pani Minnie została zaatakowana.

- Tak.

- Czy wcześniej, przed jej krzykiem, słyszała pani jakieś inne hałasy? Może kroki? Jakieś szuranie?

- Nic. Spałam zadziwiająco dobrze, przynajmniej do tamtego momentu. - Diana mówiła tylko tyle, ile musiała, traktując Kerna jak wszystkich innych mężczyzn, z niechęcią i pogardą.

- Potem wyszła pani z pokoju, tak? Czy widziała pani intruza?

Potrząsnęła miedzianymi lokami.

- Zanim zapaliłam świecę, on już uciekł. Drzwi frontowe były otwarte. A Minnie leżała na podłodze, cała we krwi.

- Znalazła pani broń?

- Leżała na schodach - wtrąciła Minnie. - Isabel, pokaż ten nóż jego lordowskiej mości.

Dziewczyna z ociąganiem otworzyła szufladę nocnego stolika. Brzydziła się tego ostrza, świadoma, że zostało użyte w nikczemnym celu. Wzdrygnęła się na myśl o tym, jakie krzywdy mogło jeszcze wyrządzić.

Kern podszedł bliżej, wziął nóż za drewnianą rączkę i przyjrzał mu się uważnie.

- Zwykły nóż kuchenny. Żadnych znaków szczególnych.

- Tak, będę trzymała go tutaj - powiedziała Minnie, wskazując na szufladę. - Jeśli ten złodziej wróci, odpłacę mu pięknym za nadobne, może pan być pewien.

Kern nie odpowiedział. Odwrócił się do Persy, która obserwowała go w milczeniu jasnymi oczyma.

- Czy pani słyszała coś niezwykłego?

- Nie, nic. - Persy wzdrygnęła się, jakby sama myśl o tamtej

nocy budziła w niej przerażenie. - Przykro mi, ale po lekarstwie śpię bardzo głęboko. Słyszałam tylko krzyk Minerwy, nic więcej. Kern zwrócił się Diany:

- Czy ostatniej nocy przyjmowała pani kogoś?
- Nie. Myśli pan, że nie powiedziałabym panu o tym? - Rudowłosa skrzywiła się z odrazą. - Mówiłam panu już ostatnio, że nie lubię bydlaków. Szczególnie w moim łóżku.

Callie uśmiechnęła się drwiąco.

- To dziw, że przez tyle lat nie nauczyłaś się odróżniać mężczyzny od bydła.

- A ciebie nigdy nie obchodziło, jakie zwierzę masz w łóżku - odparowała Diana. - Myślałaś tylko o tym, czy ma dwa jądra i sztywny patyk, którym mogłaś się bawić.

- Moi klienci zawsze mieli twardsze penisy niż twój - parsknęła Callie z lekceważeniem. - Jeśli chcesz mojej rady, to powiem ci, że mężczyźni traktowaliby cię lepiej, gdybyś nie leżała nieruchomo jak zimna ryba...

- Dość tego - przerwała im Minnie. - Jestem pewna, że jego lordowska mość nie ma ochoty słuchać waszej paplaniny.

Isabel zagryzła wargę. Kern stał oparty o ścianę, z rękami skrzyżowanymi na piersiach, i przysłuchiwał się ich rozmowie z rezerwą. Co mógł teraz myśleć? Isabel nie chciała, by nabrał złego zdania o jej ciotkach. Zależało jej na tym, by zrozumiał, że mimo rozwiązyłych obyczajów są naprawdę dobrymi, oddanymi opiekunami. Jak daleko sięgała pamięcią, zawsze gdy przyjeżdżała do nich w odwiedziny, ciotki nie przyjmowały mężczyzn. Również przez ostatni rok, zgodnie z obietnicą, żyły w nocie, choć oznaczało to brak luksusów takich jak wino, nowe suknie czy biżuteria.

Czy ich poświęcenie mogło zaimponować takiemu człowiekowi jak Kern? Raczej nie, sądząc po jego aroganckiej minie. Spojrzała na tę scenę jego oczami; Callie pochylała się do niego, by lepiej widział jej dekolt, Minnie wylegiwała się w czerwonym szlafroku, Diana prowokowała go widokiem nagich nóg, Persy siedziała osłabiona i wyniszczona wstydliwą chorobą.

Nigdy dotąd Isabel nie widziała równie wyraźnie, jak wielka przepaść dzieli świat Kerna od świata tych kobiet. Mimo to były jej rodziną, je kochała. Nie zamierzała w spokoju znieść jego pogardy.

Zerwała się energicznie z fotela.

- Ciocia Minnie ma rację. Lord Kern już dość się nasłuchał. Jestem pewna, że ma znacznie ważniejsze sprawy na głowie.

- Wręcz przeciwnie - odparł Kern, patrząc na nią przymrużonymi oczami. - Mam kolejne pytania.

- Chce pan wiedzieć, czego chciał ten złodziej - domyśliła się Minnie. - Cóż, mogę panu powiedzieć, że nie chodziło o pieniądze czy inne kosztowności. Ten człowiek szukał dziennika Aurory.

Isabel nie mogła ruszyć się z miejsca, choć serce waliło jej jak młot. Kern od dawna ostrzegał ją, że może ściągnąć na siebie niebezpieczeństwo. Teraz wiedziała już, że przez własną nieostrożność naraziła życie swych ukochanych ciotek.

- Ten łajdak przeszukał sypialnię Aurory - dodała Callie. - Powinien pan zobaczyć, jaki bałagan tam zostawił. Zniszczył przy tym parę całkiem dobrych sukienek.

- A dziennik? - spytał Kern. - Znalazł go w końcu?

- O to powinien pan zapytać Isabel - odparła Diana. - To ona go gdzieś ukryła i nie chce nam powiedzieć gdzie.

Ciotki nie miały pojęcia, że Isabel ma dziennik przy sobie, ukryty w sekretnej kieszeni. Tym razem jednak nie była wcale dumna ze swego chytrego pomysłu, czuła tylko smutek i wstyd.

- Pamiętnik mamy jest w bezpiecznym miejscu - powiedziała.

- Nie musicie wiedzieć nic więcej. - Pochyliła się i uściskała Minnie, uważając przy tym, by nie dotykać zabandażowanej ręki. - Tak mi przykro, że stała ci się krzywda.

- To nic, moja kochana. - Irlandka przytuliła ją do siebie. - Nie martw się o mnie.

- Jeśli panie pozwolą - odezwał się Kern - chciałbym obejrzyć sypialnię Aurory Darling. Może intruz zostawił tam coś przez przypadek, coś, co pozwoliłoby nam ustalić jego tożsamość.

- Świetny pomysł - powiedziała Minnie. Zmrużyła orzechowe oczy i spojrzała na niego, a potem na Isabel. - Moja droga, zaprowadź lorda Kern do pokoju twojej matki. Pomóż mu w poszukiwaniach.

Isabel zeszywniała. Czy ciotka Minnie chciała, by zostali tylko we dwoje?

- Zamierzałam sama posprzątać sypialnię mamy - zaprotes-

towała. - Lord Kern i tak nie będzie wiedział, co wygląda inaczej, niż powinno, więc nie będziemy go trudzić.

- Ja z nim pójdę, jeśli ty nie chcesz - zaproponowała Callie, wstając od toaletki. - Z przyjemnością dotrzymam jego lordowskiej mości towarzystwa.

- Chyba niewiele by wtedy znalazł - wtrąciła Diana, przeciągając się leniwie. - Przez cały czas musiałby się bronić przed twoimi zalotami.

Kiedy Callie parsknęła, gotowa odpowiedzieć jakąś złośliwością, Minnie oświadczyła stanowczo;

- Ten obowiązek należy do naszej Wenus. To rzeczy jej matki zostały zniszczone.

- Wenus? - powtórzył Kern. Obrócił się i spojrzał na Isabel.

Fala gorąca zalała dziewczynę. Minnie nie mogła wybrać gorszego momentu, by zapomnieć o decyzji, jaką Isabel podjęła przed wielu laty, gdy dowiedziała się, kim była ta starożytna bogini.

- Takie imię nadała jej Aurora - wyjaśniła Diana. - Wenus Isabel Darling.

- Uważam, że jest śliczne - zapiszczała Persy. - Ale powinniśmy szanować wybór Isabel, prawda?

Minnie pochyliła głowę, zawstydzona.

- Wybacz starej, zmęczonej kobiecie, moja droga. To było głupie przejęzyczenie. Może zdrzemnę się teraz na chwilę, kiedy ty będziesz pomagać jego lordowskiej mości. - Spojrzała za znuzeniem na gościa. - Mam nadzieję, że lord nie ma nic przeciwko twemu towarzystwu.

Spojrzenie Kerna paliło Isabel żywym ogniem, ogarniało całe ciało. Wiedziała, że powinna zaprotestować, ale słowa uwięzły jej w gardle. Myślała tylko o tym, jak bardzo chce zostać z nim sama.

Wciąż nie odrywając od niej spojrzenia, Kern powiedział powoli:

- Nie, nie mam nic przeciwko temu.

15

W drzwiach przywitał Kerna zapach rozlanych perfum. Powietrze było ciężkie, przesycone zmysłowym aromatem, niczym w jaskini rozkoszy.

Draperie ze wzorem w róże były jednak rozsunięte, do pokoju wpadał jasny blask słońca. Kern pamiętał, że kiedy pojawił się tu po raz pierwszy, buduar był starannie uprzątnięty i zadbane, teraz jednak przedstawiał obraz zniszczenia.

Wszystkie szuflady z komody zostały wyciągnięte, ich zawartość leżała rozrzucona na podłodze. Poduszki na sofie były rozerwane. Włamywacz nie oszczędził nawet małego jaśka, który leżał na stołku przy toalecie. Słoiki z kosmetykami walały się po całym pokoju. Nic nie zostało rozbite - włamywacz starał się zachowywać cicho - lecz ogrom zniszczeń i tak zrobił na Kernie przygnębiające wrażenie.

- Mój Boże - mruknął. Starając się nie nadepnąć na porozrucane przedmioty, przeszedł do sypialni, gdzie czekał nań podobny widok. Szafa została opróżniona z sukien. Pogniecione czepekki zaścielały podłogę. Wszędzie leżały buty na wysokich obcasach i satynowe pantofelki.

Podszedł do biurka pokrytego kartkami papieru. To tutaj zapewne Aurora Darling spisywała wspomnienia z życia kurtyzany. W pośpiechu włamywacz porozrzucił pióra i przewrócił kałamarz. Ciemna plama atramentu rozlewała się szeroko na białej powierzchni kartek.

Gdzie Isabel ukryła tę książkę? U Hathawayów? A może miała tutaj jakąś tajemną skrytkę, o której nie wiedziały nawet jej ciotki?

Dziewczyna szła powoli jego śladem. Ciemnoniebieska suknia podkreślała błądź jej skóry. Brązowe oczy spoglądały z przeżeniem na zniszczone wnętrze. Kiedy jednak odwróciła się do Kerna, uniosła dumnie głowę i spojrzała nań wyzywająco.

- No już, śmiało-powiedziała. - Niechpan to powie. Niech pan powie mi, że sama to ściągnęłam na swoją głowę, że to moja wina.

Powinien był to zrobić. Powinien był ukarać ją jakoś za sprowokowanie mordercy. Kiedy jednak zobaczył delikatne drżenie jej ust, poczuł zdradliwą słabość w piersiach, wiedział już, że się na to nie zdobędzie.

- Obarczanie kogokolwiek winą w niczym tu nie pomoże. Wolałbym raczej zająć się poszukiwaniami tego łotra.

- Myśli pan, że zostawił tutaj swój bilecik? - Isabel objęła się ramionami i pokręciła głową. - Tutaj nic nie ma. Nic prócz kolosalnego bałaganu. Zniszczył wszystko, co należało do mojej matki.

Kern miał ochotę ukoić jej ból, pocieszyć ją, zganił się jednak w myślach za te niedorzeczne pragnienia.

- Więc bierzmy się za sprzątanie. Być może uda nam się znaleźć jakiś drobiazg, który naprowadzi nas na jego trop. - Oczyszczył miejsce w rogu pokoju i złożył tam poplamione atamentem kartki. - Wszystko, co nie da się już naprawić, proszę składać tutaj. Proszę też pokazać mi każdy przedmiot, który nie pasuje do tego miejsca.

Kiedy zaczął zbierać porozrzucane pióra, zauważył, że Isabel stoi w bezruchu, z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Jej twarz wyrażała głęboki smutek, a oczy błyszczały podejrzenie, kiedy rozglądała się po pokoju. Kern zastanawiał się, jakie wspomnienia wiązała z tym miejscem. Choć wychowywała się na wsi, od czasu do czasu odwiedzała przecież matkę. Być może tutaj właśnie gawędziła z Aurorą Darling, kiedy ta nakładała kosmetyki albo przygotowywała się do wieczornego wyjścia. Być może tutaj matka doradzała córce, jak zadowolić mężczyznę.

Wenus, bogini miłości.

Gniew uderzył w Kerna niczym potężna pięść. Aurora Darling

od początku planowała zapewne wciągnąć córkę do swej profesji. Lecz kiedy przeklinał w myślach jej zepsucie, pragnął jednocześnie, by Isabel wykorzystała dla niego swą wiedzę.

Byli sami, w zamkniętym pokoju. Za ledwie kilka kroków dzieliło ich od wielkiego łoża z baldachimem, z lustrami i złożonymi posążkami cherubinów. Mógł ją położyć, podnieść jej spódnice i...

- No i co? - Zaczął ostrym tonem, znacznie ostrzejszym, niż zamierzał. - Będzie pani tak stała do samego wieczoru? Pomoże mi pani, czy też woli, by mordercy uszło to na sucho?

Isabel zamruwała gwałtownie, jakby zapomniała o jego obecności.

- Oczywiście, że nie - mruknęła.

Pochyliła się, by podnieść z podłogi złamany wachlarz, po czym rzuciła go na stertę papierów w rogu pokoju. Potem zaczęła zbierać ubrania rozwleczone po podłodze. Fascynowały go jej pełne gracji ruchy, mógłby przyglądać się jej godzinami, podziwiać ciemny pasek, który rysował się między jej piersiami przy każdym skłonie, wdzięczne krągłości pośladków, delikatny zarys kostek, kiedy unosiła brzeg sukni.

Spoglądając na nią bez ustanku, próbował włożyć pióra do podstawki i wbił ostrą końcówkę w opuszek palca. Syknął głośno, tłumiąc przekleństwo. Do diabła! Miał przecież szukać śladów mordercy.

Z trudem odwrócił spojrzenie od Isabel i skupił się na przeglądaniu rozrzuconych przedmiotów. Miał nadzieję, że znajdzie wśród nich coś istotnego, spinkę od mankietu czy rękawiczkę, która pozwoliłaby mu zidentyfikować mordercę. Czy ostatniej nocy był tutaj Dickenson? A może lord Raymond?

Kern kręcił się po pokoju, zbierając ubrania należące do Aurory, buty i szale, srebrne szczotki i koronkowe podwiązki. Te przedmioty składał na kolejną stertę, zostawiając ich porządkowanie kobiecie. Wciąż wypatrywał czegoś niezwykłego - choć jedwabne pończochy i frywolna damska bielizna także nie należały do rzeczy, które oglądał na co dzień.

I wtedy to zobaczył.

Pod łóżkiem, obok jednego z filarów baldachimu, leżał mały karmazynowy przedmiot. Podniósł go i obrócił w palcach.

- Proszę spojrzeć na to.
- Isabel szybko podeszła do Kerna. Nachyliła się nad jego dłonią, tak że czuł zapach deszczu w jej włosach.
- To guzik - oświadczyła, wyraźnie rozczarowana.
- Tak, i mógł odpaść od męskiego surduta.
- Isabel wzięła od niego okrągły przedmiot i przyjrzała mu się uważnie.
- Nie, to chyba guzik od sukni Minnie. Ciocia przychodzi tu od czasu do czasu, żeby zetrzeć kurze. Oddam go jej.
- Kołysząc zmysłowo biodrami, Isabel podeszła do nocnego stolika i położyła na nim guzik Minnie. Potem przyklękła obok łóżka i zaczęła zbierać świece, książki i papiery wyrzucone z szuflady.
- Gdzie był wczoraj pański ojciec? - spytała przez ramię.
- W domu - odparł Kern z roztargnieniem. Podniósł właśnie koszulkę tak cienką i delikatną, że widział przez nią swą dłoń. W wyobraźni natychmiast ubrał w nią Isabel. Wreszcie mógłby ujrzeć ją w całej chwale... jej pełne piersi... krągłe biodra... rozkoszny wzgórek Wenery...
- Jest pan tego pewien? - nie dawała za wygraną Isabel. - Czy ktoś z nim był?
- Z kim?
- Z księciem Lynwood - odparła, zniecierpliwiona. - Wiem, że ostatnio był chory, ale może doszedł do siebie na tyle, by tu przyjść?
- Nie, miał kolejny nawrót choroby. Podawano mu środki uspokajające. Lekarz czuwał przy nim przez całą noc. - Kiedy Kern uświadomił sobie, co to oznacza, ogarnęło go nagle poczucie ogromnej ulgi, silne i oczyszczające niczym morska fala. Dlaczego nie pomyślał o tym wcześniej? - Chyba rozumie pani, jakie są tego implikacje. Mój ojciec nie mógł tego zrobić.
- Może wysłał kogoś innego, by ten wykonał za niego czarną robotę. Być może wynajął jakiegoś złodziejaszka. Mógł zaaranżować to, nim jeszcze zachorował.
- Nie, służba jest mi wierna, a ostatnio nikt inny go nie odwiedzał. - Podniesiony na duchu tą nieoczekiwaną i radosną nowiną, Kern odrzucił cienką koszulkę na stertę ubrań. Delikatny materiał opadał powoli, niczym zaczarowany welon wróżki. -

- A skoro mój ojciec nie włamał się tutaj, to znaczy, że nie zamordował również pani matki.
- Isabel zmarszczyła czoło, nie do końca przekonana jego argumentami.
- Więc może był to wielebny lord Raymond. Może się dowiedział o posagu i uznał, że sprawy zaszły za daleko i że musi odzyskać dziennik.
- Rozmawiałem z nim dziś rano, kiedy przyszedł modlić się przy łóżku mojego ojca. Jestem pewien, że nie wiedział nic o ofercie markiza. - Kern nie wspomniał już o tym, że dowiedziawszy się o hojności brata, lord Raymond wypowiedział przekleństwo, które zszokowałyby większość jego bogobojnych parafian.
- A jeśli on nie był mordercą, to dlaczego Hathaway podarował Isabel posag?
- Choć starał się jak mógł, Kern nie potrafił sobie wyobrazić, by pastor doprowadził ten pokój do takiego stanu, a potem jeszcze ranił nożem kobietę.
- To szanowany obywatel i kapłan. Nie włamywałby się do domu schadzek w środku nocy.
- Isabel podniosła z podłogi wachlarz ze strusich piór. Próbowwała wyprostować wygięte pióro, przeciągając je wielokrotnie między palcami.
- Owszem, zrobiłby to. Zdarzało mu się to już wcześniej. Moja matka wspominała o tym w swoim dzienniku.
- Zrobił coś takiego? - spytał z niedowierzaniem Kern, rozglądając się po zniszczonej sypialni. - Proszę dać mi pamiętnik. Chciałbym przeczytać ten ustęp.
- Nie, źle mnie pan zrozumiał. - Isabel uniosła wachlarz do twarzy; jej brązowe oczy zerknęły na Kerna zza krawędzi strusich piór. - Powiem tylko tyle, że lubił przychodzić do mojej matki pod osłoną nocy, by nikt nie dowiedział się o jego występkach.
- Nocne odwiedziny to coś zupełnie innego niż wandalizm i napad z nożem w rękę. Tego rodzaju czyny pasują mi bardziej do lajdaka pokroju Terrence'a Dickensona.
- Opuściła wachlarz, tak że dotykał teraz jej piersi. Kern nie mógł oderwać od nich spojrzenia, zazdrościł strusim piórom.
- Nie możemy wykluczyć Trimble'a - powiedziała Isabel,

siłąc się na obojętność. - Podejrzewam, że on wie znacznie więcej, niż chce nam powiedzieć.

Wie, kim jest Apollo.

Kern powstrzymał się w ostatniej chwili i nie przypomniał jej o ojcu, którym tak pogardzała.

- Jest jeszcze wielu innych mężczyzn, którzy hojnie zapłacili by za zniszczenie tego dziennika.

Isabel opuściła wachlarz jeszcze niżej, na wysokość łona.

- Nie znajdą go - oświadczyła z przekonaniem. - Może pan być tego pewien.

Wciąż nie mógł oderwać spojrzenia od wachlarza, gesty Isabel coraz mocniej działały na jego zmysły. Czuł, jak niepokonany żar ogarnia jego łędźwia, jakby los kpił sobie z jego porannych postanowień.

Odwrócił się i zasunął szufladę.

- Jest jeszcze jedna możliwość. - W jego głowie zrodziły się pewne podejrzenia. - Jak wyglądały stosunki pani matki z Dianą i Callandrą?

Isabel uniosła brwi.

- Całkiem dobrze. Owszem, sprzeczały się od czasu do czasu, ale nie było to nic poważnego. Dlaczego pan pyta?

- Być może włamywaczem była jedna z kobiet mieszkających w tym domu.

Wachlarz wysliznął się z jej dłoni i spadł na podłogę. Isabel, błada jak ściana, zrobiła krok w stronę Kerna.

- Chyba nie myśli pan... że jedna z moich ciotek...

- To dość ryzykowna hipoteza, wiem. Ale zauważyłem pewną wrogość pomiędzy Callandrą i Dianą. Jeśli którakolwiek z nich nie lubiła pani matki, mogła skierować swą złość na jej rzeczy.

- Nie. Nie. - Isabel potrząsnęła energicznie głową. Blask słońca rozpałał ognistorude kosmyki w jej włosach. -To nonsens. Ciotka Callie i ciotka Diana zawsze sobie dokuczają, ale to nie znaczy, że są podle... i gwałtowne. - Wzdrygnęła się, nie dopuszczając do siebie nawet takiej myśli.

Choć był to dlań bolesny obowiązek, uznał, że musi rozwiązać jej marzenia.

- Isabel, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, tutaj, w tym

pokoju, ktoś zostawił otwarte tylne drzwi, specjalnie dla mnie. Ktoś poinformował mnie, kiedy pozostałe kobiety będą jadły kolację, bym mógł porozmawiać z panią na osobności. Ktoś zdradził cię za kilka złotych monet. To była Callandra.

Isabel otworzyła usta. Widząc w jej oczach niedowierzenie i ból, Kern niemal natychmiast pożałował tego kroku.

- Przykro mi - mruknął. - Ale być może wcale nie zna pani tych kobiet tak dobrze, jak się pani wydaje. Może pani stwierdzić z całą pewnością, gdzie przebywała Callandra minionej nocy?

Isabel oparła się o filar baldachimu, jakby nagle opadła z sił.

- Czekala w domu na mój powrót z opery. Potem wyszła do swego pokoju na strychu.

- Albo wymknęła się z domu i przyszła tutaj.

Isabel parsknęła z niedowierzeniem.

- To absurd. Do czego cioci Callie byłyby potrzebne te wspomnienia?

- Może się bała, że pani matka ośmieszyła ją w jakiś sposób. A może nie szukała dzienników, może chciała czegoś zupełnie innego.

- Na przykład? - Isabel najwyraźniej odnosiła się do jego podejrzeń z wielkim sceptycyzmem.

- Może chciała dać ujście złości, jaką żywiła do pani matki. - Musiałaby być szalona. Kern nie wypowiedział głośno tej ostatniej myśli. Gestem poprosił Isabel, by przeszła do buduaru, sam zaś podniósł z podłogi pusty flakonik po perfumach. - Jeśli intruz szukał dziennika, to z pewnością nie mógłby znaleźć go w takiej buteleczce. Po co więc rozlewać perfumy? Po co rozrzucić kosmetyki i niszczyć suknie? To akty czystej nienawiści.

- Włamywacz był wściekły, bo nie mógł znaleźć dziennika, to wszystko. - Isabel sięgnęła po pusty słoik na toaletce. Drżącymi rękami zaczęła zgarniać do niego rozsypany puder. - Nie powinienam się dziwić, że próbuje pan przerzucić winę na moje ciotki. Nie chce pan prostu dopuścić do siebie myśli, że zrobił to ktoś z pańskich sfer. O wiele łatwiej obwiniać ladacznice.

Nie myśląc o tym, co robi, Kern podszedł do dziewczyny i pochwycił ją za ramiona.

- I tutaj się pani myli. Proszę mi wierzyć, wiem doskonale,

że w odpowiednich okolicznościach nawet najlepiej wychowany człowiek może zamienić się w dzikusa.

Nagle poczuł dziką, niemal zwierzęcą potrzebę, która nie miała nic wspólnego z przemocą, łączyła się wyłącznie z instynktownym aktem prokreacji.

Popelnił błąd, dotykając Isabel. Ciepło jej skóry wzbudziło w nim żar pożądania. Chciał przesunąć dłońmi w dół, poznawać zbocza i doliny, o których dotąd tylko marzył. Pragnął odegnąć od tej dziewczyny strach i napięcie, uchronić przed okropnościami niepokonanej nienawiści. Tymczasem pogorszył tylko jej samopoczucie, rzucając cień podejrzenia na kobiety, które ją wychowały.

- Boże, ten człowiek musiał być jakąś dziką bestią - wyszepiała. Jej oczy były pełne głębokiego żalu. - Mógł zabić ciocię Minnie, tak jak kiedyś zabił moją matkę. A wszystko przeze mnie. Byłam zbyt uparta, by dojrzeć prawdę.

Pochyliła głowę, przytłoczona ogromnym ciężarem winy. Kern nie mógł znieść tego widoku. Próbował jაკakoś pocieszyć, choć najchętniej chwyciłby ją za ramiona i potrząsnął nią energicznie, przywrócił do rzeczywistości.

- Zawsze łatwiej jest oceniać wydarzenia z perspektywy czasu - powiedział. - Nie mogła pani wiedzieć, że dojdzie do czegoś podobnego.

- Powinam była jednak przewidzieć konsekwencje mojego zachowania. Powinam była pomyśleć o tym, że kiedy morderca poczuje się zagrożony, spróbuje zaatakować znowu.

- Chce pani powiedzieć, że zrezygnuje z dalszego śledztwa? - spytał, świadomie prowokując ją do zdecydowanej odpowiedzi. - Nie będzie pani dłużej szukać mordercy matki? Pozwoli pani, by uszedł sprawiedliwości?

Isabel zagryzła dolną wargę.

- Nie wiem. Och, naprawdę nie wiem, co mam teraz robić.

Smutek i rezygnacja, jakie słyszał w jej głosie, napępniały go fizycznym niemal bólem. Zawsze była taka silna, taka zdecydowana, gotowa podjąć każde wezwanie. Teraz patrzyła nań błagalnie, jakby znał odpowiedzi na wszystkie dręczące ją pytania. On zaś niczego nie pragnął bardziej niż uczynić ją szczęśliwą.

- Isabel.

Przytulił ją do siebie, przesuwając dłońmi po jej szczupłych plecach, dotykał krągłych pośladków. Wecisnęła się w niego niczym przestraszony kociak, szukający pociechy. Wmawiał sobie, że potrzyma ją tak tylko przez chwilę, nasyci ciemne, bezdenne potrzeby, które trawiły go od środka. To nic, że jest, zaręczony z inną kobietą, jeśli tylko nie posunie się dalej, nie wyrządzi jej krzywdy. Starał się utrzymać równy oddech, panować nad myślami.

- Spraw, bym zapomniała o tym choć przez chwilę - wyszeptwała Isabel, wsuwając dłoń pod jego surdut i wspinając się na palce. - Pomóż mi.

Kem zachwiał się w swych postanowieniach, gdy tylko usta Isabel musnęły jego wargi. Choć uważał ją za doświadczoną kochankę, całowała jak panienka, delikatnie i niepewnie, w cudowny sposób łącząc niewinność z niemoralnością. Nie mógł już dłużej opierać się pokusie. Pozwolił sobie na jeden pocałunek, zakosztuje jej słodkich ust. Dotknie tego cudownego ciała, przyciągnie ją do swych rozpalonych łądźwi.

O Boże! Świadomość, że nie może - nie powinien - doprowadzić tego uścisku do jego naturalnego końca.

Mógł jednak stanąć na samej krawędzi. Mógł dotrzeć do granic samokontroli i wpłynąć na głębsze wody. Całując delikatną, pachnącą skórę szyi i policzków Isabel, rozpiął guziki z tyłu sukni. Czuł jej drobne palce na swym surducie i kamizelce, uświadomił sobie, że ona również go rozbiera. Miała mniej guzików do pokonania, więc jako pierwsza uporała się z tym zadaniem i ściągnęła obie części garderoby z jego ramion.

- Niepowinam cię tak bardzo pragnąć, to jest złe - szeptała. - Dlaczego więc sprawia mi to taką przyjemność?

- Bo ty - mruczysz jej do ucha - zostałaś stworzona do miłości.

Górna część sukni ześliznęła się z ramion Isabel. Kern szybko rozpiął gorset i zsunął koszulkę, aż dziewczyna stanęła przed nim półnaga, drżąca. Przez chwilę wpatrywał się w nią jak ¹uręczony. Skąpana w blasku popołudniowego słońca, jej skóra błyszczała niczym gęsty krem, piersi tworzyły dwa idealnie krągłe wzniesienia zwieńczone różowymi koralami. Nie potrafiłby

wyobrazić sobie piękniej szej kobiety. Była ucieleśnieniem swego imienia, Wenus, boginią miłości.

Podniosła jego ręce i położyła na swych piersiach, potem zamknęła oczy i westchnęła.

- Uwielbiam twoje dłonie. Uwielbiam to, co ze mną robisz, ten żar i drżenie.

Otarła się o niego, kusząca półnaga syrena. Pożądanie rozpałało krew w jego żyłach, zbliżało do kresu wytrzymałości. Jak mógłby nie spróbować uczty, którą mu oferowała? Pochylił głowę, zamknął usta na twardym sutku, potem powoli ocierał policzkami o aksamitne wzgórza, badał pachnącą dolinę między nimi. Pieścił ją językiem i zębami, zachęcany pomrukami rozkoszy, które wydawała z siebie Isabel.

Jeszcze chwila i przestanie. Odejdzie od niej. Nakazywał mu to honor.

Ale jeszcze nie teraz. Nie teraz, kiedy palce wplątane we włosy Kerna przesuwają się powoli po jego karku, by rozluźnić fular. Nie teraz, kiedy rozpinająca koszulę, szeptała jego imię i całowała go w szyję. Czuł drżenie jej rąk i swoich, kiedy jej dotykał. Isabel pragnęła go. Tak mocno jak on jej.

Pragnąć... Jak to pospolite słowo mogło opisać bicie jego serca, gorączkę krwi? Jego lędźwia zamknięte były w czyścucu, zawieszona na zawsze pomiędzy piekłem i niebem. Nie był już taki pewien, czy zbawienie ma jakąś wartość, jakieś znaczenie. Jak mógłby wejść do nieba bez Isabel?

Niechże więc jego dusza zostanie potępiona.

Spojrzał na jej śliczną twarz i zobaczył tam odbicie własnego pożądania. Tam czekał na niego raj. Teraz. Z jedyną kobietą, która rozpałała go do czerwoności.

Złączeni jednym pragnieniem przeszli z buduaru do sypialni. Kiedy zbliżali się do łóżka, Isabel przystanęła i spojrzała na Kerna z przestrachem.

- Nie powinniśmy - szepnęła. - Wiesz dlaczego... Przyłożył palec do jej delikatnych poczerwieniałych ust.

- Jeśli muszę spłonąć, to chcę razem z tobą.

Isabel westchnęła cicho.

- Tak - wyszeptała. - Tak.

Ich usta spotkały się w kolejnym szalonym pocałunku. Przyciskał ją do siebie, czuł jej nagie piersi, nie mógł już dłużej znieść wyczekiwania. Siegnął w dół jej sukni, tam napotkał jednak nieznaną labirynt tasiemek, zapinek i haczyków. Jednym niecierpliwym pociągnięciem zerwał taśmę oplatającą ją w talii, potem jego rozgorączkowany umysł zarejestrował głuchy odgłos, jakby jakiś ciężki przedmiot upadł na podłogę.

Isabel zachłysnęła się i odsunęła.

- Odwróć się - wyszeptała. - Proszę. Tylko na chwilę.

- Nie. - Niczym ogier zalecający się do nieśmiałej klaczy, wtulił się w jej kark, wdychał aromat kobiecej skóry. Ten nieoczekiwany akt skromności z jej strony zaniepokoił go i zdumiał. Wydawało mu się, że nie miała już żadnych wątpliwości.

- Isabel... chcę patrzeć, jak się rozbierasz.

Wielbił cudowne kształty jej piersi, podczas gdy jej dłonie przesuwają się nieustannie po jego ramionach, piersiach, docierały do talii i bioder, dotknęły twardego nabrzmiałego zgrubienia, które rozpychało jego bryczesy.

Palce Isabel znów powędrowały w górę. Droczyła się z nim, diablica. Jęcząc z frustracji, próbował przyciągnąć ją do łóżka, ona jednak nie ruszała się z miejsca.

- Poczekaj - wyszeptała.

Pomyślał, że znów chce mu odmówić, i omal nie zawył z rozpacz. Tymczasem Isabel wysunęła się z sukni i bielizny, porzucając je tam, gdzie stała. Miała na sobie jedynie wąskie paski podwiązek i pończochy.

Kern poczuł, jak nagle zasycha mu w gardle. Nie myślał, nie zastanawiał się nad niczym, podziwiał jedynie jej urodę. Alabastrowe ciało. Kragłe biodra. Ciemne splecione loki.

Jego. Cała jego.

Isabel wyszła z kręgu swych ubrań, przytuliła się do niego i uśmiechnęła uwodzicielsko i słodko jednocześnie.

- Proszę, zabierz mnie teraz do łóżka.

Wciąż otępiały, oszołomiony pięknem jej ciała, ułożył ją na kołdrze. Nie mógł już dłużej czekać, musiał jej dotknąć. Pieścił skórę najej udzie, równie delikatną i jedwabistą jak pończochy... pieścił kobiecy żar i wilgoć... satynowy sekret kobiecości.

Czuł, jak Isabel napina mięśnie, jakby nagle przestraszona. Potem jednak westchnęła cicho i w geście oddania otworzyła się przed nim. Kiedy odnalazł jej najwrażliwsze miejsce, zadrżała, zacisnęła palce na jego ramieniu.

- Och... proszę... proszę...

Napawał się jej rozkoszą, cieszył się nią tak jak ona. Była tak delikatna, stworzona dla jego pieszczot. Rozpalona krew pędziła w jego żyłach, huczała w uszach. Bardziej niż własnego spełnienia pragnął rozkoszy dla niej. Chciał, by poddała mu się całkowicie, zaufała bez reszty.

Jej niecierpliwe dłonie krążyły po jego ciele, rozchyłały koszulę. Podniosła ku niemu biodra w najśrodszym zaproszeniu.

- Tak. Och, tak. Och, Kern... to takie cudowne... takie cudowne... Kocham cię...

Gdy jej słowa spadały jeszcze niczym ciepły deszcz na jego wysuszoną duszę, Isabel jeszcze raz wyszeptwała jego imię, wyprężyła całe ciało i zadrżała pod jego dotykiem.

Kocham cię.

Fala uniesienia objęła całe jego ciało, wzmogła jeszcze pragnienie. Rozpiął bryczesy, zsunął je i powoli opadł na cudowną pościel ciała Isabel. Kiedy jej dłonie zamknęły się wokół twardego członka, omal nie stracił kontroli nad sobą. Powoli poprowadziła go do drzwi raju. Jednym szalonym pchnięciem wszedł w nią i przebił niewidzialną barierę, która stała mu na drodze.

Isabel zeszywniała na moment, wbiła paznokcie w jego plecy, przywarła ustami do jego piersi, by stłumić okrzyk. Kern zniechęcił się, choć jego ciało pragnęło poruszać się bez ustanku, zagłębiać w jej aksamitnej wilgoci.

- Isabel?

Spojrzał na jej twarz i nagle zrozumiał. Był jej pierwszym mężczyzną. Prawda ta napelniła go zdumieniem i poczuciem dzikiego, męskiego triumfu.

- Teraz jesteś moja. Moja.

Jego głos wydawał się dziwnie niski i gardłowy, słowa więzły mu w gardle, zdławione uczuciem zbyt nowym, by mógł je zdefiniować.

Ujmując jej twarz całował ją z namietnością, która zalewała

jego serce. Potem nie mógł się już dłużej powstrzymać, wszedł głębiej w jej aksamitną tajemnicę. Rozkoszne doznanie zbliżyło go jeszcze bardziej do ciemności, której teraz pragnął ponad wszystko, do mrocznego wiru, przed którym nie mógł już uciec. Isabel dopasowała się do jego rytmu, poruszała się coraz szybciej i mocniej, jej drobne ciało wygięte było w łuk. Jęki rozkoszy rozpałały go jeszcze bardziej; czuł, że Isabel dociera już do jądra rozkoszy, więc wbił się w nią jeszcze mocniej i napelnił nasieniem. Wszedł nie w ciemność, lecz w oślepiający blask, płomień radości.

Przez chwilę oboje trwali złączeni w uścisku. Potem Kern przetoczył się na plecy, przyciągając Isabel do siebie. Patrzył na różowy baldachim, podtrzymywany z czterech stron przez tłusciutkie, nagie cherubinki.

Miał ochotę roześmiać się głośno, nie po to jednak, by drwić - był szczęśliwy, wypełniony czystą satysfakcją. Zniknął wreszcie ucisk w piersiach. Zamiast niego czuł nieopisaną czułość dla kobiety leżącej w jego ramionach.

Jej gęste włosy rozsypały się szeroką falą na jego ramieniu i twarzy, jakby łącząc ich w jedno ciało. Wdychał jej delikatny aromat przemieszany z zapachem ich miłości. Isabel leżała z głową opartą na ramieniu Kerna, leniwie przesuwając palcami po jego obojczyku. Czuł, jak jego skóra rozpała się pod tym dotykiem, napelniając go jednocześnie podnieceniem i euforią. Kiedy ostatnio czuł się tak szczęśliwy?

Kocham cię.

Ogarnęła go nagle ogromna tęsknota, pragnienie, jakiego jeszcze nigdy nie zaznał. Czy naprawdę tak myślała, czy też wypowiedziała te słowa w chwili uniesienia? Było to przecież dla niej zupełnie nowe doznanie. Być może pogubiła się wśród wielu sprzecznych, niezgłębianych jeszcze emocji. Tak jak on mógł wziąć to, co czuł do niej, za coś autentycznego i nieprzemijającego.

Z trudem odsunął od siebie te spekulacje. Nie był jeszcze gotów na rozmyślanie o przyszłości. Chciał cieszyć się tylko tą chwilą, smakować ją.

Głaszcząc jedwabistą skórę na plecach Isabel, myślał z zadowoleniem o odkryciu, które poczynił przed chwilą. Winien był jej przeprosiny. Zleją ocenił, pochopnie naznaczył tym samym

piętnem, które nosiła jej matka. Jak mógł jednak przepraszać ją za to, że się z nią kochał? Nie mógł wyrażać żalu, kiedy czuł się tak wspaniale, kiedy nie posiadał się z radości. Był jej pierwszym - jedynym - kochankiem.

- Wenus dziewica - mruknął.

Jej dłoń znieruchomiała. Isabel podniosła głowę i przyjrzała mu się ostrożnie. Poczzerwieniałe usta i zmierzwiłone włosy dodawały jej tylko uroku, świadczyły o zadowoleniu.

- Nie jestem boginią - powiedziała z lekkim wyrzutem. - Dlatego nie używam tego imienia.

- Teraz już o tym wiem - pocałował ją w czubek nosa. - I cieszę się z tego.

- A ja rozumiem teraz, co traćłam - odrzekła z uśmiechem. - Dziewictwo to mocno przereklamowany stan.

- Podobnie jak celibat. - Czuł, że łączy ich teraz nowa więź, że oboje są całkowicie bezbronni, wyznał więc bez strachu: - Isabel, wbrew temu, co sądzisz o dżentelmenach, przed tobą tylko raz byłem z kobietą. To miał być prezent na moje czternaste urodziny. Uprzejmość ze strony mego ojca. - Nie mógł ukryć goryczy, z którą zawsze wspominał to wydarzenie.

Isabel ściągnęła swe kształtne brwi w wyrazie zdumienia.

- Prezent?

- Tak. - Wciąż czuł ból i wściekłość, jaką wypełnione było wtedy jego chłopięce serce. Jeśli jednak Isabel miała poczuć się przeto lepiej, gotów był opowiedzieć jej o wszystkim. - Odkąd tylko byłem na tyle świadomy, by wydawać samodzielne osądy, nienawidziłem rozpusty, nienawidziłem tego, co robił ojciec, a on doskonale o tym wiedział. Zbyt często matka płakała z jego powodu. Dla niego była jedynie samica, która rodziła mu dzieci. Nie znalazła jednak ukojenia nawet w macierzyństwie, ja byłem bowiem jedynym spośród jej dzieci, które przeżyło okres niemowlęstwa. Umarła, kiedy miałem dziesięć lat, trawiona gorączką po kolejnym poronieniu.

Isabel zamknęła oczy, po chwili otworzyła je i spojrzała na Kerna ze współczuciem.

- Nie wiedziałam. Tak mi przykro.

Nieprzyzwyczajony do tego rodzaju emocji, wzruszył ramionami.

- Tak czy inaczej, odkąd tylko zacząłem zmieniać się z chłopca w mężczyznę, ojciec chciał mnie zepsuć, uczynić ze mnie takiego samego grzesznika jak on. Proponował mi nieraz, bym odwiedził którąś z jego licznych kochanek. Ja nie chciałem nawet o tym słyszeć, miałem dość jego występków. I opierałem się pokusie do czasu, kiedy wyjechaliśmy do naszej posiadłości na wieś. Wkrótce miałem tara obchodzić czternaste urodziny.

Przerwał na chwilę, przygnieciony ponurymi wspomnieniami. Tak bardzo pragnął wtedy wierzyć, że dobro zawsze zwycięża zło, że ojciec też kiedyś się zmieni.

- Proszę - zachęcała go Isabel łagodnie. - Powiesz mi, co się wtedy stało?

Kern wziął głęboki oddech.

- Ojciec zaprosił do siebie swoją ówczesną kochankę, pewną księżnę, która przywiozła także swą córkę, dziewczynę w moim wieku. Jako że byliśmy jedynymi dziećmi w grupie wielu dorosłych, spędzaliśmy ze sobą wiele czasu. Była ładna i sympatyczna, a ja wkrótce się w niej zakochałem.

Przypominał sobie te radosne letnie dni, kiedy śmiała się do niego, rozkołysana na huśtawce w ogrodzie, gdy patrzył nieśmiało na jej rozwianą suknię i szczupłe, zgrabne nogi.

- Miała naprawdę ogromne szczęście, mogąc cieszyć się twoją miłością- wyszeptwała Isabel, przesuwałając opuszkami palców po jego policzku i skroniach.

Ten czuły gest zachęcił Kerna do odsłonięcia przed nią duszy, zwierzenia się z wydarzeń, o których nikomu dotąd nie opowiadał.

- Drugiego dnia już całowaliśmy się skrycie, potem przyszedł czas na odważniejsze pieszczoty. Wreszcie ostatniej nocy Sarah przyszła do mego łóżka, rzekomo, by się ze mną pożegnać. Możesz sobie wyobrazić, co stało się potem. Nawet gdy mogłem mieć już pewność, że jest doświadczoną kochanką, nadal za ślepiony byłem miłością. Wierzyłem jej, ufałem. - Przypomniawszy sobie płomienne wyznania miłości, jakie czynił tej dziewczynie, skrzywił się i przeszedł szybko do dalszej części opowieści: - Następnego ranka do sypialni wszedł ojciec i zastał

nas razem w łóżku. Złożył mi życzenia urodzinowe i dał Sarze bransoletkę z brylantami, opłatę za jej usługi. Wtedy wstała i wyszła z nim.

Jej szyderczy śmiech prześladował go przez wiele lat. Aż do tej chwili. Poczł nagle, że wyznając wszystko Isabel, pozbył się ciężaru i wstydu, które dręczyły go od tamtego ranka.

Ciepły oddech Isabel owiewał jego pierś.

- To straszne. Jak twój ojciec mógł zrobić coś podobnego? I jak ta okropna dziewczyna mogła wybrać jego, zamiast ciebie?

Ten ukryty komplement sprawił mu wielką przyjemność. Pogłaskał ją delikatnie po policzku.

- To nie ma znaczenia. Potem już nigdy nie widziałem Sary. I od tamtej pory przysięgłem sobie prowadzić uczciwe, nieskalane życie. Przysięgłem, że nie będę kochał się z żadną inną kobietą prócz mej żony.

Do teraz.

Te niewypowiedziane słowa zawisły między nimi w powietrzu. Uwodząc Isabel, skomplikował sobie życie, swoją przyszłość. Będzie musiał stawić czoło konsekwencjom, podjąc trudne decyzje. Na razie jednak chciał tylko tulić ją do siebie, cieszyć się ciepłem i delikatnością jej ciała. Jedna noc zapomnienia nie uczyni zeń rozpustnika.

Jej brązowe oczy wciąż patrzyły nań z troską.

- Myślałeś, że... jestem jak Sarah.

Nie mógł temu zaprzeczyć. Miał o niej jak najgorsze zdanie. W geście zadośćuczynienia delikatnie ucałował jej czoło.

- Myliłem się. Widziałem tylko to, czego nauczyło mnie doświadczenie.

- A co widzisz teraz? - W głosie Isabel kryło się wyzwanie, które sprawiło mu ból, choć uśmiechnął się do niej ciepło.

- Widzę kobietę o niezwyklej urodzie ducha i ciała. - Przeciągnął dłońmi po jej plecach, czując, jak znów budzi się w nim pożądanie. - Kobietę, która zawsze ma swoje zdanie. - Pieścił półkule piersi. - Kobietę, która zachowała czystość dla mnie.

- A ja widzę aroganckiego mężczyznę, który zrobił to samo. - Isabel przeciągnęła się zmysłowo, a potem zaczęła bawić się

włosami na jego piersiach. - Mam nadzieję, że nie będziesz czekał równie długo na kolejne doświadczenie seksualne.

Przesłała mu nieśmiały uśmiech, który rozbudził w nim natychmiast niepohamowane, dzikie pożądanie. Przewrócił ją na plecy i pozwolił, by poczuła, jak bardzo jej pragnie.

Kiedy pokój zalały złote promienie zachodzącego słońca, oboje oddawali się pocałunkom i pieścotom, odkrywali wszystkie sekrety swych ciał. Tym razem Kern nie spieszył się, rozpałał Isabel dłońmi i ustami, ona zaś leżała, pojękując z rozkoszy, wbijając palce w jego ciało.

- Kern... och... nie powinniśmy... ale nie przestawaj... proszę, nie przestawaj...

- Powiedz więc moje imię. Justin.

- Justin. - Uśmiechnęła się do niego, jej oczy patrzyły nań z uczuciem znacznie większym, ważniejszym niż namiętność. - Justinie, kocham cię...

Tym razem musiał zdławić słowa, które cisnęły mu się na usta. Nie mógł jej kochać; nie śmiał.

- Ach, Isabel. Nigdy nie pragnąłem żadnej kobiety tak, jak pragnę ciebie.

Wszedł w nią powoli, potem zaczęli poruszać się w jednym rytmie, jakby byli jednym ciałem, jedną duszą. A kiedy dotarł na szczyt, ona była tam razem z nim; świat zamknął się wokół nich w jednym jęku rozkoszy.

Zmierch zasnuł nad pokojem purpurową kotarę. Isabel leżała przytulona do kochanka. Miała zamknięte oczy, oddychała równo, spokojnie. Ogromna czułość wypełniła jego serce, kiedy zrozumiał, że zasnęła. I nie żałował ani odrobiny, że tak ją wyczerpał.

Chciał zasnąć obok niej, obejmować ją jeszcze przez chwilę. Bał się jednak, że kiedy ochłonie, może się przeziębici, musiał ją czymś przykryć.

Odsunął się od niej delikatnie, by nie przerywać jej snu. Spojrzał na kołdrę, która zsunęła się niemal całkiem z łóżka. Gdy pochyłał się, by ją podnieść, dojrzał wśród ubrań Isabel jakiś prostokątny przedmiot owinięty w cienką tkaninę.

Pchany ciekawością, sięgnął po tajemniczy obiekt. Krew zaczęła szybciej krążyć w jego żyłach, kiedy zrozumiał, że

trzyma w dłoni jakąś książkę. Szybko rozwiązał tasiemkę i wyjął z ukrytej kieszeni cienki, oprawny w skórę tomik. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w tytuł wypisany na okładce. „Prawdziwe wyznania kurtyzany”.

Kiedy poznałam Apolla, oboje darzyliśmy się nienawiścią. Stało się to pewnej nocy, kiedy to kilku dżentelmenów namówiło mnie do udziału w przyjęciu wydawanym w prywatnym klubie przy St. James Street. Miałam być podarunkiem dla ich przyjaciela w przeddzień jego zaręczyn. Zaintrygowana tym pomysłem, pozwoliłam, by do klubu wniesiono mnie na wielkim półmisku przykrytym srebrną tacą.

Kiedy już byłam na miejscu, odziana jedynie w półprzezroczystą suknię, wynurzyłam się z ukrycia niczym Wenus z morskich fal. I stanąłam przed najwspanialszym mężczyzną jakiego kiedykolwiek poznałam w mej długiej i barwnej karierze kurtyzany.

Apollo oczywiście był wściekły. Zrozumiałam to później, kiedy poznałam lepiej jego szlachetny charakter. W tamtej jednak chwili, kiedy spojrzał na mnie z pogardą nazwał przy wszystkich dżentelmenach dziwką i wyszedł z pokoju, nienawidziłam go.

I byłam gotowa zrobić wszystko, by go mieć. Żaden generał nie przygotowywał staranniej swej kampanii niż ja tamtej wiosny. Ubierałam się jak dama i odwiedzałam Apolla. Zawsze wychodziłam do parku wtedy, kiedy on wybierał się na przejażdżkę. A kiedy wreszcie znalazłam się w jego łóżu, to cudowne doświadczenie położyło kres naszej wzajemnej wrogości i obudziło w nas szlachetniejsze uczucia.

Och, jakim próżnym i głupim stworzeniem byłam do tamtego czasu! Myślałam, że wiem, co znaczy kochać mężczyznę. Tamtego lata poświęciłam się wyłącznie jemu, byliśmy sobie wierni aż do naszej ostatniej nocy, nocy poprzedzającej jego ślub. Właśnie wtedy Apollo splotdził dziecko...

„Prawdziwe wyznania kurtyzany”

16

Isabel obudziła się w ciemnościach, w pustym łóżku.

Przez chwilę nie mogła zrozumieć, dlaczego leży w pokoju matki, dlaczego jej ciało jest tak cudownie nasycone i skąd bierze się ten przyjemny ból w jej brzuchu. Nie otwierając oczu, przeciągnęła się rozkosznie, ciesząc się jak nigdy dotykem gładkiej pościeli na jej wrażliwej skórze. Potem poczuła ulotny zapach piżma i w jednej chwili przypomniała sobie całe to radosne wydarzenie.

Kochała się z Kernem. Ich ciała dwukrotnie połączyły się w najbardziej intymny sposób. Wydawało jej się, że wciąż czuje dotyk jego dłoni i ust, doprowadzający ją do ekstazy, o jakiej nigdy nawet nie śniła. Na samą myśl o tej rozkoszy znów zapagnęła Kerna.

Czyżby już ją zostawił?

Uniosła głowę znad poduszki i dojrzała po drugiej stronie pokoju krąg światła. Poczucie osamotnienia ustąpiło wszechogarniającej radości. Ukryty do połowy w cieniu, siedział w fotelu przy kominku. Na małym stoliku obok fotela paliła się świeczka. Włożył już ubranie, ale i tak wyglądał zachwycająco w rozpiętej białej koszuli, ukazującej jego szeroką pierś. Jedną nogę opierał na stołku, pochylony nad książką, którą trzymał na kolanach. Pochłonięty jej treścią, nie zwracał uwagi na otoczenie. Przypatrując mu się ukradkiem, Isabei przypomniała sobie, jak dotykał policzkiem jej piersi, i samo to wspomnienie przywołało przyjemny dreszcz.

Kochała go. Kiedy powiedziała to po raz pierwszy, zaskoczyła samą siebie nieoczekiwaną mocą tego uczucia. Słowa wypływały prosto z serca, były nieuniknione jak nadejście nocy po dniu. Połączyło ich coś więcej niż pożądanie, więcej niż zaspokojenie fizycznego pragnienia. Kochała Justina Culvera, lorda Kern i dziedzica księcia Lynwood. Kochała siłę jego charakteru, poczucie honoru, determinację w poszukiwaniu prawdy. Mimo wysokiej pozycji był dobrym człowiekiem, mężczyzną wartym jej uczucia.

Jednak po tych radosnych myślach przyszła pora na smutniejsze refleksje. Isabel z przerażeniem myślała o konsekwencjach tego zdarzenia, o ich wzajemnych stosunkach, które uległy radykalnej zmianie. Co powinni teraz zrobić? Kern nie był łajdakiem, który wykorzystuje kobietę, a potem ją porzuca. Nie mógł też jednak oddać jej serca. Był zaręczony z Helen.

Dławiący ból chwycił Isabel za gardło. Nie mogła nawet myśleć o spotkaniu z kobietą, która była dla niej jak siostra, a ona zdradziła ją w najpodlejszy sposób.

Oczywiście nie była to zdrada zaplanowana z zimną krwią. Oboje z Kernem dali się porwać namiętności, burzy zmysłów. Instykt i emocje wzięły górę nad logiką i rozumem. Teraz z bólem serca Isabel myślała o niemożności wyjścia z tej skomplikowanej sytuacji. Podobnie jak jej matka zakochała się w arystokracie, który był zaręczony z damą.

Kern przewrócił kartę. Mógł odejść, kiedy spała. Tymczasem czekał na jej przebudzenie, a sama jego obecność otwierała przed nią nadzieję, pozwalała nadal marzyć o szczęśliwym zakończeniu tej historii.

Nigdy nie pragnęłam żadnej kobiety tak, jak pragnę ciebie.

Nie była to deklaracja miłości, ale wyznanie, na którym tak bardzo Isabel zależało. Ogarnięta nagłą tęsknotą, ześliznęła się cicho z łóżka. Kątem oka dostrzegała ślady zniszczenia w pokoju, jednak nawet to ponure wspomnienie nie mogło przyćmić radości, jaką odczuwała, patrząc na ukochanego.

- Justinie? - To także było dla niej nowe i dziwne uczucie, nigdy dotąd nie zwracała się do żadnego dżentelmena po imieniu.

Kern podniósł raptownie głowę i wbił w Isabel przenikliwe

spojrzenie. Nie odwzajemnił uśmiechu, który mu przesłała. Był poważny, jego twarz wyglądała jak wyciosana z granitu. Zrozumiała natychmiast, że coś się w nim zmieniło, choć nie potrafiła powiedzieć co. Spojrzenie jego zielonych oczu przesuwano się po niej powoli, od korony splecionych włosów, przez całe nagie ciało.

Onieśmielona, zatrzymała się przy oparciu łóżka. Jeszcze przed chwilą nie wstydziła się przed nim nagości, teraz bezskutecznie próbowała zakryć się rękami. Zaintrygowana jego dziwnym zachowaniem, przyjrzała mu się uważniej, patrzyła na czarująco rozwichrzone ciemne włosy, szlachetne rysy twarzy, rozpiętą koszulę, ciemną strzałę włosów na jego piersi, skierowaną w dół, ku jego...

Spojrzenie Isabel zatrzymało się na otwartej książce.

Zar ogarniający jej wnętrze natychmiast zmienił się w lodowaty chłód. Otworzyła usta, lecz zdołała wydobyć z siebie tylko ciche westchnienie.

Kern czytał „Prawdziwe wyznania kurtyzany”.

W jednej chwili wszystko pojęła, przypomniała sobie, jak ją rozbierał, jak zerwał tasiemkę podtrzymującą sekretną kieszeń. Gotowa była wtedy zrobić wszystko, byle tylko nie zauważył dziennika, zdesperowana do tego stopnia, że zrzuciła z siebie ubranie, by zakryć nim książeczkę. Wciągnęła Kerna do łóżka, a potem zapomniała już o wszystkim prócz niego.

Aż do tej pory.

Jednym susem znalazła się przy fotelu.

- Oddaj mi to.

- Za późno. - Kern zamknął dziennik z trzaskiem. - Już przeczytałem.

- Oddaj - powtórzyła przez zaciśnięte zęby.

- Nie. - Siedział nieruchomo, patrząc na nią z irytującym spokojem. - Najpierw porozmawiamy.

Miała ochotę się na niego rzucić, wyrwać memuary z jego rąk. Powstrzymała się jednak, widząc oczami wyobraźni, jak szarpie się z nim bezskutecznie zupełnie naga. Przeklinała w myślach gorący impuls, który znów ogarniał jej brzuch i biodra. W tej chwili nie chciała wcale, by Kern jej dotykał.

Odwróciła się na pięcie i wróciła do łóżka. Drżącymi rękami podniosła koszulę i wciągnęła ją przez głowę. Pomięta bielizna okrywała ją od kolan w górę i nadawała jej choć pozory skromności. Nie zwlekając dłużej, znów podbiegła do fotela.

- Ta książka należała do mojej matki. Nie masz prawa mi jej odbierać.

- Nie odbieram ci jej. I mam pełne prawo wiedzieć, co w niej jest. Być może są tutaj jakieś wskazówki, które pominęłaś.

Wyciągnęła rękę. Kern zignorował ten gest. Wciąż trzymając w dłoni cienki tomik, przekrzywił głowę i spojrzał na Isabel.

- Myślisz, że Trimble jest twoim ojcem?

Chciała temu zaprzeczyć, lecz nie była w stanie wydobyć z siebie głosu. Teraz Kern już wiedział. Znał nazwisko łajdaka, który tak nisko cenił swą córkę. Trimble odrzucił ją, zostawił, jakby była zbędnym przedmiotem. To nie powinno jej boleć. A jednak bolało. W jej sercu wciąż mieszkała ta samotna mała dziewczynka, która udawała, że jej ojciec jest królem.

- Teraz rozumiem, dlaczego tak dziwnie się zachowywałaś w jego obecności - rzekł Kern. - Ten człowiek zna wszystkie tajemnice twojej matki. Jedyne mężczyzna, którego nie nazywała imieniem starożytnego boga. Jedyne mężczyzna, któremu na prawdę ufała.

Isabel dopiero teraz zdołała wykrztusić z siebie kilka słów:

- Obiecuj mi, że nie będziesz domagał się od niego żadnych wyjaśnień. Chciałabym zrobić to sama,

- Nie złożę ci takiej obietnicy.

- Dlaczego nie?! - zawołała.

- Bo być może doszłaś do błędnego wniosku. Być może Trimble wcale nie jest twoim ojcem.

Isabel cofnęła się o krok.

- Słucham? Ja miałam znacznie więcej czasu niż ty, by przemyśleć wszystko, co napisała moja matka.

- To tylko przeczucie. Coś, co muszę zbadać dokładniej.

- Nie. Twoje śledztwo już się zakończyło. - Nie chciała, by pytał Trimble'a o cokolwiek. Skoro ten nie chciał jej zaakceptować, wołała o nim zapomnieć, nie dopraszać się jego uwagi.

Starając się zapanować nad drżeniem głosu, powtórzyła: - A teraz oddaj mi dziennik. Kern oparł się wygodnie o fotel i z nieodgadnioną miną przyglądał się Isabel. - Znalazłem tutaj także kilka innych ciekawych rzeczy. Dowiedziałem się sporo o twojej matce. - Doprawdy? Upewniłeś się w przekonaniu, że jest godna tylko drwin i pogardy? - Isabel nie mogła ukoić bólu, który przejmował jej serce. Czowała się całkowicie bezbronna, odarta z wszelkich sekretów dotyczących jej przeszłości. - Bawiły cię °PJsy jej spotkań z dzentelmenami? Bardzo ekscytujące, prawda? Kern zmarszczył czoło. - Czytałem już wcześniej fragment dotyczący mego ojca, tę kopię, którą przysłałaś mu przed naszym pierwszym spotkaniem. Inne opisy nie różnią się zbytnio od tego. - Nie próbuj mnie okłamywać. - Isabel ogarnął nagle gniew. - Wiem, co znaczy dowiedzieć się ze szczegółami, jak żyła moja matka, co robiła ona i jej kochankowie, gdzie to robiła, jak i kiedy. - Wzięła głęboki oddech i mówiła dalej: - Te wspomnienia potwierdzają tylko, jak dalece różniła się od twojej definicji damy... - Głos Isabel załamał się nagle, gorące łzy wypełniły jej oczy i spłynęły po policzkach. Upokorzona odwróciła się od Kerna, ten jednak rzucił dziennik na stolik, pochwycił ją wpół i przyciągnął do siebie. Zapomniała o uprzedzeniach i przytulona szlochała cicho, wyrzucając z siebie całą złość i smutek. Kern gładził ją przez cały czas po głowie i szeptał słowa pocieszenia, których nie odważyła się słuchać. Z pewnością uważał, że grzechy jej matki plugawią także i ją. Nie powinna nawet marzyć o tym, by kiedykolwiek była dla niego kimś więcej niż kochanką. Kobieta o jej pochodzeniu nie mogła przecież zostać żoną arystokraty. Żoną. W głębi serca uznała tę bolesną, niemożliwą prawdę. Chciała wyjść za Kerna, nosić jego dzieci, spędzać z nim każdą noc, kroczyć dumnie u jego boku podczas spotkań towarzyskich. Chciała, by znając jej niechlubną przeszłość, mimo wszystko darzył ją szacunkiem i miłością. Tak bardzo pragnęła być lady Kern.

Delikatnie ujął ją pod brodę, uniósł jej głowę i starł z policzka zablakaną łzę.

- Isabel, przepraszam, że cię zraniłem - odezwał się cicho. - Wierz mi, wcale tego nie chciałem. I wcale nie osądzam twojej matki tak, jak myślisz. Po raz pierwszy ujrzałem ją jako zwykłego człowieka, który ma swoje marzenia i sny. - Wypowiadał te słowa z wyraźnym oporem, jakby wciąż miał kłopoty z uznaniem tej prawdy.

Isabel dała ujście targającym nią emocjom.

- Wielu ludzi uważało ją za odrażającą istotę. Ale ona była moją matką, Justinie. Starła się jak najlepiej ułożyć mi życie.

- Tak, teraz to rozumiem. I kochała twojego ojca, kimkolwiek był. Łączyło ich coś więcej niż przelotny romans.

- Pozwoliła, by ją wykorzystał. Świadomie go uwodziła.

- Chwała Bogu, że tak się stało. Inaczej nigdy byś się nie urodziła.

Usta Kerna drgnęły w ledwie dostrzegalnym uśmiechu, dodając jego i tak urodziwej twarzy szelmowskiego uroku. Gładził powoli ramię Isabel, pomagał jej pozbyć się napięcia i zdenerwowania. Gorycz i smutek opuszczały jej serce, wypalone przez niegasnący płomień miłości. I przez świadomość, że Kern nie uważa jej za ladacznicę.

Czuła, jak jej podbrzusze znów wypełnia się żarem pożądania. Leżała półnaga w ramionach pięknego mężczyzny. Jego ciemne oczy patrzyły na nią z zachwytem, przyprawiając o rozkoszny dreszcz obejmujący całe jej ciało. Spojrzenie Kerna wędrowało w dół, by zatrzymać się na stwardniałych sutkach, rozpychających cienką materię koszuli.

Powoli przesunął rękę w dół. Isabel wstrzymała oddech, wyczekując z radością nowych pieszczot. Kern jednak dotknął ciepłą i mocną dłoń jej płaskiego brzucha.

- Isabel - powiedział dziwnym, chrapliwym głosem. - Być może nosisz moje dziecko.

Przez chwilę patrzyła na niego w osłupieniu, gdy znaczenie tych słów docierało do jej umysłu, wypełniając ją niepohamowaną radością i ogromnym przerażeniem.

- Dobry Boże. Nie myślałam... - Umilkła, zmagając się

z natłokiem myśli, ze zdumiewającą świadomością, że może w jej ciele poczęło się dziecko, że urodzi Kernowi syna lub córkę. Przypomniała sobie także własną samotność, ogromną tęsknotę za nieznanym ojcem.

Pochwyciła go za kłapy koszuli i oświadczyła stanowczym tonem:

- Jeśli naprawdę jestem w ciąży, to nie pozwolę ci zostawić mnie tak, jak mój ojciec zostawił matkę. Nie chcę, by nasze dziecko cierpiało takie same katusze jak ja.

- Oczywiście, że nie - odparł Kern. - Apollo postąpił jak ostatni łajdak, porzucając cię. Przysięgam przed Bogiem, że nigdy nie zrobiłbym tak jak on. Nigdy, przenigdy nie wyrzekłbym się własnego dziecka.

Serce Isabel biło jak oszalałe, jakby próbowało wyrwać się z piersi. Czyżby Kern chciał w ten sposób powiedzieć, że się z nią ożeni? A jeśli jednak nie była w ciąży? Czy nadal będzie się z nią spotykał, kochał z nią, czy poprosi ją o rękę? Setki pytań cisnęły się jej na język, chciała znać odpowiedź na każde z nich.

- A co z Helen? - wyszeptała. - Co jej powiemy?

Kern zacisnął palce na ramieniu Isabel. Na jego twarzy pojawił się grymas cierpienia i żalu, odwrócił spojrzenie, wpatrzone gdzieś w ciemności. Potem pokręcił powoli głową.

- Nie wiem - przyznał niskim, pełnym bólu głosem. - Na prawdę nie wiem.

Isabel zdobyła się na odwagę i spytała wprost:

- Kochasz ją?

Kern powrócił spojrzeniem do jej twarzy.

- Bardzo ją lubię. Choć... nie w ten sposób. - Poglądził pieszczotliwie Isabel po biodrze, potem jego dłoń znieruchomiała. - Ale to nie jest kwestia miłości. To kwestia honoru.

Ogromny ból ścisnął serce Isabel, kiedy zrozumiała jego wahanie. Znaleźli się w potrzasku, nie chcieli ranić Helen, a jednocześnie zdawali sobie sprawę, że stoi ona na drodze ich szczęścia. Kern musiał cierpieć prawdziwe męczeństwo, kiedy rozumiał, że złamał nie tylko przysięgę z młodości, ale i obietnice zaręczynowe. Nie należał do ludzi, którzy zapominają łatwo

o danym słowie, zresztą wcale nie przysporzyłoby mu to szacunku w oczach Isabel.

To, co się wydarzyło, nie było dlań tylko jedną z wielu miłosnych przygód; do tej pory prowadził życie mnicha, prawdziwie czyste. Z drugiej jednak strony nie powiedział także, że kocha Isabel. Westchnęła ze smutkiem. Nigdy dotąd żaden mężczyzna nie powiedział jej tych dwóch magicznych słów, a ona tak bardzo chciała usłyszeć je z ust Kerna.

Delikatnie dotknął jej policzka; w jego oczach czaił się smutek.

- Muszę już iść - powiedział.

Przeżona myślą, że już nigdy do niej nie wróci, przytuliła się do niego mocniej.

- Mamy tę noc - wyszeptała. - Och, Justinie, nie zostawiaj mnie jeszcze. Nie mogłabym tego znieść.

- Myślisz, że nie chciałbym zostać? - spytał. - Nie mogę jednak z czystym sumieniem...

Wciągnął głośno powietrze, kiedy Isabel przerzuciła nogę nad jego kolanami i bezwstydnie dosiadła go okrakiem, niczym ogiera. Patrzyła mu prosto w twarz, opierała dłonie na jego piersiach, czuła, jak mocno bije jego serce, czuła, jak twardnieje pod nią. Ogromna fala pożądania omal nie pozbawiła jej świadomości.

- Co chciałeś powiedzieć? - spytała niewinnym głosem.

- Diablica - mruknął pod nosem, ale nie zepchnął jej z siebie. Wplótł palce w jej włosy, ona zaś nie potrzebowała innej zachęty, by schylić się do jego ust. Załedwie jeden oddech dzielił ich od pocałunku, którym mogła zatrzymać go przy sobie, być może na zawsze zdobyć jego uczucie...

Głośne pukanie do drzwi zniszczyło erotyczny czar. Dłonie Kerna zacisnęły się mocno na talii Isabel.

- Do stu diabłów! - warknął.

Odwróciła się raptownie i wbiła wzrok w ciemności zalegające w buduarze.

- Moje ciotki. O Boże, zupełnie o nich zapomniałam. Nie powinny zobaczyć nas w takim stanie.

Szybko zsunęła się z jego kolan, nim jednak mogła podbiec do swych ubrań, Kern chwycił ją za rękę.

- Isabel, poczekaj. Ufasz mi? Czułość wypełniła jej serce po brzegi.

- Oczywiście.

- Więc pozwól mi zabrać dziennik.

- Nie!

- Posłuchaj - rzekł stanowczym tonem. - Ta książka powinna leżeć zamknięta w banku. Jeśli mi nie wierzysz, rozejrzyj się tylko. Jest ktoś, kto nie powstrzyma się przed niczym, byle ją tylko odnaleźć.

Spojrzała z zakłopotaniem na zniszczony pokój. Intruz ugodził nożem ciotkę Minnie... Isabel przełknęła z trudem ślinę.

- Ale to wszystko, co mi zostało po mojej mamie.

- Wiem. Obiecuję, że kiedyś wróci do ciebie. - Kciukiem delikatnie gładził wnętrze jej dłoni. Potem jego oczy stały się nagle dziwnie obce, zimne jak lód. - Poinformuję także wszystkich zainteresowanych dżentelmenów, że teraz dziennik jest w moim posiadaniu. Może chociaż w ten sposób zdołam ustrzec cię przed niebezpieczeństwem.

Nie odrywając od niego spojrzenia, Isabel sięgnęła po tomik i wręczyła go Kernowi.

- Jak sobie życzysz, mój panie,

Gniew zniknął z jego oczu równie szybko, jak się tam pojawił, zastąpiony ciepłym uśmiechem. Kern podniósł do ust jej dłoń i ucałował czule. Kolana ugięły się pod Isabel; w tej chwili gotowa była obiecać mu wszystko, oddać się mu bez reszty.

Ale mogła ofiarować jedynie serce.

Z buduaru ponownie dobiegło głośne pukanie. Isabel rzuciła się do swych ubrań, nie wciągała nawet halki, byle tylko szybko włożyć suknię. Kern zapiął koszulę i schował dziennik do wewnętrznej kieszeni. Kiedy wiązał fular, pomyślała z bólem serca, że nigdy nie wyglądał równie przystojnie. Ani nie wydawał jej się bardziej odległy, poza jej zasięgiem.

Podszedł do niej i pomógł zapiąć suknię na plecach, potem pocałował ją jeszcze na pożegnanie.

- Isabel, chciałbym... - Przerwał na moment, zakłopotany. - Nie mogę składać ci żadnych obietnic. Postąpiłbym nieuczciwie. Rozumiesz to, prawda?

- Tak - przyznała z bólem. Uświadomiła sobie, że w przyszłości będzie mogła cieszyć się jedynie okruchami wspomnień.

Z korytarza dobiegały przytłumione głosy kobiet toczących jakiś spór. Przygotowując się wewnętrznie na nieprzyjemną scenę, Isabel otworzyła drzwi.

Za progiem stała Diana, w uniesionej ręce trzymała zapaloną świecę. Pozostałe kobiety tłoczyły się za jej plecami. Umilkły nagle, ujrawszy rozczochrane włosy Isabel i jej pomięte ubranie. Czwooro par oczu zmierzyło oskarżycielskim spojrzeniem Kerna, który stał tuż za nią. Aristokrata opierał dłonie na ramionach Isabel, chcąc dodać jej otuchy, ona zaś najchętniej oparłaby się o niego całym ciałem.

Diana zacisnęła mocno pięknie wykrojone usta.

- Cóż - zaczęła zgrzytliwym tonem. - Chciałyśmy się dowiedzieć, czy znaleźliście jakieś przedmioty należące do włamywacza. Zdaje się jednak, że przyszyliśmy trochę za późno.

- Mówiłam ci, żebyśmy im nie przeszkadzały - ofuknęła ją Minnie, przykładając obandażowaną rękę do swego obfitego brzucha. - Jest już dorosła, nie potrzebuje naszej opieki. Nie powinniśmy wypychać nosa w jej sprawy.

- W jej sprawy? Wychowywałyśmy ją tak, by żyła lepiej niż my. - Diana minęła Isabel i przeszła do sypialni.

Dziewczyna z ociąganiem ruszyła jej śladem, a pozostałe ciotki szły za nią, szepcząc między sobą niczym wiejskie kumoszki.

Diana zatrzymała się przy łóżku i uniosła świeczkę, oświetlając prześcieradło, na którym rysowały się wyraźnie małe rdzawe plamki. Inne kobiety zgromadziły się obok niej, wydając okrzyki zdumienia.

- Nic dziwnego, że tak długo nie otwierali drzwi - powiedziała Callie, spoglądając na Isabel z zazdrością.

- Nasza droga mała Wenus stała się wreszcie kobietą-mruknęła Minnie, kręcąc głową z niedowierzaniem.

- O Boże - zachłysnęła się Persy, opadając na stołek przy łóżku. - Chciałyśmy zaprosić waszą lordowską mość na kolację. Zdaje się jednak, że w tej sytuacji nie był to najlepszy pomysł.

Diana zacisnęła dłoń w pięść i odwróciła się do Kerna.

- Łajdaku! Uwiodłeś ją, zniszczyłeś jej przyszłość.

Kern stał wyprostowany, nieruchomy. Nie próbował się usprawiedliwiać, nie bronił się przed oskarżeniami.

Upokorzona Isabel zakryła kołdrą poplamione prześcieradło. Nie chciała, by Diana stawała w jej obronie, nie potrzebowała litości Persy ani nawet aprobaty Minnie i Callie.

- Wystarczy - rzuciła ostro. - Lord Kern nie zrobił nic, czego sama nie chciałam. I to wszystko, co zamierzam powiedzieć w tej kwestii.

W pokoju zaległa cisza. Ciotki spoglądały niepewnie na Isabel, zszokowane jej zachowaniem. Ona jednak nie czuła najmniejszych wyrzutów sumienia. Już czas, by jej opiekunki zrozumiały, że jest dorosłą kobietą.

Callie podeszła bliżej i objęła Isabel w czułym, matczynym geście.

- Masz rację, nie powinniśmy się wtrącać do nie swoich spraw - powiedziała. - Mam tylko nadzieję, że byłaś ostrożna. Używałaś francuskiej gąbki?

- Frań... czego?

- Wyjaśnimy ci to za chwilę - wtrąciła się Minnie. Spoglądając znacząco na Kerna, dodała: - Jestem pewna, że jego lordowską mość chciałby nas już opuścić.

Kern, który przysłuchiwał się ich rozmowie z wyraźnym zakłopotaniem, złożył kurtuazyjny ukłon i oświadczył oficjalnym tonem;

- Za pozwoleniem szanownych pań.

Spojrzał jeszcze raz na Isabel, ta zaś łudziła się przez chwilę, że podejdzie do niej i pocałuje na pożegnanie, da wyraz swym uczuciom. On tymczasem odwrócił się i ruszył do drzwi.

Kiedy odgłosy jego kroków na korytarzu ucichły, Isabel chciała pobiec za nim, by jeszcze raz doświadczyć tego cudownego uczucia bliskości. Pragnęła, by wziął ją w ramiona i już nigdy nie opuszczał.

Jednocześnie zdawała sobie sprawę, że nie może być pewna, czy kiedykolwiek do niej wróci. Kiedykolwiek.

Nie mogą składać ci żadnych obietnic. Postąpiłbym nieuczciwie.

- Wyglądasz na zmęczoną, moja droga - powiedziała ciotka

Persy drżącym głosem. - Pamiętam, że po moim pierwszym razie byłam cała obolała. Powinnaś wziąć gorącą kąpiel.

Isabel zdobyła się na słaby uśmiech. Gdyby tylko to lekarstwo mogło ukoić również ból w sercu.

- Dziękuję, ciciu. Pewnie to zrobię.

Pozostałe kobiety zgromadziły się wokół niej i spoglądały na nią z troską.

- Usiądź sobie - poradziła jej Diana, prowadząc dziewczynę do fotela. - Pójdę przygotować kąpiel. - Energicznym krokiem wyszła z pokoju.

- Nie dodawaj do wanny za dużo zimnej wody! - zawołała za nią Callie. Odwracając się do Isabel, dodała konfidencjonalnym tonem: - Gorąca woda pomaga także zapobiegać poczęciu. Choć najlepsza jest francuska gąbka.

- Jak to?

- Nasączona jest octem i nie dopuszcza do zapłodnienia - powiedziała Minnie. Potem zaczęła tłumaczyć podopiecznej, jak najłatwiej umieścić ten przyrząd w łonie.

Isabel słuchała ciotki z dziwną fascynacją, dotykając ukradkiem swego brzucha. Choć rozum nakazywał jej zapamiętywać cenne uwagi i stosować w przyszłości właściwe środki ostrożności, instynkt pchał jej myśli w zupełnie innym kierunku. Czy pod sercem nosiła już dziecko Kerna? Małego chłopczyka z czarnymi włosami i ujmującym uśmiechem... a może córeczkę z zielonymi oczami elfa...

Czyjej matka równie mocno pragnęła urodzić dziecko Apolla?

Nagle zrozumiała, że nie chce gorącej kąpieli, nie chce, by ciotki się o nią troszczyły. Musiała uciec od ich dobrych rad, potrzebowała czasu na rozmyślenia. Musiała uporządkować nowe emocje tłoczące się w jej sercu.

Zerwała się na równe nogi.

- Chyba zabawiłam tu zbyt długo. Muszę wracać do Hathawayów.

- Diana cię zdenerwowała, prawda? - spytała ciotka Persy. - Moja droga, nie możesz uciekać tylko dlatego, że czujesz się winna, że dręczą cię wyrzuty sumienia. Wcale nie jesteśmy na ciebie złe, martwimy się tylko o ciebie, bo cię kochamy.

Isabel pochyliła się i uściśliła serdecznie drobną Persy.

- Ja też was kocham. Wszystkie.

Minnie opadła na łóżko, które zaskrzypiało pod jej ciężarem.

- Więc zostań tu z nami - poprosiła. - Wszystko się zmieniło. Nie możesz już dłużej udawać damy. Powinnaś wrócić do swojej rodziny, tu gdzie twoje miejsce.

Isabel przełknęła z trudem ślinę. Czy naprawdę jej miejsce było tutaj, w tym zaniedbanym domu, wśród kobiet, które ją wychowały? Czy należała raczej do pełnego splendoru świata Kerna, świata arystokracji? Ciotka Minnie miała rację: wszystko się zmieniło. Isabel czuła, że żyje w zawieszeniu pomiędzy tymi dwoma rzeczywistościami, a teraz musiała jakoś znaleźć drogę wyjścia.

- Nie mam wyboru - powiedziała. - Muszę wracać. Jak inaczej mogłabym odnaleźć mordercę mamy?

Callie podniosła z podłogi zniszczoną różową suknię. Koronka została rozerwana, tkanina przecięta nożem.

- Nie przypuszczam, żeby udało wam się ustalić, kto to zrobił.

- Jeszcze nie. - Wracając myślami do tej ponurej sprawy, Isabel przypomniała sobie słowa Kerna.

Być może włamywaczem była jedna z kobiet mieszkających w tym domu.

Zimny dreszcz przebiegł jej po plecach. Spojrzała na Callie, która przebierała w stercie butów, wachlarzy i bielizny. Z przerażeniem powróciła pamięcią do innych słów wypowiedzianych przez Kerna.

Ktoś zdradził cię za kilka złotych monet. Tym kimś była Callandra.

Po raz pierwszy w swym dwudziestoosmioletnim życiu Kern był pijany. Siedział w bibliotece z nogami opartymi na mahoniowym biurku, przy którym tak często czytał projekty ustaw albo przeglądał księgi rachunkowe ze swego majątku w Derbyshire. Teraz przy blasku kilku świec, z głową odchyloną na oparcie krzesła, liczył pęknięcia na suficie.

Ta bezmyślna czynność wydawała mu się znacznie bardziej produktywna niż rozmyślanie o tym, jak zrujnował swe życie albo, co gorsza, jak zrujnował życie Isabel.

Łajdaku! Uwiodłeś ją, zniszczyłeś jej przyszłość.

Te słowa powracały do niego bezustannie, pogłębiając jeszcze dręczące poczucie winy. Sięgnął po szklankę i przystawił ją do ust. Była pusta.

- Piekło i demony! - wycedził przez zaciśnięte zęby.

Z trzaskiem opuścił stopy na podłogę. Odsunął obite skórą krzesło, wstał i chwiejnym krokiem podszedł do kredensu. Wcale nie podobał mu się stan oszołomienia, w jaki wprawiał go alkohol. Odbierał tylko zdolność logicznego myślenia, nie pozwalając mu jednocześnie uciec od sentymentów. Jego myśli wciąż wracały do Isabel, do tych cudownych chwil, kiedy jego pieścioty doprowadziły ją do ekstazy i kiedy jej usta wypowiedziały te magiczne słowa.

Kocham cię.

Czuł zdradliwie ciepło pod powiekami, kiedy zajrzał do pustej

szklanki. Nic dziwnego, że nigdy się nie upijał. Ból pozostawał ten sam, trudniej było tylko zapanować nad emocjami. Mimo to napelnił szklankę raz jeszcze i opróżnił ją jednym haustem. Zrujnował także życie Helen, choć ona jeszcze o tym nie wiedziała. W ciągu tych kilku godzin, które minęły od rozstania z Isabel, podjął trudną, lecz nieuniknioną decyzję. Musiał zmienić swoje plany na przyszłość. Nie mógł ożenić się z Helen.

Nie czuł żadnego uniesienia czy ulgi, myślał tylko o tym, jak bardzo ją zrani. Podziwiała go, ufała mu tak, jak tylko może ufać naiwna dziewczyna. Wiedział, że jeśli nawet weźmie na siebie całą winę, Helen i tak będzie czuć się odrzucona, upokorzona przed całym towarzystwem.

Nie mógł w żaden sposób umniejszyć jej bólu. Choć świadom był tego, jak wielkie cierpienie sprawi jej wiadomość, że zdradził ją z inną kobietą, nie mógł przysięgać przed obliczem Boga, że będzie ją szanował i pozostanie wierny do końca życia. Jego dusza i ciało należały do innej kobiety. *Kocham cię.*

Nie mogąc zdławić ogromnej tęsknoty, która przenikała go na wskroś, zdesperowany i rozwścieczony rzucił pustą szklanką w kominek. Pocisk chybił jednak celu i rozbił się na ścianie, rozsiewając dokoła kryształowe odłamki.

Kern ponownie opadł na krzesło, przeciągnął rozczapierzonymi palcami przez włosy. Zdawało mu się, że czuje słodki zapach skóry Isabel, widzi zmysłowy uśmiech, czuje, jak jej gorące ciało zamyka się wokół niego. Jedna upojna noc nie zaspokoila jego pragnienia; rozbudziła je tylko, powiększyła stukrotnie. Nie mógł bez niej żyć. *Kocham cię.*

Te słowa tkwiły w jego sercu jak cień. Zasługiwała na dobrego męża, ale on nigdy nie mógłby nim być. Nie mógł pojąć jej za żonę. Taki mezalians był po prostu niemożliwy. Dla niej jednak gotów był porzucić zasady, swoją filozofię życiową. Dla niej stanie się podobny do ojca.

Do diabła z honorem! Choć miałoby to doprowadzić jego życie do ruiny, będzie ją miał. Uczyni z Isabel Darling kochankę.

Ależ z ciebie leniuch - oświadczyła Helen wesołym tonem.

Isabel otworzyła oczy. Uśmiechnięta blondynka stała przy jej łóżku. Trzymała na rękach Milorda, który merdał ogonem jak szalony. Pokój wypełniony był szarym światłem, przez otwarte okno wpływał do wnętrza zapach deszczu.

- Milord i ja nie śpimy już od kilku godzin - paplała Helen, drapiąc psiaka za uchem. - Callie mówiła, że wróciłaś wczoraj dość późno. Czy twoja znajoma czuje się już lepiej?

Nic nie świadczyło o tym, by Helen wiedziała, jakie wydarzenia zatrzymały jej „kuzynkę” poprzedniego wieczoru. Serce Isabel wypełniło w jednej chwili bolesne poczucie winy i szalona, haniebna zazdrość. Och, być narzeczoną Kerna! Czy ta dziewczyna wiedziała, jak wielkie spotyka ją szczęście?

Uświadomiła sobie, że Helen czeka na odpowiedź.

- Moja znajoma? Ach, przyjaciółka mojej mamy. - Isabel wzdrygnęła się, przypomniawszy sobie okropności, jakie przeżyła Minnie. - Miała... drobny wypadek, ale teraz czuje się już lepiej. Dziękuję ci bardzo za wyrozumiałość, bardzo zależało mi na tym, by się z nią zobaczyć.

Helen skrzywiła się lekko.

- Nie mam przecież żadnej władzy nad tobą, kuzynko. Choć przyznam, że brakowało mi wczoraj twojego towarzystwa. Zakupy z Gillie są dość nudne, choć znalazłam śliczny różowy czepek do mojej wyprawy.

Kiedy Helen opisywała wszystkie przedmioty, jakie nabyła z myślą o przyszłym życiu, Isabel toczyła cichą wojnę z zazdrością i rozpaczą. Wydarzenia poprzedniej nocy wydawały jej się teraz tylko cudownym snem. Rzeczywistością była niczego rozkosznie nieświadoma Helen, która szczebiotała wciąż o swych ślubnych ubraniach.

Dobry Boże, gdyby poznała prawdę, znenawidziłaby „kuzynkę”.

Ze ściśniętym gardłem Isabel podniosła się z łóżka. Miała już sięgnąć pod poduszkę, by wydobyć stamtąd dziennik, przypomniała sobie jednak, że oddała go Kernowi na przechowanie.

Może chociaż w ten sposób zdołam ustrzec cię przed niebezpieczeństwem.

Jego słowa przebiły się niczym promienie słońca przez gęstą chmurę smutku. Zatęskniła nagle za jego męskim ramieniem, słowami otuchy. Nie dlatego, by uważała się za słabą i niezdolną do samodzielnego działania, lecz dlatego, że wtedy wiedziała, jak bardzo mu na niej zależy. Czowała się chciana, pożądana. Jej ciało wciąż nosiło w sobie wspomnienie poprzedniego wieczoru. Wiedziała, że uległa przemianie, była już dorosłą kobietą, a przynajmniej tak się czuła. I nie mogła powiedzieć o tym Helen.

- Zamówiłam pięć dodatkowych sukien na naszą podróż poślubną po kontynencie - mówiła dalej Helen. Trzymając w objęciach psa, okręciła się w miejscu, trzepocząc błękitną suknią. - Och, nie mogę się już doczekać, kiedy zobaczę Paryż, Wenecję i Rzym, wszystkie te miejsca, które tak bardzo chciała bym zwiedzić. Wiedziałaś, że w Alpach wciąż grasują rozbójnicy? I że w Madrycie mężczyźni odważni do szaleństwa walczą z bykami?

Helen nigdy nie wyglądała na bardziej ożywioną. Isabel starała się uśmiechać do niej ze zrozumieniem, choć w środku umierała z zazdrości. Podróż poślubna. Sprzedałaby duszę, by zaznać takiego szczęścia z Kernem.

Kiedy przeszła do garderoby, słuchała tylko jednym uchem dziewczęcej paplaniny Helen. Ubierając się, nie mogła przestać myśleć o Kernie, przypominała sobie dotyk jego dużych ciepłych dłoni, pieszczotę ust, radosną ekstazę złączenia.

Nigdy nie pragnęłam żadnej kobiety tak mocno, jak pragnę ciebie.

- Uśmiechasz się - zauważyła Helen oskarżycielskim tonem, przyglądając się jej z boku. - Nie rozumiem, co zabawnego widzisz w tym, że przegapiłaś śniadanie.

- Śniadanie? - Isabel uświadomiła sobie ze wstydem, że straciła wątek rozmowy.

- Och, wcale mnie nie słuchałaś. - Helen zachichotała. - Powiedziałam, że zbliża się już pora lunchu. Chodź tutaj, pomogę ci ułożyć włosy.

Isabel usiadła na stołku przed toaletką. Helen z wprawą upięła jej włosy w kok, a potem zabezpieczyła go szylkretowymi szpilkami. Jej zachowanie jeszcze głębiej wbiło cierń żalu

w serce Isabel. Jak mogła zdradzić dziewczynę, która była dla niej jak siostra?

Jak mogłaby zaprzeczyć uczuciu, które żywiła dla Kerna?

Nie była w stanie zasnąć przez pół nocy, przewracając się z boku na bok, trawiona tęsknotą za Kernem i troską o przyszłość. Ciężar ich wspólnego sekretu ciążył jej sumieniu. Czy powinna wyznać Helen całą prawdę?

Mam nadzieję, że nie smartwisz się tym zbytnio, ale zakochałam się do szaleństwa w twoim narzeczonym. Ostatniej nocy daliśmy upust naszej namiętności.

Wiedziała jednak, że podobne słowa nie przeszłyby jej przez gardło, że Helen byłaby zdruzgotana. Zerwałyby zaręczyny. Czy Isabel miała prawo niszczyć szczęście przyjaciółki?

Nie, nie powie jej o niczym. Ta decyzja należała do Kerna. Czy on także będzie chciał zachować to w tajemnicy?

Pytanie to dręczyło ją od wielu godzin. Być może po dłuższym zastanowieniu Kern dojdzie do wniosku, że powinien pojąć za żonę prawdziwą damę. Być może, jak wielu innych arystokratów, uzna, że miłość w małżeństwie nie ma znaczenia. Być może wszystko odbędzie się zgodnie z planem, ślub i miesiąc miodowy. Być może Kern zniknie z jej życia na zawsze.

- Och, moja droga, znów wędrujesz myślami gdzieś daleko stąd - powiedziała Helen, patrząc na nią ze smutkiem. - Wybacz mi, że tak paplę i paplę. To okropny nawyk, wiem o tym.

- Proszę, nie przepraszaj mnie. - Isabel podniosła się ze stołka i uściskała serdecznie przyjaciółkę. - Ja lubię tę twoją paplaninę. Zawsze jesteś wesoła, niesiesz ludziom uśmiech.

Helen rozpromieniła się, zadowolona z komplementu.

- Papa też tak mówi. No właśnie, papa wraca do domu na lunch. Pomyślałam, że tymczasem mogłybyśmy zejść na moment do biblioteki. Chciałabym ci coś pokazać.

Trzymając się pod rękę, wyszły na bogato zdobiony korytarz prowadzący do schodów. Kiedy zeszyły do hallu, ciemne chmury rozświetliła na moment błyskawica. Za wielkimi oknami siąpił deszcz. Zrobiło się tak ciemno, że lokaj zapalał świece w korytarzu. Isabel miała wrażenie, że czuje iskry w powietrzu, jakby nadchodząca burza pogłębiała tylko jej niepokój.

Helen wprowadziła ją do biblioteki. Ulubiony pokój Hathaway'a przesycony był zapachem skóry i dymu.

- Siedziałam tu wczoraj wieczorem z papą - odezwała się konfidencyjnym tonem, jakby obie uczestniczyły w jakimś spisku - i wypisywałam zaproszenia na nasz ślub. Wtedy właśnie to zauważyłam.

- Co takiego?

- Chodź tutaj. - Podekscytowana Helen zaciągnęła Isabel przed jeden z portretów zawieszonych nad półkami. Głową wskazała na obraz przedstawiający uśmiechniętą damę w peruce i obszernej sukni z zielonego atłasu. - To mama papy, wdowa po markizie, moja babcia. Zauważyłaś już w niej coś ciekawego? Marszcząc czoło, Isabel przyglądała się uważnie delikatnym rysom kobiety, jej patrycjuszowskiemu uśmiechowi, elegancko zarysowanym brwiom. U stóp damy leżał spaniel.

- Jest bardzo ładna.

- Ładna, ba! - żachnęła się Helen. - Jest piękna. I bardzo podobna do ciebie.

- Do mnie? - powtórzyła Isabel z powątpiewaniem. - Przecież ona nosi wielką białą perukę.

Helen roześmiała się, ubawiona tą uwagą.

Musisz wyobrazić ją sobie bez peruki. Nigdy jej nie znałam, ale papa mówi, że miała kasztanowe włosy, dokładnie tak jak ty. Spójrz tylko na jej oczy. Sajasnobrzowe, lekko skośne, jak twoje. I podobnie jak ty uwielbiała psy.

- Jak tysiące innych dam - dorzuciła Isabel z leciutką drwiną.

Podniosła Milorda i przytuliła go do siebie, zerkając na portret.

Jakże wytworna wydawała się ta dama. A jednocześnie sympatyczna i dobra. Gorycz wypełniła serce Isabel. Czy tak właśnie postrzegała ją Helen? Gdyby tylko znała prawdę...

- Jak zareagował twój ojciec, kiedy powiedziałaś mu o tym spostrzeżeniu?

Helen wyglądała na nieco zawstydzoną.

- Pochrząkiwał tylko i mrucał coś pod nosem. Ale gdy wyjaśniłam, co dokładnie mam na myśli, przyglądał się temu portretowi przez dłuższy czas. Jakby też szukał podobieństw.

- Albo myślał po prostu o swej matce - dodała Isabel. Wyob-

rażała sobie oburzenie, z jakim markiz przyjął sugestię, że jego matka była spokrewniona z bękartem prostytutki. Dziś jednak nie było w stanie jej rozbawić, czuła jedynie smutek i żal. -Cóż, w domu wszyscy mówili, że przypominam moją matkę. Wszelkie podobieństwo musi być więc przypadkowe.

- Być może. - Helen wydeła usta. - Nadal jednak uważam...

Delikatne stukanie do drzwi przerwało ich rozmowę. Po chwili w progu ukazał się lokaj, który złożył im niski ukłon i oświadczył:

- Przepraszam, że przeszkadzam, milady. Przyszedł lord Kern.

Helen klasnęła w dłonie.

- Och, cudownie. Zapytamy Justina o jego zdanie w tej kwestii. Jest bardzo spostrzegawczy, bez wątpienia przyzna mi rację.

Kolejna błyskawica przecięła chmury, głuchy pomruk przetoczył się po niebie. Isabel stała nieruchomo, przerażona i uradowana jednocześnie. Milord pisnął cicho, gdy przytuliła go mocniej.

Kern był tutaj.

I przyszedł porozmawiać z Helen.

Kiedy wchodził do biblioteki, stanął twarzą w twarz z Isabel, która właśnie opuszczała pokój. Na moment oboje zamarli w bezruchu, patrząc sobie w oczy.

Kern nie mógł zapanować nad szybszym biciem serca, nie był w stanie stłumić pragnienia, jakie obudził w nim widok Isabel. Była jak deszcz, który zrosił pustynię jego duszy. Wydawała się niezwykle blada i krucha w sukni z fioletowego jedwabiu. Lekko podkrążone oczy świadczyły o tym, że spała równie krótko jak on. Zamknął dłonie w pięści, by powstrzymać się przed pokusą i nie sięgnąć do niej. Czy żałowała, że złożyła mu wczoraj podarunek ze swego dziewictwa?

- Witaj, Justinie! - zawołała Helen z drugiego końca pokoju. - Może tobie uda się przekonać moją kuzynkę, by została.

Isabel przesłała mu przeciągłe, nieodgadnione spojrzenie. Nie drgnęła nawet wtedy, gdy szczeniak lizał ją po brodzie.

- Muszę zabrać Milorda do kuchni - mruknęła. - Wybaczcie mi.

Odwróciwszy spojrzenie, minęła gościa i wyszła na korytarz, pozostawiając za sobą kuszący, delikatny aromat.

Kern westchnął ciężko, zamknął starannie drzwi i podszedł do Helen. Bolesne pulsowanie w głowie było nie tylko wynikiem nadmiaru whisky, którą wypił w nocy. Rankiem poszedł do banku, by zdeponować tam dziennik Isabel; potem nie miał już żadnej wymówki, by odkładać tę rozmowę na później.

- Ojej - zmartwiła się Helen. - Zdaje się, że wprawiłam moją kuzynkę w zakłopotanie. Jest bardzo skromna, to prawda, nigdy jednak nie przypuszczałabym, że tak bardzo skonfunduje ją to podobieństwo.

- Podobieństwo?

- Do babci - odparła Helen, wskazując na portret damy w peruce. - Nie uważasz, że są do siebie bardzo podobne? Zauważyłam to wczorajszego wieczoru, kiedy wypisywałam zaproszenia na nasz ślub.

Kern ledwie zerknął na obraz. Myślał tylko o przykrym obowiązku, który musiał wkrótce wypełnić. Gdyby tylko potrafił żyć jak inni dżentelmeni, spotykać się w ukryciu z kochanką i pokazywać się światu z żoną. Nie mógł jednak traktować Helen - ani Isabel - w tak podły sposób.

Zrozumiał, że wciąż się waha, i przeklął w duchu swą słabość. Lepiej będzie, jeśli natychmiast wykona to uciążliwe zadanie i będzie miał je za sobą.

Wziął Helen pod ramię i zaprowadził ją do sofy. Sam jednak nie usiadł, lecz stanął przed nią. Patrzyła na niego niewinnymi oczami dziecka.

- Czy coś się stało, Justinie?

Chciał zacząć od tego, jak bardzo nie chce jej krzywdzić, jak bardzo ciąży mu na sumieniu ta świadomość. Powiedział jednak tylko:

- Helen, bardzo mi przykro, ale nie będzie żadnego ślubu.

Otworzyła usta i zaczęła mrugać, jakby nie mogła zrozumieć tych słów.

- Żadnego ślubu? Chyba nie chcesz powiedzieć... Naszego ślubu? - Przyłożyła drobną białą dłoń do piersi.

- Tak, naszego - odparła najłagodniej jak potrafił. - Zmuszony jestem wszystko odwołać.

- Ale... dlaczego?

Wyrecytował przemówienie, które przygotowywał przez długie bezsenne godziny.

- Proszę, zrozum, to wyłącznie moja wina. Żaden mężczyzna nie mógłby prosić o piękniejszą i bardziej cnotliwą żonę niż ty. Ale... - Przerwał na moment, świadom, że te słowa przypieczętują jego los. - Ale związałem się z inną kobietą. Nie planowałem tego wcześniej. Stało się jednak to, co się stało, i w tych okolicznościach, jako człowiek honoru, muszę zerwać nasze zaręczyny.

Helen patrzyła nań ze zdumieniem i bólem.

- Z inną kobietą? Ale jeszcze wczoraj rozmawialiśmy o naszym śniadaniu, o weselnym torcie. Nic wtedy nie mówiłeś... nie wspomniałeś ani słowem... - Głos jej się załamał, a błękitne oczy wypełniły się łzami.

Kern sięgnął do kieszeni, uklęknął przed Helen na jednym kolanie i podał jej chusteczkę.

- Nie mówiłem nic, bo nie podjąłem jeszcze ostatecznej decyzji.

Bo jeszcze nie kochałem się z Isabel. Nie rozumiałem jeszcze, jak wiele dla mnie znaczy.

Helen przyjęła chusteczkę, nie próbowała jednak ocierać łez spływających po policzkach.

- Kim jest ta kobieta? Powiedz mi.

Kern pokręcił głową.

- Nie mogę. Najlepiej będzie, jeśli o niej zapomnisz.

Nie mógł pozwolić, by Helen cierpiała jeszcze bardziej, by dowiedziała się, że została podwójnie zdradzona. Gdy tylko uda im się odnaleźć mordercę, Isabel opuści ten dom, zerwie wszelkie kontakty z Helen. Dopiero wtedy on będzie mógł wcielić w życie swój plan.

- Jak mogłabym o niej zapomnieć? - spytała Helen drżącym głosem. - Odebrała mi ciebie, skradła twoje uczucie. Co takiego wydarzyło się od wczorajszego południa? Po tym, jak mnie zostawiłeś, musiałeś pojechać do niej.

Nie mógł temu zaprzeczyć. Nie mógł też patrzeć na cierpienia Helen.

- Nie zadręczaj się, proszę. Zrozum, nie ma w tym twojej

winy. Postaram się, by wszyscy ludzie wiedzieli, że to ja i tylko ja jestem wszystkim winny.

Helen potrząsnęła gwałtownie głową.

- Nie, Justinie. Nie mów tak, jakby było już za późno. - Pochwyciła mocno jego dłonie, podniosła nań zapłakane oczy. - Honor nakazuje ci zerwać zaręczyny, rozumiem to. Ale nie stało się przecież nic strasznego, flirtowałeś tylko z jakąś kobietą. Wielu mężczyzn to robi. Przebaczam ci.

Kern wypuścił z sykiem powietrze. Wiedział, że znalazł się w sytuacji bez wyjścia, że musi pogrzebać jej ostatnie nadzieje.

- Mój Boże. Tak bardzo nie chcę cię ranić... Ale to było coś więcej niż flirt. Ja... znalazłem się z nią w intymnej sytuacji.

Przez chwilę patrzyła na niego z niewinnością małego dziecka. Potem, gdy zrozumiała wreszcie, co znaczą te słowa, otworzyła szerzej oczy i szybko cofnęła ręce, chowając je w fałdach sukni. Wreszcie odwróciła głowę, jakby nie mogła poradzić sobie z tak wielkim szokiem.

- Robiłeś z nią to... co robi mąż z żoną?

- Tak.

Za oknem rozjarzyła się kolejna błyskawica, towarzyszył jej potężny grzmot i bębnienie kropel deszczu o szyby okien. Łzy spływały bezgłośnie po bladych policzkach Helen.

- Jak mogłeś? - wyszeptwała. - Jak mogłeś?

Milczał, wiedząc, że wszelkie wyjaśnienia pogłębiłyby tylko jej ból. Musiałby opisać nieprawdopodobne, niepoahamowane uczucie, jakie łączyło go z Isabel.

- Helen... zawsze byłaś mi równie drogą jak siostra. Pamiętam, jak trzymałem cię w ramionach, wkrótce po twych narodzinach. Pamiętam, jak myślałem, że zawsze będę cię chronił. - Słowa uwięzły mu na moment w gardle. - Tak bardzo nie chcę cię ranić. Jest mi przykro. Naprawdę przykro.

Helen siedziała sztywna i nieruchoma. Nie odwracając głowy, powiedziała cicho, beznamiętnie:

- Odejdź stąd. Odejdź.

Kern był wstrząśnięty chłodem, jaki słyszał w jej głosie. Klęczał przed nią, niezdecydowany, nie chcąc pozostawiać jej w takim bólu. Gdyby tylko mógł przytulić ją chwilę, pogłaskać

po głowie. Dopuszczając się jednak haniebną zdrady, stracił ten przywilej. Na zawsze.

Powoli podniósł się na równe nogi. Choć Helen nie patrzyła na niego, uklonił się jej nisko. Gdyby nie łyzy na policzkach, wyglądałaby jak alabastrowy posąg. Czy naprawdę tak bardzo go kochała?

Pogardzał teraz sobą bardziej niż kiedykolwiek. Chciał jej powiedzieć, że pragnie dla niej szczęśliwej przyszłości, obawiał się jednak, że w tej chwili takie słowa zabrzmiałyby jak drwina. Ze ściśniętym sercem odwrócił się i wyszedł z biblioteki.

Jego kroki odbijały się echem od marmurowej podłogi korytarza. Czuł się tak, jakby kopnął bezbronny kociak. Myślał tylko o tym, by jak najszybciej opuścić to miejsce, które przez wiele lat było dlań drugim domem. Odtąd już nigdy nie będzie tu mile widzianym gościem. Odrzucił to wszystko dla kobiety, która nie pasowała do jego świata. Kobiety, której pragnął nad życie.

Nagle, jakby jego myśli miały moc sprawczą, zobaczył przed sobą Isabel. Czekająca przy złoconej balustradzie na klatce schodowej, w ramionach trzymała swego kundla. Ujrawszy Kerna, postawiła psiaka na podłodze i ruszyła w jego stronę. Szelest jej sukni łączył się z szumem deszczu za oknem. Kern mówił sobie, że powinien przejść obok niej, minąć ją obojętnie. Lecz Isabel wносиła do jego mrocznej duszy nikły płomyk nadziei.

- Justinie? - spytała cicho i spojrzała znacząco na lokaja stojącego przy drzwiach wyjściowych.

Kern zwrócił się do niego:

- Powiedz mojemu woźnicy, by przygotował powóz. Zaraz tam przyjdę. - Woźnica już wcześniej otrzymał odpowiednie instrukcje, lecz nieobecność lokaja pozwałała im choć na chwilę być razem, tylko we dwoje.

- Tak, milordzie. - Służący rozłożył parasol i już po sekundzie zniknął za drzwiami, w gęstych strugach deszczu.

Kern wziął Isabel za rękę i zaciągnął ją do salonu. Gładząc delikatnie jej dłoń, odezwał się chrapliwym szeptem:

- Nie możemy pokazywać się razem. Nie teraz.

- Powiedziałeś jej.

- Tak. Ale nie zdradziłem twojego imienia.

- Boże. Musi być załamana.

Isabel oparła się o futrynę, jej białe piersi uniosły się w ciężkim westchnieniu. Tłumione dotąd pragnienie obudziło się w Kernie ze zdwojoną mocą. Chciał zatracić się w jej delikatnej, aromatycznej kobiecości, zapomnieć o grzechach w słodkim potwierdzeniu miłości. Wiedział, że ta namiętność, pożądanie, które odczuwał w tak nieodpowiedniej chwili, czyni zeń najgorszego łajdaka.

Zdawał sobie jednak sprawę, że minie cała wieczność, nim znów będzie mógł się spotkać z Isabel, a pokusa była zbyt silna. Nie mógł zostawić jej bez pożegnalnego pocałunku. Pochylił się więc i dotknął jej ust. Ten pocałunek niósł w sobie cały ładunek sprzecznych uczuć targających jego duszą. Isabel czuła zapewne to samo.

Nagle jakiś obcy dźwięk zakłócił spokojną melodię deszczu. Kern odsunął się gwałtownie od Isabel.

W hallu stała Helen.

Szczeniak podbiegł do niej, machając wesoło ogonem. Ona nie zwracała nań jednak uwagi. Przykładając dłoń do szyi wpatrywała się ze zdumieniem w Isabel i Kerna. Ten poczuł nagle suchość w gardle. Widział niedowierzanie w jej oczach, rodzące się tam powoli zrozumienie, wreszcie szok.

- Ty? - wyszeptła, patrząc z przerażeniem na Isabel. - Ty?

Z ust Isabel wyrwał się okrzyk bólu, nie ruszała się jednak z miejsca. Wszyscy troje stali zastygli w milczeniu, niczym bohaterowie jakiejś antycznej tragedii na scenie.

I właśnie wtedy, w najgorszym z możliwych momentów, otworzyły się drzwi domu, a do wnętrza wkroczył lord Hathaway.

- Paskudna pogoda - oświadczył pogodnie. - Jeśli nadal będzie tak łać, czeka nas prawdziwa powódź.

Kiedy lokaj pomagał mu zdjąć przemoczony surdut, markiz spojrzął na córkę i zmarszczył czoło, widząc jej zrozpaczoną minę.

- Helen? Ty płaczesz? Co się stało?

Helen podbiegła do niego.

- Papo, och, papo...

Hathaway wziął ją w ramiona i przytulił.

- Moja droga, co cię dręczy?

- Justin właśnie zerwał nasze zaręczyny - wychlipała. - Nie będzie żadnego ślubu.

Markiz odwrócił się do winowajcy i spoznał nań ze zdumieniem.

- Czy to prawda?

- Tak.

- Powiedz papie całą resztę. - Helen otarła łzy z twarzy, a potem stanęła dumnie wyprostowana, z dłońmi zacisniętymi w pięści. Głosem ochryplym od smutku i gniewu mówiła: - Powiedz mu, co próbowałeś przede mną ukryć. Powiedz, że przez wszystkie te dni, kiedy byłem chora i wysyłałem was gdzieś razem, deprawowałeś Isabel. Powiedz, że poszedłeś z moją kuzynką do łóżka.

Wszystkie te oskarżenia wydawały się tym bardziej przerażające i haniebne, że padały z ust niewinnej dziewczyny. Szlachetne rysy Hathaway'a zastygły w grymasie odrazy. Z niedowierzaniem wpatrywał się w Kerna.

- Uwiodłeś ją?

- Tak- przyznał krótko Kern, czując, jak otwiera się pod nim jakaś wielka, mroczna otchłań.

- Nie - wtrąciła nagle Isabel, wysuwając się do przodu. - To nieprawda. Do niczego mnie nie zmuszał. Niech Bóg mi wybaczy, aleja... ja go kocham.

Kern prawie nie słyszał tej deklaracji. Bez względu na to, co mówiła Isabel, wina leżała wyłącznie po jego stronie. Pozwolił, by pożądanie wzięło górę nad rozsądkiem. W chwili zapomnienia pozbawił cnoty jedną kobietę i zniszczył marzenia drugiej.

Hathaway nie mógł już dłużej zapanować nad gniewem i odrazą. Kern przygotował się na całą litanię wyrzutów i obelg. Nie spodziewał się jednak prawdziwej eksplozji wściekłości.

- Łajdak! - Jednym susem markiz przesadził cały hall. Jego pięść wylądowała z trzaskiem na szczęce Kerna.

Ten zachwiał się i cofnął o krok. Na moment pociemniało mu w oczach, potknął się o krzesło i straciwszy równowagę, runął na podłogę. Pies Isabel szczekał głośno, podekscytowany.

Hathaway stanął nad Kernem, patrząc nań z nienawiścią. Młody lord leżał bez ruchu. Instynktownie zacisnął dłonie w pięści, wiedział jednak, że nie będzie w stanie uderzyć. Nie

mógłby bić się z człowiekiem, którego uważał za ojca. Zwłaszcza że zasłużył sobie na tę karę.

Isabel rzuciła się w ich stronę, zasłaniając Kerna własnym ciałem.

- Nie! Proszę go więcej nie dotykać.

Hathaway wbił w nią wściekle spojrzenie, dziewczyna jednak bez lęku patrzyła mu prosto w oczy. Po chwili markiz obrócił się na pięcie i odszedł od niej.

Isabel opadła na kolana.

- Justinie! Nic ci nie jest?

Kern w milczeniu podniósł się z podłogi i stanął na równych nogach.

Helen patrzyła nań w przerażeniu, zakrywając dłońmi usta. Ojciec stanął obok niej i zmierzył Kerna pogardliwym spojrzeniem.

- Wynoś się! - rzucił.

Po raz drugi kazano mu opuścić ten dom, i tym razem Kern nie ościagał się z wyjściem. Powinien był zrobić to od razu, kiedy odesłała go Helen, a nie zatrzymywać się, by pocałować Isabel na pożegnanie. Być może jednak taki obrót sprawy był dla wszystkich najlepszy. Teraz już ani on, ani Isabel nie musieli żyć w kłamstwie.

Ta myśl była dlań jedynym pocieszeniem.

Isabel wciąż klęczała na podłodze, otoczona kręgiem fioletowej sukni. Jakby wyczuwając smutek swojej pani, Milord garnął się do niej, ona zaś wzięła go na ręce i przytuliła. Spojrzała na Kerna z taką miłością i troską, że ten miał ochotę natychmiast porwać ją do karety, zawieźć do Gretna Green i tam połączyć się z nią na zawsze świętymi więzami małżeństwa.

Szaleństwo!

Nie mógł ożenić się z Isabel. Nie mógł też zostawić jej na pastwę Hathawayów. Dość już się nacierpiła.

Wyciągnął rękę i pomógł jej podnieść się z podłogi. Kiedy prowadził ją obok Helen, napotkał lodowate spojrzenie Hathaway'a. Słowa przeprosin, które cisnęły mu się na usta, wydawały się płaskie i pozbawione siły. Mimo to musiał je wypowiedzieć.

- Bardzo żałuję, że wyrządziłem krzywdę tobie i Helen.

Ale nie żałuję miłości do Isabel. Nigdy.

Markiz milczał. Trzymając córkę pod ramię, patrzył na Isabel przymrużonymi oczami. Kern wyczuł w tym spojrzeniu jakieś niezrozumiałe emocje, uczucia o ogromnej sile, które kłębiły się w umyśle starszego pana. Nowa myśl uderzyła go mocniej niż pięść. Jak dobrze znał Hathawaya? Czy to on zniszczył pokój Aurory, szukając w nim pamiętnika? Czy był aż tak zdeterminowany, by chronić lorda Raymonda przed oskarżeniem o morderstwo?

Tym bardziej powinien zabrać stąd Isabel. Wziął ją pod ramię i zaprowadził do drzwi wyjściowych. Ona wyrwała się jednak z jego objęć, podbiegła do Helen i podała jej szczeniaka.

- Proszę - powiedziała cicho, ze łzami w oczach. - Zaopiekuj się Milordem. To wszystko, co mogę ci dać.

Helen zmarszczyła czoło, po chwili jednak wrogość zniknęła z jej oczu. Spojrzała ze smutkiem na psiaka i powoli przytuliła policzek do jego łba.

- Oczywiście, zaopiekuję się nim.

Isabel wyciągnęła rękę, jakby chciała po raz ostatni pogłaskać szczeniaka, potem jednak zwinęła dłoń w pięść, odwróciła się i dołączyła do Kerna. Unosząc dumnie głowę, podeszła do drzwi. Jej oczy błyszczały od łez, którym nie chciała dać ujścia.

By pocieszyć dziewczynę, którą uważała za przyjaciółkę, Isabel oddałaję to, co miała najcenniejszego. Kern był zdumiony tym szlachetnym czynem. Burza uczuć w jego sercu była równie gwałtowna jak ta za oknem. Zawsze był człowiekiem uczciwym i odpowiedzialnym. Jednak od tego pamiętnego dnia, kiedy wkradł się do lupanaru, by porozmawiać z szantażystką, Isabel przewróciła jego życie do góry nogami.

Z desperacją człowieka potępionego przez cały świat zrozumiał, że nie może już dłużej przeczyć oczywistej prawdzie. Bez względu na to, co miała przynieść przyszłość, kochał Wenus Isabel Darling.

18

Isabel patrzyła za okno powozu. Deszcz, spływający po szybie i przesłaniający londyńskie ulice, obrazował stan jej ducha. Przycisnęła policzek do gładkiej materii surduta, czuła bicie jego serca. Kern tulił ją, wcale nie myśląc teraz o seksie, uwoził ją z dala od Hathawayów, z dala od życia damy.

Potrzebowała jego ciepła, pocieszenia. Wracając do swego starego domu bez grosza przy duszy, utraciła na zawsze błyszczący świat arystokracji, świat, o którym marzyła od dzieciństwa. Znacznie gorsza dla Isabel była jednak świadomość, że nigdy już nie usłyszy śmiechu Helen ani jej radosnego szczebiotu. Nie będą już razem robić zakupów w sklepach przy Regent Street. Nie będą razem siedzieć przy kominku, by chichotać i plotkować o ostatnim balu. Pozwalając sobie na miłość do Kerna, wyrządziła niewyobrażalną krzywdę dziewczynie, która stała się dla niej przyjaciółką, wymarzoną siostrą.

Najgorszą karą było dla niej rozstanie z Helen.

Wciąż prześladował ją obraz jej zasmuconej twarzy. Oddając jej Milorda, zdobyła się naprawdę na wielkie wyrzeczenie, gotowa byłaby jednak oddać nawet duszę, by ukoić ból, jaki sprawiła Helen. Czy kiedykolwiek wybaczy sobie ten okrutny postępek?

Jak mogłaby jednak zaprzeczyć potężnemu uczuciu, którym darzyła Kerna? Łatwiej byłoby zawrócić rzekę do źródła.

Deszcz bębnił miarowo o szyby. Isabel zastanawiała się,

o czym myśli teraz Kern, wpatrzony niewidzącym spojrzeniem w obrazy za oknem. Czy żałował, że porzucił Helen?

Stracił tak wiele. Odciał się od świata, który tak bardzo cenił. Lord Hathaway przez wiele lat zastępował mu ojca, kiedy ten prawdziwy nie potrafił sprostać tej roli. Obydwie rodziny utrzymywały bardzo bliskie stosunki. Teraz Kern skazał się na rolę pariasa.

Dla niej.

Wiedziała, że musi mu to jakoś wynagrodzić. Będzie kochała go przez całe życie. Nie wszystko jeszcze było stracone. Mieli siebie, łączyło ich coś więcej niż fizyczne pożądanie. Kern także żywił dla niej jakieś głębsze uczucia, inaczej nie siedziałby z nią teraz, nie tulił jej, jakby była dla niego najcenniejszą istotą na świecie.

Ta myśl podniosła ją nieco na duchu. Za jakiś czas, kiedy ochłonie po smutnych wydarzeniach tego dnia, zrozumie, jak wiele dla siebie znaczą. Nie był łajdakiem, który utrzymuje całe stado kochanek. Z pewnością w końcu zechce pojąć ją za żonę.

Kern odwrócił się nagle do niej i spytał:

- Kiedy są twoje urodziny?

- Dwunastego czerwca - odparła Isabel, zaskoczona tym pytaniem.

- Skończysz teraz dziewiętnaście lat?

- Tak. Dlaczego chcesz to wiedzieć?

Patrzył na nią w milczeniu przez dłuższą chwilę. Myślała już, że nie usłyszał jej pytania.

- To nic takiego - odrzekł wreszcie. - Po prostu byłem ciekaw.

Pytał o jej wiek. Martwił się pewnie, że zrujnował jej młode życie. W rzeczywistości jednak dał jej radość, o jakiej nawet nie marzyła. Isabel delikatnie ucałowała jego twarz w miejscu, gdzie uderzyła go pięść Hathawaya.

- Och, Justinie - wyszeptła. - Tak bardzo cię kocham.

Przytulił ją jeszcze mocniej. Potem jednak zwolecił uścisk, jakby chciał się od niej odsunąć.

- Nie - rzekł chrapliwym głosem. - Nie możesz kochać człowieka, który zachowuje się jak książę Lynwood.

Wstrząśnięta tym porównaniem, usiadła prosto i spojrzała mu w oczy.

- Nie jesteś taki jak twój ojciec. Jak możesz przyrównywać się do niego, skoro w ciągu ostatnich czternastu lat spałeś tylko z jedną kobietą?

- Honoru nie mierzy się liczbami. Albo mam zasady, albo ich nie mam.

- Bzdura. Dzisiaj zachowałeś się jak człowiek honoru, zdołałeś się na czyn, który wcale nie przynosi ci ujmy. Mogłeś przecież zachować milczenie, robić to samo co inni, tak zwani dzentelmeni. Ale ty byłeś uczciwy, a to zasługuje tylko na najwyższy podziw.

- W oczach ludzi z mojej sfery zachowałem się jak najgorszy podlec.

- A niech oni sobie myślą, co chcą. Jesteś najbardziej prawym i najszlachetniejszym człowiekiem pośród nich wszystkich. Jeśli tylko ktoś odważy się temu zaprzeczyć, będzie miał ze mną do czynienia.

W jego zielonych oczach pojawił się błysk wesołości.

- Chciałbym to zobaczyć.

Isabel nie dała się zbić z tropu.

- Ja nie będę kierować się tym, co mówią ludzie małego umysłu. Nie możemy umniejszać piękna tego, co stało się między nami, nie możemy nazywać tego czymś podłym i nieuczciwym.

- Czy to znaczy, że nadal mnie chcesz?

Serce Isabel zabiło mocniej, kiedy dosłyszała w jego głosie ogromne pragnienie, niewypowiedzianą tęsknotę. Czy naprawdę myślał, że go porzuci? Wtuliła się mocniej w jego ramiona, aż otoczył ją męski zapach i ciepło.

- Oczywiście, że cię chcę, Justinie. Zawsze będę cię chciała.

Przez moment siedział nieporuszony. Potem objął ją mocno i przycisnął usta do jej włosów.

- Ostrzegam cię, mój honor został splamiony, być może na zawsze.

- Podobnie jak mój. Widzisz więc sam, że dobrana z nas para.

Ich usta znów się spotkały, wiedzione wspólną potrzebą i czułą

obietnicą. Kern całował powoli, delikatnie, z czułością; kierowała nim nie tylko namiętność, ale uczucie większe, bardziej dojrzałe i niezmiennie. Isabel objęła go wpół, czując, jak powoli budzi się w niej pożądanie. Jego dłonie spoczęły na jej piersiach, pieściły je, aż ogarnęła ją błoga rozkosz, choć jednocześnie odczuwała jakąś dziwną pustkę i tęsknotę. Chciała należeć do Kerna, oddać mu swe życie. Chciała nazywać go mężem...

Rozdzieliło ich nagle szarpnięcie, kiedy karetka zatrzymała się. Isabel wyjrzała za okno i zobaczyła dom z szarego kamienia, dom jej ciotek. Więc jednak wróciła tutaj.

- Nie zostawiaj mnie, Justinie - wyszeptwała. - Jeszcze nie teraz.

- Jak sobie życzysz. - Jeszcze na moment przytulił ją do siebie, potem wypuścił z objęć, kiedy służący otworzył drzwi.

Isabel wyszła z powozu prosto w ponury deszczowy dzień. Gałęzie drzew kołysały się na wietrze, ciemnozielone liście trzepotały na tle szarych chmur. Deszcz zamienił się w dokuczliwą mżawkę, jednak cały chodnik pokryty był ogromnymi kałużami. Isabel stała drżąca, szukając suchej ścieżki. Właśnie podnosiła rąbek sukni, by przeskoczyć przez najbliższą kałużę, kiedy Kern wziął ją na ręce i zaniósł na werandę.

Zarzuciła mu ręce na szyję, ogarnięta ogromną czułością. Kern tulił ją do siebie w miejscu publicznym, na ulicy. Z pewnością była to deklaracja szacunku, jaki dla niej żywił. Cudowne poczucie wolności przeniknęło całe jej ciało, gdy zrozumiała, że nie musi już dłużej skrywać swego uczucia. Mogła otwarcie okazywać mu miłość. Chciała demonstrować ją przy wszystkich. Raz za razem, bez końca.

Ciotka Minnie otworzyła im drzwi i odsunęła się na bok, by wypuścić ich do środka.

- Matko Boska, co się stało? - spytała, kiedy Kern postawił Isabel na podłodze. - Myślałam, że wprowadziłaś się z powrotem do Hathawayów.

Isabel ochłonęła w jednej chwili.

- Wszystko się zmieniło. Nie mogłam tam dłużej zostać.

Przyciskając zranioną rękę do brzucha, Minnie wędrowała spojrzeniem od twarzy Isabel do Kerna i z powrotem.

- Cóż, to najlepsza wiadomość, jaką otrzymałam od wielu dni. Witaj w domu, moja droga.

Objęła podopieczną zdrowym ramieniem i przytuliła do obfitych piersi. Ten gest przypomniał Isabel wizyty z czasów dzieciństwa, kiedy Minnie poświęcała jej całą swą uwagę, radziła, jak postępować z wiejskimi dręcycielami, odpowiadała na setki pytań dotyczących życia w mieście.

- Jak się czujesz, ciociu? Ręka bardzo cię boli?

- Trochę dokucza, to wszystko. - Irlandka rozejrzała się. - A gdzie to się podziała ta twoja leniwa służąca?

- Ciocia Callie! - Isabel zakryła usta dłonią. - Dobry Boże, zupełnie o niej zapomniałam.

Kern położył dłoń na jej ramieniu.

- Callandra niewątpliwie wie już o twoim wyjeździe - powiedział. - I sama na pewno ruszy w drogę, gdy tylko ustanie deszcz. Jeśli jednak masz poczuć się przez to lepiej, pošlę po nią powóz.

- Tak. Dziękuję.

Kern wyszedł z domu, Isabel zaś, nie zważając na zimny deszcz, stanęła w drzwiach i patrzyła na niego. Wyglądał niezwykle przystojnie w ciemnozielonym surducie i irchowych bryczesach. Jak przyjemna była świadomość, że spośród wszystkich kobiet wybrał właśnie ją!

- Lord Kern jest dla ciebie bardzo uprzejmy - powiedziała Minnie, która stanęła tuż za jej plecami. - Żeby wysłać powóz na twoje skinienie... Chyba bardzo zależy mu na tej znajomości.

- Czy to źle? - spytała Isabel, ogarnięta nagłym gniewem.

Twarz Irlandki złagodniała, pojawił się na niej ciepły uśmiech.

- Nie, nie ma nic złego w tym, że pragniesz przyjemności. Jesteś teraz dorosłą kobietą jak twoje ciotki. - Przyglądała się Kernowi, mrużąc oczy, kiedy odprawił powóz i wracał do domu. Przyciszonym głosem dodała: - Wygląda na to, że porządnie zawróciłaś mu w głowie. Powinien być dla ciebie bardzo hojny.

Zimny dreszcz przeszył Isabel. Chciała zaprotestować, powiedzieć, że wcale nie zależy jej na pieniądzach, że pragnie tylko jego miłości. W tej samej chwili jednak Kern wkroczył na schody, a ona nie mogła już wytłumaczyć ciotce, co naprawdę do niego czuje.

- Zastanawiam się, czy pański służący w ogóle znajdzie tam Callandrę - powiedziała Minnie, zamykając drzwi. - Powinien pan wiedzieć, że dzisiaj rano przyszedł tu pewien mężczyzna i pytał o nią.

- Mężczyzna? - zdziwił się Kern, unosząc brwi. - Kto?

- Nazywał się sir John Trimble. Był jednym z adoratorów Aurory, choć ja nigdy nie mogłam zrozumieć, co ona widzi w tym brzydaku.

Isabel była poruszona tą wiadomością.

- Dlaczego szukał cioci Callie?

Minnie wzruszyła ramionami.

- Powiedział, że zamierza zadać jej kilka pytań. Nic więcej nie chciał mi zdradzić. Odesłałam go do lorda Hathaway pół godziny temu.

Isabel wymieniła z Kernem zdumione spojrzenia. Sir John miał rozmawiać z mężczyznami, którzy kiedyś romansowali z Aurorą. Dlaczego przyszedł tutaj? Nie przypuszczał chyba, by ciotka Callie wiedziała o morderstwie cokolwiek poza tym, co już wyjawiała.

Ktoś zdradził cię za kilka złotych monet. Tym kimś była Callandra.

W natłoku wydarzeń minionego dnia Isabel nie miała okazji przesłuchać Callie. Teraz ogarnęły ją złe przeczucia.

- Może powinniśmy za nim pojechać?

Kern pokręcił głową.

- Mój służący znajdzie Callandrę i przywiezie ją tutaj. Wtedy porozmawiam z nią i z Trimble*em.

- Świetny pomysł - powiedziała Minnie. Uśmiechając się przebiegle, uczyniła zapraszający gest w stronę schodów. - Przejdźcie na górę i zmieńcie te mokre ubrania, nim się przeziębicie. Nie obawiajcie się, nikt nie będzie wam przeszkadzał. Persy śpi, a Diana pojechała na targ. Przeczeka pewnie burzę w jakimś sklepie. Ja idę do kuchni, zrobić sobie gorącej herbaty. - Odwróciła się i ruszyła w stronę drzwi prowadzących do suterenu.

Oblewając się rumieńcem wstydu, Isabel opuściła spojrzenie na podłogę, gdzie mokre plamy znaczyły kroki Kerna. Dlaczego aprobata Minnie plugawiła w pewien sposób ich związek?

Upokarzająca odpowiedź nasuwała się sama; jej zachowanie podkreślało tylko różnicę dzielącą ich światy. Żadna dama nie mówiłaby tak otwarcie o romantycznej schadzce, nie wspominając już o tym, by udzielała im przyzwolenia.

Kern ujął ją delikatnie pod brodę i uniósł jej głowę.

- Isabel, Spójrz na mnie.

Niechętnie podporządkowała się temu poleceniu, czując wyrażenie, jak płonącej policzki. Natychmiast jednak poczuła się lepiej, kiedy dojrzała w jego oczach ciepło i zrozumienie.

- Chcesz, żebym sobie poszedł? - spytał łagodnie. - Wystar czy jedno twoje słowo, a natychmiast stąd odejdę. Bez względu na to, jak bardzo pragnę zostać.

Pochylał się nad nią z troską. Isabel bała się, że jeśli teraz odejdzie, może zmienić zdanie, może inaczej spojrzeć na honor i obowiązek, postanowić, że nigdy już do niej nie wróci. Stała na palcach, bo odsunąć ciemny lok, który opadł mu na czoło.

- Gdybym była damą - wyszeptała - kazałabym ci odejść. Ale nie potrafię.

- Jesteś damą - odparł z przekonaniem. - Damą mego serca.

Ucałował ją delikatnie, potem ujął w pól i zaprowadził na schody. Jego stanowczy uścisk pozbawił ją wszelkich wątpliwości i zahamowań. Pragnęła go tak mocno, że ledwie mogła ustać na nogach.

Chciał wejść do buduaru Aurory, lecz Isabel pociągnęła go dalej i zaprowadziła do małej sypialni na końcu korytarza. Kiedy już znaleźli się w środku, starannie zamknęła za sobą drzwi. Kern ze zdumieniem przyglądał się dziecinnemu wystrojowi pokoju: różowym draperiom, koronkowej pościeli, lalkom ustawionym na półkach. Na białym biurku leżały podręczniki szkolne, w rogu pokoju drewniany koń na biegunach cierpliwie czekał na swego jeźdźcę.

- To twoja sypialnia - domyślił się po chwili.

- Tak. Mama zawsze starannie przygotowywała ją na moje wizyty. - Isabel stała dumnie wyprostowana, zastanawiając się, czy Kern nie naśmiewa się w duchu z jej wychowania. Nie mogła jednak zmienić swej przeszłości. Musiał pogodzić się z faktem, że jest córką ulicznicy.

- Myślałem, że zajęłaś pokoje po matce - powiedział. - Kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, byłaś w jej buduarze.

- Często tam przebywałam, kiedy czułam się samotna. - Isabel pamiętała tę mieszaninę tęsknoty, miłości i oburzenia, którą tak odczuwała w stosunku do matki. Pochylając głowę, dodała: - Żałuję, że nie mogę powiedzieć jej, jak wiele rzeczy zrozumiałam przez ostatnie miesiące. Teraz już wiem, że ona także szukała miłości.

- A ja miałem cię za najgorszą ladacnicę. Czy kiedykolwiek mi przebaczysz? - Nim mogła odpowiedzieć, ujął jej twarz w dłoń i delikatnie pogłaskał kciukami policzki. - Isabel - wyszeptał - tak bardzo cię potrzebuję. Bóg wie, że powinienem poczekać, dać nam obojgu czas, byśmy mogli zmienić nasze życie, dopasować je do nowych warunków.

Nie chciała nawet myśleć o tym, ile wycierpiał w ciągu kilku ostatnich godzin. Jej ciało pragnęło doznać raz jeszcze ekstazy, którą dał jej poprzedniego wieczoru. Chciała zatracić się w rozkoszy, zapomnieć o wszystkim.

Tuląc się do Kerna, gładziła jego muskularne ciało.

- Mój najdroższy panie ~ szeptała. - Liczy się tylko tu i teraz. Ja także bardzo cię potrzebuję. Bardziej, niż mogłam sobie kiedykolwiek wyobrazić.

Jego oczy wypełnione były tak cudowną tkliwością, że bała się w nią wierzyć. Obawiała się, że jest to tylko nieprawdopodobny sen. Powoli wyciągał szpilki z jej włosów. Długie fale opadały jej na plecy i ramiona.

- Piękna - szeptał, rozcierając na dłoni gęste brązoworude sploty. Pochylił się, by wciągnąć mocniej powietrze, zamykał oczy, smakując jej zapach. Potem skłonił głowę jeszcze niżej, przywarł ustami do pulsującego punktu na białej szyi Isabel, pieszcząc cudowne krągłości jej ciała. Kiedy uporał się z guzikami, suknia ześliznęła się na podłogę. Już po chwili Isabel stała zupełnie naga przed ubranym mężczyzną. Dotyk szorstkich wilgotnych ubrań sprawiał jej jednak nieoczekiwaną przyjemność.

Pieszczoty Kerna rozpałały ją jeszcze mocniej, ogarniały jej ciało gorączką podniecenia. Nie mogła już dłużej opierać się

pokusie. Jej palce przesuwały się po gładkich irchowych spodniach, aż odnalazły twarde, nabrziałe wzniesienie. Ośmielona miłością, pozwoliła sobie rozpiąć guziki bryczesów, a uwolniony członek znalazł się nagle w jej dłoniach, twardy, gorący i akksamitny. Kern syknął głośno.

- Jeszcze nie. - Przycisnął ją do słupka baldachimu, uniósł jej rękę nad głowę i przytrzymał je tam jedną dłonią, drugą zaś nie przestawał jej pieścić. - Pozwól, że najpierw będę cię dotykał... smakował. Całą.

Odchylił lekko głowę, by móc podziwiać jej piękno, ona zaś czuła, jak rozpala się pod jego spojrzeniem, jak jej zmysły nabierają ostrości, stają się bardziej wrażliwe. Wciąż patrząc na nią spod przymrużonych powiek, otaczał dłonią jej piersi, pieścił stwardniałe sutki. Potem pochylił się i przywarł wargami do jej ust. Isabel drżała z podniecenia, ocierała się o niego jak kotka. Chciała go pieścić, przywitać w swoim ciele, on jednak wciąż więził jej ręce, atakował bezbronne zmysły, aż Isabel rozsunała nogi, nie mogąc już dłużej powstrzymać palącego pragnienia.

- Proszę - błagała. - Och, proszę.

- Jesteś moja - szeptał, wsuwając palec do wilgotnego źródła rozkoszy w jej ciele.

- Tak. - Oparła głowę o drewniany słupek, całą sobą chłonąc dotyk Kerna. Jej ciało poruszało się w rytm jego pieszczot, a kiedy nagle znieruchomiał, krzyknęła sfrustrowana.

Nie zauważyła nawet, kiedy wypuścił jej ręce. Uklęknął przed nią niczym czciciel przed swą boginią, oburącz przytrzymał jej biodra. Drgnęła zaskoczona, kiedy poczuła ciepło jego oddechu na łonie, gdy szorstki policzek otarł się o jej uda. Nim zdążyła zaprotestować, jego język zanurkował głęboko, podejmując przerwany rytm, od którego ugięły się pod nią kolana, a wszelki opór rozwiął jak dym.

Ratując się przed upadkiem, oparła dłonie na jego szerokich ramionach, pozwalając, by to nowe, niezwykle doznanie unosiło ją coraz wyżej i wyżej. Wreszcie naprawdę upadła, zanurzając się w kolejnych falach doskonałej rozkoszy.

Kern wstał, podniósł Isabel i rozsunał jej nogi, by przygotować

ją na twardy, nieustępliwy atak. Jednym pchnięciem wypełnił ją całkowicie. A potem, kiedy drżącym głosem wyznawała mu miłość, jej ciało zacisnęło się wokół niego, by znów utonąć w morzu upojenia. Kern przyciągnął ją do siebie, wstrząsany spazmami rozkoszy.

Chowając twarz w jej włosach, dyszał ciężko, wyczerpany szalem namiętności. Przez dłuższą chwilę stali wtuleni w siebie, odpoczywając. Isabel zupełnie opadła z sił, choć jej serce przepelnione było radością.

Kern powoli opuścił ją na podłogę, gdy jednak jej stopy dotknęły tylko grubego dywanu, znów porwał ją na ręce i ułożył na łóżku. Potem odsunął się od niej. Choć czuła się cudownie zmęczona, pragnęła wciąż jego bliskości i protestując cicho, sięgnęła po jego dłoń. Kern przycisnął ją łagodnie do poduszek.

- Odpoczywaj, moja miłości.

Isabel wstrzymała oddech. Czy on naprawdę przemawiał z głębi serca? Czuła się całkowicie bezbronna, bezradna wobec wzbierającej w jej sercu fali nadziei. Tak, mogła mieć nadzieję. Bez pomocy słów pokazał jej siłę swych uczuć, a знаła już dobrze stałość jego charakteru. Nie należał do mężczyzn, którzy wykorzystują kobiety tylko po to, by zaspokoić swe egoistyczne żądze. Tylko autentyczne, głębokie oddanie mogło sprawić, że kochał się z nią po raz drugi.

Tymczasem Kern zdjął surdut, fular i koszulę, rzucając ubrania na podłogę. Ani na chwilę nie odrywał wzroku od Isabel, sycąc się jej nagością. Kiedy zsuwał spodnie, intensywność jego spojrzenia obudziła w niej powolny żar, choć zdawało jej się, że jest już całkowicie zaspokojona.

Bez słowa uniosła ręce, zapraszając go do siebie. Kern spoczął obok niej i ułożył jej głowę na swym ramieniu. Drugą ręką okrywał pierś Isabel, a ugięte kolano złożył na łonie. Przesuwając palcami przez włosy na jego torsie, ukontentowana Isabel cicho westchnęła.

- Uwielbiam, jak leżysz przy mnie.

Kern uniosł lekko głowę Isabel. Głosem drżącym ze wzruszenia powiedział:

- A ja uwielbiam ciebie. Kocham cię.

To wyznanie wyniosło ją na szczyty jej romantycznych marzeń. Mogłaby płakać z radości.

- Justinie. Och, Justinie.

Znów zaczęli się kochać, powoli, delikatnie, aż do całkowitego zaspokojenia. Potem Kern tulił ją do siebie; oddychali w jednym rytmie. Deszcz stukał miarowo w okna, czyniąc ich kryjówkę jeszcze bardziej przytulną, odciętą od świata.

Kern patrzył na ukochaną przez długą chwilę, jego oczy wydawały się łagodne, lecz poważne.

- Znów nie zachowaliśmy żadnych środków ostrożności. - Delikatnie gładził jej brzuch. - Ale wcale tego nie żałuję. Chcę, byś nosiła moje dziecko, Isabel. Chcę, by z naszej miłości narodził nam się syn albo córka.

- Ja też o tym marzę.

Przytulił ją mocniej, gładził splecione włosy.

- Znajdę ci dom, gdzie razem zaszyjemy się przed światem. Albo w ogóle wyjedziemy z Londynu. Nie miałabyś nic przeciwko temu, by zamieszkać w moim majątku w Derbyshire, prawda? - Nie czekając na jej odpowiedź, mówił dalej: - Spodoba ci się tam, szczególnie w lecie, kiedy kwitną dzikie kwiaty. Wzgórza są zielone i piękne, a obok wdowiego domku jest stary ogród z różami.

- Wdowiego domku? - powtórzyła Isabel, oczarowana tym cudownym obrazem.

- Tak. Tam właśnie zamieszkaż. To zaledwie pół mili od głównego domu, w bukowym zagajniku. - Ucałował delikatnie jej czoło. - Wierz mi, kochana, niczego nie pragnąłbym bardziej niż żyć z tobą w jednym domu, spędzać z tobą całe dnie i noce. Ale przynajmniej będziemy mogli codziennie się widywać, razem jadać, chodzić na spacer. Umiesz jeździć na koniu?

Przerazające podejrzenie zmroziło krew w żyłach Isabel. Oszołomiona, pokręciła w milczeniu głową. O co on ją prosił?

- Więc ja cię tego nauczę - powiedział. - Pojedziemy razem głęboko w las, do miejsca, w którym bawiłem się jako chłopiec. Płynie tam cudowny strumień, a obok jest polana, na której możemy położyć się razem i patrzeć w niebo. Będziemy spędzać tam całe popołudnia. Chciałbym zobaczyć, jak twoje włosy

układają się na trawie, jak słońce pieści ci skórę. - Dłonie Kerna gładziły ją leniwie, powoli, czule. - I nie będziemy musieli się martwić, że ktoś nam przeszkodzi. Nie będzie tam żadnych intruzów. Nie wpuszczę nikogo z towarzystwa na teren majątku. W ten sposób cały wolny czas będę mógł poświęcać tylko tobie. Jego niski, hipnotyczny głos rozbudzał w Isabel pożądanie, choć jednocześnie treść jego słów wbijała się cierniem w jej serce.

- Chcesz, żebym była... twoją kochanką.

- Tak. -Ujął jej twarz. - Chcę, byś była częścią mego życia, Isabel. Stałą częścią. Zawsze będę się tobą opiekował. Do śmierci.

Powoli pokręciła głową.

- Nie chcę tego.

Kern uniósł brwi.

- Nie? Myślałem, że chcesz być ze mną. Powiedziałaś, że mnie kochasz. - Zajrzał głęboko w jej oczy i znieruchomiał. Jego twarz posmutniała nagle, kiedy uświadomił sobie całą prawdę. -Moja miłości -szepnął. -Myślałaś, że się pobierzemy?

Isabel nie mogła wydobyć z siebie głosu. Leżała w bezruchu, przejęta nagłym chłodem i bólem. Zamek jej marzeń i snów rozpadł się w gruzy, a ona nie mogła temu zapobiec.

Kern zacisnął mocno powieki i otworzył je dopiero po dłuższej chwili. Kiedy znów spojrzął na Isabel, jego oczy przejęte były żalem i bólem.

- Boże! Przepraszam. Tak mi przykro, że sprawiłem ci zawód. Ale chyba sama rozumiesz, że małżeństwo jest niemożliwe.

- Nie - wyszeptała. - Nie rozumiem.

- Mam obowiązki, których nie mogę zaniedbać, czeka na mnie miejsce w parlamencie, służba społeczeństwu. Nie mogę zmienić tego, kim jestem. Nie mogę zmienić mojej sytuacji i pozycji. - Przesunął palcami po jej policzku. - Żadne z nas nie może tego zmienić.

Isabel odtrąciła jego dłoń.

- Dla ciebie jestem tylko nieślubnym dzieckiem ulicznicy. Nigdy nie będę niczym więcej.

- To nieprawda. Jesteś czymś więcej, inaczej nie leżałbym tutaj z tobą. Nie odrzuciłbym wszystkiego, w co wierzę.

- Och, więc to ja zrujnowałam ci życie?

Kern zacisnął zęby, wziął Isabel za ramiona i odwrócił twarzą do siebie.

- Ty jesteś moim życiem. Nigdy cię nie porzucę. Masz na to moje słowo. Musisz zrozumieć, że jestem ci całkowicie oddany.

Isabel usiadła i objęła się rękami. Oferta Kerna kusila ją tak bardzo, że musiała się od niego odsunąć, by nie ulec słabości.

- A kiedy będziesz potrzebował dziedzica? - spytała cicho. - Co wtedy zrobisz? Weźmiesz sobie za żonę jakąś damę. Zostawisz mnie dla niej.

Kern odwrócił spojrzenie i milczał przez chwilę, zastanawiając się nad przyszłością.

- Mam kuzyna, który może przejąć po mnie majątek. Zawsze zamierzałem spełnić swój obowiązek i spłodzić dziedzica, ale w tych okolicznościach jest to niemożliwe. - Porwał dłoń Isabel i przycisnął ją do ust, przejęty ogromną tęsknotą. - Kocham cię. Nie wyobrażam sobie, bym mógł dzielić życie z jakąś inną kobietą.

Zawsze pragnęła usłyszeć te słowa od mężczyzny, którego cenilaby ponad wszystkich innych. Składając jej jednak tę bezwstydną propozycję, Kern ograbił ją z wszelkiej radości.

Zsunęła się z łóżka, pochwyciła koszulę i przycisnęła ją do siebie, zakrywając piersi.

- Obawiam się, milordzie, że będzie pan musiał przeżyć je jakoś beze mnie. - Jej głos nabrzmiały był od niewylanych łez. Rozpacz, która ścisnęła jej serce, zamieniła się nagle we wściekłość. - Widzi pan, nie chcę być taka jak moja matka. Nie zmarnuję sobie życia, usychając z tęsknoty do mężczyzny, który uważa, że nie jestem godna zostać jego żoną. Nie pozwolę też, by moje dzieci zostały bękartami tak jak ja.

To oświadczenie uderzyło Kerna niczym mocarna pięść. Isabel nic nie rozumiała; nie była w stanie tego zrozumieć. On do końca życia będzie pamiętał grymas odrazy na twarzy Ha-thawaya. Bolesny siniak na policzku przypominał mu o tym, jak świat postrzega jego postępowanie.

Markiz wychowywał go w szacunku dla zasad przestrzeganych w wyższych sferach. Kern nigdy nie kwestionował swych obo-

wiązków jako szlachcica i pana swych poddanych, uważał, że powinien być dla nich wzorem do naśladowania. Z miłości dla Isabel pogwałcił już te zasady. Gotów był oddać się jej bez reszty, zrezygnować z obowiązku małżeństwa z prawdziwą arystokratką i przedłużenia rodu.

Do diabła! Czy ona tego nie widziała? Nie wynosił się ponad nią, dostosowywał się jedynie do surowych reguł, które nakładało na nich życie. Choć jego pozycja nie pozwalała mu się z nią ożenić, poprzysiągł jej absolutną wierność i oddanie. Nie mógł zrobić dla niej nic więcej.

A może jednak mógł?

Czy powinien odwrócić się od wszelkich zasad, które wpajał mu Hathaway, od nakazów, które prowadziły go dotąd przez życie? Czy on, który ślubował przywrócić szacunek nazwisku Lynwood, mógł wziąć sobie za żonę nieślubną córkę kurtyzany?

Musiał przyznać, że takie rozwiązanie stanowi dlań wielką pokusę. Wstał z łóżka i podniósł ubranie. Dręczony pytaniami bez odpowiedzi, zapinał spodnie i koszulę. Isabel odwróciła się od niego i zaczęła się ubierać. Wydawała się taka drobna i bezbronna, że miał ochotę porwać ją w ramiona i zanieść w miejsce, gdzie opinia świata nie będzie już mogła wyrządzić jej żadnej krzywdy.

Dla ciebie jestem tylko nieślubnym dzieckiem ulicznicy. Nigdy nie będę niczym więcej.

Jak bardzo się myliła. Sam nie wiedział, jak do tego doszło, ale Isabel Darling stała się centralnym punktem jego życia. Bez niej przyszłość wydawała mu się ponurym pasmem wydarzeń bez znaczenia. Potrzebował czasu do namysłu, do podjęcia konkretnych decyzji.

Podszedł do niej i ujął ją łagodnie za ramię.

- Chodź ze mną, Isabel.

Uniosła dumnie głowę.

- Nie. Nie będę twoją dziewczką.

Jej gniew sprawiał mu ból, wiedział jednak, że zasłużył sobie na to.

- Wcale tego nie chcę. Martwię się tylko o twoje bezpieczeństwo. Wiesz dobrze, co stało się Minnie.

Spojrzała na jego dłoń z taką pogardą, że Kern cofnął ją raptownie jak oparzony.

- Potrafię zadbać o siebie - powiedziała Isabel lodowatym tonem. - Robię to od lat.

- Na miłość boską, nie bądź niemądra. - W jego głosie także pojawiły się nutki gniewu. - Nie możesz zostać tutaj sama, bez mojej ochrony. To zbyt niebezpieczne. Na jakiś czas powinnaś zamieszkać w moim domu. Przynajmniej dopóki nie odnajdziemy zabójcy twojej matki.

- Żebyś znów mógł mnie uwieść? O nie, mój panie, nie ma mowy. - Potrząsnęła energicznie głową, otaczając się peleryną gęstych włosów. - Wolę raczej pozostać wśród ludzi, którzy mnie szanują.

Zasłużył sobie na jej wyrzuty. Przypominała mu, że nie jest jej mężem i nie ma prawa zmuszać jej do niczego. Z drugiej jednak strony nie mógł pozwolić, by stała jej się jakakolwiek krzywda.

- Przyślę tutaj kilku moich służących, będą stale obserwować wasz dom.

Isabel sięgnęła po suknię.

- Nie trudź się zbytnio. Nie zamierzam długo być sama.

- Co to ma znaczyć?

- Dokładnie to, o czym myślisz. - Przycisnęła suknię do piersi i spojrzała na Kerna z chłodną wyniosłością. - To znaczy, że znajdę innego mężczyznę, który otoczy mnie opieką. Mężczyznę, który uzna, że jestem godna nosić jego nazwisko.

k3ir John nie może przyjmować gości, milordzie. - Stara gospodyni zerkała na Kerna zza uchylonych drzwi. Jej oczy były zaczerwienione, jakby płakała przez całą noc. - Zachorował biedak, niech Bóg ma go w swej opiece.

Kern przycisnął dłoń do drzwi, kiedy kobieta chciała mu je zatrzasać przed nosem.

- Muszę się z nim zobaczyć, bez względu na to, jak się czuje. To bardzo ważna sprawa.

Gospodyni głośno pociągnęła nosem.

- Pan nie rozumie, milordzie. Sir John umiera. Jest przy nim lekarz.

Umiera?

Kern pchnął drzwi i minął przerażoną kobietę. Zdecydowanym krokiem przeszedł przez mroczny hall i wspiął się na schody.

- Nie może pan tam wchodzić. Nie wolno przeszkadzać jaśnie panu.

Ignorując jej protesty, Kern pokonywał stopnie wielkimi susami. Do diabła! Nie powinien był zwlekać z tą wizytą aż do rana. Wczoraj jednak nie mógł się otrząsnąć z rozpacz po rozmowie z Isabel. Przez całą noc chodził od ściany do ściany, dręczony tęsknotą i zazdrością.

Znajdą innego mężczyznę, który otoczy mnie opieką Mężczyznę, który uzna, że jestem godna nosić jego nazwisko.

Przemawiała w gniewie, chciała się na nim odegrać, sprawić mu ból. Nie mogła przecież myśleć tak naprawdę. Była zbyt uczciwa, zbyt prawa, by w najbliższym czasie zapraszać do swego łóżka innego mężczyznę.

Ale za jakiś czas, za kilka tygodni czy miesięcy? Mieszkała przecież w domu schadzek. Jej towarzyszkami mogła ją zachęcać, by znalazła sobie innego kochanka. Kto wie, być może Isabel była tak zdruzgotana jego podłą propozycją, że zechce szukać zapomnienia w ramionach przypadkowego człowieka...

Kern stał w korytarzu, dysząc ciężko i zaciskając dłonie w pięści. Musiał zapanować nad emocjami, zatroszczyć się przede wszystkim o jej bezpieczeństwo.

Miał do wyboru czworo zamkniętych drzwi. Trafiał na właściwe dopiero przy ostatniej próbie.

Kiedy wszedł do skromnego pokoiku, uderzyła go ostra woń choroby. Na wąskim łóżku leżał sir John Trimble, jego twarz była nienaturalnie żółta, oczy zamknięte, oddech słaby i płytki.

Czy ten mężczyzna był ojcem Isabel? Czy to on wyrzekł się własnego dziecka? Kern nie mógł w to uwierzyć. Uważał Trimble'a za człowieka honoru, który nie ulega naciskom przedstawicieli swoich sfer.

Nad łóżkiem pochylał się szczupły, siwowłosy mężczyzna. Ostrożnie oderwał od nieruchomej ręki pacjenta małą pijawkę i wrzucił ją do słoika. Potem wyprostował się i zmierzył Kerna nieufnym spojrzeniem.

Ten podszedł do niego bez wahania.

- Jestem lord Kern, przyjaciel sir Johna. Proszę mi powiedzieć, jak on się czuje.

Lekarz uściśnął jego dłoń.

- Niestety, nie najlepiej. Zapadł w śpiączkę. Nie mogę przywrócić go do przytomności, choć już pięć razy upuszczałem mu krew.

Do pokoju weszła gospodyni. Trzymając splecione dłonie na fartuchu, odezwała się płaczącym głosem:

- Wrócił do domu wczoraj wieczorem, skarżył się na ból brzucha. A potem upadł w korytarzu.

- Na czym właściwie polega jego choroba? - spytał Kern lekarza.

- Muszę przyznać, że objawy są dość dziwne. - Doktor podrapał się po łysiejącej głowie. - Wymioty przez cały dzień i całą noc. Pożółkła skóra, przyspieszony puls, nawet teraz, kiedy leży nieprzytomny. Być może zjadł coś szkodliwego.

- Ale pan tak nie sądzi.

Lekarz wzruszył ramionami.

- W całej mojej karierze tylko raz miałem do czynienia z podobnym przypadkiem. Była to pewna gospodyni, która chciała odebrać sobie życie, połykając dawkę arszeniku.

Trucizna!

Zimny dreszcz przebiegł po plecach Kerna. Wczoraj Trimble złożył wizytę w lupanarze, potem pojechał szukać Callandry. Kern także rozmawiał z nią po rozstaniu z Isabel. Callie wróciła właśnie od Hathawayów i była ogromnie zdumiona, usłyszawszy, że Trimble chciał się z nią spotkać.

Kern zastanawiał się teraz nad tą rozmową. Czy ta kobieta kłamała? Czy Trimble jednak ją odnalazł i oskarżył o morderstwo? Czy to ona próbowała go otruć?

Sfrustrowany, odwrócił się do gospodyni.

- Czy sir John mówił, gdzie był wczoraj? Z kim rozmawiał?

Kobieta pokręciła głową.

- Był za słaby, żeby opowiadać mi o tym, gdzie był i co robił. Pobieglam po lekarza, a kiedy wróciłam, było z nim już bardzo źle.

- Czy powiedział cokolwiek? Może wymienił jakieś imię? Callandra albo Callie?

Gospodyni chciała już zaprzeczyć, wtedy jednak do rozmowy wtrącił się lekarz.

- Milordzie, sir John wczoraj wieczorem coś mamrotał. Pamiętam, że dziwiłem się, dlaczego powtarza ciągle imię greckiego boga.

Kern zbliżył się o krok do medyka. O mały włos chwyciłby drobnego mężczyznę za kłapy i potrząsnął nim energicznie.

- Jakiego boga? Mów, człowieku.

- To był Apollo.

Apollo...

Być może Minnie myliła się jednak. Może Trimble nie szukał Callandry dlatego, że uważał ją za winną. Może wierzył, że to właśnie ona posiada informacje, które pozwolą mu ustalić tożsamość mordercy. To zaś oznaczało, że nie on był ojcem Isabel. Skoro chciał zobaczyć się z Apollem...

To Apollo mógł go otruć.

Kern pożegnał się pośpiesznie i opuścił dom Trimble'a. Zamierzał wrócić do lupanaru i przesłuchać Callandę, wcześniej jednak chciał sprawdzić teorię, która nie dawała mu spokoju, odkąd przeczytał memuary Aurory Darling i znalazł tam pewną wskazówkę pominiętą przez Isabel.

Wskoczył do powozu, pochwycił cugle i poderwał konia do kłusu. Myślał tylko o tym, że jeśli dopisze mu szczęście, wkrótce dowie się, kim był Apollo.

Isabel zniosła tacę do kuchni w suterenie. Wciąż unosił się tu zapach gotowanej kapusty, która była podstawowym składnikiem lunchu. Isabel objęła spojrzeniem znajome wnętrze, kamienne ściany i półki, na których ustawiono ozdobne talerze z różami. Jako dziecko uwielbiała to miejsce. Udawała, że to jaskinia, w której może się skryć przed nikczemnymi czarownicami i smokami. Teraz szukała tu ukojenia i spokoju.

Pośrodku kuchni, przy pieńku do krajania, stała Minnie. Siekała cebulę, choć szło jej to wyjątkowo opornie, jako że mogła się posługiwać tylko lewą ręką. Ujrawszy Isabel, odłożyła nóż i wytarła dłoń w poplamiony fartuch, opinający ciasno jej pulchną sylwetkę. Spojrzała surowo na tacę, którą Isabel niosła do zlewu.

- No nie, przecież ty nawet nie tknęłaś tej zupy. Śniadania też nie chciałaś jeść. - Orzechowe oczy spojrzały na dziewczynę z urazą. - Coś mi się zdaje, że przez ten pobyt u Hathawayów nabrałaś nowych przyzwyczajęń. Już nie smakuje ci nasze jedzenie.

- Wcale nie. Po prostu nie jestem dzisiaj głodna.
 - Matko Boska. Wczoraj też jadłaś jak ptaszek. Nawet Persy radzi sobie lepiej od ciebie. Usiądź tutaj, zaraz dam ci pyszny placuszek. Sama usmażyłam go przed chwilą.

Zbyt zmęczona, by spierać się z ciotką, Isabel opadła na wysoki stołek. Wcale nie czuła głodu, postanowiła jednak sprawić przyjemność Minnie. Nie chciała wracać do pustej sypialni, leżeć w łóżku, na którym tak niedawno kochała się z Kernem. Nie chciała cierpieć udręki tęsknoty, wspominać cudownych wyznań, które szeptał jej do ucha.

Kocham cię. Zawsze będą się tobą opiekował. Do końca życia.

Irlandka postawiła przed nią talerzyk i zrzuciła nań solidną porcję masła.

- A może boli cię brzuch? - spytała surowo. - Za wcześnie jeszcze na objawy ciąży.

Isabel zastygła w bezruchu, z nożem uniesionym nad talerzem. Powoli, bardzo powoli odłożyła nóż na stół.

- Och, ciociu. Naprawdę myślisz, że mogłam zajść w ciążę?

- To możliwe - odparła Minnie z poważną miną. - Łatwo dać się ponieść namiętności, ale potem trzeba za to słono płacić. Musisz mi obiecać, że od tej pory będziesz już bardzo ostrożna.

Minnie nie wiedziała jeszcze, że Kern zostawił ją na dobre. Nie będzie już następnego razu. Isabel nigdy go już nie ujrzy - chyba że będzie miała dość odwagi, by uczynić krok, nad którym zastanawiała się przez całą noc. Patrząc na twarz opiekunki wyznała żarliwie:

- Ale ja kocham Justina. Chcę jego dziecka.

- Nie, moja droga. - Irlandka potrząsnęła głową. - Niepowinnaś wmawiać sobie takich rzeczy, ludzię się nadzieją. Potem tylko się rozczarujesz. Czy opowiadałaś ci kiedyś o dziecku, które utraciłaś przed laty?

Isabel spojrzała na nią ze zdumieniem, zatrzymując przy ustach kawałek placka posmarowany masłem.

- Nie - odparła. - Co się stało?

- To było tuż przed tym, jak twoja matka wzięła mnie do siebie. - Minnie usiadła ciężko na krześle. - Byłam sierotą, ale

dopisywało mi szczęście i zostałam zatrudniona jako pokojówka w domu wicehrabiego. Wpadłam w oko synowi jaśnie pana i po jakimś czasie dałam się uwieść jego słodkim słówkom. Ach, cóż to było za cudowne przeżycie, ta pierwsza uczta rozkoszy! Chciałam więcej, a młody panicz z ochotą spełniał moje życzenia. Ciągnęło się to przez kilka miesięcy. - Uśmiechnęła się, wracając myślami do minionych lat. Potem jej twarz stężała w grymasie gniewu. - Jego rodzice domyślali się prawdy, ale udawali, że nic nie zauważają, dopóki nie urósł mi brzuch. Wtedy bez zwłoki wyrzucili mnie na bruk.

Isabel przełknęła odruchowo płacek. Oczami wyobraźni widziała Minnie jako przerażoną dziewczynę, która nie wie, do kogo zwrócić się po pomoc, która musi sama radzić sobie z niechcianą ciążą.

- Och, ciociu Minie. Co zrobiłaś? Dokąd poszłaś?

- To było lato, więc mogłam żyć na ulicy. Oczywiście nikt nie chciał przyjąć mnie do pracy. Miałam tylko odrobinę zaoszczędzonych pieniędzy, za które kupowałam jedzenie. Nic dziwnego, że dziecko urodziło się za wcześnie i było bardzo słabe. - W oczach Irlandki pojawił się głęboki smutek. Wzdychając ciężko, przycisnęła ręce do obfitego brzucha. - Moja biedna, małeńka córeczka umarła w moich ramionach.

Łzy napłynęły do oczu Isabel. Wstała ze stołka i uściśnęła serdecznie kobietę, która była dla niej jak matka i zawsze otaczała ją opieką.

- Tak mi przykro. Nigdy nie przypuszczałam...

- Cóż, może i dobrze, że tak się stało. Dzięki temu nabrałam siły, postanowiłam, że sama muszę radzić sobie w życiu, a kiedy usłyszałam, że twoja matka poszukuje towarzyszkę, natychmiast się do niej zgłosiłam. Aurora miała miękkie serce. Gdy usłyszała moją historię, tak podobną do jej życia, przyjęła mnie bez zastanowienia. A kiedy się urodziłaś, byłaś dla mnie jak błogosławieństwo, zajęłaś miejsce mojej utraconej córeczki.

Isabel przysiadła na skraju stołka.

- Kochałaś go? Mam na myśli ojca dziecka.

Minnie wzruszyła ramionami i wstała, by przetrzeć zatłuszczony blat kredensu.

- Miłość to tylko piękne określenie pożądania. Tak czy siak, on już od dawna nie żyje. Cała jego rodzina zmarła niecały rok później, złożona jakąś tajemniczą chorobą. Niech Bóg zbawi ich zepsute dusze. On dał mi nauczki na całe życie. Zrozumiałam, że powinnam czerpać przyjemność z obcowania z mężczyznami, a do tego brać jeszcze od nich pieniądze.

Isabel zdrygnęła się, słysząc nutę cynizmu w głosie ciotki. Zdała sobie sprawę, że ta kobieta kryje przed nią tajemnice, o których istnieniu nie miała pojęcia. To dziwne - znała Minnie przez całe życie, a ta nie wspominała dotąd ani słowem o tragedii, jaka spotkała ją w przeszłości. Isabel zastanawiała się, czy i ona będzie po latach równie zgorzkniała, jeśli zostanie w tym domu.

- Justin nie jest taki - powiedziała. - Nie porzuciłby własnego dziecka. Obiecał mi to.

- Wszyscy dżentelmeni składają w sypialni obietnice. Twój ojciec też na pewno obiecywał Aurorze, że jej nie porzuci. Czy od jej śmierci przysłał ci chociaż pensa?

- Nie.

- Widzisz? Mężczyźni wcale nie dbają o to, co dzieje się z ich nieślubnymi dziećmi.

Isabel skinęła w milczeniu głową, starając się zapomnieć o bólu, jaki sprawiała jej ta smutna świadomość. Jako dziecko marzyła często, że ojciec zaprosi ją do siebie, przyjmie z otwartymi ramionami w swym wielkim zamku, oświadczy, że szukał jej przez wiele lat i że nic już ich nie rozdzieli...

Teraz, kiedy była już dorosła, wiedziała, że w życiu nie ma szczęśliwych zakończeń, że ojciec świadomie się od niej odsunął. Skoro sir John Trimble nie chciał jej uznać, to była to już tylko jego strata.

Mogła jednak odnaleźć szczęście w ramionach Kerna.

Ta myśl była dla niej jak światełko na końcu długiego ciemnego tunelu. Jak dobrze było odwrócić się w stronę blasku nadziei, zapomnieć o posepnym mroku. Isabel zrozumiała nagle, że otrzymała od losu szansę, której nie miała ani jej matka, ani Minnie. W odróżnieniu od nich, poznała mężczyznę, który

darzył ją prawdziwym uczuciem i chciał, by zajęła stałe miejsce w jego życiu. A ona odmówiła mu, kierowana odruchem głupiej dumy.

- Justin nie jest taki jak Apollo. Ani jak ten łajdak, który cię uwiódł - odparła powoli. - Chce, żebym była jego kochanką.

Minnie znieruchomiała na moment i mrużąc oczy, spojrzała na Isabel.

- Poprosił cię, żebyś służyła tylko jemu?

Ujęta w tak bezpośredni sposób propozycja Kerna wydawała się podła i bezczelna. Isabel wbiła spojrzenie w kawałek placka.

- Chciałam, żeby się ze mną ożenił. Wciąż tego chcę. Ale teraz rozumiem, jak bardzo się różnimy. Nie mogę pragnąć niemożliwego. Powinnam przyjąć to, co mi oferuje.

Irlandka odłożyła ścierekę, podeszła do podopiecznej i poklepała ją po plecach.

- Och, kochanie, nie martw się. To oczywiste, że lord nie może poślubić dziewczyny z twoim pochodzeniem. Takie jest życie. Zostaniesz tutaj, ze swoimi ciociami, a my już dopilnujemy, żeby zapłacił odpowiednio za przywilej widywania się z tobą. Będziesz miała zapewnioną przyszłość...

- Nie! Nie chcę jego pieniędzy. I nie chcę, byście go o nie prosiły. - Isabel odsunęła się od opiekunki, zbulwersowana jej słowami.

- Bo gdybyś przyjęła od niego pieniądze, czułabyś się jak prostytutka - dodała Minnie spokojnie. - Wolisz więc, żeby wykorzystywał cię za darmo?

- Dla mnie liczy się tylko jego miłość. Nie chcę niczego więcej.

Zatroskana Irlandka zmarszczyła czoło.

- Musisz być bardziej praktyczna, moja droga. Każda dziewczyna kocha mężczyznę, który otwiera przed nią świat rozkoszy. Myślałam jednak, że jesteś rozsądniejsza niż Aurora. Ona zamarnowała życie, tęskniąc za człowiekiem, który ją pogardzał.

Isabel doskonale rozumiała teraz matkę, która nie była próżną, głupią istotą, lecz kobietą spragnioną prawdziwej miłości.

- Czują do Apolla to samo co ja do Justina. Tyle że ja inaczej ułożę sobie życie. Będę z mężczyzną, którego kocham. Na zawsze.

Minnie parsknęła z lekceważeniem.

- Jeśli wierzysz jego kłamstwom, srodze się tylko rozcza rujesz.

Zawsze będą się tobą opiekował. Do śmierci.

- Justin mnie nie zostawi. Wiem, że tego nie zrobi. - Przypominając sobie, jak ją tulił, jak żarliwie były jego wyznania, Isabel zapomniała o złości i poczuła nagle ogromną tęsknotę. Była pewna jego miłości i ta pewność dodawała jej odwagi, pomagała podjąć ostateczną decyzję. Stanowczym tonem oświadczyła: - Wyjadę z nim.

- Wyjedziesz? - spytała Minnie ochryplym szeptem. - Dokąd?

- Do jego majątku w Derbyshire. Chce, żebym zamieszkała we wdowim domu. Dzięki temu moglibyśmy spotykać się niemal codziennie. - Isabel uśmiechnęła się lekko, myśląc o przyszłości, kiedy to będzie mogła całkowicie oddać się Kemowi, z dala od potępięńczych plotek i nienawiści arystokratów. Kiedy powie mu o tej decyzji, rozpromieni się cały, weźmie ją w ramiona...

Radość i ekscytacja pozwalały jej dłużej siedzieć w miejscu.

- Muszę się umyć i przebrać - oświadczyła nagle, uświadomiwszy sobie, że ma na sobie tę samą zmiętą suknię, w której przyjechała od Hathawayów.

Dorzuciła węgla do pieca i postawiła na palenisku kocioł, do którego naląła wody z wielkiego wiadra. Kiedy się odwróciła, ujrzała Minnie stojącą nieruchomo przy pieńku, z rękami skrzyżowanymi na piersiach.

- Znow wyjeżdżasz- oświadczyła ciotka oskarżycielskim tonem. - Tak po prostu.

- Och, ciociu. Nie straciecie mnie, obiecuję. Namówię Justina, żeby kupił wam dom na wsi. Będziemy się często widywać. Więc nie martw się już, proszę.

- Jak mam się nie martwić, skoro wyjedziesz stąd, nie wiadomo na jak długo, może na kilka miesięcy, może na kilka lat.

- Albo na całe życie - wyszeptała Isabel. Choć było jej żal ciotek, wiedziała, że musi sama pokierować swym losem, śmiało wkroczyć w przyszłość. - Jestem już dorosła i czas, bym rozpoczęła samodzielne życie. Nie rozumiesz tego? Kocham Justina z całego serca. A on kocha mnie. Będzie mi wierny, będzie traktował mnie jak żonę.

- Nie na długo. Jesteś Wenus, córka kurtyzany.

Isabel przelknęła z trudem ślinę, odsuwając od siebie wszelkie wątpliwości.

- To nie ma dla niego żadnego znaczenia. Wie, że nie jestem rozpustna, że nigdy nie miałam innego mężczyzny. I wie, że ja także będę mu wierna, jakbym złożyła ślub w obliczu Boga.

Przez długą chwilę Irlandka siedziała w bezruchu; jej twarz nie zdradzała żadnych uczuć. Potem odwróciła się od Isabel.

- Idź na górę, moje dziecko. Przyślij tu Callie, niech zajmie się twoją kąpielą. Ja przygotuję ci tymczasem filiżankę herbaty na uspokojenie. Nie chcę, by lord Kern pomyślał, że jesteś tylko niemądrą rozbrykaną dziewczynką.

Ponura rezygnacja, jaką słyszała w głosie opiekunki, poruszyła Isabel do głębi. Jak bardzo będzie tęsknić za wszystkimi ciociami!

Żałowała jedynie, że teraz, kiedy już straciła kontakt z wyższymi sferami, nie będzie mogła odnaleźć zabójcy matki. Jej śmierć wydawała się równie zagadkowa jak w chwili, gdy Isabel rozpoczęła śledztwo. Pomyślała, że może powinna być zadowolona z takiego obrotu sprawy. Zbyt długo żyła myślami o zemście.

Ucałowała serdecznie miękki policzek Minnie.

- Będę was regularnie odwiedzać. Obiecuję.

Isabel była zadowolona ze swej decyzji. Rozstała się wreszcie z dotychczasowym życiem, odnalazła własną drogę, swoją miłość.

Odwróciła się i wyszła z kuchni. Wbiegając na schody, zastanawiała się już, którą suknię włożyć. Chciała wyglądać jak najlepiej, żeby podobać się Justinowi. Zamierzała przyjść do niego jak panna młoda, pachnąca, piękna i niewinna.

Jej serce biło w radosnym oczekiwaniu. Jaką cudowną niespodziankę sprawi Justinowi, stając nieoczekiwanie w jego proggu!

Ivern zatrzymał się pośrodku głównej nawy kościoła św. Grzegorza.

Blask słońca z trudem przebijał się przez grube szyby wysokich okien. W dzień powszedni świątynia była całkiem pusta, nikt nie zasiadał w solidnych drewnianych ławach, nikt nie grał na organach. Chłodne wewnątrz wypełniała aura tajemniczości, duchowej jedności z nieznanym.

Kroki Kerna odbijały się głośnym echem, kiedy podchodził do ołtarza. Wiedziony impulsem silniejszym niż poczucie obowiązku, uklęknął. To właśnie tutaj miał za kilka tygodni ślubować Helen wierność i miłość.

Tak niewiele brakowało, by związał się z nią na zawsze. Teraz widział, jak wielką wyrządziłby jej krzywdę, obiecując jej coś, co należało do innej kobiety. Po raz pierwszy od chwili, gdy przekazał jej te okropne wieści, czuł prawdziwy spokój. Wiedział, że choć przypomniawszy sobie jej cierpienie, zawsze będzie odczuwał smutek i żal, w rzeczywistości działał tylko dla jej dobra. Modlił się, by kiedyś to zrozumiała i odnalazła szczęście, które on znalazł w ramionach Isabel.

Isabel...

Pochylił głowę i zamknął oczy. Nie mógł jednak odegnać od siebie natrętnego obrazu: oto on sam kroczy przez środek kościoła i staje przed ołtarzem, czekając, aż dołączy do niego Isabel, odziana w śnieżnobiałą suknię. Uśmiecha się do niego z radością, pewnym głosem wypowiada słowa przysięgi małżeńskiej:

„Ja, Wenus Isabel Darling, biorę ciebie, Justina Culvera, lorda Kern, za męża i ślubuję ci miłość i wierność małżeńską, póki śmierć nas nie rozłączy”.

Wpatrując się w marmurowe stopnie ołtarza, Kern zrozumiał wreszcie z całą jasnością, że nic innego nie ma znaczenia - obowiązki, społeczeństwo, poczucie winy - że liczy się tylko kobieta, którą darzy miłością. Kiedy tylko załatwi sprawę, która sprowadziła go w to miejsce, pojedzie do Isabel i poprosi ją o rękę. Pojmie ją za żonę wbrew całemu światu...

- Modlisz się o przebaczenie? - rozległ się ostry głos za jego plecami.

Kern poderwał gwałtownie głowę. W półmroku obok ołtarza stał wielbny lord Raymond Jeffries.

Wsparty na lasce, pastor podszedł bliżej, spoglądając na Kerna z pogardą.

-Więc? - spytał lodowatym tonem. - Mam nadzieję, że przyszedłeś tu, by błagać Boga o litość. Postąpiłeś haniebnie, łamiąc serce mej bratanicy.

Kern podniósł się z klęczek.

-Jak ona się czuje?

-Wyjeżdża z ojcem na kontynent. Nie może pogodzić się z myślą, że porzuciłeś ją dla zwykłej ładacznicy.

Kern zacisnął dłonie w pięści, przejęty jednocześnie głębokim współczuciem dla Helen.

-Panna Darling nie jest ładacznicą. Jeśli ośmielisz się jeszcze raz obrazić ją w mojej obecności, będę zmuszony zamknąć ci usta.

Lord Raymond zatrzymał się raptownie.

- Jak nisko upadłeś, Kern. Grozisz słudze bożemu przed ołtarzem. - Pokręcił głową z niedowierzaniem. - Nie mogę uwierzyć, że jesteś tym samym chłopcem, który przysięgał kiedyś, że nigdy nie będzie podobny do księcia Lynwood.

Kern przesłał mu sarkastyczne spojrzenie.

-Wszyscy mamy jakieś ponure tajemnice. Ja miałem przynajmniej dość odwagi, by przyznać się do błędu.

Pastor znów przywołał na twarz srogą minę.

-Ja odpokutowałem już za swoje grzechy, zresztą nie powinno cię to interesować. „Nie sądzcie, bo sami będziecie sądzeni”.

Kern przyglądał się przez chwilę mężczyźnie, którego Aurora nazywała Ikarem. Opis jego perwersyjnych upodobań, który znalazł w dzienniku kurtyzany, wzbudzał w nim głęboką odrazę. Dopiero teraz zrozumiał, jak słabo zna lorda Raymonda.

Czy to on właśnie zamordował Aurorę Darling? Czy Hathaway pomógł bratu ukryć tę ponurą prawdę? Czy lord Raymond włamał się do lupanaru i zniszczył sypialnię byłej kochanki?

-Powinieneś wiedzieć, że Isabel nie ma już tych memuarów - rzekł głośno.

Lord Raymond zbladł jak ściana.

~ Co? - Zachwiał się lekko, dłoń oparta na gałce laski pobieląca pod zwiększonym naporem. Jego głos odbijał się echem od kamiennych ścian świątyni. - Chyba nie oddała ich do publikacji, co? Musisz ją powstrzymać! Nigdy nie zostanę biskupem, jeśli to plugastwo ujrzy światło dzienne.

- Być może człowiek, którym powoduje tak wielka ambicja, nie powinien być wzorem dla wiernych. - Kern zamilkł, świadomie przedłużając męki niepewności pastora. - Ale mylisz się. Ja mam ten dziennik.

- Ty? O, chwała Bogu! Gdzie on jest?

- W bezpiecznym miejscu, gdzie tylko ja mam do niego dostęp.

- Musisz więc zniszczyć strony, które odnoszą się do mnie. - Lord Raymond przykuśtykał pospiesznie do Kerna i chwycił go za rękaw. - Błagam cię, Justinie, przez wzgląd na naszą wieloletnią znajomość, musisz to dla mnie zrobić.

- Zrobię. Ale dopiero wtedy, gdy się przekonam, że nie otrułeś Aurory Darling.

Pastor uspokoił się nagle, znieruchomiał. Jego twarz przybrała nieprzenikniony, kamienny wyraz, który Kern łączył zazwyczaj z Hathawayem.

- Więc to tak - powiedział cicho lord Raymond. - Ta kobieta opętała cię do tego stopnia, że przestałeś wierzyć nawet mnie. Dawniej wystarczyłoby ci moje słowo.

Kern wiedział, że pastor ma rację, i ta świadomość napelniała go smutkiem. Nie czuł jednak wyrzutów, nie mógł sobie pozwolić na słabość, wiedząc, że ktoś, kto zamordował Aurorę Darling, zaatakował Minnie i otruił Trimble'a, nie zawaha się przed następną zbrodnią, byle tylko odzyskać dziennik.

Ta myśl poderwała go z miejsca, ponownie napelniła żądzą czynu. Kluczem do zagadki był Apollo. Kiedy już odnajdzie ojca Isabel, odsłoni być może wszystkie tajemnice przeszłości jej matki.

- Chciałbym przejrzeć rejestr ślubów w księgach parafialnych - powiedział.

- Dlaczego?

- To moja sprawa. Módl się tylko, bym znalazł tam informację, która oczyści cię z wszelkich zarzutów.

Zerkając nań podejrzliwie, wielebny lord Raymond zaprowadził Kerna do małego pomieszczenia obok zakrystii, którego ściany pokryte były rzędami ksiąg oprawnych w skórę, rejestrami urodzin, ślubów i śmierci.

Kern kazał kapłanowi opuścić pokój, a potem zamknął za nim dębowe drzwi. Przeglądając cyfry na grzbietach grubych tomów, odnalazł księgę dotyczącą odpowiedniego roku.

Wskazówka pominięta przez Isabel pojawiała się w memuarach kilkakrotnie.

Tamtego lata poświęciłam się wyłącznie jemu, byliśmy sobie wierni aż do naszej ostatniej nocy, nocy poprzedzającej jego ślub. Właśnie wtedy zasłamałam w ciąży...

Kern przeszedł do stolika pod oknem i otworzył księgę. Czuł specyficzną woń starego papieru; położył karty sześciu głośno, gdyje przewracał. Przebiegał wzrokiem drugie kolumny nazwisk. Niezliczeni małżonkowie składali tu podpisy, by potwierdzić oficjalnie zawarcie ślubu.

Serce Kerna zaczęło bić żywiej, kiedy odnalazł interesujący go miesiąc. Wrzesień 1803 r.

Isabel urodziła się dwunastego czerwca 1804 roku, a to znaczyło, że została poczęta we wrześniu, w noc przed ślubem Apolla. Ponieważ ceremonia ta miała miejsce w Londynie, a zdecydowana większość arystokratów uczęszczała do kościoła św. Grzegorza, nazwisko ojca Isabel znajdowało się najprawdopodobniej na tej właśnie liście.

Na szczęście wrzesień nie był wśród nowożeńców miesiącem tak popularnym jak czerwiec czy grudzień. W tym czasie zawarto tu około czterdziestu małżeństw. Mimo to Kern stał przed trudnym zadaniem.

Powoli przesuwiał palec w dół kolumny, przypominając sobie poszczególnych arystokratów, łącząc nazwiska z twarzami. Wielu z nich cieszyło się powszechnym szacunkiem, piastowało wysokie stanowiska, nie wykluczał jednak nikogo prócz tych, którzy już umarli.

Miał nadzieję, że dzięki temu uda mu się sporządzić kompletną listę podejrzanych. Potem przesłucha wszystkich po kolei, by dowiedzieć się, kto z nich znał Aurorę Darling. Skorzysta

z pomocy jej przyjaciółek, te będą bowiem pamiętać, czy dany dzentelmen rzeczywiście nie był w lupanarze.

Jego palec zatrzymał się nagle na znajomym nazwisku.

Kern siedział jak osłupiały, czytając wpis raz za razem, opierając się prawdzie, która docierała coraz mocniej do jego świadomości. To nie mógł być on. Nie mógł.

Wiedział jednak, że jego poszukiwania dobiegły końca.

Odnalazł Apolla.

Zbudziło ją brzęczenie pszczoł.

Nie, to były ludzkie głosy.

Isabel stwierdziła ze zdumieniem, że dokoła panuje przedwieczorny półmrok. Zastanawiała się, dlaczego nie pamięta popołudnia. Jej umysł pracował ociężałe, ręce i nogi leżały bezwładnie wzdłuż tułowia, przenikało ją dziwne, leniwe ciepło.

Powoli zaczęła rozróżniać otaczające ją przedmioty. Różowe draperie. Cherubiny podtrzymujące baldachim. Złoczone meble.

Dlaczego leżała w łóżku matki?

Nim zdobyła się na odpowiedź, znów doszły ją czyjeś szepty. Z buduaru.

Kern?

Zbierając wszystkie siły, próbowała podnieść się z łóżka, lecz głowa ciążyła jej jak kamień. Świat wirował jej przed oczami, dwoił się i troił. Opadła z powrotem na poduszki. Dopiero po kilku minutach pokój zwolnił i zatrzymał się w miejscu.

Nie Kern. To było kiedy indziej. Wtedy, gdy kochał się z nią na tym łóżku. Och, jak cudowne były jego pieszczoty. Dotykał jej, póki nie krzyknęła z rozkoszy. Nawet teraz jej ciało pulsowało wspomnieniem tej ekstazy, myśli wracały do tamtych upojnych chwil...

Coś jednak przeszkadzało jej napawać się tym obrazem. Usilnie starała się przypomnieć sobie co.

Kern ją zostawił. Na zawsze. Bo nie chciała zostać jego kochanką.

Ależ ona chciała nią być! Zamierzała do niego pojechać.

Nie zrobiła tego?

Zmarszczyła czoło, próbując zignorować bolesne pulsowanie w skroniach. Ostatnią rzeczą, jaką pamiętała, była gorąca kąpiel. Callie przyniosła jej gorącą wodę i ubrania. Minnie namówiła ją, by wypić filiżankę herbaty. Pamiętała jeszcze, że wyszła z wanny, a potem zachwiała się, ogarnięta falą ogromnego zmęczenia. Zrobiło jej się ciemno przed oczami, słyszała głośno prowadzoną rozmowę. Na pewno rozpoznała głos Callie...

Teraz słyszała tylko jakieś szepty. Do sypialni wpadał nikły blask świecy lub lampki płonącej w buduarze. Kto tam był? Isabel chciała spytać o to głośno, lecz z jej gardła wydobył się tylko cichy skrzek.

Kąpiel musiała jednak należeć do rzeczywistości, nie do sennych marzeń. Jej włosy wciąż były wilgotne i pachnące. Przygotowywała się dla Kerna. Tak. Chciała włożyć najlepszą suknię i pojechać do jego domu. Powiedzieć mu, że zmieniła zdanie.

Teraz miała na sobie tylko cienką nocną koszulę. Czyżby nagle zachorowała?

Z pewnością była oszołomiona. Z trudem łączyła ze sobą poszczególne myśli. Jej ciało wypełniała przyjemna ocieężałość; z przyjemnością chłoneła dotyk chłodnego prześcieradła, gładkiej poduszki. Całkowicie rozluźniona, wyobrażała sobie, że jest zwiędłą różą, a jej ramiona to opadłe płatki.

Z buduaru dobiegły ją jakieś nowe dźwięki. Ciężkie kroki męczyzny.

Rozchyliła usta w sennym uśmiechu. Może jednak Kern do niej wrócił. Może zdecydował się z nią ożenić. Jakże cudownie byłoby znów znaleźć się w jego ramionach, całować go, cieszyć się jego pieszczotami

Do sypialni wszedł jakiś mężczyzna. Wysoki i chudy, trzymał zapaloną świeczkę. Żółty blask padał na jego ostre, patrycjuszowskie rysy, rzadkie siwiejące włosy...

Terrence Dickenson.

Jej ocieężały umysł nie mógł sobie poradzić z tą zagadką. Zdumiona, próbowała się odezwać:

- Coooo...?

Co pan tu robi?

Nie mogła wyartykułować ani jednego słowa, jej język był całkiem sztywny, usta wysuszone.

Dickenson postawił świeczkę na nocnym stoliku. Potem usiadł na łóżku i pochylił się nad Isabel. Jego usta wykrzywione były w drapieżnym uśmiechu, odsłaniającym rząd żółkłych zębów.

- Obudziłaś się. I bardzo dobrze. Chciałem, żebyś wiedziała, że to ja.

Niepokój ogarnął jej oteępały umysł. Czują na twarzy oddech Dickensona. Co on chciał zrobić?

- Idź stąąąą... - wyszeptala chrapliwie.

Jego złowieszczy chichot przyprawił ją o gęsią skórkę.

- Och, to będzie naprawdę cudowny wieczór, panno Darling. Myślę, że będę się bawił jeszcze lepiej, niż przypuszczałem.

Mówił tak, jakby to spotkanie zostało zaaranżowane. Skąd jednak wiedział, że znajdzie ją właśnie tutaj?

Strach kazał jej na razie zapomnieć o tym pytaniu. Dickenson wstał, rozwiązał fular i położył go na oparciu krzesła. Powoli, metodycznie rozpiął surdut i kamizelkę. Kiedy zdejmował koszulę, patrzył na swe odbicie w lustrze, zamocowanym w oparciu łóżka. Wciągnął brzuch i z uwielbieniem przesuwał dłońmi po swym nagim torsie.

Przerażenie odebrało Isabel resztki sił. Mimo oszołomienia rozumiała już, co jej grozi. Dickenson chciał ją zgwałcić.

Odwróciła gwałtownie głowę. Świat znów zawirował jej przed oczami, musiała odczekać kilka sekund, by ujrzeć wyraźnie drzwi buduaru. Musiała jakoś uciec. Odnaleźć którąś z ciotek. One na pewno ją uratują

Napięta osłabłe mięśnie. Zdawało się, że jej ręce i nogi spętane są jakąś niewidzialną siecią. Zebrawszy wszystkie siły, rzuciła się na skraj łóżka.

Przygniótł ją jakiś ogromny ciężar. Siła uderzenia pozbawiła ją tchu. Dickenson przyciskał ją całym ciałem do materaca.

~ Nie tak szybko, moja ślicznotko. Jeszcze się nie zabawi-
liśmy.

Siłą wsunął się między jej nogi. Isabel czuła przez spodnie jego
nabrzmiały członek.

Ogarnęło ją przerażenie. Nie mogła się wyswobodzić z jego
uścisku, mocny zapach wody kolońskiej dusił ją i wzbudzał
mdłości. Bezskutecznie próbowała unieść kolano, uderzyć napast-
nika w czule miejsce.

Dickenson roześmiał się szyderczo.

- Nie myśl, że drugi raz dam się nabrać na tę samą sztuczkę.
Dzisiaj zrobisz to, co ci każe.

Bez trudu krępując jej ruchy, pochwylił rękę Isabel i przyłożył
ją do swego krocza, pocierając jej palcami o twarde zgrubienie.
Opuścił powieki i pojękiwał cicho z rozkoszy.

- Niiieee! - Z ust Isabel wyrwał się chrapliwy, niski krzyk.
W tej samej chwili uszczypnęła go przez cienką tkaninę spodni
w nabrzmiałego członka. Włożyła w ten ruch wszystkie siły.

Dickenson zawył jak opętany i wypuścił jej rękę. Szlochając,
Isabel próbowała ześliznąć się z łóżka, ale nocna koszula krę-
powała jej ruchy.

- Suka! - wrzasnął Dickenson i uderzył ją w twarz.

Krzyknęła z bólu i opadła bezwładnie na poduszki. Krew
huczała jej w uszach, ciemność ponownie okryła świat.

Nagle do łóżka zbliżyły się czyjeś pospieszne kroki. Ktoś
odepchnął Dickensona. Isabel znalazła się nagle w czyichś
ramionach, ktoś kołysał ją czule.

- Już, już, moje dziecko. Uspokój się. Twoja ciocia jest z tobą.

Ciocia Minnie. Och, dzięki Bogu!

Drżąca i osłabiona, Isabel wtuliła głowę w miękki brzuch
kobiety.

- Poomóż... miiii...

- Oczywiście, że ci pomogę, moja droga. Zawsze przecież
chciałam tylko twego dobra.

Minnie delikatnie gładziła ją po głowie, a każdy jej ruch
dodawał Isabel otuchy, przeganiał z jej serca paraliżujący strach.
Dziewczyna powoli rozluźniła mięśnie, znów czuła się senna i
bezpieczna, choć Dickenson wciąż siedział na skraju łóżka.

Zdawało się, że ciocia Minnie ma nad nim jakąś magiczną
władzę. Nie próbował nawet z nią walczyć. Spoglądał tylko z
gniewem na obie kobiety, rozcierając obolałą męskość.

- Powinna zostać ukarana - oświadczył ze złością. Minnie
przestała pocieszać Isabel i podniosła głowę.

- Oferrna - warknęła. - Dostałeś to, na co zasłużyłeś.

- Ona nie chce się mi poddać.

- Oczywiście, że nie. Zachowujesz się jak prostak.

- Inne kobiety chwalą sobie moje umiejętności.

- Umiejętności, akurat. Wszystko słyszałam. Dziewczyna
lubi słuchać słodkich słów i komplementów, a nie gróźb i roz-
kazów.

Isabel z niedowierzaniem przysłuchiwała się tej rozmowie. Nie,
musiała chyba śnić... To był jakiś koszmar. Ciocia Minnie nie
mogła wiedzieć, że Dickenson był tutaj. Nie pozwoliłaby mu się
nad nią znęcać.

- Może rzeczywiście trochę ją wystraszyłem - burknął Di-
ckenson. - Ale myślałem, że dałaś jej opium i że nie będzie się
tak opierać.

Irlandka mocniej objęła Isabel.

- Zrobiłam to. Ale to nie znaczy, że możesz traktować ją jak
zwykłą dziewczkę. Potrzebuje czułości.

Opium? Ktoś podał jej narkotyki? Ciocia Minnie?

Wciąż nie mogła uwierzyć, broniła się przed tą myślą. Jedno-
cześnie przypominała sobie wydarzenia sprzed kilku godzin.
Herbata. Wydawała jej się słodsza niż zazwyczaj...

- Dlaczeeeeego?

Dlaczego mi to zrobiłaś?

- Szsz... spokojnie, dobra dziewczynka- mówiła Minnie,
głaszcząc Isabel po policzku. - Leż spokojnie, ciocia już się o
ciebie zatroszczy. Nie pozwolę, żeby ktoś cię skrzywdził.
Będiesz czuła tylko rozkosz, największą rozkosz, jakiej kiedykol-
wiek doznałaś.

- Postaram się, żeby tym razem była to prawda. - Uśmiechając
się szeroko, Dickenson przyłożył dłoń do krocza. - Przejdźmy do
rzeczy. Chciałaś to zrobić dziś wieczór, prawda?

W jejnej chwili do Isabel powrócił cały strach. Uchwyciła

się kurczowo ramienia Minnie i próbowała wstać z łóżka. Znowu pływały z jej ust, podczas gdy walczyła z ogarniającą słabością, starała się za wszelką cenę utrzymać się przy świadomości.

- Nieeeee pozwoóóóó... prooooooszę... - Słowa z trudem wypływały z jej ust, podczas gdy walczyła z ogarniającą słabością, starała się za wszelką cenę utrzymać się przy świadomości.

Irlandka pochyliła się i zaczęła masować delikatnie jej kark.

- Spokojnie, moja kochana, nie musisz się niczego bać. Po prostu leż spokojnie. Zostanę tu z tobą i dopilnuję, żeby nie stała ci się krzywda. Przy mnie będziesz bezpieczna. - Jej głos kołował nerwy Isabel, uspokajał, przekonywał. - Zapomnij o strachu. Zamknij oczy i oddaj się marzeniom. To twój Justin przyszedł do swojej Wenus. Będzie cię dotykał... delikatnie... pieścił cię... kochał cię... jeśli nie będziesz się opierać, będzie ci dobrze, przyjemnie. Pomyśl tylko o Justinie, przypomnij sobie, jak cudownie było wam razem...

Hipnotyzujący głos przełamał w końcu opór Isabel, ukołysał ją, przeniósł w stan błęgiego bezruchu. Nie mogła już unieść ciężkich jak ołów powiek. Justin... Przyjemne ciepło rozchodziło się powoli po wszystkich zakątkach jej ciała. Tak. Justin tu będzie. Pragnęła jego miłości, czulego dotyku jego dłoni.

- Za chwilę będzie cię pieścił, przygotuje cię na te rozkoszne chwile. Na całym świecie nie ma nic równie przyjemnego. Więc pozwól, by przyszedł do ciebie, by cię dotykał, by złączył się z tobą. Pozwól, by jego pieszczoty unosiły cię coraz wyżej i wyżej. Ta wspaniała, niezrównana rozkosz...

Świadomość Isabel rozplynęła się w nicości, zastąpiona gwałtownym pulsowaniem krwi, cudowną ekscytacją. Była wilgotna z pożądania, pragnęła, by Justin ukołował ból namiętności, który zrodził się w jej podbrzuszu. Ktoś podciągnął do góry jej koszulę. Isabel słyszała, jak pojękuje cicho, pieszczona chłodnym powietrzem.

Justin... Ocieriała się rozkosznie o gładką pościel. Jej skóra stała się niesamowicie wrażliwa, spragniona pieszczot. Zaraz jej dotknę. Zaraz będzie się z nią kochał i jeszcze raz przeniesie ją do wrót rajów. Tak bardzo go pragnęła...

Czuła, jak jego ciepła dłoń gładzi jej udo...

Najwyższy czas! - warknął Kern. - Czekam na ciebie od godziny, byłem tu już dzisiaj dwa razy. Gdzie ty się, do diabła, podziewasz?

Lord Hathaway wszedł właśnie do biblioteki. Choć był niski, nosił się z niezwykłą godnością, a przenikliwe spojrzenie ciemnych oczu mogło wprawić w zakłopotanie niejednego grzesznika.

- Po tym, co zrobiłeś, masz jeszcze czelność pokazywać się w tym domu? - spytał markiz lodowatym tonem i wskazał głową na drzwi. - Wynoś się.

Kern zatrzasnął je.

- Najpierw się dowiesz, z czym tu przyszedłem.

Zaciskając usta w wąską kreskę, starszy pan zmierzył go pogardliwym spojrzeniem.

- Nie chcę już nic od ciebie słyszeć. Przez ciebie Helen omal nie postradała zmysłów. Przez ciebie musiała opuścić towarzysza twojego, by nie narazić się na szyderstwa i upokorzenie. Chcę zabrać ją na kontynent i muszę teraz załatwić wszystkie sprawy, którymi miałem zająć się później.

Na myśl o cierpieniu Helen Kern ochłonął nieco i uciszył swój gniew.

- Postaram się, by wszyscy wiedzieli, że tylko ja jestem winny tej sytuacji.

- I myślisz, że w ten sposób zasłużysz sobie na jej przebaczenie? - Hathaway potrząsnął uniesioną pięścią. - Wkrótce zrozumie, że lepiej, by żyła w samotności, niż miała się związać z takim rozpustnikiem jak ty. Nie jesteś ani trochę lepszy od swego ojca.

Wściekłość natychmiast powróciła do Kerna niepokonaną falą.

- Mówisz o moim związku z Isabel Darling?

- Dobrze wiesz, o czym mówię. - Markiz poczerwieniał z gniewu i podszedł do Kerna. - Jak śmiałeś uwieść dziewczynę, która mieszkała pod moim dachem, pod moją opieką? Nie masz ani krzty honoru.

Kern celowo go prowokował.

- Powiedz mi, dlaczego tak bardzo przejmujesz się losem nieślubnej córki kurtyzany?

Hathaway odwrócił się gwałtownie i przeszedł do barku, by nalać sobie whisky.

- Byłem za nią odpowiedzialny - rzucił przez ramię. - Kiedy mieszkała tutaj, prowadziła się jak dama. Dopóki ty nie sprwadziłeś jej na złą drogę.

Kern nie mógł już dłużej hamować gniewu. Kilkoma susami dopadł Hathaway'a i wytrącił mu szklankę z dłoni. Kryształ rozbił się na drobne kawałki, alkohol spłynął po gładkiej powierzchni kredensu i wsiąkł w dywan.

- Isabel wkradła się do tego domu podstępem, za pomocą szantażu - rzekł lodowatym tonem. - Okłamała Helen, powie działa jej, że są kuzynkami. A potem ty ofiarowałeś jej pięć tysięcy funtów w posagu. Chcę, byś mi powiedział, dlaczego to zrobiłeś.

Markiz patrzył nań z kamienną twarzą, potem odwrócił wzrok.

- Nie mam nic do powiedzenia. Już rozmawialiśmy na ten temat.

Kern pochwycił go za kłapy surduta i rzucił na półkę z książkami. Kilka grubych tomów spadło na podłogę.

- Ty tchórzliwy kłamco. Uznasz ją, już ja tego dopilnuję. Powiesz mi, kim jest naprawdę. Teraz.

Hathaway dyszał ciężko, nie próbował się jednak uwolnić; w jego oczach malowało się zdumienie i przestach.

- Dowiedziałeś się - powiedział chrapliwie. - Jak...?

- To nieważne. - Kern potrząsnął nim z całej siły. - Powiedz to. Zapomnij wreszcie o obłudzie i choć raz w życiu powiedz prawdę.

- Dobrze, powiem! Isabel jest moją córką.

Te słowa odbiły się bolesnym echem w głowie Kerna. Domyślił się całej prawdy, gdy tylko zobaczył zamaszty podpis Hathaway'a w księdze parafialnej. Teraz jednak jego podłość wstrząsnęła nim na nowo. Tego człowieka podziwiał przez całe życie.

Wypuścił go i zaczął się przechadzać po bibliotece od ściany do ściany.

- To ty jesteś Apollo! - krzyknął. - Isabel to owoc twojego romansu z Aurorą Darling. Romansu, który zakończył się tuż przed twoim ślubem.

Hathaway podszedł chwiejnym krokiem do fotela i opadł na niego ciężko. Pochylając głowę i przeciągając palcami przez szpakowate włosy, przyznał cicho:

- Tak.

- Kiedy brałeś ślub, miałem tylko dziewięć lat - kontynuował Kern. - Ale pamiętam, jak składałeś przysięgę przed ołtarzem w kościele Świętego Grzegorza. Pomyśleć tylko, że przez całe życie pragnąłem być taki jak ty. - Jego głos znów nabrał surowych, gniewnych tonów. - Ale mężczyzna, którego darzyłem tak wielkim podziwem, zaledwie kilka godzin wcześniej opuścił łóżko kochanki.

- Zrobiłem to, co uważałem za słuszne.

- Słuszne? Wierzyłem, że jesteś lepszy od mojego ojca, że wiesz, co to honor i uczciwość. A ty przez cały czas prowadziłeś podwójne życie, miałeś romans z kurtyzaną.

- Kochałem Aurorę. Odchodząc od niej, podjąłem najtrudniejszą decyzję w moim życiu.

- A co z Isabel? - Kern nie krył oburzenia. - Miałeś przecież córkę, która cię potrzebowała.

- Nie wiedziałem, że Aurora zaszła w ciążę. - Hathaway podniósł głowę. - Kern, pomyśl tylko, przecież ona była ładacznicą. Nie mogłem z nią zostać, to było nie do pomyślenia. Musiałem się ożenić, tak jak planowałem.

Choć nie przychodziło mu to łatwo, Kern z trudem przyznał, że doskonale rozumie dylemat markiza. Sam zerwał co prawda zaręczyny z Helen, ale zaproponował Isabel, by została jego kochanką. Czy to czyniło go lepszym od Hathaway'a?

- Kiedy dowiedziałem się, że Aurora jest w ciąży - mówił dalej starszy mężczyzna - było już za późno, nie miałem wyboru. W tym czasie moja żona także nosiła już dziecko. Musiałem utrzymywać narodziny Isabel w sekrecie. Nie mogłem pozwolić, by skandal dotknął mej rodziny, by skrzywdził Helen.

- Mogłeś odwiedzać Isabel, nie rozgłaszając tego przed całym światem.

- Płaciłem za jej dom, ubrania, guwernantkę. Zadbalem o to, by nie wychowywała się w domu schadzek.

- Ona potrzebowała ojca, a nie pieniędzy.
 - Do diabła! -Hathaway uderzył pięścią w kolano. -Myślisz, że przez wszystkie te lata nie martwiłem się o jej przyszłość, nie robiłem wszystkiego, by ułatwić jej życie? Przecież dlatego właśnie przyjąłem ją do własnego domu. Te przekłete pamiętniki niewiele miały z tym wspólnego. To była tylko wymówka, szansa dana od Boga, bym mógł poznać własną córkę... - Głos załamał mu się nagle; markiz ukrył twarz w dłoniach.

Kern musiał przyznać z niechęcią, że współczuje temu człowiekowi i do pewnego stopnia rozumie jego postawę. Najwyraźniej wiele już wycierpiał, odpokutował za grzechy. Kilka pytań wciąż jednak pozostawało bez odpowiedzi.

- Więc ty i twój brat Raymond mieliście romans z tą samą kobietą.

Hathaway zacisnął mocniej usta.

- Byłem na niego wściekły, kiedy zaczął się spotykać z Aurorą, choć sam nie widziałem jej wtedy już od wielu lat. Nie mogłem jednak winić go za to, że uległ jej urokowi.

- Kiedy się dowiedziałeś, że Isabel szuka mordercy matki, poprosiłeś mnie, bym ją powstrzymał. Bałeś się, że odkryje twój sekret, czy powodowało tobą jeszcze coś innego?

Markiz zmarszczył czoło.

- Jeśli myślisz, że chodziło mi o Raymonda, to grubo się mylisz. Mój brat ulega czasem słabościom, ale na pewno nie otrul Aurory.

- Rozumiem - powiedział cicho Kern, wbijając w niego stalowe spojrzenie. - Ale czy ty tego nie zrobiłeś?

Markiz pobladł jak ściana; zdawało się, że z jego twarzy odpłynęła cała krew. W pełnej napięcia ciszy słychać było tylko tykanie zegara. Za drzwiami rozległy się czyjeś przytłumione kroki, potem ucichły, kiedy służący oddalił się do swych obowiązków.

- Myślisz, że byłbym zdolny do takiej potwornej zbrodni?

Kern zawstydzził się nieco, choć nie pokazywał niczego po sobie. Jeśli chciał ochronić Isabel, nie miał innego wyboru.

- Miałeś dość powodów, by pragnąć śmierci Aurory Darling. Znała twoją tajemnicę. Ona i jej powiernik, sir John Trimble.

- Skontaktował się z tobą?

- Nie. Dziś rano ja go odwiedziłem. Został otruty.

Hathaway uniósł się w fotelu, zaciskając dłonie na jego poręczach.

- Dobry Boże! Jesteś tego pewien?

- Powiedział to jego lekarz. Twierdził także, że Trimble powtarzał w malignie imię Apollo.

Hathaway potrząsnął gwałtownie głową.

- Złożył mi wizytę wczoraj rano. Zadał mi kilka pytań dotyczących nocy, kiedy zachorowała Aurora. Przyznaję, że byłem na niego wściekły. - Wpatrując się uparcie w Kerna, markiz dodał: - Wychodząc, Trimble powiedział mi, że źle się czuje. Możesz mi wierzyć lub nie. Nie będę się bronił przed tak podłym oskarżeniem.

W rzeczywistości Kern ani na chwilę nie brał pod uwagę takiej możliwości; był też pewien, że to nie Hathaway zabił Aurorę. Romans z kurtyzaną nie pozbawia człowieka honoru.

Więc kto? Kto był winowajcą?

- Czy kiedy Trimble był w tym domu, widział się także z Callie, pokojówką Isabel?

Markiz pokręcił głową.

- Nic mi o tym nie wiadomo. Przyjechał wkrótce po tym, jak wyszedłeś stąd razem z Isabel. Kiedy skończyliśmy rozmawiać, nie zatrzymywał się tu dłużej.

Dziwne. Minnie twierdziła, że Trimble chciał przesłuchać Callie. Może zrobił to bez wiedzy Hathaway? Czy to właśnie wtedy Callie podała mu truciznę? Coś tutaj nie pasowało...

Markiz wstał z fotela. Spojrzał surowo na Kerna i rzekł:

- Skoro już o tym rozmawiamy, chciałbym wiedzieć, jakie są twoje zamiary względem Isabel.

- Moje zamiary... - powtórzył Kern w roztargnieniu.

- Tak. Znalazła się w bardzo trudnej sytuacji. - Oddychając ciężko, starszy pan zacisnął dłonie w pięści. - Wiedziałem, że nigdy nie poślubi arystokraty, miałem jednak nadzieję, że znajdzie sobie uczciwego i zamożnego męża, że będzie mogła prowadzić normalne życie na przyzwoitym poziomie. Teraz ty wszystko zepsułeś.

- Ale...

- Jeszcze nie skończyłem. Pozbawiłeś ją nadziei na szczęście-

liwą przyszłość. Choć nie mogę już niczego zmienić i muszę zaakceptować fakt, że Isabel będzie twoją kochanką, domagam się, byś dobrze ją traktował. Inaczej będziesz miał ze mną do czynienia.

Ojcowski gniew wywarł na Kernie nieoczekiwany efekt. Czuł, jak opuszcza go własna złość.

- Isabel nie będzie moją kochanką - oświadczył. - Będzie moją żoną.

- Żoną?!

- Kocham ją~ powiedział Kern z nutą czułości w głosie. - Nauczyła mnie słuchać głosu serca, a nie opinii towarzystwa.

Zdumienie na twarzy Hathawaya ustąpiło ogromnej uldze.

- Małżeństwo. Nigdy bym nie pomyślał... Ale tak, to może się udać. Wyjedźcie na jakiś czas na wieś. Skandal w końcu przycichnie. Helen przywyknie do tej myśli, zapomni. Mam wrażenie, że bardziej przejęła się stratą przyjaciółki niż odwołaniem ślubu. - Markiz podszedł do starego portretu pięknej damy w peruce i przyglądał się jej z uwagą. - Wiesz, że Helen jako jedyna zauważyła podobieństwo? Nie mogłem pochwalić jej spostrzegawczości, powiedzieć jej, że Isabel jest jej siostrą i dlatego właśnie tak bardzo przypomina moją matkę.

Kern stanął obok niego i przez chwilę patrzył na obraz. Dopiero teraz zauważył uderzające podobieństwo lady Hathaway do Isabel, te same oczy i kości policzkowe, ten sam łagodny uśmiech. Isabel była równie dystygowana i dumna jak dama z portretu. Ze smutkiem myślał o tym, ile czasu minęło, nim sam dostrzegł w niej te cechy.

- Isabel będzie kiedyś księżną - ciągnął Hathaway. - Księżną Lynwood. Nikt nie ośmieli się z niej drwić. A gdyby nawet znalazł się ktoś taki, będzie miał ze mną do czynienia.

- Nie - zaprzeczył Kern. - Ze mną.

W ciemnych oczach markiza pojawił się szczerzy żal.

- Tak. Zasłużyłeś sobie na to. - Podszedł do okna i przez chwilę patrzył w milczeniu na zachodzące słońce. - Ona jeszcze nie wie, kim jestem.

Ja nie mam ojca. A jeśli spróbuje pan udowodnić, że jest inaczej, nigdy, przenigdy panu nie wybaczą.

Kern przypomniał sobie te słowa, lży w oczach Isabel. Teraz już rozumiał, dlaczego z takim uporem chronił swą prywatność, swą przeszłość. Nie chciała, by się dowiedział, że ojciec traktował ją jak wyrzut sumienia, że wstydił się jej przed światem.

- I na razie nie powiemy jej o tym - oświadczył głośno. - Jeszcze nie teraz. Może za jakiś czas, kiedy zapomni o kłopotach, gotowa będzie zaakceptować tę prawdę.

Nie odwracając się od okna, markiz skinął głową.

- Zgadzą się z tobą. Miejmy nadzieję, że Minerwa także dochowa tajemnicy.

Kern drgnął, zaskoczony tym stwierdzeniem.

- Minnie wie, że jesteś ojcem Isabel?

- Tak. Tylko Trimble i ona. Po śmierci Aurory musiałem znaleźć jakiś sposób, by nadal przekazywać Isabel pieniądze. Więc skontaktowałem się z Minerwą.

- Pieniądze? - Zdumiony i wściekły Kern wbił spojrzenie w plecy Hathawaya. - Przez ostatni rok nie dałeś Isabel ani pensa.

Markiz odwrócił się raptownie.

- Ależ dawałem. Co kwartał przekazywałem do banku sto fontów na nazwisko Minerwy. Miała przeznaczać je na potrzeby Isabel.

Czteryście funtów rocznie -całkiem przyzwoita suma. A jednak dom, w którym mieszkały, był w opłakanym stanie. Kobiety nie miały co jeść. Isabel musiała nosić stare niemodne suknie.

- Minnie nie dawała jej żadnych pieniędzy. Twierdziła, że nie mają z czego żyć. - Kern prawie krzyczał, dając wyraz swym podejrzeniom. -Minnie była także ostatnią osobą, z którą widział się Trimble, zanim przyjechał do ciebie z wizytą.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - Hathaway wpatrywał się w niego z przestrachem. - Że to Minerwa go otruła? Ale dlaczego?

- Być może zadał jej zbyt wiele pytań dotyczących śmierci Aurory Darling - odparł Kern posępnie. - Być może Minnie wie więcej, niż mówi. Znacznie więcej.

W oczach markiza pojawił się błysk zrozumienia.

- Isabel nie może tam zostać - oświadczył kategorycznie, zmierzając do wyjścia. - Przywieziemy ją tutaj.

Kern dołączył do starszego pana.

- Ale wtedy dowie się, kim jesteś. Lepiej, żebym pojechał tam sam.

- Nie - odparł markiz tonem nie znoszącym sprzeciwu. - Zbyt długo nie opiekowałem się należycie Isabel. Tym razem jej nie zawiodę.

21

Isabel czuła, jak męska dłoń przesuwa się w górę jej uda. Pozostawiała na jej skórze wilgotny ślad, wbijała się w nią, niemal sprawiała jej ból.

Justin?

Poruszyła głowę, próbując zapomnieć o dziwnym, dręczącym niepokojem, powrócić do rozkosznego snu. Lecz ciało nie chciało jej słuchać. Dostała gęziej skórki. Dotyk kochanka wydawał jej się obcy, nieprzyjemny. Instynktownie złączyła nogi, więząc dłoń intruza, nim ta dotarła do celu.

- Przekłeta zimna ryba - mruknął mężczyzna.

To nie był Justin.

Przerażona tą myślą, uniosła ciężkie powieki. I spojrzała prosto w twarz Terrence'a Dickensa.

Natychmiast zapomniła o zmęczeniu i erotycznych podnietach. Była w sypialni matki, oświetlanej jedynie przez płomyk świeczki. Ktoś podsunął jej koszulę aż do talii.

Minnie trzymała jej głowę w objęciach, głaskała czule po włosach i przemawiała do niej łagodnym, kojącym głosem:

- Moja mała Wenus, nie obawiaj się niczego. Jesteś teraz kurtyzaną, tak samo jak twoje ciotce. Zostaniesz tu z nami, poznasz wielu wspaniałych mężczyzn...

Ciotka Minnie zamierzała uczynić z niej ladacznicę. Kern nie chciałby jej wtedy znać. Nie zabrałby jej stąd. Isabel uświadomiła

sobie nagle grozę swego położenia; z jej ust wyrwał się chrapliwy krzyk.

Rzuciła się na skraj łóżka. Koszula nie krepowała teraz jej nóg, mogła więc poruszać się szybciej. Pokój kołysał się przed jej oczami. Spadła z łóżka, uderzyła w podłogę ramieniem. Zbyt oszołomiona, by podnieść się na równe nogi, pełzła w stronę buduaru.

Pospiesz się. Uciekaj stąd. Szukaj pomocy.

Dickenson chwycił ją za nogi. Zaczęła wierzgać, odwróciła się i wbiła paznokcie w jego policzki. Arystokrata odskoczył raptownie do tyłu, wyjąc z bólu.

Ogarnięta przerażeniem, szlochając bezgłośnie Isabel czołgała się dalej. Lecz na jej drodze stanęła tym razem ciotka Minnie.

- Nie możesz uciec, moje dziecko - powiedziała spokojnie. - Nie masz dokąd.

Isabel próbowała zebrać rozproszone myśli.

- Ciooocia... Caaallie...

Ciocia Di. Ciocia Persy.

Minnie uśmiechnęła się dobrotliwie.

- Nie pomogą ci. Mają dziś bardzo mocny sen. Zatrzaszczyłam się o to.

Isabel straciła resztki nadziei. Kucając na podłodze, naciągnęła koszulę na kolana. Tylko tyle mogła zrobić, by przeszkodzić Dickensonowi.

Justinie. Och, Justinie.

Wiedziała jednak, że nie przyjdzie jej z pomocą. Sama go stąd odprawiła. Na zawsze. Przycisnęła dłonie do skroni, próbując uspokoić zmysły. Dobry Boże, nie mogła nawet panować nad swym ciałem.

- Powinnaś była dać jej większą dawkę - narzekał Dickenson, ścierając krew z twarzy. - Mówię ci, to prawdziwa wiedźma, potrafi człowiekowi obrzydzić nawet najprzyjemniejsze chwile.

- Jest dla ciebie za piękna, nie zasłużyłaś sobie na nią - odparowała Minnie. - Ale nie obawiaj się, możemy przekonać ją jeszcze do współpracy.

Minnie sięgnęła do kieszeni fartucha i wyciągnęła stamtąd łyżeczkę i małą fiolkę. Odkorkowała pojemnik i ruszyła w stronę Isabel.

- Nie bój się, moje dziecko. Nie zrobię ci krzywdy. Odrobina tego lekarstwa i od razu poczujesz się lepiej, przeniesiesz się w krainę marzeń, gdzie czeka cię prawdziwa rozkosz.

Isabel poczekała, aż Irlandka się nad nią pochyli. Kiedy Minnie odmierzyła starannie pełną łyżeczkę syropu, Isabel uderzyła, mierząc w zranione ramię ciotki. Ta wrzasnęła przeraźliwie, wypuszczając z dłoni fiolkę i łyżeczkę.

Isabel ruszyła w stronę buduaru.

Kiedy dotarła do drzwi, ktoś pochwycił ją za włosy. Przeraźliwy ból wycisnął jej łzy z oczu. Opadła do tyłu, na miękki brzuch Minnie.

Trzymając w górze zranioną rękę, Irlandka zawołała do Dickensona:

- Pomóż mi, ty ofermo! Przytrzymaj ją!

Dickenson przycisnął Isabel do podłogi. Nadal próbowała się wyrwać, lecz brakowało jej już sił. Kiedy Minnie ponownie próbowała wlać do jej ust gęsty płyn, dziewczyna uciekła się do ostatniej linii obrony.

Zacisnęła wargi.

Irlandka zatkała jej nos.

- Wszystko utrudniasz - mruzczała. - Chcę tylko, żebyś tutaj została, chcę się tobą zajmować, być twoją matką. Zawsze tego chciałam. Ale ty wcale mi w tym nie pomagasz, tak samo jak Aurora. Chciała wyprowadzić się razem z tobą, zostawić mnie tutaj.

Mama?

Isabel próbowała pochwycić przelotną myśl. Ciemność zasnęła świat przed jej oczami. Czuli narastający ból w piersiach. Kiedy nie mogła już dłużej wytrzymać, rozchyliła wargi, by szybko zaczerpnąć powietrza.

Minnie wpechnęła łyżeczkę do jej ust. Isabel zakrzuszyła się, kiedy słodki syrop spływał jej do gardła.

Kern i Hathaway stanęli przed domem z szarego kamienia, w którym mieszkały Isabel i jej ciotki, Tylko w jednym z wysokich okien paliło się blade światło.

W sypialni Aurory.

Kto tam był?

Kern podniósł rękę do kołatki, zawahał się jednak i sięgnął do klamki. Drzwi były zamknięte na zamek.

- Spróbujemy tylnym wejściem - powiedział.

Hathaway skinął głową i ruszył jego śladem. On także musiał mieć złe przeczucia. Czy w pokoju Aurory znów grasowała Minnie?

To z pewnością ona dokonała dzieła zniszczenia w sypialni i buduarze. Splądrowała wszystkie szuflady i szafy, a potem udawała, że ktoś ją zaatakował. Dlaczego to zrobiła? Aurora nie napisała o niej ani jednego złego słowa w swym dzienniku.

Chyba że wcale nie szukała memuarów. Zraniła się w rękę, by sprowadzić Isabel z powrotem do domu.

Choć wieczór był ciepły, Kern poczuł zimny dreszcz na plecach. Nie powinien był pozwolić Isabel zostać w tym miejscu. Był głupcem, naraził ją na wielkie niebezpieczeństwo. Wiedział, że nie zazna spokoju, póki ukochana znów nie spocznie w jego ramionach.

Między stajniami zalegał gęsty mrok. Koń parsknął cicho. Wieczorne powietrze niosło ze sobą zapach śmieci i łajna.

Wreszcie dotarli do wejścia dla służby. Tutaj drzwi były otwarte. Kern wszedł do mrocznego korytarza, Hathaway postępował tuż za nim. Ich wzrok przyzwyczajal się przez chwilę do ciemności. Kern stwierdził ze zdumieniem, że dokoła panuje idealna cisza, nikt nie przygotowuje kolacji, nie szykuje się do posiłku.

Czyżby wszyscy wyszli?

Ruszył w górę po stromych schodach. Powoli odnajdywali drogę w mroku. Kern przekonywał się w myślach, że za chwilę odnajdzie Isabel w jej sypialni, zdrową i całą. Na pewno spała, dlatego w jej pokoju nie paliło się światło.

A może wszystkie kobiety zgromadziły się w sypialni Aurory. Może gawędziły o starych czasach. Albo pocieszały zrozpaczoną Isabel.

Mimo to nie mógł pozbyć się niepokoju. Postanowił, że od tej chwili nigdy nie będzie zostawiał jej samej. Ożeni się z nią. Będą sobie wierni do końca życia, będą się darzyć szacunkiem i miłością.

W korytarzu na piętrze zalegał półmrok. Hathaway wskazał na drzwi do buduaru Aurory. Kern przyłożył ucho do pomalowanego na białą drewna. Ze środka dochodziły jakieś przytłumione głosy. Próbował przekręcić gałkę.

Drzwi były zamknięte.

Isabel wypluła syrop. Prosto w twarz Minnie.

Irlandka odskoczyła do tyłu, przeklinając pod nosem. Rąbkiem fartucha otarła mokrą twarz.

- Niewdzięczna dziewczucha. Robię to dla twojego dobra. Zawsze robię to, co dla ciebie najlepsze.

Isabel zwinęła się w kłębek. Choć próbowała temu zapobiec, drobna część płynu przedostała się do jej organizmu. Wiedziała, że kiedy narkotyk zacznie działać, jej los będzie przypieczętowany.

Dickenson będzie mógł zrobić z nią, co zechce, a Minnie będzie go tylko zachęcać. Ona tymczasem pozostanie zupełnie bezradna, bezsilna.

Broń. Isabel musiała znaleźć jakąś broń.

Walcząc z nudnościami, rozejrzała się. Pokój był jednak ogołocony z wszelkich przedmiotów prócz mebli. Minnie dopilnowała tego.

Do otepiałego umysłu dziewczyny dotarła wreszcie straszliwa prawda. To ona zniszczyła rzeczy mamy. Podarła sukienki, przewróciła kałamarz. Nienawidziła mamy.

Zabiła mamę.

Wszystko zaczęło układać się w jedną całość. Minnie chciała, by Isabel została tutaj, w lupanarze. Ciągle to powtarzała. A zgodnie z tym, co napisała w dzienniku, Aurora zamierzała wyprowadzić się na wieś, by tam zamieszkać tylko z córką.

Jeśli, taka będzie wola Boża, pieniądze uzyskane ze sprzedaży tych memuarów pozwolą mi opuścić ten dom i dołączyć do mojej kochanej córki w Oxfordshire. Tam będziemy wreszcie żyły razem, ona i ja.

Mama obawiała się, że otrul ją jeden z byłych kochanków, który nie chciał dopuścić do publikacji wspomnień. Ale to

morderstwo nie miało nic wspólnego z „Prawdziwymi wyznaniami kurtyzany”.

To morderstwo było wynikiem obsesji Minnie, która chciała zatrzymać Isabel przy sobie.

Mgła nieświadomości zaczęła ogarniać umysł dziewczyny. Opium. Próbowwała walczyć ze słabością, myśleć o czymkolwiek, byle tylko zachować zdolność rozumowania, lecz w końcu musiała dać za wygraną. Pragnęła tylko zamknąć oczy i zasnąć. Miała wrażenie, że każda z jej kończyn waży po sto funtów. Czula, jak w jej brzuchu znów rodzi się znajomy żar, znów zapagnęła bliskości ukochanego. Justin... Jak bardzo chciałyby znaleźć się w jego ramionach.

Z dala doszedł ją głos Minnie.

- No widzisz, moje dziecko. Wystarczyła odrobina syropu, a już poczułaś się lepiej. To wszystko dla twojego dobra, sama wkrótce to zrozumiesz.

- Odsuń się. Chyba jest już gotowa, żeby mnie przyjąć.

Dickenson.

Pochylał się nad nią. Isabel próbowała skupić wzrok na jego twarzy, lecz świat rozmywał się przed jej oczami. Nie mogła mu na to pozwolić...

- Podnieś ją i zanieś do łóżka - powiedziała ciotka Minnie.

- Za kogo ty mnie masz? Za służącego?

- Zrób to. Nie pozwolę, żeby moja dziewczynka leżała na podłodze jak suka.

Mrucząc coś pod nosem, Dickenson podszedł ostrożnie do Isabel, jakby się bał, że znów go zaatakuje. Brakowało jej jednak sił. Opium krążyło już w jej żyłach, otumaniało umysł i pozbawiało kontroli nad ciałem.

Dickenson przykucnął i wsunął ręce pod jej ciało. Jego zimne, spocone dłonie przywróciły jej na moment świadomość. Próbowła odsunąć się od niego, a z jej ust wyrwał się okrzyk przerażenia.

- Niiieee!

Kern i Hathaway zastanawiali się właśnie, czy zapukać, kiedy zza drzwi dobiegł ich przytłumiony krzyk.

Ten dźwięk przeszył serce Kerna niczym sople lodu. Isabel!

- Odsuń się - rozkazał.

Markiz ledwie zdążył uskoczyć na bok, kiedy Kern naparł ramieniem na drzwi. Drewno jęknęło pod potężnym ciosem. Przy kolejnej próbie zamek puścił, a drzwi z trzaskiem uderzyły o ścianę.

Wpadł do buduaru, a Hathaway deptał mu po piętach. W pokoju było ciemno. Pusto. Błady płomyk migotał w sypialni.

Kern znalazł się tam w okamgnieniu, gnany lodowatym strachem. Jednym spojrzeniem ogarnął wnętrze pokoju.

Obok łóżka stał półnagi Terrence Dickenson. Po drugiej stronie siedziała Minnie. Trzymała w ramionach głowę Isabel, przemawiała do niej łagodnym głosem i głaskała jej włosy.

Jego ukochana leżała nieruchomo, z zamkniętymi oczami, niczym ofiara na ołtarzu okrutnego boga. Jej ciało okrywała jedynie cienka półprzezroczysta koszula.

- Dobry Boże! - wybuchnął markiz.

Czerwona mgła wściekłości zasnęła oczy Kerna. Warcząc jak dzikie zwierzę, rzucił się na Dickensona. Starszy arystokrata próbował uciekać, potknął się o stół i runął na podłogę. Skulił się przerażony i wyciągnął rękę, by powstrzymać napastnika.

- Wszystko zaraz wyjaśnię. To Minnie mnie namówiła. Ale nic! nie stało, to była pomyłka.

- O tak, to była wielka pomyłka.

Kern poderwał łajdaka i wymierzył mu potężny cios w szczękę. Ten uderzył w ścianę i osunął się na podłogę jak zepsuta marionetka. Jego ciało spoczęło w bezruchu, całkowicie bezwładne.

Kern podszedł do łóżka. Minnie próbowała zakryć swym ciałem Isabel, markiz odciągnął ją jednak, wykręcając jej rękę.

- Au! - zaprotestowała głośno. - Proszę uważać na moją rękę. Jak pan mnie traktuje!

- Obiecuję ci, że zostaniesz jeszcze odpowiednio potraktowana. W więzieniu Newgate.

- Newgate! Pod jakim zarzutem? Hathaway zmierzył ją bezlitosnym spojrzeniem.

- Zabójstwa Aurory Darling.

Kern usiadł na łóżku: Isabel kręciła głową, mamrocząc coś niezrozumiale. Cienka koszulka opinała ciasno jej ciało, uwydatniała jej kobiece kształty. Boże, Minnie zaprosiła tu Dickensona, By zgwałcił Isabel.

Znów ogarnął go niepokonany gniew, połączony z ogromną czułością. Dotknął policzka ukochanej, ciepłego i gładkiego jak jedwab.

- Isabel.

Jej powieki uniosły się powoli. Spojrzała nań z miłością, zacisnęła dłoń na jego ramieniu.

- Jussstin?

- Jestem tutaj, najdroższa. - Z zaciśniętym gardłem pochylił się nad nią i odsunął kosmyk włosów z jej czoła. - Jestem tutaj.

Otworzyła szerzej oczy. Jej spojrzenie wędrowało po nim powoli, usta wykrzywiły się w słodkim uśmiechu.

- Tooo nieee sen?

Mówiła niewyraźnie, jakby z trudem artykułowała dźwięki. Porażony nagłym strachem, odwrócił się do Irlandki.

- Coś ty jej dała, do diabła? Truciznę?

- Oczywiście, że nie - odparła z urazą. - To była tylko małeńka dawka opium. Kocham ją bardziej, niż ty będziesz kochał kiedykolwiek.

- Kochasz? Ty nie wiesz, co to miłość, myślisz tylko o sobie. - Wziął Isabel na ręce. Podnosząc ją z łóżka, tulił do siebie, cieszył się jej bliskością. - To nie sen - szeptał jej prosto do ucha. - Naprawdę jestem tutaj. I już nigdy cię nie opuszczę.

- Nie! - krzyknęła Minnie. - Nie możesz jej zabrać.

- Oczywiście, że może, proszę pani - rzekł Hathaway ponuro. - A ja postaram się już, żeby pani nie ujrzała Isabel nigdy więcej.

Pociągnął Irlandkę w stronę drzwi. Ta próbowała się opierać, wyrwać z jego uścisku.

- Jak pan śmie! Pan nie ma prawa odbierać mi Isabel.

Właśnie pan.

- Mam do tego wszystkie prawa. I pani dobrze o tym wie.

- Akurat, Bo od czasu do czasu rzucił pan jej trochę grosza. Już ja zadbałam o to, żeby nie dostała tej jałmużny. Żeby przypadkiem nie wzięła pieniędzy za miłość.

Wykręcając mocniej jej rękę, markiz syknął do ucha Minnie:

- Kradzież. To jeszcze jedno przestępstwo, za które odpowiesz przed sądem.

- Nie ośmieli się pan. Musiałby pan powiedzieć całemu światu o swoim związku z Aurorą. Musiałby pan przyznać, że jest ojcem Isabel.

Isabel zamrugła gwałtownie, skonfundowana.

- Ooojcem?

Hathaway spojrzał jej w oczy. Choć Minnie wciąż próbowała mu się wyrwać, on nie odrywał wzroku od córki.

- Tak, to prawda - powiedział powoli, jakby dobywał te słowa gdzieś z głębi duszy. - Jestem twoim ojcem.

Isabel powoli kręciła głową, jakby nie dowierzając własnym uszom.

- Paaan... i... mama?

- Kochałem ją. Całym sercem. Gdybym był choć w połowie tak odważny jak Justin... - Markiz zamilkł raptownie. Jego oczy błyszczały od łez. Zawstydzony, odwrócił głowę.

Wykorzystując ten moment słabości, Minnie wyrwała mu się wreszcie i pobiegła do wyjścia. Nie dotarła jednak nawet do buduaru, a już był przy niej. Zatrzymał ją jednym szarpnięciem, a potem, nie bawiąc się w uprzejmości, związał jej ręce szalem. Obrzuciła go stekiem przekleństw.

Isabel zadrżała. Kern przytulił mocniej jej głowę, odgrodził od wulgarnych słów. Myślał tylko o tym, jak bardzo chciałby ją stąd zabrać, pomóc jej zapomnieć o okropnościach tego dnia.

Hathaway popchnął Minnie do drzwi.

- Przyślę tu służącego - powiedział, wskazując na Dickensona, który wciąż leżał nieprzytomny pod ścianą.

- A ja zabiorę ich na Bow Street, do sędziego - oświadczył Kern. - Na pewno nie chcesz, by wzięto cię z tą sprawą.

- Nie. Najwyższy czas, bym spełnił swój obowiązek. - Hathaway spojrzał na Isabel, a na jego twarzy pojawił się nikły uśmiech. - Poza tym ty będziesz miał chyba inne zajęcie.

Isabel przygłębła do ukochanego całym ciałem; zaczęła się o niego ocierać. Najwyraźniej narkotyk pozbawił ją wszelkich

zahamowań. Jej delikatne usta przesuwają się po jego szyi, czuł kuszącą wilgoć jej języka. I swoją niepohamowaną reakcję.

Hathaway rzucił mu surowe spojrzenie.

- Młody człowieku, proponuję, byś jak najszybciej zalegali zować związek z moją córką.

Kern nie mógł powstrzymać szerokiego uśmiechu.

- Jak sobie pan życzy, markizie.

Dwie godziny później karetą Lynwoodów wyjechała na Trakt Północny.

Zamknięty w wygodnym wnętrzu powozu, Kern tulił do siebie Isabel. Ta spała jak dziecko, owinięta w gruby ciepły płaszcz. Pod spodem miała tylko nocną koszulę - nie chciał jej przeszkadzać, kiedy zapadła w sen.

Służący w domu Lynwoodów uwijali się jak w ukropie, kiedy przyjechał tam z Isabel i kazał im natychmiast pakować walizy na drogę. Kucharz przygotowywał cały kosz smakołyków, stajenni wyprowadzali konie. Choć wszyscy zerkali z ciekawością na swego pana, nikt nie miał odwagi zapytać, dlaczego wybiera się wieczorem w długą podróż, i to w towarzystwie samotnej panienki. On sam wcale nie spieszył się z wyjaśnieniami. Wiedział, że za kilka dni i tak poznają prawdę.

Pozna ją cały Londyn. Zaczną się plotki i obmowy. Kern uśmiechnął się w ciemnościach. Do diabła z tymi ludźmi o małych umysłach! On miał już wszystko, czego pragnął.

Isabel poruszyła się niespokojnie, przeciągnęła i westchnęła rozkosznie. Potem otworzyła oczy, zatrzepotała powiekami i podniosła wzrok na ukochanego. Przesunęła dłonią po jego surducie, jakby chciała się upewnić, że to naprawdę on.

- Justin? Ucałował ją w czoło.

- Jak się czujesz?

- Trochę lepiej, nie mam już takich zawrotów głowy. - Rozejrzała się, zdumiona, jakby dopiero teraz zrozumiała, że jest we wnętrzu karety. - Zabierasz mnie swojej posiadłości?

- Nie, kochanie. Porywam cię.

Isabel uniosła brwi.

- Porywasz mnie? Ale... Chętnie pojedę z tobą wszędzie, nawet na koniec świata. Właśnie przygotowywałam się do wyjścia, chciałam ci o tym powiedzieć, ale ciocia Minnie... - Isabel umilkła i zagryzła wargę. - Nie mogę jeszcze uwierzyć w to, co się stało. Przez wszystkie te lata była dla mnie jak druga matka.

Wyczuwając jej ból, Kern gładził ją czule po głowie.

- Nie zadreżaj się tym, najdroższa. Nie znałaś jej prawdziwego charakteru. Nikt z nas go nie znał.

Isabel westchnęła ze smutkiem.

- Pamiętasz, jak zachorowała ciocia Persy? To Minnie musiała ją podtruć. Chciała mnie przekonać, żebym opuściła dom Hathawayów i wróciła do niej. - Zesztywniała nagle, tknięta jakąś myślą. - Moje ciocie...

- Smacznie śpią - dokończył za nią. - Osobiście to sprawdziłem. Zostawiłem też instrukcje dla doktora Sadlera. Przyjdzie tam jutro rano, by się upewnić, czy są całkiem zdrowe. Odwiedzi też Trimble'a.

- Więc sir John nie jest jednak moim ojcem.

- Nie, nie jest

Siedziała nieruchomo, wbijając w ukochanego pytające spojrzenie.

- Lord Hathaway... czy on naprawdę...?

Ja nie mam ojca. A jeśli spróbuje pan udowodnić, że jest inaczej, nigdy, przenigdy panu nie wybaczę.

Kern przygotował się wewnętrznie na jej gniew.

- Tak, kochanie. Markiz jest twoim ojcem. Odkryłem prawdę tuż przed tym, jak przyjechaliśmy do ciebie. - Ujął jej twarz w dłonie. - Isabel, bardzo mi przykro, jeśli ta wiadomość sprawia ci ból. Ale myślę, że jeśli dasz mu trochę czasu, udowodni, jak mu na tobie zależy. Bardzo się o ciebie bał.

Isabel odwróciła się do okna, patrząc na ciemności, rozpraszane tylko od czasu do czasu blaskiem świec w oknach mijanych domostw.

- To dziwne. Teraz czuję, że tak naprawdę nie potrafię go nienawidzić. Dał mi siostrę, której tak bardzo pragnęłam. -

W jej głosie znów pojawił się bezbrzeżny smutek. - Siostrę, którą tak bardzo skrzywdziłam. Kern przygarnął ją do siebie.

- Helen potrzebuje czasu, by uświadomić sobie, że nie byliśmy dla siebie stworzeni. Zrozumie to, gdy sama odnajdzie wielką miłość.

Isabel westchnęła cicho. Odwróciła się do niego, przytuliła całym ciałem. Wsunąwszy dłoń pod jego płaszcz, gładziła go leniwie. Nie wiedząc nawet, jak bardzo go rozpala, zmieniła pozycję, tak by patrzeć mu prosto w oczy. Byli sami w ciemnym powozie, czekała ich długa, wielogodzinna podróż. Pomyślał o nocnej koszuli, którą miała pod płaszczem, o tym, jak cienka tkanina przylega do jej piersi i bioder. Wystarczyło tylko, by zsunął go z jej ramion...

Isabel przeżyła jednak tego wieczoru prawdziwy szok. Nie powinien wykorzystywać jej słabości.

Gładziła go czule po policzku.

- Justinie, zareagowałam zbyt pochopnie, odrzucając twą propozycję. Chcę być twoją kochanką. Pragnę tego z całego serca.

Te słowa na nowo rozbudziły w nim namiętność, a także głęboką, nieopisaną miłość. Isabel nie wiedziała jeszcze, co jest celem ich podróży.

- Posłuchaj, muszę ci coś powiedzieć...

Przerwał raptownie, kiedy jej palce dotknęły jego męskości. Masując go delikatnie, rozpinając guziki bryczesów, powoli, jeden za drugim.

- Jeśli jednak naprawdę mnie chcesz, będziesz musiał przede wszystkim strzec pewnych reguł - kontynuowała.

Nie mógł myśleć.

- Reguł - powtórzył.

- Tak. Poświęcisz swe życie mnie i naszym dzieciom. Zapomnisz o wszystkich innych kobietach. Żadna nie będzie cię dotykać w taki sposób.

Kiedy jej smukłe palce zamknęły się wokół niego, stłumił jęk rozkoszy. Z trudem panował nad zmysłami.

- Isabel, moja najdroższa... posłuchaj...

- Mmmm... A jeśli przyjmiesz te warunki, ja będę ci wiernie służyć przez całe życie, milordzie. - Nagle ześliznęła się z jego kolan i uklękła przed nim. Stracił zupełnie zdolność spójnego myślenia, kiedy jej dłonie objęły go czule, zaczęły delikatnie pieścić jego męskość.

- Jesteś mój - szeptała. - Cały mój.

Żar namiętności rozpałał jego łądzia. Czuł na sobie jej oddech.

Jej palec odnalazł błyszczącą kroplę płynu i roztarł ją powoli na jego członku. Rozpalony do granic wytrzymałości, Kern zacisnął dłonie w pięści, byle tylko nie przyciągnąć jej ust bliżej.

- Wiesz, że czasami podsłuchiwałam rozmowy moich ciotek? - powiedziała cicho Isabel. - Ich opowieści były szokujące, choć jednocześnie fascynujące. Nigdy nie przypuszczałam, że ja także będę chciała robić takie rzeczy z mężczyzną... dopóki nie poznałam ciebie.

Otarła się o niego policzkiem. A potem ucałowała go w najbardziej intymny sposób.

Kern był bliski eksplozji.

Wbijając palce w siedzenie, starał się ze wszystkich sił zapanować nad sobą. Serce waliło mu jak oszalałe. Płynny ogień wypełnił jego żyły, kiedy usta i dłonie Isabel wielbiły go rozkoszną pieczęcią. Z jego ust wyrzywały się tłumione jęki i posykiwania. Kiedy nie mógł już dłużej znieść tej cudownej tortury, wciągnął Isabel na kolana, podniósł jej płaszcz i koszulę i położył dłonie na pośladkach ukochanej. Przytuliła się do niego mocno, objęła go nogami, zdyszana i rozpalona.

Nie zwlekając już dłużej, Isabel opadła na niego powoli, objęła go swym cudownie miękkim, atlasowym wnętrzem. Kern oparł dłonie na jej piersiach, ona zaś jęknęła z rozkoszy, poruszając miarowo biodrami. Już po chwili szeptała w uniesieniu jego imię, zaciskała się wokół niego w najwyższej ekstazie. Ogarnięty szałem namiętności, połączył się z nią w rozkoszy, i wreszcie wlał w nią swe nasienie i duszę.

Przez dłuższą chwilę leżeli w bezruchu, cudownie zaspokojeni. Kern wdychał aromat jej włosów, kołysał ją w swych ramionach.

- Kocham cię, Venus Isabel Darling - powiedział głosem ochryłym od emocji.

- A ja ciebie. - Spokojna i rozluźniona, wtuliła się w niego jeszcze mocniej. - Mmmm. Nie wyobrażam sobie, bym mogła być bardziej szczęśliwa.

- Może będziesz, kiedy ci powiem, dokąd jedziemy.

Przesunęła palcami po jego brodzie, jakby chciała się upewnić, że to naprawdę on.

- Do twojego majątku w Derbyshire, oczywiście. Zamieszkać we wdowim domku.

Kern pokręcił głową.

- Spróbuj jeszcze raz.

Isabel wyprostowała się powoli, wyrzała za okno, próbując przebić wzrokiem ciemności.

- Nie mam pojęcia. Dokąd?

- Do małego miasteczka na granicy ze Szkocją.

- ZeSzkocją! -wykrzyknęła. -Aledlaczego...? -Głosuwiął jej w gardle.

Kern wyczuwał jej niepokój i napięcie. Nie mógł już dłużej się z nią droczyć.

- Jedziemy do Gretna Green, moja najdroższa. Tam do staniemy ślub bez zbędnych ceregieli, dokumentów i pozwoleń. - Kiedy nadal siedziała w milczeniu, zastygła w bezruchu, dodał pospiesznie: - Nie poprosiłem cię jeszcze oficjalnie o rękę. Wyjdiesz za mnie?

Przez chwilę nie odpowiadała. Potem z radosnym okrzykiem rzuciła się w ramiona ukochanego.

- Och, Justinie, nigdy nie myślałam... Oczywiście, że tak.

Szczęśliwy i uspokojony, gładził jej gęste włosy.

- Teraz ja powiem coś o moich regułach. Pierwsza i najważniejsza to ta, że zawsze masz się mnie trzymać i unikać wszelkiego niebezpieczeństwa.

- Zgoda. Nie chcę nigdy żyć z dala od ciebie, mój najdroższy. - Uśmiechnęła się do niego czule. - Jakież to cudowne uczucie. Nigdy nie byłam tak szczęśliwa. Cudowne i niezwykle.

- Czeka cię jeszcze wiele radości. ~ Przyciągnął jej głowę i złożył na ustach ukochanej gorący pocałunek. - Chcę, byś była szczęśliwa przez całe życie, do końca naszych dni.

Napawając się biciem jego serca, Isabel wtuliła głowę w ramię Kerna i westchnęła cicho. Czuli się wreszcie uwolniona od mrocznych sekretów przeszłości. Ten cudowny mężczyzna dał jej tak wiele - wiarę w siebie i moc wiecznej miłości. A co najważniejsze, sprawił, że znów zaczęła wierzyć w szczęśliwe zakończenia.